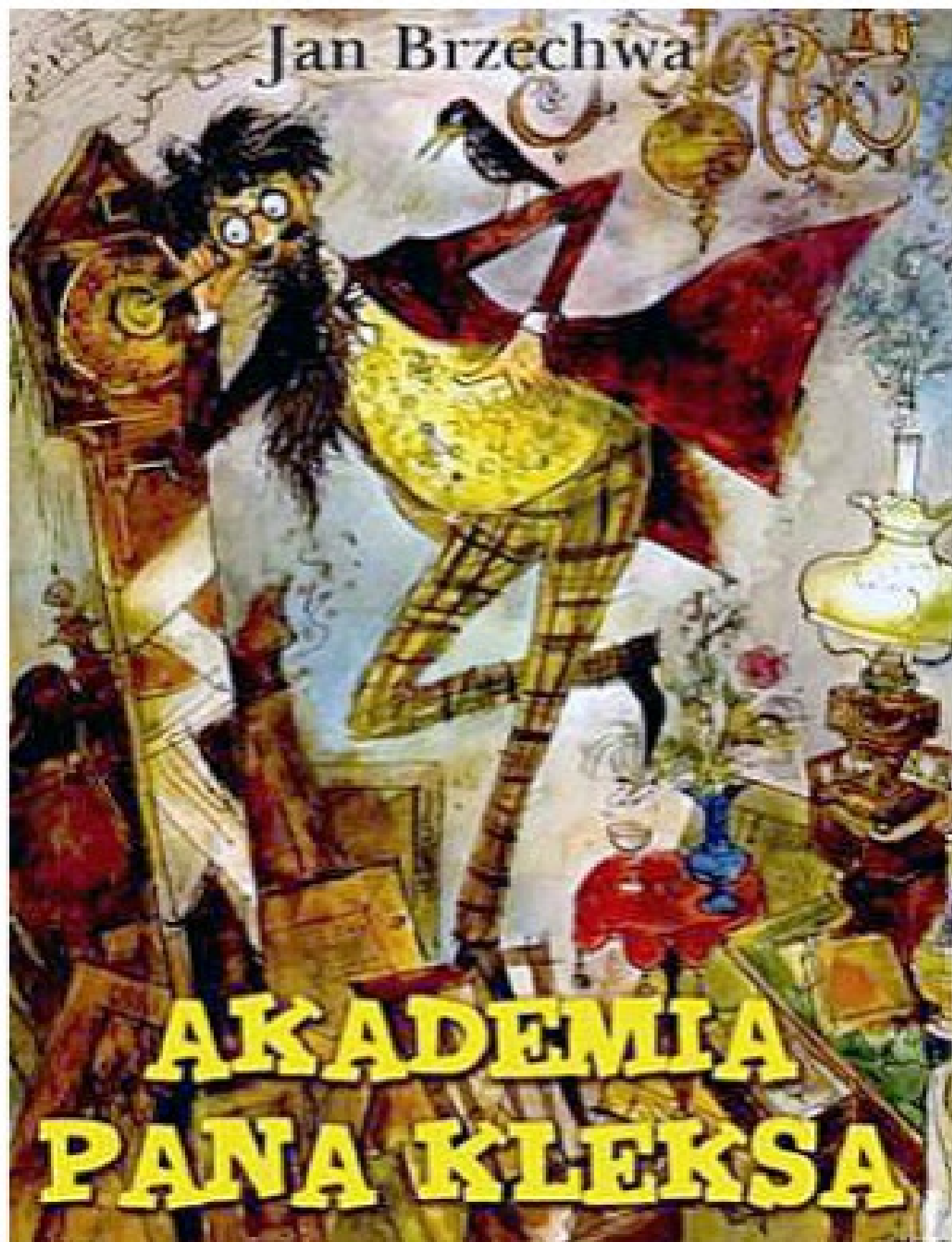


Jan Brzechwa



AKADEMIA PANA KLEKSA

PAN KLEKS

cz. 1

Jan Brzechwa

AKADEMIA PANA KLEKSA i innebajczyska

Nazywam się Adam Niezgódka, mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udawało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdążyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdążyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa. Akademia mieści się w samym końcu ulicy Czekoladowej i zajmuje duży trzypiętrowy gmach, zbudowany z kolorowych cegiełek. Na trzecim piętrze przechowywane są tajemnicze i nikomu nie znane sekrety pana Kleksa. Nikt nie ma prawa tam wchodzić, a gdyby nawet komuś zachciało się wejść, nie miałby którędy, bo schody doprowadzone są tylko do drugiego piętra i sam pan Kleks dostaje się do swoich sekretów przez komin. Na parterze mieszczą się sale szkolne, w których odbywają się lekcje, na pierwszym piętrze są sypialnie i wspólna jadalnia, wreszcie na drugim piętrze mieszka pan Kleks z Mateuszem, ale tylko w jednym pokoju a wszystkie pozostałe są pozamykane na klucz.

Pan Kleks przyjmuje do swojej Akademii tylko tych chłopców, których imiona, zaczynają się na literę A, bo – jak powiada – nie ma zamiaru zaśmiecać sobie głowy wszystkimi literami alfabetu. Dlatego też w Akademii jest czterech Adamów, pięciu Aleksandrów, trzech Andrzejów, trzech Alfredów, sześciu Antonich, jeden Artur, jeden Albert i jeden Anastazy, czyli ogółem dwudziestu czterech uczniów. Pan Kleks ma na imię Ambroży, a zatem tylko jeden Mateusz w całej Akademii nie zaczyna się na A. Zresztą Mateusz nie jest wcale uczniem. Jest to uczony szpak pana Kleksa. Mateusz umie doskonale mówić, posiada jednak tę właściwość, że wymawia tylko końcówki wyrazów, nie zwracając uwagi na ich początek. Gdy na przykład Mateusz odbiera telefon, odzywa się zazwyczaj:

– Oszę, u emia ana eksa!

Oznacza to:

– Proszę, tu Akademia pana Kleksa.

Oczywiście, że obcy nie mogą go wcale zrozumieć, ale pan Kleks i jego uczniowie porozumiewają się z nim doskonale. Mateusz odrabia z nami lekcje i często zastępuje pana Kleksa w szkole, gdy pan Kleks idzie łapać motyle na drugie śniadanie.

Ach, prawda! Byłbym całkiem zapomniał powiedzieć, że nasza Akademia mieści się w ogromnym parku, pełnym rozmaitych dołów, jarów i wąwozów, i otoczona jest wysokim murem. Nikomu nie wolno wychodzić poza mur bez pana Kleksa. Ale ten mur nie jest to mur byle jaki. Po tej stronie, która biegnie wzdłuż ulicy, jest zupełnie gładki i tylko pośrodku znajduje się duża oszklona

brama. Natomiast w trzech pozostałych częściach muru mieszczą się długim nieprzerwanym szeregiem jedna obok drugiej żelazne furtki, pozamykane na małe srebrne kłódeczki.

Wszystkie te furtki prowadzą do rozmaitych sąsiednich bajek, z którymi pan Kleks jest w bardzo dobrych i zażyłych stosunkach. Na każdej furtce jest tabliczka z napisem wskazującym, do której bajki prowadzi. Są tam wszystkie bajki pana Andersena i braci Grimm, bajka o dziadku do orzechów, o rybaku i rybacze, i wilku, który udawał żebraka, o sierotce Marysi i krasnoludkach, o Kaczce–Dziwaczce i wiele, wiele innych. Nikt nie wie dokładnie, ile jest tych furtek, bo kiedy je zacząć liczyć, nie można się nie pomylić i po chwili nie wiadomo już, co się naliczyło przedtem. Tam gdzie powinno być dwanaście, wypada nagle dwadzieścia osiem, a tam gdzie zdawałoby się, że jest dziewięć, wypada trzydzieści jeden albo sześć. Nawet Mateusz nie wie, ile jest tych bajek, i powiada, że "oże o, a oże eście", co znaczy, że może sto, a może dwieście.

Kluczyki od furtek przechowuje pan Kleks w dużej srebrnej szkatule i zawsze wie, który z nich do której kłódki pasuje. Bardzo często pan Kleks posyła nas do różnych bajek po sprawunki. Wybór przeważnie pada na mnie, bo jestem rudy i od razu rzucam się w oczy. Pewnego dnia, gdy panu Kleksowi zabrakło zapalek, zawołał mnie do siebie, dał mi złoty kluczyk na złotym kółku i powiedział:

– Mój Adasiu, skoczysz do bajki pana Andersena o dziewczynce z zapalkami, powołasz się na mnie i poprosisz o pudełko zapalek.

Ogromnie uradowany poleciałem do parku i nie wiedząc zupełnie, w jaki sposób, trafiłem od razu do właściwej furtki. Za chwilę już znalazłem się po drugiej stronie. Oczom moim ukazała się ulica jakiegoś nie znanego miasta, po której snuło się mnóstwo ludzi. I nawet padał śnieg, chociaż po naszej stronie było w tym czasie lato. Wszyscy przechodnie trzęśli się z zimna, którego ja wcale nie odczuwałem, i nie spadł na mnie ani jeden płatek śniegu.

Kiedy tak stałem zdziwiony, zbliżył się do mnie jakiś starszy siwy pan, pogłaskał mnie po głowie i rzekł z uśmiechem:

– Nie poznajesz mnie? Nazywam się Andersen. Dziwi cię, że tutaj pada śnieg i mamy zimą, podczas gdy u was jest czerwiec i dojrzewają czereśnie. Prawda? Ale przecież musisz, chłopcze, zrozumieć, że ty jesteś z zupełnie innej bajki. Po co tutaj przyszedłeś?

– Przyszedłem, proszę pana, po zapalki. Pan Kleks mnie przysłał.

– Ach, to ty jesteś od pana Kleksa! – ucieszył się pan Andersen. – Bardzo lubię tego dziwaka. Zaraz dostaniesz pudełko zapalek.

Po tych słowach pan Andersen klasnął w dłonie i po chwili zza rogu ukazała się mała zziębnięta dziewczynka z zapalkami. Pan Andersen wziął od niej jedno pudełko i podał mi je mówiąc:

– Masz, zanieś to panu Kleksowi. I przestań płakać. Nie lituj się nad tą dziewczynką. Jest ona biedna i zziębnięta, ale tylko na niby. Przecież to bajka. Wszystko tu jest zmyślane i nieprawdziwe.

Dziewczynka uśmiechnęła się do mnie, skinęła mi ręką na pożegnanie, a pan Andersen odprowadził mnie z powrotem do furtki.

Kiedy opowiedziałem chłopcom o mojej przygodzie, wszyscy mi bardzo zazdrościli, że poznałem pana Andersena.

Później chodziłem do różnych bajek bardzo często w rozmaitych sprawach: a to trzeba, było przynieść parę butów z bajki o kocie w butach, a to znów w sekretach pana Kleksa pojawiły się myszy i trzeba było sprowadzić samego kota albo kiedy nie było czym zamieść podwórka, musiałem pożyczyć miotły od pewnej czarownicy z bajki o Łysej Górze.

Natomiast było i tak, że pewnego pięknego dnia zjawił się u nas jakiś obcy pan w szerokim aksamitnym kaftanie, w krótkich aksamitnych spodniach, w kapeluszu z piórem i kazał zaprowadzić się do pana Kleksa.

Wszyscy byliśmy ogromnie zaniepokojeni, po co ten pan właściwie przyszedł. Pan Kleks długo z nim rozmawiał szeptem, częstował go pigułkami na porost włosów, które sam miał zwyczaj nieustannie łykać, a potem, wskazując na mnie i na jednego z Andrzejów rzekł:

– Słuchajcie, chłopcy, ten pan, którego tu widzicie, przyszedł z bajki o śpiącej królewnie i siedmiu braciach. Otóż dwaj spośród nich poszli wczoraj do lasu i nie wrócili. Sami rozumiecie, że w tych warunkach bajka o śpiącej królewnie i siedmiu braciach nie może się dokończyć. Dlatego też wypożyczam was temu panu na dwie godziny. Tylko pamiętajcie, macie wrócić na kolację.

– Acja ędzie ed óstą! – zawołał Mateusz, co miało oznaczać, że kolacja będzie przed szóstą.

Poszliśmy razem z owym panem w aksamitnym ubraniu. Dowiedzieliśmy się po drodze, że jest on jednym z braci śpiącej królewny i że my również będziemy musieli ubrać się w taki sam aksamitny strój. Zgodziliśmy się na to chętnie, obaj byliśmy ciekawi widoku śpiącej królewny. Nie będę rozpisywał się tutaj na temat samej bajki, bo każdy ją na pewno zna. Muszę jednak powiedzieć, że za udział w bajce śpiąca królewna po przebudzeniu się zaprosiła mnie i Andrzeja na podwieczorek. Nie wszyscy pewno wiedzą, jakie podwieczorki jadają królewny, a zwłaszcza królewny z bajek. Przede wszystkim więc lokaje wnieśli na tacach ogromne stosy, ciastek z kremem, a prócz tego sam krem na dużych srebrnych misach. Każdy z nas dostał tyle ciastek, ile tylko chciał. Do ciastek podano nam czekoladę, każdemu po trzy szklanki naraz, a w każdej szklance po wierzchu pływała ponadto czekolada w kawałkach. Na stole na dużych półmiskach leżały marcepanowe zwierzątka i lalki oraz marmoladki, cukierki i owoce w cukrze. Wreszcie na kryształowych talerzach i wazach ułożone były winogrona, brzoskwinie, mandarynki, truskawki i rozmaite inne owoce oraz przeróżne gatunki lodów w czekoladowych foremkach.

Królowna uśmiechała się do nas i namawiała, abyśmy jedli jak najwięcej, bo żadna ilość nam nie zaszkodzi. Przecież wiadomo, że w bajkach nigdy nie choruje się z przejedzenia i że jest zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Schowałem do kieszeni kilka foremek z lodami, aby je zanieść kolegom, ale lody się rozpuściły i kapwały mi po nogach. Całe szczęście, że nikt tego nie zauważył.

Po podwieczorku królowna kazała zaprząć parę kucyków do małego powozu i towarzyszyła nam aż pod sam mur Akademii pana Kleksa.

– Kłaniajcie się ode mnie panu Kleksowi – powiedziała na pożegnanie – i poproście go, żeby przyszedł do mnie na motylki w czekoladzie.

A po chwili dodała:

– Tyle słyszałam o bajkach pana Kleksa. Będę je musiała koniecznie kiedyś odwiedzić.

W ten sposób dowiedziałem się, że pan Kleks ma swoje własne bajki, ale poznałem je dopiero znacznie później.

W każdym bądź razie zacząłem odtąd szanować pana Kleksa jeszcze bardziej i postanowiłem zaprzyjaźnić się z Mateuszem, aby dowiedzieć się od niego o wszystkim.

Mateusz nie jest skory do rozmów, a zdarzają się nawet takie dni, że w ogóle z nikim nie chce gadać.

Pan Kleks na jego upór ma specjalne lekarstwo, a mianowicie – piegi.

Nie pamiętam, czy wspomniałem już o tym, że twarz pana Kleksa po prostu upstrzona jest piegami. Początkowo najbardziej dziwiła mnie okoliczność, że piegi te codziennie zmieniały swoje położenie: jednego dnia zdołały nos pana Kleksa, nazajutrz znów przenosiły się na czoło po to, aby trzeciego dnia pojawić się na brodzie albo na szyi.

Okazało się, że przyczyną tego jest roztargnienie pana Kleksa, który na noc zazwyczaj piegi zdejmuje i chowa do złotej tabakierki, a rano przytwierdza je z powrotem, ale za każdym razem na innym miejscu. Pan Kleks nigdy nie rozstaje się ze swoją tabakierką, w której ma mnóstwo zapasowych piegów rozmaitej wielkości i barwy.

Co czwartek przychodzi z miasta pewien golarz, imieniem Filip, i przynosi panu Kleksowi świeże piegi, które za pomocą brzytwy zbiera z twarzy swoich klientów podczas golenia. Pan Kleks ogląda je bardzo dokładnie, przymierza przed lustrem, po czym chowa starannie do tabakierki.

W niedzielę i święta pan Kleks punktualnie o jedenastej mówi:

– No, a teraz zażyjmy sobie piegów.

Po tych słowach wybiera z tabakierki cztery albo pięć największych i najbardziej okazałych piegów i przytwierdza je sobie do nosa.

Zdaniem pana Kleksa nie może być nic piękniejszego niż duże, czerwone lub żółte piegi.

– Piegi znakomicie działają na rozum i chronią od kataru – zwykł mawiać do nas pan Kleks.

Dlatego też, jeżeli któryś z uczniów wyróżni się podczas lekcji, pan Kleks uroczyście wyjmując z tabakierki świeżą, nie używaną jeszcze piegę i przytwierdza ją do nosa takiego szczęściarza mówiąc:

– Noś ją godnie, mój chłopcze, i nigdy jej nie zdejmuj, jest to bowiem najwyższa odznaka, jaką możesz sobie zdobyć w mojej Akademii.

Jeden z Aleksandrów zdobył już aż trzy duże piegi, a niektórzy z chłopców dostali po dwie lub po jednej i obnoszą je na swoich twarzach z niezwykłą dumą. Zazdroszczę im i nie wiem, co dałbym za to, żeby otrzymać takie odznaczenie, ale pan Kleks powiada, że jeszcze za mało umiem.

Otóż wracając do Mateusza, muszę powiedzieć, że przepada on za piegami pana Kleksa i uważa je za największy przysmak.

Skoro tedy Mateusz zaniemówi, pan Kleks zdejmując ze swojej twarzy najbardziej zużytą piegę i daje ją Mateuszowi do zjedzenia. Skutek jest natychmiastowy: Mateusz zaczyna mówić i odpowiada na wszystkie pytania. Taki sposób wymyślił na niego pan Kleks!

Któregoś dnia, było to w połowie czerwca, pan Kleks usnął w parku i zupełnie nie zauważył, jak go pogryzły komary. Zaczął się tak zawzięcie drapać w nos, że zdrapał sobie wszystkie piegi. Cichaczem pozbierałem je w trawie i zaniósłem Mateuszowi. Od tej chwili bardzo się ze mną zaprzyjaźnił i opowiedział mi niezwykłą historię swojego życia.

Powtarzam ją tutaj w całości, z tym oczywiście, że do końcówek Mateusza dorobiłem brakujące części wyrazów.

NIEZWYKŁA OPowieść MATEUSZA

Nie jestem ptakiem – jestem księciem. W latach mego dzieciństwa nieraz opowiadano mi bajki o ludziach przemienionych w ptaki lub zwierzęta, nigdy jednak nie wierzyłem w prawdziwość tych opowieści.

Tymczasem właśnie moje życie potoczyło się tak, jak to opisuje się w owych bajkach.

Urodziłem się na królewskim dworze jako jedyny syn i następca tronu wielkiego i potężnego władcy. Mieszkałem w pałacu wyłożonym marmurami i złotem, stąpałem po perskich dywanach, każdy mój kaprys był natychmiast zaspakajany przez usłużnych ministrów i dworzan, każda moja łza, gdy płakałem, była liczona, każdy uśmiech wpisywany był do specjalnej księgi uśmiechów książęcych a dziś jestem szpakiem, który czuje się obco zarówno pośród ptaków, jak i pośród ludzi.

Ojciec mój był królem i panował licznym krajom i narodom. Miliony ludzi drżały z trwogi na dźwięk jego imienia. Nieprzebrane skarby i pałace, złote korony i berła, drogocenne kamienie, bogactwa, o jakich nikomu się nie śni należały do mego ojca.

Matka moja była księżniczką i słynęła z urody na wszystkich lądach i morzach. Miałem cztery siostry, z których każda wyszła za mąż za innego króla: jedna była królową hiszpańską, druga włoską, trzecia portugalską, czwarta holenderską.

Okręty królewskie panowały na czterech morzach, a wojsko było tak liczne i tak potężne, że kraj mój nie miał wrogów i wszyscy królowie świata zabiegali o przyjaźń i przychyłność mego ojca.

Od najwcześniejszych lat miałem zamiłowanie do polowania i do konnej jazdy. Moja własna stajnia liczyła sto dwadzieścia wierzchowców krwi arabskiej i angielskiej oraz czterdzieści osiem stepowych mustangów.

W zbrojowni mojej zebrane były strzelby myśliwskie, wykonane przez najlepszych rusznikarzy i dostosowane specjalnie do mego wzrostu, do długości mego ramienia i do mego oka.

Gdy ukończyłem siedem lat, ojciec mój, król, powierzył mnie dwunastu najznakomitszym uczonym i rozkazał im, aby nauczyli mnie wszystkiego tego, co sami wiedzą i umieją.

Uczyłem się dobrze, ale mój nieopanowany pociąg do siodła i do strzelby rozpalał mój mózg i duszę do tego stopnia, że o niczym innym nie umiałem myśleć.

Dlatego też ojciec, w obawie o moje zdrowie, zabronił mi jeździć konno.

Płakałem z tego powodu rzewnymi łzami, a łzy te cztery damy zbierały starannie do kryształowego flakonu. Gdy flakon już się napełnił po brzegi, stosownie do zwyczajów mego kraju ogłoszono żałobę narodową na przeciąg trzech dni. Cały dwór przywdział czarne stroje i wszelkie

przyjęcia, bale i zabawy zostały odwołane. Na pałacu opuszczono chorągiew do połowy masztu, a całe wojsko na znak smutku odpięło ostrogi.

Z tęsknoty za mymi końmi straciłem apetyt, nie chciałem się uczyć i siedziałem po całych dniach na maleńkim tronie, nie odzywając się do nikogo i nie odpowiadając na pytania.

Zarówno uczeni, jak i moja matka usiłowali nakłonić króla, ażeby cofnął zakaz – jednak na próżno. Ojciec nie miał zwyczaju odwoływania swych postanowień.

Rzekł tylko:

– Moja ojcowska i królewska wola jest niezłomna. Zdrowie następcy tronu stawiam ponad kaprys mego dziecka. Serce mi się kraje na widok jego smutku, stanie się jednak tak, jak to zalecili moi nadworni medycy i chirurdzy. Księżę nie dosiądzie więcej konia, dopóki nie ukończy lat czternastu.

Nie mogłem pojąć, czemu nadworni lekarze zabronili mi jeździć konno, skoro było powszechnie wiadomo, że jestem jednym z najlepszych jeźdźców w kraju i że panuję nad koniem tak samo sprawnie, jak mój ojciec nad królestwem.

Po nocach śniły mi się moje bachmaty, moje ukochane wierzchowce i przez sen wymawiałem ich imiona, które pamiętałem tak dobrze.

Pewnej nocy zbudziło mnie nagle ciche rzenie pod oknem. Zerwałem się z łóżka i wyrzałem do ogrodu, Na ścieżce stał osiodłany mój wspaniały wierzchowiec Ali–Baba, który najwidoczniej dosłyszał moje wołanie, a teraz na mój widok parsknął radośnie i zbliżył się aż pod samo okno. Ubrałem się po ciemku, porwałem strzelbę i zachowując jak największą ciszę, wyskoczyłem przez okno wprost na grzbiet Ali–Baby. Rumak ruszył z kopyta, przesadził kilka ogrodowych parkanów i pobiegł przed siebie, unosząc mnie nie wiadomo dokąd. Pędziliśmy tak przez dłuższy czas w świetle księżyca, gdy zaś okazało się, że nie ma za nami pogoni, ująłem wodze w ręce i skierowałem się do widniejącego opodal lasu.

Upojony tą nocną jazdą, zapomniałem o zakazie ojca, o tym, że coraz bardziej oddalam się od pałacu i że w lesie nie jest bezpiecznie.

Miałem wówczas osiem lat, ale odwagi posiadałem nie mniej niż pięciu królewskich grenadierów razem wziętych.

Gdy wjechałem do lasu, koń zaczął okazywać dziwny niepokój, zwolnił bieg, aż wreszcie stanął jak wryty, drżąc i parskając. Niebawem zrozumiałem, co zaszło: na ścieżce leśnej na wprost Ali–Baby stał olbrzymi wilk. Szczerzył straszliwe kły i piana kapłała mu z pyska. Ściągnąłem szybko wodze i chwyciłem strzelbę. Wilk z rozwartą paszczą powoli zbliżał się ku mnie.

Krzyknąłem więc:

– W imieniu, króla rozkazuję ci, wilku, abys mi dał wolną drogę, w przeciwnym razie będę musiał cię zabić!

Ale wilk tylko zachichotał ludzkim śmiechem i nacierał na mnie w dalszym ciągu. Wówczas odwiódłem kurek, wycelowałem i wpakowałem cały zapas naboju w otwarty pysk wilka.

Strzał był niechybny. Wilk skulił się, wyprężył jakby do skoku, wreszcie padł tuż u kopyt Ali-Baby. Zeskoczyłem z siodła i zbliżyłem się do zabitego zwierza. W chwili jednak gdy stałem nad nim, podziwiając jego wielki wspaniały łeb, wilk ostatnim widocznie wysiłkiem dźwignął się i wbił mi kiel, ostry jak sztylet, w prawe udo. Poczułem przeszywający ból, ale już po chwili szczęki wilka same się rozwarły i łeb opadł z łoskotem na ziemię. Równocześnie ze wszystkich stron rozległy się groźne, przeciągłe wycia wilków.

Półprzytomny z bólu i przerażenia, dosiadłem Ali-Baby, i pocwałowałem w kierunku pałacu. Gdy wkradłem się do ogrodu, była jeszcze noc. Zbliżyłem się do okna i wskoczyłem do pokoju, pozostawiając konia własnemu losowi. Nikt najwidoczniej nie ostrzegł mojej nieobecności, toteż jak najszybciej położyłem się do łóżka i natychmiast usnąłem kamiennym snem. Kiedy się rano zbudziłem, ujrzałem sześciu lekarzy i dwunastu uczonych pochylonych nad moim łóżkiem i z zakłopotaniem kiwających głowami. Z mego odsłoniętego uda małymi kroplami sączyła się krew. Lekarze nie mogli w żaden sposób dociec przyczyny krwotoku, ja zaś w obawie przed ojcem przemilczałem nocną przygodę i spotkanie z wilkiem.

Czas upływał, krew sączyła się z ranki i lekarze nadworni w żaden sposób nie mogli jej zatamować. Sprowadzono najznakomitszych chirurgów stolicy, ale ich wysiłki również spełzły na niczym.

Upływ krwi wzmagał się z godziny na godzinę. Wieść o mojej chorobie rozszerzyła się po całym kraju, tłumy ludu klęczały na placach i ulicach stolicy, zanosząc modły o moje wyzdrowienie.

Matka, czuwając przy mnie, zalewała się łzami, a ojciec mój i król rozesłał do wszystkich krajów prośbę o skierowanie najlepszych lekarzy i chirurgów. Niebawem przybyło ich tak wielu, że w pałacu zabrakło dla nich pomieszczeń.

Ojciec za powstrzymanie krwotoku wyznaczył nagrodę, za której cenę można było nabyć całe państwo, cudzoziemscy lekarze domagali się jednak jeszcze więcej.

Długim korowodem przesuwali się obok mego łóżka, oglądali mnie i badali; jedni kazali mi łykać rozmaite krople i pigułki, inni znowu nacierali ranę maściami i posypywali ją proszkami o dziwnych zapachach. Byli też i tacy, którzy modlili się tylko albo wymawiali słowa tajemniczych zaklęć. Żaden z nich jednak nie zdołał mnie uleczyć; gasłem i nikłem w oczach, i krew sączyła się ze mnie nadal.

Gdy wszyscy już stracili nadzieję na moje ocalenie i lekarze, widząc swoją bezsilność, opuścili pałac, straż dworska doniosła o przybyciu chińskiego uczonego, który stawiał się na wezwanie mego ojca.

Niechętnie sprowadzono go do mego łóżka, nikt już bowiem nie wierzył, aby mógł istnieć jeszcze jakikolwiek ratunek dla mnie, i cały kraj był pogrążony w żałobie. Przybysz ów był nadwornym lekarzem ostatniego cesarza chińskiego i przedstawił się jako doktor Paj-Chi-Wo.

Ojciec mój powitał go z rozpaczą w głosie:

– Doktorze Paj-Chi-Wo, ratuj mego syna! Jeśli uda ci się go ocalić, otrzymasz ode mnie tyle brylantów, rubinów i szmaragdów. ile ich pomieści się w tym pokoju. Pomnik twój stanie na pałacowym dziedzińcu, a jeśli zechcesz, uczynię cię pierwszym ministrem mego królestwa.

– Najjaśniejszy panie i sprawiedliwy władco – odrzekł doktor Paj-Chi-Wo pochylając się do ziemi – zachowaj klejnoty swoje dla ubogich tego kraju, niegodzien jestem również pomnika, albowiem w mojej ojczyźnie pomniki stawia się tylko poetom. Nie chcę być ministrem, gdyż mógłbym popaść w twoją niełaskę. Pozwól mi wpierw zbadać chorego, a o nagrodzie pomówimy później.

Po tych słowach zbliżył się do mnie, obejrzał ranę, przyłożył do niej usta i począł wsączać we mnie swój oddech.

Niezwłocznie poczułem ożywczy przyływ sił i doznałem wrażenie, że krew odmieniła się we mnie i szybciej poczęła krążyć.

Gdy po pewnym czasie doktor Paj-Chi-Wo oderwał usta od mego ciała, rana znikła bez śladu.

– Książę jest zdrow i może opuścić łóżko – rzekł Chińczyk wstając i składając mi wschodnim zwyczajem głęboki ukłon.

Rodzice moi płakali z radości i w gorących słowach dziękowali memu zbawcy.

– Jeśli nie jest to sprzeczne z etykietą tego dworu – przemówił wreszcie doktor Paj-Chi-Wo – chciałbym przez chwilę zostać sam na sam z moim dostojnym pacjentem.

Król wyraził na to zgodę i wszyscy opuścili moją sypialnię. Wówczas chiński lekarz usiadł obok mego łóżka i rzekł:

– Wyleczyłem cię, mój mały książę. albowiem znam tajemnice niedostępne dla ludzi białych. Wiem, w jaki sposób powstała twoja rana. Zastrześliś króla wilków, a wiedz o tym, że wilki mszczą się okrutnie i nie przebaczą ci tego nigdy. Jest to pierwszy król wilków, który padł z ręki człowieka. Odtąd grozić ci będzie wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego daję ci cudowną czapkę bogdychanów,

którą mi powierzył przed śmiercią ostatni cesarz chiński, z tym że dostanie się ona tylko w królewskie ręce.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni swych jedwabnych spodni maleńką okrągłą czapeczkę z czarnego sukna, ozdobioną na czubku dużym guzikiem, po czym ciągnął dalej:

– Weź ją, mój mały książę, nie rozstawaj się z nią nigdy i strzeż jej jak oka w głowie. Gdy życiu twemu będzie zagrażało niebezpieczeństwo, włożysz cudowną czapkę bogdychanów, a wówczas będziesz mógł się przemienić w jaką zechcesz istotę. Gdy niebezpieczeństwo minie, pociągniesz tylko za guzik i znowu odzyskasz swoje książęce kształty.

Podziękowałem doktorowi Paj–Chi–Wo za jego niezwykłą dobroć. on zaś ucałował mą dłoń i opuścił pokój. Nikt nie widział, którędy następnie wydalił się z pałacu. Zniknął bez śladu, nie zegnając się z nikim i nie żądając zapłaty za moje uzdrowienie.

Niemniej jednak ojciec mój przez wdzięczność dla doktora Paj–Chi–Wo kazał wyprawić wielkie uczty dla wszystkich ubogich w całym kraju i rozdać im dwanaście worków brylantów, rubinów i szmaragdów.

Gdy wyzdrowiałem, znowu wziąłem się do nauki, a równocześnie straciłem zupełnie pociąg do konnej jazdy i do polowania.

Myśl o tym, że zabiłem króla wilków, niepokoiła mnie nieustannie. Lata bieły, a jego rozwarta czerwona paszcza i świecące ślepia nie wychodziły mi z pamięci.

Pamiętałem też zawsze ostrzeżenie doktora Paj–Chi–Wo i nigdy nie rozstawałem się z ofiarowaną mi przezeń czapką.

Tymczasem w królestwie zaczęły się dziać rzeczy niepojęte. Ze wszystkich stron kraju donoszono, że olbrzymie stada wilków napadają na wsie i miasteczka ogoławając je z żywności i porywają ludzi.

W południowych dzielnicach wszystkie zasiewy zostały stratowane przez setki tysięcy ciągnących na północ wilków.

Kości pożartych ludzi i bydła bieląły na drogach i gościńcach.

Rozzuchwalone bestie w biały dzień osaczały mniejsze osiedla i pustoszyły je w przeciągu kilku minut.

Rozsypywano po lasach truciznę, zastawiano pułapki i kopano wilcze doły, tępiono tę straszną nawałę i stałą i żelazem, mimo to napady wilków nie ustawały. Opuszczone domostwa służyły im za leża i barłogi; po nocach pełnych niepokoju matki nie odnajdywały swych dzieci, mężowie żon. Ryk i

skowyt mordowanego bydła nie ustawał ani na chwilę.

Do ochrony przed klęską wysłano liczne oddziały dobrze uzbrojonego wojska, tępiono wilki w dzień i w nocy, one jednak mnożyły się z taką szybkością, że poczęły zagrażać całemu państwu.

Stopniowo zaczął szerzyć się głód. Lud oskarżał ministrów i dwór o niedołęstwo i złą wolę. Fala niezadowolenia i rozpacz rosła i potężniała. Wilki wdzierały się do mieszkań i wywlekały z nich umierających z głodu ludzi.

Król raz po raz zmieniał ministrów, ale nikt nie mógł zaradzić nieszczęściu.

Wreszcie pewnego dnia wilki zagroziły stolicy. Nie było takiej siły, która mogłaby powstrzymać ich przerażający pochód. Pewnego listopadowego ranka wilki wtargnęły do pałacu. Miałem wówczas lat czternaście, ale byłem silny i odważny. Chwyciłem najlepszą strzelbę, naładowałem ją i stanąłem u wejścia do sali tronowej, gdzie zasiadali moi rodzice.

– Precz stąd! – zawołałem z wściekłością w głosie.

Już miałem wystrzelić, gdy jeden z halabardników, stojących dotąd nieruchomo u wrót sali tronowej, chwycił mnie nagle za rękę i zbliżając swoją twarz do mojej ryknął:

– W imieniu króla wilków rozkazuję ci, psie, abyś mi dał wolną drogę, w przeciwnym razie będę musiał cię zabić!

Ogarnęło mnie przerażenie. Strzelba wypadła z rąk, poczułem okropną słabość, oczy zaszyły mi mgłą – ujrzałem przed sobą rozwartą czerwoną paszczę króla wilków.

Co działo się potem – nie wiem. Gdy odzyskałem przytomność, rodzice moi już nie żyli, wilki grasowały w pałacu, a ja leżałem na posadzce przywalony odłamkami krzeseł i wszelkiego rodzaju sprzętów. Głowę miałem potłuczoną. Wzywałem pomocy, ale z ust moich wydobywały się tylko końcówki wyrazów. Pozostało mi to już zresztą na zawsze.

Rozważając rozpaczliwie moje położenie, zrozumiałem, że ocalałem jedynie dzięki temu, iż zostałem przywalony połamanymi sprzętami.

"Co tu począć? – myślałem. – Jak wydostać się z tego piekła? O Boże, Boże! Gdyby można było być ptakiem i ulecieć stąd dokądkolwiek!"

I nagle przypomniała mi się cudowna czapka doktora Paj–Chi–Wo. Czy mam ją przy sobie? Sięgnąłem do kieszeni. Jest! Już miałem ją włożyć na głowę, gdy naraz spostrzegłem, że nie było na niej guzika. A więc mogę, jeśli zechcę, stać się ptakiem, wydostać się z pałacu, uciec z tego niewdzięcznego kraju, a potem – zostać ptakiem już na zawsze, bez nadziei odzyskania kiedykolwiek własnej postaci!

Wtem usłyszałem nad sobą sapanie. Poprzez odłamki sprzętów ujrzałem rozwartą paszczę wilka.

Nie miałem czasu do namysłu. Włożyłem czapkę na głowę i rzekłem:

– Chcę być ptakiem!

W tej samej chwili zacząłem się kurczyć, ramiona przeobraziły mi się w skrzydła. Stałem się szpakiem, takim właśnie, jakim jestem dzisiaj.

Z łatwością wyostałem się spod rumowisk, wskoczyłem na poręcz jakiegoś mebla i wyfrunąłem przez okno. Byłem wolny!

Długo unosiłem się nad moją ojczyzną, ale zewsząd dolatywały tylko dzikie wrzaski ginącego ludu i wycie zgłodniałych wilków. Wsie i miasta opustoszały. Królestwo mojego ojca rozpadło się i zamieniło w gruzy, pośród których szalały głód i rozpacz.

Zemsta króla wilków była straszna.

Szybując nad ziemią, oplakiwałem śmierć rodziców i klęskę, która dotknęła mój kraj, a gdy oderwałem wreszcie myśl od tych smutnych obrazów, jąłem zastanawiać się nad utraconym guzikiem od czapki bogdychanów.

Od chwili gdy czapkę tę otrzymałem z rąk doktora Paj–Chi–Wo, upłynęło sześć lat. Przez ten czas wiele podróżowałem po różnych krajach i miastach. Gdzie zatem i kiedy zgubiłem ów cenny guzik, bez którego już nigdy nie będę mógł stać się człowiekiem?

Wiedziałem, że nikt nie może dać mi odpowiedzi na to pytanie.

Poleciałem kolejno do moich sióstr, ale żadna nie zdołała zrozumieć mojej mowy i wszystkie traktowały mnie jak zwykłego szpaka. Najstarsza z nich, królowa hiszpańska, zamknęła mnie do klatki i podarowała infantce na imieniny. Gdy po kilku tygodniach znudziłem się kapryśnej królownie, oddała mnie swojej służebnej, ta zaś sprzedała mnie wraz z klatką wędrownemu handlarzowi za kilka pesetów.

Odtąd przechodziłem z rąk do rąk, aż wreszcie na targu w Salamance nabył mnie pewien cudzoziemski uczonec, którego zaciekała moja mowa.

Nazywał się Ambroży Kleks.

OSOBLIWOŚCI PANA KLEKSA

Opowiadanie Mateusza wzruszyło mnie ogromnie. Postanowiłem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, aby odnaleźć zgubiony guzik i przywrócić Mateuszowi jego prawdziwą postać.

Od tej chwili starannie począłem zbierać wszelkie guziki, jakie udawało mi się znaleźć, a nadto, będąc poza Akademią pana Kleksa – czy to w tramwaju, czy na ulicy, czy też wreszcie na terenach sąsiednich bajek – niepostrzeżenie obcinałem scyzorykiem guziki od palt, żakietów i marynarek napotykanym pań i panów. Miałem z tego powodu mnóstwo przykrości.

Któregoś dnia pewien listonosz wrzucił mnie za karę do basenu z rakami, kiedy indziej znów jakiś garbus wytarzał mnie w pokrzywach, a pewna starsza pani, której urwałem guzik od płaszcza, obiała mnie parasolką.

Mimo to jednak moje poszukiwania guzików trwają nadal i śmiało mogę powiedzieć, że w całej okolicy nie ma takiego gatunku i rodzaju, którego nie posiadałbym w swojej kolekcji.

Ogółem bowiem zgromadziłem siedemdziesiąt osiem tuzinów guzików, z których każdy jest inny. Niestety, w żadnym z nich Mateusz nie rozpoznał guzika od swej czapki.

Poprzysiągłem więc sobie, że będę w dalszym ciągu prowadził poszukiwania, gdzie się tylko da, dopóki nie odnajdę owego czarodziejskiego guzika doktora Paj-Chi-Wo.

Jednej tylko rzeczy nie mogę zrozumieć: dlaczego pan Kleks nie zajął się dotychczas tą sprawą. Przecież gdyby tylko chciał, mógłby z łatwością odnaleźć zaklęty guzik i uwolnić nieszczęśliwego księcia. Ach, bo pan Kleks potrafi wszystko! Nie ma takiej rzeczy, której by nie potrafił.

Może zawsze z całą dokładnością określić, co kto o której godzinie myślał, może usiąść na krześle, które powinno być, ale którego wcale nie ma, może unosić się w powietrzu, jak gdyby był balonem, może z małych przedmiotów robić duże i odwrotnie, umie z kolorowych szkiełek przyrządzić rozmaite potrawy, potrafi płomyk świecy zdjąć i przechować go w kieszonce od kamizelki przez kilka dni.

Krótko mówiąc – potrafi wszystko.

Gdy tak sobie rozmyślałem o tych sprawach podczas lekcji, pan Kleks, który zauważył te moje myśli, pogroził mi palcem i rzekł:

– Słuchajcie, chłopcy! Niektórym z was wydaje się, że jestem jakimś czarownikiem lub sztukmistrzem. Takiemu, co tak myśli, powiedzcie, że jest głupi. Lubię robić wynalazki i znam się trochę na bajkach. To wszystko. Jeśli macie zamiar przypisywać mi jakieś niezwykle rzeczy, to mnie to wcale nie obchodzi. Możecie sobie roić, co tylko wam się podoba. Nie wtrącam się do cudzych spraw. Są tacy, co wierzą, że człowiek może przedzierzgnąć się w ptaka. Prawda, Mateuszu?

– Awda, awda! – zawołał Mateusz z tylnej kieszeni surduta pana Kleksa.

– A moim zdaniem – ciągnął dalej pan Kleks – są to zmyślane historyjki, w które ja wierzyć nie mam zamiaru.

– No, a bajki, panie profesorze, też są zmyślane? – zapytał niespodziewanie Anastazy.

– Z bajkami bywa rozmaicie – rzekł pan Kleks. – Są tacy, którzy na przykład uważają, że ja też jestem zmyślony i że moja Akademia jest zmyślona, ale mnie się zdaje, że to nieprawda.

Wszyscy uczniowie bardzo szanują i kochają pana Kleksa, gdyż nigdy się nie gniewa i jest nadzwyczajnie dobry.

Pewnego dnia, kiedy spotkał mnie w parku, uśmiechnął się i rzekł do mnie:

– Bardzo ci ładnie w tych rudych włosach, mój chłopcze!

A po chwili, patrząc na mnie badawczo, dodał:

– Pomyślałeś sobie teraz, że mam pewno ze sto lat, prawda? A tymczasem jestem o dwadzieścia lat młodszy od ciebie.

Istotnie, tak sobie właśnie pomyślałem, dlatego też zrobiło mi się przykro, że pan Kleks te myśli zauważył. Długo jednak zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób pan Kleks może być o tyle lat ode mnie młodszy.

Otóż Mateusz opowiedział mi, że na drugim piętrze, gdzie mieszka z panem Kleksem, stoją na parapecie okna dwa łóżeczka nie większe niż pudełka od cygar i że na nich właśnie sypiają pan Kleks i Mateusz. Nie dziwię się, że w takim łóżeczku może zmieścić się szpak, ale pan Kleks?... Nie mogłem tego pojąć. Być może, że Mateuszowi wszystko tak się tylko wydaje albo że po prostu zmyśla, w każdym razie opowiedział mi, że co dzień o północy pan Kleks zaczyna się zmniejszać, aż wreszcie staje się mały jak niemowlę, traci włosy, wąsy i brodę i kładzie się jak gdyby nigdy nic do maleńkiego łóżeczka w sąsiedztwie Mateusza.

O świcie pan Kleks wstaje, wkłada sobie do ucha pompkę powiększającą i po chwili doprowadza się do stanu normalnej wielkości. Następnie łyka kilka pigulek na porost włosów i w ten sposób po upływie dziesięciu minut odzyskuje swoją zwykłą postać.

Powiększająca pompka pana Kleksa w ogóle zasługuje na uwagę. Z wyglądu przypomina zwykłą oliwiarę, używaną do oliwienia maszyny do szycia. Gdy pan Kleks przykładą pompkę do jakiegokolwiek przedmiotu i naciska jej denko, przedmiot ów zaczyna natychmiast rosnać i powiększać się. Dzięki temu pan Kleks może w jednej chwili z niemowlęcia przeobrazić się w dorosłego człowieka, dzięki temu również na obiad dla całej Akademii wystarcza kawałek mięsa

wielkości dłoni, gdyż po upieczeniu pan Kleks powiększa go za pomocą swej pompki do rozmiarów dużej pieczeni. Szczególna właściwość powiększającej pompki polega jeszcze na tym, że powiększa ona przedmioty tylko wtedy, gdy tego naprawdę potrzeba, z chwilą gdy potrzeba taka ustaje, ustaje również niezwłocznie działanie pompki i powiększony przedmiot wraca do swego normalnego stanu. Dlatego właśnie pan Kleks o północy zaczyna się zmniejszać, z tych samych powodów również wnet po zjedzeniu pieczeni pana Kleksa jesteśmy wszyscy bardzo głodni, tak jak gdybyśmy wcale nie jedli obiadu, i musimy dojadać potrawami z kolorowych szkiełek.

Ponieważ desery nie stanowią koniecznej potrzeby, powiększająca pompka nie ma nie żadnego wpływu i trzeba je zawsze przyrządzać w normalnej ilości. Bardzo nas to wszystko martwi, ale pan Kleks obiecał, że do powiększania deserów wymyśli jakiś specjalny przyrząd.

Na pierwsze śniadanie pan Kleks zjada zazwyczaj kilka kulek z kolorowego szkła i popija je zielonym płynem. Jest to płyn, który – według słów Mateusza – przywraca w pamięci pana Kleksa to, co działo się przedtem, bo podczas snu pan Kleks wszystko, ale to wszystko zapomina. Gdy pewnego ranka zabrakło zielonego płynu, pan Kleks nie mógł sobie przypomnieć, kim jest ani jak się nazywa, nie poznał własnej Akademii ani swoich uczniów i nawet Mateusza nazwał Azorkiem, gdyż zapomniał, że Mateusz nie jest psem, tylko szpakiem.

Chodził wówczas po Akademii jak nieprzytomny i wołał:

– Panie Andersen! Zgubiłem wczorajszy dzień! Jasiu! Małgosiu! Kud–ku–dak! Jestem kurą! Zaraz zniosę jajko! Zwróćcie mi moje piegi!

Gdyby nie to, że Mateusz przeleciał ponad murem i pożyczył od trzech wesołych krasnoludków flaszkę zielonego płynu, pan Kleks na pewno byłby stracił rozum i już dzisiaj nie istniałaby jego słynna Akademia.

Po pierwszym śniadaniu pan Kleks przytwierdza do twarzy swoje piegi i zaczyna się ubierać. Warto tutaj opisać strój pana Kleksa i jego wygląd.

Pan Kleks jest średniego wzrostu, ale nie wiadomo zupełnie, czy jest gruby, czy chudy, albowiem cały tonie po prostu w swoim ubraniu. Nosi szerokie spodnie, które chwilami, zwłaszcza podczas wiatru, przypominają balon; niezwykle obszerny, długi surdut koloru czekoladowego lub bordo; aksamitną cytrynową kamizelkę, zapinaną na szklane guziki wielkości śliwek; sztywny, bardzo wysoki kołnierzyk oraz aksamitną kokardkę zamiast krawata. Szczególną osobliwość stroju pana Kleksa stanowią kieszenie, których ma niezliczoną po prostu ilość. W spodniach jego zdołałem naliczyć szesnaście kieszeni, w kamizelce zaś dwadzieścia cztery. W surducie natomiast jest tylko jedna kieszeń, i to w dodatku z tyłu. Przeznaczona jest ona dla Mateusza, który ma prawo przebywać w niej, kiedy mu się tylko spodoba.

Dlatego też, gdy pan Kleks przychodzi rano do pracy i ma już usiąść w fotelu, z tylnej kieszeni jego surduta rozlega się nagle głos:

– Aga, ak!

Co znaczy:

– Uwaga, szpak!

Wówczas pan Kleks rozsuwa poły surduta i siada ostrożnie, ażeby nie przygnieść Mateusza.

Zresztą nie zawsze ostrożność ta jest potrzebna, gdyż zdarza się nieraz, że wchodząc rano do klasy pan Kleks mówi:

– Adasiu, zabierz ten fotel.

Gdy zaś fotel jest zabrany, pan Kleks siada sobie wygodnie w powietrzu, akurat w tym miejscu, gdzie przypadają siedzenie fotela.

W kieszeniach kamizelki pana Kleksa mieszczą się rozmaite przedmioty, które budzą podziw i zazdrość wszystkich uczniów Akademii. Jest tam flaszka z zielonym płynem, tabakierka z zapasowymi piegami, powiększająca pompka, senny kwas, o którym jeszcze opowiem, kolorowe szkiełka, kilka płomyków świec, pigułki na porost włosów, złote kluczyki oraz rozmaite inne osobliwości pana Kleksa.

Kieszenie spodni są, moim zdaniem, bez dna. Pan Kleks może schować w nich, co tylko zechce, i nigdy nie znać, że cokolwiek w nich się znajduje. Mateusz opowiadał mi, że przed pójściem spać pan Kleks opróżnia wszystkie kieszenie spodni i układa ich zawartość w sąsiednim pokoju, przy czym nieraz zdarza się tak, że w jednym pokoju miejsca nie wystarcza i trzeba otworzyć dodatkowo drugi, a niekiedy nawet trzeci pokój.

Głowa pana Kleksa nie przypomina żadnej spośród głów, które się kiedykolwiek w życiu widziało. Pokryta jest ogromną czupryną, mieniącą się wszystkimi barwami tęczy, i okolona bujną zwichrzoną brodą, czarną jak smoła.

Nos zajmuje większą część twarzy pana Kleksa, jest bardzo ruchliwy i przekrzywiony w prawo albo w lewo, w zależności od pory roku. Na nosie tkwią srebrne binokle, bardzo przypominające mały rower, pod nosem zaś rosną długie sztywne wąsy koloru pomarańczy. Oczy pana Kleksa są jak dwa świderki i gdyby nie binokle, które je osłaniają, na pewno przekłuwałyby nimi na wylot.

Pan Kleks widzi absolutnie wszystko, a kiedy chce zobaczyć to, czego nie widzi, też ma na to sposób.

Otóż w jednej z piwnic przechowywane są stale różnokolorowe baloniki z przyczepionymi do nich małymi koszyczkami. Dopiero przed paru tygodniami dowiedziałem się, do czego służą one panu Kleksowi.

Było to tak: w chwili gdy wstawaliśmy od obiadu, przybiegł z miasta Filip i opowiedział, że przy zbiegu ulic Rezedowej i Śmiesznej zepsuł się tramwaj, całkowicie zatarasował drogę i nikt go nie potrafi naprawić. Pan Kleks kazał przynieść sobie natychmiast jeden balonik, do koszyczka przytwierdzonego pod nim włożył prawe swoje oko, nastawił odpowiednio blaszany ster i po chwili balonik poleciał w kierunku miasta.

– Przygotujcie się, chłopcy, do drogi – rzekł do nas pan Kleks. – Za chwilę już będę widział, co stało się tramwajowi, i pójdziemy go ratować.

W istocie, po pięciu minutach balonik wrócił i spadł prosto pod nogi pana Kleksa. Pan Kleks wyjął z koszyka oko, włożył je na swoje miejsce i powiedział z uśmiechem:

– Teraz wszystko już widzę: tramwajowi zabrakło smaru w lewym tylnym kole, a ponadto do przedniej osi dostał się piasek. Niezależnie od tego na dachu przetarły się druty, a motorniczemu spuchła wątroba. Ruszamy! Anastazy, otwieraj bramę! Żwawo! Maszerujemy!

Czwórkami wyszliśmy na ulicę, a pan Kleks podążał za nami. Po chwili zdjął z nosa binokle, przytknął do nich powiększającą pompkę i binokle zaczęły rosnać. Gdy stały się już tak duże jak rower, pan Kleks wsiadł na nie i pojechał naprzód wskazując nam drogę.

W ten sposób dotarliśmy niebawem do ulicy Śmiesznej. W poprzek ulicy istotnie stał pusty tramwaj, całkowicie tamując ruch. Kilku tramwajarzy i mechaników, sapiąc i ocierając pot, krzątało się dookoła zepsutego wozu.

Na widok pana Kleksa wszyscy się rozstąpili. Pan Kleks kazał nam otoczyć tramwaj i wziąć się za ręce, ażeby nikt nie miał do niego dostępu, po czym zbliżył się do motorniczego, który wił się w bólach, i dał mu połknąć małe niebieskie szkiełko. Następnie zajął się zepsutym tramwajem. Wyjął więc ze swych bezdennych kieszeni małą słuchawkę, młoteczek, angielski plasterek, słoiczek z żółtą maścią i flaszkę z jodyną. Opukał tramwaj ze wszystkich stron i boków, osłuchał go dokładnie, po czym wysmarował żółtą maścią motor i korbę. Osie pokropił jodyną, a w końcu wdrapał się na dach tramwaju i pozalepiał angielskim plasterkiem przetarte części drutu.

Wszystkie te zabiegi trwały nie więcej niż dziesięć minut.

– Gotowe – rzekł pan Kleks – można jechać!

Po tych słowach motorniczy, wyleczony przez pana Kleksa, z wesołym uśmiechem wskoczył na pomost, zakręcił korbą i tramwaj potoczył się lekko po szynach, jak gdyby tylko co wyszedł z fabryki. Po naprawieniu tramwaju wróciliśmy do domu, śpiewając po drodze marsz Akademii pana Kleksa.

W kilka dni później widziałem jeszcze raz, jak pan Kleks, mówiąc jego słowami, wysłał oko na oględziny.

Leżeliśmy wówczas wszyscy razem w parku nad stawem i zapisywaliśmy w zeszytach kumkanie żab. Pan Kleks nauczył nas odróżniać w tym kumkaniu poszczególne sylaby i okazało się, że można z nich zestawić bardzo ładne wierszyki.

Ja sam na przykład zdołałem zanotować wierszyk następujący:

Księżyc raz odwiedził staw, Bo miał dużo ważnych spraw. Zobaczyły go szczupaki: "Kto to taki? Kto to taki?" Księżyc na to odrzekł szybko: "Jestem sobie złotą rybką!" Słyszac taką pogawędkę, Rybak złowił go na wędkę, Dusił całą noc w śmietanie I zjadł rano na śniadanie.

Gdyśmy siedzieli nad stawem, pan Kleks przeglądał się w wodzie i w pewnej chwili tak się nieszczęśliwie przechylił, że z kamizelki wypadła mu powiększająca pompka. Widzieliśmy wszyscy, jak zanurzyła się w wodzie, i zanim pan Kleks zdążył ją złapać, poszła na dno.

Nie namyślając się długo, skoczyłem do stawu, a za mną kilku innych chłopców, jednak wszystkie nasze poszukiwania nie zdały się na nic. Po prostu znikła bez śladu. Wówczas pan Kleks wyjął prawe oko i wrzucił je do wody, mówiąc:

– Wysłałam oko na oględziny. Dowiemy się zaraz, gdzie leży pompka.

Gdy po chwili oko wypłynęło na powierzchnię i pan Kleks włożył je z powrotem na miejsce, zawołał:

– Widzę! Leży w jamie zamieszkannej przez raki, cztery metry od brzegu.

Natychmiast dałem nurka pod wodę i rzeczywiście znalazłem pompkę ściśle tam, gdzie mi wskazał pan Kleks.

Przed tygodniem pan Kleks zgotował nam niespodziankę nie lada. Kazał przynieść sobie z piwnicy niebieski balonik, włożył prawe oko do koszyczka i rzekł:

– Wysłałam je na księżyc. Muszę dowiedzieć się, kto mieszka na księżycu, bo chcę napisać dla was bajkę o księżycowych ludziach.

Balonik niebawem uniósł się w górę, ale dotąd jeszcze nie wrócił. Pan Kleks jednak powiada, że księżyc jest bardzo wysoko i że balonik na pewno wróci przed Bożym Narodzeniem. Tymczasem pan Kleks patrzy jednym okiem, drugie zaś zalepił sobie angielskim plasterkiem.

Wracając do codziennych zwyczajów pana Kleksa, chciałbym jeszcze wspomnieć tutaj, że rano, gdy tylko pan Kleks się ubierze, schodzi na dół na lekcje. Właściwie nie można powiedzieć, że pan Kleks schodzi, gdyż zjeżdża po poręczy, siedząc na niej jak na koniu i przytrzymując sobie oburącz binokle na nosie. Nie byłoby w tym zresztą nic szczególnego, gdyby nie to, że pan Kleks równie łatwo wjeżdża po poręczy na górę. W tym celu nabiera pełne usta powietrza, wydyma

policzki i staje się lekki jak piórko. W ten sposób pan Kleks nie tylko wjeżdża po poręczy, ale może również unosić się swobodnie w górę, gdzie i kiedy zechce, a zwłaszcza wtedy, gdy udaje się na połów motyli. Motyle stanowią nieodzowną część pożywienia pana Kleksa, a na drugie śniadanie nie jada nic innego.

– Zapamiętajcie sobie, moi chłopcy – oświadczył nam kiedyś pan Kleks – że smak mieści się nie tylko w samym pożywieniu, lecz również w jego barwie. Na pożywieniu mi nie zależy, gdyż dostatecznie nasycam się pigułkami na porost włosów, ale podniebienie mam bardzo wybredne i lubię różne smaczne rzeczy. Dlatego też jadam tylko to, co jest kolorowe, a więc motyle, kwiaty, różne kolorowe szkiełka oraz potrawy, które sam sobie pomaluję na jakiś smaczny kolor.

Zauważyłem jednak, że jedząc motyle pan Kleks wypluwa pestki takie same, jakie są w czereśniach lub wiśniach.

Zgadując moje myśli pan Kleks mi wyjaśnił, że jada tylko specjalny gatunek motyli, które mają wewnątrz pestki i które można sadzić na grządkach jak fasolę.

Wszyscy uczniowie pana Kleksa myślą, że to bardzo łatwo unosić się w powietrzu tak jak on. Nadymają się więc z całych sił, wydymają policzki, naśladując ruchy pana Kleksa, ale mimo to nic im się nie udaje. Arturowi z wysiłku krew poszła z nosa, a jeden z Antonich o mało nie pękł.

Na równi z moimi kolegami przeprowadzałem te same próby, ale upływał dzień za dniem i chociaż pan Kleks udzielał nam pewnych wskazówek, wysiłki moje pozostały bez rezultatu.

Aż naraz w niedzielę po południu wciągnąłem w siebie powietrze tak jakoś dziwnie, że poczułem wewnątrz niezwykłą lekkość, a gdy nadto jeszcze wydałem policzki, ziemia poczęła mi się usuwać spod nóg i uniosłem się w górę.

Oszołomiony z wrażenia, leciałem coraz wyżej i wyżej, aż spotkała mnie owa niezapomniana przygoda, która wprowadziła w zdumienie nawet samego pana Kleksa.

NAUKA W AKADEMII

Co rano punktualnie o piątej Mateusz otwiera tak zwane śluzy. Są to niewielkie otwory w suficie, poumieszczane akurat nad łózkami chłopców. Otworów takich jest tyle, ile łóżek, czyli ogółem dwadzieścia cztery. Gdy je Mateusz otwiera, zaczyna przez nie sączyć się zimna woda, która kapie prosto na nasze nosy.

W ten sposób Mateusz budzi uczniów pana Kleksa.

Równocześnie rozlega się donośny głos Mateusza:

– Udka, awać!

Co znaczy:

– Pobudka, wstawać!

Na to wezwanie zrywamy się wszyscy z łóżek i ubieramy się jak najprędzej, gdyż umieramy po prostu z ciekawości, czego nas tym razem będzie uczył pan Kleks.

Sypialnia nasza jest bardzo obszerna. Wzdłuż ścian biegną umywalnie i każdy z nas ma swój własny prysznic. Myjemy się bardzo chętnie, gdyż z pryszniców tryska woda sodowa z sokiem, przy czym na każdy dzień tygodnia przypada inny sok. Jeśli chodzi o mnie, to najstaranniej myję się w środy, gdyż tego dnia do wody dodawany jest sok malinowy, za którym przepadam. Soki pana Kleksa doskonale się mydlą i dają dużo piany, toteż sypialnia nasza zawsze z rana wygląda jak wielka balia z mydlinami.

Ubranie nasze składa się z granatowych koszul, białych, długich spodni, granatowych pończoch i białych trzewików. Jeśli któryś z chłopców coś przeskrobie albo nie umie lekcji, wówczas za karę musi nosić przez cały dzień żółty krawat w zielone grochy. Krawat taki jest bardzo piękny i właściwie każdy powinien by go chętnie nosić, my jednak martwimy się okropnie, gdy spotka którego z nas taka kara.

O wpół do szóstej zabieramy nasze senne lusterka i udajemy się do jadalni na śniadanie.

Stoi tam pośrodku duży okrągły stół, przy którym każdy uczeń ma swoje stałe miejsce. Szyby w oknach są różnokolorowe, co bardzo podnosi smak wszystkich potraw.

Pan Kleks śniadania i kolacje jada osobno, natomiast podczas obiadu unosi się w powietrzu ponad stołem z polewaczką w ręce i polewa nam potrawy różnymi sosami. Każdy sos posiada inną właściwość: biały wzmacnia zęby, niebieski poprawia wzrok, żółty reguluje oddech, szary oczyszcza krew, zielony usuwa łupież.

Mateusz podczas jedzenia stoi na krawędzi wazonu pośrodku stołu i uważa, abyśmy nic nie pozostawiali na talerzach.

O godzinie szóstej rano Mateusz chwytą w dziób mały srebrny dzwoneczek i dzwoni na apel. Biegniemy wówczas wszyscy do gabinetu pana Kleksa, gdzie pan Kleks już na nas czeka i na dzień dobry całuje każdego w czoło.

Po apelu pan Kleks wchodzi do dużej szafy stojącej w rogu gabinetu i przez okienko w jej drzwiach odbiera od nas senne lusterka. Mają one swoje szczególne przeznaczenie. Na nocnych stolikach przy każdym z łóżek stoi takie lusterko przez całą noc. Odbijają się w nich nasze sny i rano, gdy lusterka oddajemy panu Kleksowi, ogląda on dokładnie, co śniło się każdemu z nas. Sny niedobre, nie dokończone, głupie i nieodpowiednie idą do śmietnika, a pozostają tylko te, które spodobały się panu Kleksowi.

Za pomocą waty nasyconej sennym kwasem pan Kleks zbiera z lusterek wszystkie wybrane sny i wyciska je do porcelanowej miseczki. Tam suszą się one przez jakiś czas. Gdy wyschną już na proszek, pan Kleks na specjalnej maszynie wyłacza z nich okrągłe pastylki, które wszyscy zażywamy na noc. Dzięki temu mamy coraz ładniejsze i coraz ciekawsze sny, a najpiękniejsze z nich pan Kleks zapisuje w senniku swojej Akademii.

Mój sen o siedmiu szklankach tak się spodobał panu Kleksowi, że zapisał go w senniku od początku do końca i odznaczył mnie dwiema piegami. Ponadto zapowiedział całej klasie, że w niedzielę po południu sen ten odczytany zostanie na głos.

Lekcje rozpoczynają się o siódmej rano.

Nigdzie chyba chłopcy nie uczą się tak chętnie, jak w Akademii pana Kleksa. Przede wszystkim nigdy nie wiadomo, co pan Kleks danego dnia wymyśli, a po wtóre – wszystko, czego się uczymy, jest ogromnie ciekawe i zabawne.

– Pamiętajcie, chłopcy – rzekł do nas na samym początku pan Kleks – że nie będę was uczył ani tabliczki mnożenia, ani gramatyki, ani kaligrafii, ani tych wszystkich nauk, które są zazwyczaj wykładane w szkołach. Ja wam po prostu pootwieram głowy i naleję do nich oleju.

Ażeby każdy mógł zorientować się, jakiego rodzaju nauki pobieramy w Akademii pana Kleksa, opowiem dla przykładu przebieg dnia wczorajszego, gdyż na opisanie wszystkich lekcji, przedmiotów, wykładów, zajęć i ćwiczeń z całego roku nie wystarczyłoby miejsca w żadnej książce.

Otóż wczoraj pierwsza lekcja była to lekcja kleksografii. Naukę tę wymyślił pan Kleks, abyśmy wiedzieli, jak trzeba obchodzić się z atramentem.

Kleksografia polega na tym, że na arkuszu papieru robi się kilka dużych kleksów, po czym arkusz składa się na pół i kleksy rozmazują się po papierze, przybierając kształty rozmaitych figur,

zwierząt i postaci.

Niekiedy z rozgniecionych kleksów powstają całe obrazki, do których dopisujemy odpowiednie historyjki, wymyślone przez pana Kleksa.

Myszę, że sam pan Kleks powstał z takiego właśnie rozgniecionego atramentowego kleksa i dlatego tak się nazywa. Mateusz jest zdania, że po panu Kleksie można się wszystkiego spodziewać i że moje przypuszczenia są całkiem prawdopodobne.

Do jednego z moich obrazków pan Kleks ułożył taki dwuwiersz:

Bardzo trudno jest mi orzec, Czy to ptak, czy nosorożec.

Lekcja kleksografii niezmiernie nam przypadła do gustu. Poszło na nią kilka flaszek atramentu i cały stos papieru, nie mówiąc już o tym, że wszyscy byliśmy ubrudzeni atramentem aż po łokcie. Wieczorem musieliśmy użyć do mycia soku cytrynowego, gdyż żaden nie mógł odmyć plam z naszych rąk i twarzy.

Po lekcji kleksografii zabraliśmy się do przedzenia liter. Zauważyliście pewno wszyscy, że drukowane litery w książkach składają się z czarnych niteczek, posplatanych w najrozmaitszy sposób. Pan Kleks nauczył nas rozplątywać litery, rozplatać poszczególne małe niteczki i łączyć je w jedną długą nitkę, którą następnie nawija się na szpulkę. W ten sposób nawinęliśmy już na szpulki mnóstwo książek z biblioteki pana Kleksa, tak że na półkach zostały tylko puste stronicy, bez liter. Z jednej książki można otrzymać siedem, a czasem nawet osiem dużych szpułek czarnych nici, na których pan Kleks następnie wiąże supelki. Jest to największa pasja Pana Kleksa. Potrafi całymi godzinami siedzieć w fotelu albo w powietrzu i wiązać supelki.

Gdy zapytałem go, po co to robi, odrzekł mi wielce zdziwiony:

– Jak to? Czy nie rozumiesz? Przecież czytam! Przepuszczam litery przez palce i mogę w ten sposób przeczytać całą książkę, nie męcząc wzroku. Gdy nawiniecie już na szpulki wszystkie moje książki, nauczę was również czytać palcami.

Przedzenie liter jest właściwie dość znużające, ale wolę je niż czytanie wypisów lub odrabianie zadań arytmetycznych.

Po lekcji przedzenia liter pan Kleks zaprowadził nas wszystkich na drugie piętro i otworzył jeden z zamkniętych pokojów.

– Wchodźcie ostrożnie, moi chłopcy – rzekł pan Kleks wpuszczając nas do środka – w sali tej mieści się szpital chorych sprzętów, musicie uważać, aby żadnego z nich nie urazić. Pamiętajcie, jak wyleczyłem zepsuty tramwaj? Otóż dzisiaj chcę was nauczyć leczenia chorych sprzętów.

Po wejściu na salę oczom naszym przedstawiła się istna rupieciarnia. Były tam fotele bez nóg, tapczany bez sprężyn, popękane lustra, zepsute zegary, popaczone stoły, powykrzywiane szafy, dziurawe krzesła i mnóstwo rozmaitych innych zniszczonych sprzętów.

Pan Kleks kazał nam ustawić się pod ścianami, sam natomiast zabrał się do pracy.

Każdy sprzęt, do którego zbliżał się pan Kleks, trzeszczał lub skrzypiał na jego widok i ufnie ocierał się o jego ubranie. Krzesła i stołki z radości tupwały nogami, a zegary pojękiwały zepsutymi sprężynami.

Z największą ciekawością przyglądaliśmy się zabiegom pana Kleksa. Zabrał się on przede wszystkim do stołu, który stał w rogu sali. Opukał go dokładnie na wszystkie strony, ujął za jedną z nóg i zmierzył mu puls, po czym przemówił niezmiernie czule:

– No co, mój maleńki? Już cię nie boli, prawda? Gorączka minęła, deski się zrosły, za trzy–cztery dni będziesz zdrow zupełnie.

Podczas gdy stół cichutko skomlał, pan Kleks wysmarował mu blat żółtą maścią i szpary w deskach przysypał zielonkawym proszkiem.

Następnie zbliżył się do szafy, która straszliwie zaskrzypiała obojgiem drzwi.

– Jak tam? – zapytał pan Kleks. – Czy bardzo jeszcze kaszlesz? Chyba nie. Wkrótce już będziesz zdrowa, tylko się nie martw.

Mówiąc to, przyłożył ucho do jej pleców, bardzo uważnie wysłuchał, po czym napuścił kropłomierzem do wszystkich zawiasów po kropli oleju rycynowego.

Szafa odetchnęła głęboko i czule poczęła łąsić się do pana Kleksa.

– Jutro cię jeszcze odwiedzę – rzekł pan Kleks – bądź tylko dobrej myśli. Na ścianie wisiało pęknięte lustro. Pan Kleks przejrzał się w lustrze dokładnie i poprawił sobie piegi na nosie, wyjął z kieszeni czarny angielski plasterek i nalepił go wzdłuż całego pęknięcia.

– Patrzcie, chłopcy, uczcie się, jak trzeba leczyć pęknięte szkło! – zawołał do nas wesoło pan Kleks.

Po tych słowach jął nacierać lustro flanelową szmatką, a gdy po chwili odlepił plasterek, nie było już ani śladu pęknięcia. '

Niech Anastazy i Artur zanoszą lustro do jadalni. Jest już zdrowe – powiedział pan Kleks.

Nieco dłużej trwały zabiegi przy zepsutym zegarze. Trzeba było przepłukiwać wszystkie

śrubki, zapuszczać kropelki, smarować i nacierać pękniętą sprężynę, jodynować wahadło.

– Biedactwo – rozczulał się nad nim pan Kleks – tyle musisz się nacierpieć. No, ale nic, wszystko będzie dobrze.

Gdy pan Kleks pocałował go w cyferblat i czule pogłaskał po drewnianej szafce, zegar nagle wydzwonił godzinę, wahadło poszło w ruch i w całej sali rozległo się głośne "Tik-tak, tik-tak, tik-tak".

Byliśmy po prostu zdumieni, a niebawem mieliśmy sposobność przekonać się, jak bardzo przywiązane są do pana Kleksa chore sprzęty.

Zamierzaliśmy właśnie opuścić szpital, gdy nagle okazało się, że pan Kleks zgubił swoją ulubioną złotą wykałaczkę.

– Nie wyjdę stąd, dopóki zguba się nie znajdzie – oznajmił pan Kleks.

Rozpoczęły się poszukiwania. Wszyscy, ilu nas tylko było, poklękaliśmy na podłodze i pełzając na czworakach, przeszukiwaliśmy zakamarki, kąty i skrytki. Mateusz fruwał po całej sali, wtykając dziób do rozmaitych szpar i szczelin w podłodze i w ścianach, tylko pan Kleks siedział w powietrzu z nogą założoną na nogę, łykał pigułki na porost włosów, bo mu kilka ze zmartwienia wypadło, i rozmyślał.

Poszukiwania nasze trwały długo, a mimo to nie zdołaliśmy odnaleźć wykałaczkę. Pan Kleks również był bezsilny, gdyż jego prawe oko nie wróciło jeszcze z księżycą i wskutek tego nie mogło być wysłane na oględziny.

Nic też dziwnego, że widząc zgryzotę pana Kleksa i naszą niezaradność, chore sprzęty, same zabrały się do szukania zguby. Kulawe stoliki i stołki kuśtykały po całej sali, dziurki od klucza rozglądały się uważnie dookoła, szuflady powysuwały się pojękując dnami, lustra usiłowały odbić po kolei wszystko, co tylko mogły w sobie pomieścić, wreszcie piec, pragnąc także przyczynić się do znalezienia wykałaczkę, powtarzał nieustannie:

– Zimno–zimno–ciepło, zimno–ciepło–ciepło.

Zegar chodził bardzo długo i dopiero gdy zaczął się zbliżać do okna piec zawołał:

– Ciepło–ciepło–ciepło!

Zegar obejrzał dokładnie parapet i ramy okna, a potem zabrał się do przeszukiwania firanek.

– Gorąco–gorąco! – wołał piec.

Okazało się, że wykałaczką najspokojniej tkwiła w fałdach firanki tuż nad podłogą.

W ten sposób chore sprzęty odnalazły zgubę pana Kleksa.

Pobyt nasz w szpitalu przeciągnął się do południa. O tej porze pan Kleks jada zazwyczaj drugie śniadanie, my zaś udajemy się nad staw lub na boisko, gdzie codziennie odbywa się jedna lekcja na świeżym powietrzu.

Zatem gdy po wyjściu ze szpitala chorych sprzętów zeszliśmy na dół, pan Kleks wypłynął przez okno do ogrodu na połów motyli, Mateusz natomiast zarządził zbiórkę i poprowadził nas na boisko, na lekcję geografii. Byłem już poprzednio w dwóch szkołach, ale po raz pierwszy w życiu widziałem taką lekcję geografii.

Mateusz wytoczył na boisko dużą piłkę zrobioną z globusa, rozdzielił nas wszystkich na dwie drużyny i powyznaczał nam stanowiska zupełnie tak, jak do gry w piłkę nożną. Mateusz był sędzią, fruwał nieustannie w ślad za piłką i gwizdał, gdy któryś z nas popełniał błędy. Cała zaś sztuka polegała na tym, aby uderzając w piłkę nogą, wymieniać równocześnie miasto, rzekę albo górę, w którą właśnie trafił czubek trzewika.

Na znak dany przez Mateusza gra rozpoczęła się. Biegaliśmy za globusem jak szaleni i kopaliśmy piłkę z całych sił.

Przy każdym kopnięciu padał okrzyk któregoś z graczy:

– Radom!

– Australia!

– Londyn!

– Tatry!

– Skierniewice!

– Wisła!

– Berlin!

– Grecja!

Mateusz gwizdał raz po raz, okazywało się bowiem, że Antoni wymienił Skierniewice zamiast Mysłowic, Albert pomieszał Kielce z Chinami, zaś Anastazy wziął Afrykę za Morze Bałtyckie.

Gra ta bawiła nas niesłychanie, popychaliśmy jeden drugiego, przewracaliśmy się na ziemię, wykrzykiwaliśmy nazwy miast, krajów i mórz, Mateuszowi pot spływał z dzioba, ja sapałem jak miech kowalski, a jednak nauczyłem się przy tym z geografii więcej niż w dwóch poprzednich szkołach w ciągu trzech lat.

Przy samym końcu gry przytrafił się pewien nie przewidziany przypadek: jeden z Aleksandrów tak mocno kopnął globus, że wzbil się on niezmiernie wysoko, a następnie spadł nie na boisko, lecz przeleciał przez mur i dostał się w ten sposób na teren jednej z sąsiednich bajek. Byliśmy ogromnie zakłopotani, gdyż nie wiedzieliśmy, w jakiej bajce mamy szukać naszej piłki: czy udać się do Tomcia Palucha, czy do Trzech Świnek, czy też może do Sindbada Żeglarza.

Gdy tak zastanawialiśmy się nad tym, co począć, rozległ się nagle wesóły głos Mateusza:

– Aga, opcy!

Co miało oznaczać:

– Uwaga, chłopcy!

Spojrzeliliśmy przed siebie i oczom naszym ukazał się niezwykle widok: od strony muru zbliżała się do nas prześliczna Królowna Śnieżka, a za nią dwunastu krasnoludków dźwigało na plecach nasz globus.

Pobiegliśmy na spotkanie witając ich jak najserdeczniej.

Królowna Śnieżka uśmiechnęła się do nas łaskawie i rzekła:

– Wasza piłka potłukła mi kilka zabawek, mimo to jednak zwracam ją wam, ale pod warunkiem, że nauczycie moich krasnoludków geografii.

– Doskonale! Bardzo chętnie! – zawołał Anastazy, który był najśmielszy z nas wszystkich.

Tymczasem stała się rzecz zgoła niespodziewana: Królowna Śnieżka, a wraz z nią dwunastu jej poddanych, zaczęli pomału topnieć i rozplýwać się w gorących promieniach sierpniowego słońca.

– Zapomniałam, że u was jest przecież lato – szepnęła zawstydzona Królowna Śnieżka.

Zanim zorientowaliśmy się w sytuacji, biedna Królowna Śnieżka z każdą chwilą malała topniejąc coraz bardziej, aż wreszcie rozpuściła się całkiem i zamieniła się w maleńki przezroczysty strumyczek. Połączyło się z nim dwanaście innych strumyczków i wszystkie razem popłynęły w stronę jednej z furtek w murze, szemrząc znane słowa marsza krasnoludków:

Hej–ho, hej–ho, Do domu by się szło!

"Jak to dobrze, że nie jestem ze śniegu" – pomyślałem sobie, patrząc na oddalający się coraz bardziej strumyczek.

Tak skończyły się odwiedziny Królowy Śnieżki w Akademii pana Kleksa.

Gdy tak stałem zamyślony, rozległ się gwałtowny dźwięk dzwonka.

To Mateusz wzywał nas na obiad.

KUCHNIA PANA KLEKSA

W Akademii pana Kleksa nie ma żadnej służby i wszystkie niezbędne czynności wykonywane są przez nas samych. Obowiązki podzielone są między uczniami w ten sposób, że każdy z nas ma jakieś określone stałe funkcje gospodarskie. Anastazy otwiera i zamyka bramę, a nadto zarządza balonikami pana Kleksa. Pięciu Aleksandrów zajmuje się naszą garderobą i bielizną, to znaczy, że dbają o jej czystość, cerują pończochy i przyszywają guziki. Albert i jeden Antoni uprzątają park i boisko; Alfred i drugi Antoni nakrywają i podają do stołu; drugi Alfred i trzeci Antoni zmywają naczynia; Artur sprząta salę szkolną; trzej Andrzejowie utrzymują porządek w jadalni, sypialni oraz na schodach; trzej Adamowie wydzielają soki do mycia i sosy do obiadu; pozostali uczniowie zajmują się rozmaitymi innymi sprawami gospodarskimi i jedynie w kuchni niepodzielnie króluje sam pan Kleks.

Wszyscy byliśmy zawsze niezmiernie ciekawi, jak pan Kleks radzi sobie z gotowaniem na tyle osób, ale wstęp do kuchni był zabroniony. Dopiero w zeszłym tygodniu pan Kleks oznajmił, że przydziela mnie do kuchni i wyznacza na swego pomocnika. Byłem tym zachwycony i chodziłem po Akademii dumny jak paw.

Gdy Mateusz zadzwonił na obiad, wszyscy chłopcy pobiegli do jadalni, gdzie Alfred i drugi Antoni krzatali się już dookoła stołu, ja zaś udałem się do kuchni.

Muszę koniecznie opisać jej wygląd i urządzenia, które zaprowadził tam pan Kleks.

Wzdłuż jednej ściany stały na długich stołach blaszane puszki, wypełnione szkiełkami przeróżnych barw i odcieni. Po przeciwległej stronie umieszczone były naczynia z jadalnymi farbami oraz ogromny zbiór najdziwniejszych pędzli i pędzelków. Na oknach stały drewniane skrzynki z jaskrawymi kwiatami, wśród których przeważały nasturcje i pelargonie. Pośrodku kuchni wznosił się wielki stół z metalowym blatem. Stał na nim pękaty szklany słój, napełniony płomykami świec, oraz mnóstwo małych słoików z kolorowym proszkiem.

Przystępując do gotowania obiadu pan Kleks włożył biały kitel i zabrał się do przyrządzania potraw.

Do ogromnego rondla wrzucił trzy kwarty pomarańczowych szkiełek, dosypał garstkę białego proszku, dolał wody, cienkim pędzelkiem wymalował na powierzchni zielone grochy, po czym na zakończenie dorzucił kilka płomyków świec, od których woda w rondlu natychmiast zawrzała. Wówczas pan Kleks wymieszał dokładnie całą zawartość rondla, przelał ją do wazy i rzekł do mnie:

– Zanieś tę wazę Alfredowi do jadalni. Myślę, że zupa pomidorowa będzie dzisiaj doskonała.

Rzeczywiście, muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie jadłem nic równie smacznego, a przecież ugotowanie zupy nie trwało nawet pięciu minut.

Podczas gdy chłopcy jedli pierwsze danie, pan Kleks zabrał się do przyrządzania pieczystego. W tym celu włożył do dużej brytfanny jeden płomyk świecy, położył na nim maleńki kawałeczek mięsa, wrzucił dwa szkiełka: jedno czerwone i jedno białe, wszystko to posypał szarym proszkiem, a gdy mięso już się upiekło i szkiełka rozgotowały się, przyłożył do brytfanny powiększającą pompkę i kilkakrotnie nacisnął jej denko. Brytfanna natychmiast wypełniła się po brzegi apetyczną i wonną pieczenią wołową, obłożoną buraczkami i tłuczonymi kartoflami. Na kartoflach wymalował pan Kleks zielony koperek. Pieczeń ta z trudnością zmieściła się na półmiskach, które zaniósłem do jadalni.

Na deser pan Kleks postanowił przyrządzić kompot z agrestu. Obciął kilka listków pelargonii, posypał je proszkiem agrestowym i skosztował.

– Nie smakuje mi! – rzekł sam do siebie. – Lepszy będzie kompot z malin.

Nie zastanawiając się długo, pochwycił gruby pędzel, zarzucił go w czerwonej farbie i kompot agrestowy przemalował na kompot malinowy.

Był tak znakomity, że próbowałem go trzykrotnie, a byłbym chętnie zjadł jeszcze więcej. Mogłem sobie na to pozwolić, gdyż po przyrządzeniu kompotu, co trwało jedną chwilę, pan Kleks udał się do jadalni z polewaczką, ażeby pieczeń polać brunatnym sosem, wzmacniającym dziąsła.

Gdy po obiedzie chłopcy wzięli się do robienia porządków oraz do innych zajęć gospodarskich, pan Kleks wrócił do kuchni i rzekł do mnie:

– No, Adasiu, teraz pora na nas, pewno jesteś już bardzo głodny. Powiedz, co chciałbyś zjeść na obiad? Możesz sobie wybrać każdą potrawę, na jaką masz apetyt.

Z natury jestem bardzo łakomy, toteż propozycja pana Kleksa poruszyła mnie ogromnie. Długo zastanawiałem się nad tym, na co mam właściwie apetyt, i wreszcie wybrałem sobie omlet ze szpinakiem.

Pan Kleks natychmiast porwał w dłoń pędzel, umaczał go w rozmaitych farbach i łącząc je w odpowiedni sposób, namalował omlet, potem szpinak, wrzucił do środka płomyk świecy, po czym zręcznie wyłożył wszystko na talerz, mówiąc:

– Myślę, że mój omlet będzie ci smakował; powinien być wyśmienity.

Omlet był rzeczywiście wyborny i wprost rozpląwał się w ustach.

W podobny sposób przyrządził dla mnie pan Kleks kurczaka z mizerią i pierogi z jagodami.

– A co pan będzie jadł, panie profesorze? – zapytałem nieśmiało.

W odpowiedzi na moje pytanie pan Kleks wyjął z kieszonki pudełeczko z pigułkami na porost włosów, połknął pięć takich pigułek jedną po drugiej i rzekł:

To mi zupełnie wystarczy. Natomiast dla smaku zjem sobie moją ulubioną kolorową potrawę.

Mówiąc to, zerwał kwiatek nastureji, zanurzył go naprzód w zielonej farbie, potem w niebieskiej, potem w srebrnej, wreszcie zjadł go z ogromnym smakiem.

Muszę ci to wytłumaczyć – powiedział pan Kleks widząc moje zdziwienie. – Przed wielu, wielu laty przebywałem w Pekinie, stolicy Chin, i zaprzyjaźniłem się tam z pewnym chińskim uczonym, doktorem Paj–Chi–Wo. Nazwisko to na pewno już nieraz obiło ci się o uszy. Otóż wspomniany doktor Paj–Chi–Wo nauczył mnie wyrabiać jadalne farby, które stanowią esencję rozmaitych smaków. Niebieska farba jest kwaśna, zielona jest słodka, czerwona jest gorzka, żółta jest słona, natomiast z różnych połączeń farb powstają smaki pośrednie. Tak więc odpowiednie połączenie farby zielonej z białą i z odrobiną szarej daje smak waniliowy, brązowa z żółtą posiada smak czekoladowy, farba srebrna, domieszana do czarnej i z lekka zakropiona seledynową, smakuje jak ananas. I tak dalej, i tak dalej.

W opowiadaniu pana Kleksa uderzyło mnie to, że jak się okazało, znał dobrze doktora Paj–Chi–Wo, tego samego, który dał Mateuszowi cudowną czapkę bogdychanów. Było w tym coś bardzo zagadkowego.

Tymczasem pan Kleks ciągnął dalej swoją opowieść:

Doktor Paj–Chi–Wo odkrył mi również inne swoje tajemnice oraz nauczył mnie wszystkiego, co dzisiaj umiem. Między innymi wykrył mi ukryte znaczenie ludzkich imion. Tym więc tłumaczy się, że do mojej Akademii przyjmuję tylko uczniów, których imiona zaczynają się na literę A, gdyż wiadomo z góry, że są zdolni i pracowici. Do imienia Mateusz przywiązane są wszelkie pomysły. Dlatego też Mateuszem nazwałem mego ulubionego szpaka. Najszczęśliwsze imię to Ambroży, które ja sam noszę. No, ale mniejsza z tym – zakończył pan Kleks swoje opowiadanie – czas już pójść do parku, chłopcy na nas czekają.

Godziny poobiednie zawsze spędzaliśmy w parku, gdzie pan Kleks wymyślał dla nas przeróżne zabawy i rozrywki.

Tego dnia bawiliśmy się w poszukiwaczy skarbów.

Szukajcie dobrze, a znajdziecie – powiedział do nas znacząco pan Kleks.

Wszyscy chłopcy rozbiegli się po parku, ja zaś zaproponowałem Arturowi, aby poszedł na poszukiwania wraz ze mną. Artur chętnie się zgodził, wobec czego zabraliśmy się wspólnie do układania planu wyprawy.

Jak już wspomniałem poprzednio, park otaczający Akademię pana Kleksa był niezmiernie rozległy. Sędziwe dęby, wiązy i graby, kasztany i tulipanowce strzelały wysoko w górę, rzucając gęsty cień na liczne jary i wąwozy. Rosnące dziko krzewy, pokrzywy i łopuchy, krzaki dzikich malin i jeżyn, bujne zarośla i wszelkiego rodzaju zielska tworzyły gąszcze nie do przebycia, utrudniające dostęp do grot i pieczar, których pełno było w jarach i ścianach rozpadlin. Niektóre części parku przypominały dżunglę, gdzie ludzka noga nie postąpiła od wielu lat i skąd po nocach dolatywały tajemnicze odgłosy i szумы.

Nikt z nas nie usiłował nigdy przeniknąć w głąb tych chaszczy, chociaż wszystkich nas pociągała chęć ich poznania. Docieraliśmy niekiedy do bliżej położonych pieczar, zaglądaliśmy do niektórych dziupli wydrążonych w stuletnich drzewach, ale wyobraźnię naszą drażniły stale owe niezbadane i nieprzebyte gąszcze.

Po naradzie odbytej z Arturem wzięliśmy z domu latarki, sznury, ostry nóż myśliwski, kilka innych jeszcze pożytecznych przedmiotów, garść kolorowych szkiełek, które dał nam pan Kleks na wypadek, gdybyśmy byli głodni, po czym ruszyliśmy w kierunku wschodniej części parku.

Przebijaliśmy się z trudem przez las wysokich pokrzyw, przez ostępy dzikiego łubinu, nożem torowaliśmy sobie drogę poprzez splątane gałęzie drzew, czołgaliśmy się na czworakach pod zwieszającymi się tuż nad ziemią gałęziami, kaleczyliśmy się o sterczące konary i sęki, aż wreszcie stanęliśmy w samym sercu tajemniczej gęstwiny.

Rozglądaliśmy się niespokojnie wokoło, uważnie nasłuchując. Dolatywały nas ciche szmery, podobne do szeptów ludzkich, jakieś tłumione śmiechy, szelest suchych liści, potrącanych przez wystraszone jaszczurki.

Spojrzałem w górę. Wysoko nad nami rozpościerały się potężne konary starego dębu. O jakie dwa metry ponad naszymi głowami widniał otwór szerokiej dziupli, która obu nas niezmiernie zainteresowała.

– Dobrze byłoby się tam dostać – powiedział Artur.

– No chyba! – odrzekłem z zapalem.

Nie zwlekając zabraliśmy się do roboty. Artur związał koniec sznura w pętlę i zarzucił ją na jeden z konarów drzewa. Rzut był celny. Sznur mocno zawisnął na grubym sęku, dokoła którego pętla się zacisnęła. Po chwili Artur z kocią zwinnością wdrapał się po sznurze i zniknął w głębi dziupli. Uczyniłem to samo i niebawem obaj znaleźliśmy się we wnętrzu dębowego pnia. Ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że stoimy na szczyście kręconych schodów, prowadzących w dół.

– Schodzimy? – zapytał Artur.

– Oczywiście, że schodzimy! – odrzekłem.

Świecąc latarkami, krok za krokiem zaczęliśmy zstępować w dół po wąskich stopniach schodków. Naliczyłem ich ogółem dwieście trzydzieści siedem. Schodzenie trwało dobry kwadrans, a kiedy wreszcie stanęliśmy na samym dole, oczom naszym ukazał się wylot ciemnego wąskiego korytarza. Szliśmy przed siebie starając się zachować jak największą ciszę. Przyznaję, że ze strachu miałem duszę na ramieniu, a równocześnie dokładnie słyszałem bicie nie tylko własnego serca, ale również serca Artura. Kilkakrotnie musieliśmy skręcać to w prawo, to w lewo, aż w końcu znaleźliśmy się w ogromnej sali, oświetlonej jaskrawym zielonym światłem. Pośrodku stały trzy żelazne skrzynie z pięknymi okuciami. Bez trudu otworzyłem pierwszą z nich. Jakież było nasze zdumienie, gdy na dnie skrzyni ujrzeliśmy maleńką zieloną żabkę z maleńką złotą koroną na głowie.

Nie dotykajcie mnie! – rzekła żabka. – Wiem, że jesteście z Akademii pana Kleksa i zupełnie bez potrzeby zabłąkaliście się do sąsiedniej bajki, do bajki o Królownie Żabce. Jeśli mnie dotkniecie, natychmiast przemienicie się w żaby i zostaniecie już tutaj na zawsze. Bajka o mnie jest wprawdzie bardzo piękna, ale nie ma końca i od pięćdziesięciu lat czekam na to, aby ktoś wymyślił jej zakończenie. Żaden z was nie potrafi mi w tym pomóc, dlatego też zostawcie mnie w spokoju, uszanujcie moją wolę, a za to będziecie mogli zabrać sobie wszystko, co znajduje się w dwóch pozostałych skrzyniach.

Słyszając te słowa, ukloniliśmy się grzecznie Królownie Żabce i z wielką ostrożnością opuściliśmy wieko skrzyni.

Następnie otworzyłem drugą skrzynię w przekonaniu, że w niej również ukryta jest jakaś niespodzianka. Na dnie jednak leżał mały złoty gwizdek i nic więcej. Bardzo rozczarowany rzekłem do Artura: Weź sobie ten gwizdek, obejdę się bez niego!

I nie czekając na towarzysza, zbliżyłem się do trzeciej skrzyni.

Artur uważnie oglądał gwizdek, ja zaś przez ten czas otworzyłem trzecią skrzynię i wyjąłem z niej leżący na dnie maleńki złoty kluczyk.

– A to ci dopiero skarby! – zawołałem ze śmiechem. Wziąłem z rąk Artura gwizdek, przyłożyłem go do ust i zagwizdałem.

W tej samej chwili jakaś niewidzialna siła porwała nas obu i uniosła wysoko w górę. Zanim zdążyliśmy się opamiętać, staliśmy na ziemi u stóp dębu. Wprawdzie sznur nasz zwisał z dębowego sęka, jednak na próżno szukaliśmy dziupli w tym miejscu, gdzie była poprzednio.

Przejęci naszą przygodą, ruszyliśmy w kierunku stawu, gdzie miał nas oczekiwać pan Kleks. Zastaliśmy go w otoczeniu uczniów, gdyż wszyscy już wrócili ze swych poszukiwań. Obok pana Kleksa leżały znalezione przez nich skarby. Były więc złote monety, sznur pereł, skrzypce ze złotymi strunami, kubek z ametystu, tabakierki, pierścienie z drogimi kamieniami, srebrne talerze, posążki z bursztynu i kości słoniowej i mnóstwo rozmaitych innych cennych przedmiotów.

Czuliśmy się zawstydzeni widokiem tych skarbów.

– A wy coście znaleźli? – zapytał nas z uśmiechem pan Kleks.

Pokazaliśmy mu kluczyk i gwizdek.

Pan Kleks przyglądał się tym przedmiotom z takim skupieniem, jak gdyby zobaczył coś niezwykłego.

– To są nieocenione skarby – rzekł do nas po chwili. – Kluczyk ten otwiera wszystkie bez wyjątku zamki. Gwizdek natomiast posiada taką właściwość, że wystarczy na nim zagwizdać, aby znaleźć się tam, gdzie się być pragnie. Spisaliście się najlepiej ze wszystkich i dlatego otrzymacie zaszczytne wyróżnienie!

Po tych słowach pan Kleks zdjął sobie z nosa dwie duże piegi i przyklepił po jednej mnie i Arturowi.

Wszyscy chłopcy z ogromnym zaciekawieniem oglądali znalezione przez nas przedmioty, a gdy jeszcze opowiedzieliśmy o Królownie Żabce, zazdrościli nam bardzo naszej przygody.

– Każdy z was może zatrzymać sobie na własność to, co dzisiaj znalazł – oświadczył pan Kleks. – A teraz nie traćmy więcej czasu. O czwartej mamy pójść do miasta. Wobec tego, że zostały jeszcze trzy kwadransy, niechaj nam Adaś Niezgódka opowie, jak to było wtenczas, kiedy mu się zachciało latać, i co przy tej sposobności widział. Jest to bardzo ciekawa historia.

Nikomiu poza panem Kleksem nie opowiadałem dotąd o mojej wielkiej przygodzie, gdyż obawiałem się, że nikt mi nie uwierzy. Teraz jednak, wobec żądania pana Kleksa, nie pozostawało mi nic innego, jak całą historię opowiedzieć od początku do końca.

MOJA WIELKA PRZYGODA

Zawsze wydawało mi się, że latanie jest rzeczą całkiem łatwą i że wystarczy tylko unieść się w powietrze, a już można poszybować wzorem ptaków aż pod samo niebo.

Tymczasem jednak przypuszczenia moje zawiodły mnie zupełnie.

Gdy idąc w ślad pana Kleksa nabrałem w płuca pewną ilość powietrza i poczułem wewnątrz niezwykłą lekkość, zrozumiałem, że już gotów jestem do lotu. Wydałem więc policzki i począłem natychmiast unosić się w górę. Ujrzałem pod sobą Akademię pana Kleksa, która oddalała się ode mnie z wielką szybkością, park malał i jakby uciekał w dół, koledzy poczęli gwałtownie się zmniejszać. Gdy tak zupełnie pomimo woli wznosiłem się coraz wyżej, ogarnęło mnie uczucie lęku i postanowiłem jak najprędzej lądować, okazało się jednak, że nie mam najmniejszego pojęcia o kierowaniu sobą w powietrzu. Próbowałem wykonywać rękami i nogami rozmaite ruchy, usiłowałem naśladować przelatujące w pobliżu ptaki, wstrzymywałem oddech, ale wszystko na próżno.

Zawisłem w powietrzu jak balon i wiatr niósł mnie nie wiadomo dokąd. Zauważyłem, że przeleciałem już ponad murem Akademii pana Kleksa, spodziewałem się, że zobaczę teraz z góry wszystkie sąsiednie bajki, do których tyle razy przedostawałem się przez furtki w parku. Poza murem jednak nie dojrzałem zgoła nic prócz kilku zielonych pagórków, brzozowego gaju i obsypanych kwiatami łąk. Bajek nie było nawet śladu i mur, tak jak każdy inny mur, najzwyczajniej otaczał zabudowania Akademii. Po chwili jednak i ten widok zniknął mi z oczu i ujrzałem pod sobą miasto, w którym domy stały obok siebie jak pudełka zapalek. Poprzez wąziutkie uliczki przebiegały maleńkie tramwaje, a ludzie jak mrówki snuli się we wszystkie strony. Moje pojawienie się nad miastem wywołało widoczne zainteresowanie.

Na placach poczęły gromadzić się grupy przechodniów z zadartymi do góry głowami. Widziałem, jak niektórzy z nich wdrapywali się na słupy i na dachy i przyglądali mi się przez długie lunety, a po chwili poczułem na sobie światło reflektorów. Tymczasem mój lot nie ustawał i w dalszym ciągu nie wiedziałem, w jaki sposób wrócić na ziemię. Szybko zapadał mrok, nagle się ochłodziło i po chwili zacząłem dygotać z zimna i ze strachu. Wiedziałem, że nie mogę spodziewać się pomocy pana Kleksa, gdyż jego wszechwidzące oko znajdowało się na księżycu, a na nikogo innego liczyć nie mogłem. Z nastaniem nocy ogarnęła mnie trwoga nie dająca się opisać. Dokoła widziałem już tylko gwiazdy. Wreszcie, nie wiedząc kiedy i jak, wyczerpany lotem, płaczem i strachem, zapadłem w głęboki sen. Nagle obudziło mnie silne uderzenie w plecy. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą mur, o który widocznie uderzył mnie podmuch wiatru. Stałem wprawdzie na ziemi, ale ziemia ta była zupełnie przezroczysta i błękitna jak niebo. Ogromne złociste słońce widniało w dole i promienie jego grzały niezwykle. Mur zbudowany był z niebieskiego matowego szkła.

Postanowiłem zdobyć się na odwagę i posuwając się wzdłuż muru odnaleźć jakieś wejście. Szedłem bardzo długo po przezroczystej ziemi, aż wreszcie tak jak przewidywałem, natrafiłem na dużą bramę z matowych szyb. Po krótkim wahaniu zapukałem. Jedna z szyb odsunęła się i ujrzałem

groźną głowę buldoga, który trzy razy warknął i szybko zasunął szybę. Niebawem jednak okienko znów się otworzyło i tym razem zobaczyłem łeb białego pudła, który przyjaźnie wyszczerzył zęby, mlasnął językiem i zaszczekał, jak gdyby spotkał starego znajomego.

Uśmiechnąłem się mimo woli i gwizdnąłem przez zęby. Miałem bowiem przed paru laty ulubionego mopsa imieniem Reks, na którego zazwyczaj w ten sposób gwizdałem.

Zdziwienie moje nie miało granic, gdy na ten gwizd odpowiedziało mi głośne szczekanie, pudel został gwałtownie odepchnięty i w okienku ukazała się znajoma mordka mojego Reksa. Zdawało się, że na mój widok wyskoczy po prostu ze skóry. Nie mogłem się powstrzymać i z radości pocałowałem go w nos, on zaś polizał mnie tak czule, że aż mi serce mocniej zabiło.

– Reks – wołałem – Reks, to ty?

– Hau! hau! hau! – odpowiedział mi Reks długim, wesołym szczekaniem.

Po chwili brama otworzyła się na oścież i oczom moim ukazał się niezwykle widok.

Od bramy prowadziła szeroka ulica, po obydwóch jej stronach stały długim szeregiem psie budy, a raczej nieduże domki, pobudowane z różnokolorowych cegiełek i kafli, o maleńkich ganeczkach i okrągłych okienkach, otoczone prześlicznymi ogródkami. Po ulicy spacerowały psy i pieski najrozmaitszych ras i gatunków, wesoło poszczekując i merdając ogonami, a z okienek wyglądały różowe pyszczki puszystych, rozbawionych szczeniaków.

Reks łąsił się do mnie bez przerwy, a ja również nie mogłem się nim nacieszyć.

Różne inne psy z zaciekawieniem, ale przyjaźnie obwąchiwały mnie, a niektóre serdecznie lizwały po twarzy i po rękach.

Poczułem się dziwnie nieswojo i było mi wstyd, że nie mogłem odpowiedzieć psom taką samą serdecznością.

Nie rozumiałem ich i wyróżniałem się spośród nich w sposób zbyt rażący. Ulegając tedy wewnętrznemu głosowi, zapragnąłem upodobnić się do otaczających mnie psów i zacząłem chodzić na czworakach, co przyszło mi bardzo łatwo i wypadło całkiem naturalnie. Chcąc naśladować psią mowę, spróbowałem szczeknąć lub warknąć, ale z moich ust wydobyły się słowa, których dotąd zupełnie nie znałem. Takie same słowa rozlegały się dokoła i naraz doleciał mnie znajomy głos Reksa:

– Nie dziw się, Adasiu, każdy, kto do nas zawita, zaczyna rozumieć naszą mowę i sam potrafi nią władać również dobrze, jak i my. Czy się domyślasz, gdzie jesteś?

– Pojęcia nie mam – odrzekłem. – Reksie mój drogi, może mi objaśnisz, a następnie

zaznajomisz mnie ze swymi kolegami, bo czuję się pomiędzy nimi cokolwiek obco.

Niech cię to nie martwi. Przyzwyczaisz się szybko do nowego otoczenia. Trafiłeś po prostu do psiego raju. Wszystkie psy po śmierci dostają się tutaj, gdzie nie doznają żadnych trosk ani przykrości. Wasz ludzki raj mieści się o wiele, wiele wyżej. Nasz znajduje się na połowie drogi i bardzo wiele ludzi, udając się do ludzkiego raju, zawadza o nas. Psy bardzo kochają ludzi, wiesz o tym. Dlatego też przyjmujemy ich tutaj bardzo chętnie i gościnnie, a po pewnym czasie wyprawiamy w dalszą drogę. Czy i ty się wybierasz do ludzkiego raju?

Opowiedziałem Reksowi o mojej przygodzie, o tym, że wcale jeszcze nie umarłem i że moim szczerym zamiarem jest wrócić do Akademii pana Kleksa.

Od Reksa dowiedziałem się, że przed paru miesiącami wpadł pod koła samochodu, wskutek czego umarł i jako wierny pies dostał się do psiego raju.

– A teraz – rzekł Reks – pozwól, że ci przedstawię moich przyjaciół. Oto buldog Tom, który pilnuje naszej bramy. Służył niegdyś wiernie królowej angielskiej, dlatego też wszyscy niezmiernie go szanujemy. Ten pudel, którego poznałeś, ma na imię Glu–Glu. Jest doskonale wytresowany i zabawia nas przeróżnymi sztuczkami.

Na potwierdzenie słów Reksa pudel Glu–Glu fikał w powietrzu pięć koziołków, a Reks ciągnął dalej:

– Ten szpic ma na imię Azorek, a to owczarek Kuba, a to pekińczyk Ralf, a to dobermanka Kora, a ten piękny chart to chluba naszego raju, ma na imię Jaszczur i na wszystkich wyścigach bierze pierwsze nagrody. Zresztą stopniowo poznasz się z pozostałymi psami, gdyż żyjemy tutaj w zgodzie i przyjaźni.

Istotnie, przed upływem godziny zaznajomiłem się co najmniej z setką rozmaitych psów i czułem się wśród nich tak dobrze, jak u siebie w domu, a może nawet jeszcze lepiej.

Czarny mały ratlerek zbliżył się do mnie i rzekł bardzo uprzejmie:

– Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Lord.

– Bardzo mi przyjemnie – odrzekłem. – Jestem Adam Niezgódka.

– Jakie to dziwne – ciągnął Lord – że ludzie nie rozumieją naszej mowy, chociaż mówimy przecież zupełnie wyraźnie. Nieraz też zastanawiałem się nad tym, dlaczego w niektórych miejscach wiszą tabliczki z napisem: Zły pies. Żaden Pies nigdy nie bywa zły. To nieprawda. Mamy wrażliwe serca i przywiązujemy się do ludzi, którzy nieraz bywają dla nas źli i niegodziwi.

– Powiem ci, Lordzie – przerwał mu Reks – że jesteś właściwie niedelikatny. Mój przyjaciel,

pan Niezgódka, był moim panem i czułem się w jego domu nie gorzej aniżeli tutaj, w psim raju. Chodź, Adasiu – dodał zwracając się do mnie – nie każdy Lord jest prawdziwym lordem. Oprowadzę cię po naszym rajskim mieście.

Pożegnałem Lorda kwaśnym uśmiechem i udałem się z Reksem na zwiedzanie psiego raju, o którym nigdy dotąd nie słyszałem.

– Ulica, którą teraz biegniemy, nazywa się ulicą Białego Kła – mówił Reks. – Prowadzi ona od bramy wejściowej aż do placu Doktora Dolittle. Popatrz, oto jest ten plac. Stoi na nim pomnik doktora Dolittle.

Rozejrzałem się dokoła. Plac był po prostu wspaniały. Schludne jasne domki otaczały go ze wszystkich stron. Przed domkami na miękkich poduszkach leżały świeżo wykąpane szczenięta. Niektóre z nich bawiły się piłkami, inne ssały kawałki cukru, jeszcze inne łąpały muchy, które dobrowolnie wpadały im do pyszczków. Pośrodku placu stał pomnik starszego pana, pod którym umocowana była tablica z napisem: Doktorowi Dolittle, dobroczyńcy i lekarzowi zwierząt, wdzięczne psy. Pomnik był cały zrobiony z czekolady i mnóstwo psów oblizywało go dookoła. Reks utorował mi drogę do pomnika. Wstyd mi się przyznać, ale zabrałem się do lizania czekolady na równi z psami, aż wreszcie odgryzłem doktorowi Dolittle połowę jego trzewika, czyli około pół kilo czekolady, którą zjadłem ze smakiem, gdyż zacząłem odczuwać głód.

– Codziennie – rzekł Reks – zjadamy cały pomnik doktora Dolittle i codziennie odbudowujemy go na nowo. Czekolady nam nie brak, jesteście przecież w raju.

– A gdzie mógłbym ugasić pragnienie? – zapytałem. – Bardzo chce mi się pić.

– Nic łatwiejszego! – zawołał wesoło Reks. – Jesteśmy właśnie przed moim pałacykiem. Zapraszam cię do mnie na szklanekę mleka.

Domek Reksa zbudowany był z zielonych kafli. Na ganku leżały poduszki i dywany, na których wygrzewały się maleńkie mopsiki, zapewne dzieciarnia mego przyjaciela.

W ogródku na tyłach domku rosły krzaki serdelkowe i kielbasiane. Bez trudu zerwałem sobie kawałek krakowskiej kielbasy i dwa serdelki, które zjadłem z wielką przyjemnością. Zauważyłem nadto, że drzewka rosnące pod oknami miały zamiast konarów i gałęzi smakowite kości i zakwitwały apetycznie różowym szpikiem.

Gdy rozgościliśmy się w salonie, Reks nacisnął wystający ze ściany kran, z którego – ku memu wielkiemu zdziwieniu – zamiast spodziewanej wody trysnęło do szklanek chłodzone mleko o przemiłym smaku lodów śmietankowych. Wypiłem duszkiem trzy szklanki tego świetnego napoju, po czym ruszyliśmy z Reksem w dalszą drogę.

Reks raz po raz kłaniał się rozmaitym swoim znajomym i o każdym miał zawsze coś do

powiedzenia.

– Ta wyźlica to pani Nola. Nigdy nie rozstaje się z parasolką, chociaż deszczów u nas nie bywa, a słońce świeci od spodu. Ten wielki dog nazywa się Tango. Co dzień przejada się serdelkami i musi zażywać olej rycynowy. A ta para jamników to Sambo i Bimbo. Nie rozstają się nigdy i usiłują wszystkich przekonać, że krzywe nogi są najładniejsze.

Tu przerwał i po chwili rzekł do mnie:

– Uważaj! Wchodzimy teraz w ulicę Dręczycieli. Zobaczysz coś ciekawego.

Istotnie, ulica ta przedstawiała widok niezwykle. Po obu jej stronach na kamiennych postumentach stali chłopcy w różnym wieku i o różnym wyglądzie. Można było rozpoznać wśród nich synów zamożnych rodziców i synów biedaków, chłopców czystych, starannie ubranych, i umorusanych, rozczochranych brudasów.

Każdy z nich kolejno wyznawał psim głosem swoją winę:

– Jestem dręczycielem, gdyż memu psu Filusiowi wybiłem kamieniem oko – mówił jeden.

– Jestem dręczycielem, gdyż mego psa Dżeka wepchnąłem do dołu z wapnem – mówił drugi.

– Jestem dręczycielem, gdyż memu psu Rozetce kazałem zjeść pieprz – mówił trzeci.

– Jestem dręczycielem, gdyż mego psa Rysia szarpałem nieustannie za ogon – mówił czwarty.

W podobny sposób każdy z chłopców przyznawał się ze skruchą do przestępstw popełnionych względem tego lub innego psa.

Jak mnie objaśnił Reks, chłopcy, którzy dręczą psy, dostają się do psiego rajku podczas snu, po czym wracają do domu w przekonaniu, że wszystko to im się tylko śniło.

Jednak po takim pobycie na ulicy Dręczycieli żaden z chłopców nie dręczy nigdy już więcej swojego psa.

Byłem szczęśliwy, że udało mi się uniknąć takiej hańby, chociaż wcale nie byłem znów taki dobry dla mego Reksa i nawet pewnego razu pomalowałem go całego czerwoną farbą.

Odetchnąłem z ulgą i od razu odzyskałem humor. Gdy znaleźliśmy się na placu Robaczków Świętojańskich, gdzie stały karuzele, huśtawki, beczki śmiechu i różne tak zwane psie figle, rzuciłem się wraz z innymi psami w wir zabawy.

Było mi wesoło jak nigdy dotąd, jednak głód zaczął mi doskwierać i zauważyłem, że Reks

począł niespokojnie węszyć.

– Chodź – rzekł do mnie. – Zjemy coś lekkiego, a potem wrócimy do domu na serdelki.

Po czym zaprowadził mnie na ulicę Biskoptową, gdzie leżały stosy biszkoptów maczanych w miodzie. Były tak smaczne, że nie mogłem się od nich oderwać.

– Opamiętaj się – ostrzegł mnie Reks – my jesteśmy w raju, więc nam nic nie może zaszkodzić, ale ty łatwo możesz się rozchorować.

Bardzo mnie interesowało, skąd w psim raju bierze się czekolada, biszkopty, miód i inne smakołyki; kto buduje psie domki i pomnik doktora Dolittle; skąd biorą się parasolki, kapelusze, czapaki, w które przystrajają się psy oraz ich rodziny. Uważałem jednak, że nie powinienem o to pytać, gdyż byłoby rzeczą niedelikatną wtrącanie się do rajskich spraw. Pomyślałem sobie zresztą, że na to właśnie jest raj, ażeby wszystko zjawiało się się w mig i nie wiadomo skąd.

Zwiedziłem jeszcze z Reksiem mnóstwo ciekawych rzeczy: psi cyrk i psie kina, ulicę Baniek Mydlanych, Zaulek Dowcipny i ulicę Konfiturową, wyścigi chartów i Teatr Trzech Pudli, hodowlę kiszek kaszanych i pasztetowych, ogródki salcesonowe, szczenięcą łaźnię oraz rozmaite inne rajskie urządzenia.

Wracając na plac Doktora Dolittle, gdzie mieszkał Reks, wstąpiliśmy jeszcze do zakładu fryzjerskiego na ulicy Syropowej. Dwaj golarce z Gór Świętego Bernarda ostrzygli nas bardzo wytwornie, po czym jeden z nich rzekł do mnie z dumą:

– Nie wiem, czy szanowny pan zauważył, że w tutejszym klimacie pchły nie trzymają się zupełnie.

– Istotnie – odrzekłem – macie tutaj rajskie życie.

Stwierdziłem ze zdziwieniem, że za strzyżenie nie zażądano od nas zapłaty, idąc więc śladem Reksa, grzecznie podziękowałem, liznąłem mego fryzjera w nos i wyszedłem na ulicę.

Słońce przygrzewało niezmiennie i jak dowiedziałem się od Reksa, nigdy nie zachodziło. Gdy wróciliśmy do domu mego przyjaciela, kazał on swoim szczeniętom opróżnić poduszki na ganku i zaproponował mi, abym wyciągnął się obok niego. Leżeliśmy tak, mile sobie gawędząc i przyglądając się ruchowi na placu.

– Jak odróżniacie jeden dzień od drugiego – zagadnąłem Reksa – skoro słońce u was nie zachodzi i nigdy nie bywa nocy?

– Bardzo prosto – odrzekł Reks. – Gdy pomnik doktora Dolittle zostaje doszczętnie zjedzony, wiemy, że upłynął jeden dzień. Budowa nowego pomnika zabiera tyleż godzin, co jego zjedzenie.

Odpowiada to razem ziemskiej dobie. W ten sposób obliczymy tutaj czas. Tydzień określamy nazwą siedmiu pomników. Trzydzieści pomników stanowi miesiąc. Rok składa się z trzystu sześćdziesięciu pięciu pomników. Na placu Tabliczki Mnożenia mieszka dwudziestu foksterierów–rachmistrzów, którzy stale są zajęci liczeniem kolejnych pomników i prowadzą kalendarz psiego raj.

Tak sobie gawędząc z Rekssem, dowiedziałem się od niego rozmaitych szczegółów o pośmiertnym życiu psów.

Czułem się bardzo dobrze w jego domu, po pewnym jednak czasie zacząłem się nudzić. Sprzykrzyły mi się biszkopty, czekolada i wędliny i ogromnie zachciało mi się zjeść trochę krupniku i marchewki, którą tak pogardzałem w domu. Odczuwałem zwłaszcza brak chleba.

Biegłem myślami do Akademii pana Kleksa i z rozpaczą myślałem o tym, co by było, gdybym miał już zostać na zawsze w psim raju.

Pewnego dnia leżałem sobie w ogródku i wygrzewałem się na słońcu razem z małymi mopsikami Rekksa. Nade mną zwisały z krzaków serdelki, na które patrzyłem z obrzydzeniem.

– Aga, ak! Aga, ak! – usłyszałem nagle nad sobą znajomy głos. Zerwałem się na równe nogi i ku wielkiej mej radości ujrzałem Mateusza, który siedział na gałęzi szpikowego drzewa z małą kopertą w dziobie.

– Mateusz! Jak się cieszę, że cię znowu widzę! – zawołałem. – Jak to dobrze, żeś po mnie przyleciał. Co za szczęście!

Mateusz sfrunął na ganek i podał mi kopertę. Był to list od pana Kleksa, który pouczał mnie, w jaki sposób mam wdychać i wydychać powietrze, aby dowolnie kierować swoim lotem.

Przemówiłem tedy w psim narzeczu do psów, które zbiegły się na widok Mateusza, podziękowałem im za gościnę i za dobre serca, ucisnąłem na pożegnanie mego drogiego Rekksa i całą jego rodzinę i udałem się wraz z nim i z buldogiem Tomem do bramy wyjściowej. Mateusz leciał nade mną, wesoło pogwizdując.

Uprosiłem Toma, aby mi dał do mojej kolekcji jeden guzik od swego fraczka, po czym raz jeszcze rzuciłem okiem na psi raj i opuściłem jego gościnne progi.

Wciągnąłem powietrze do płuc znanym mi sposobem, wydałem policzki i uniosłem się w górę.

Jakiś czas słyszałem jeszcze pożegnalne ujadanie psów, niebawem jednak psi raj zaczął oddalać się ode mnie, stał się jak mały niebieski obłoczek, aż wreszcie całkiem zniknął mi z oczu.

Leciałem obok Mateusza, kierując się wskazówkami, których udzielił mi w liście pan Kleks.

Po kilku godzinach lotu ujrzałem pod sobą w świetle zachodzącego słońca dachy domów i ulice naszego miasta.

– Emia už isko! – krzyknął mi w ucho Mateusz, co znaczyło: – Akademia już blisko!

Rzeczywiście, po chwili dostrzegłem mury Akademii, park otaczający ją ze wszystkich stron i samego pana Kleksa, który wyleciał mi na spotkanie i z daleka wymachiwał rękami na powitanie.

Przed zapadnięciem mroku byliśmy już w domu.

Okazało się, że nieobecność moja trwała dwanaście dni.

Nie umiem po prostu opisać radości, jaką odczuwałem z okazji powrotu na ziemię. Koledzy nie mogli się mną nacieszyć, natomiast pan Kleks kazał mi złożyć uroczyste przyrzeczenie, że nigdy już więcej nie będę latał.

Przyrzeczenie takie złożyłem i dotrzymam go z całą pewnością.

FABRYKA DZIUR I DZIUREK

Miałem zamiar opisać dokładnie przebieg jednego dnia w Akademii pana Kleksa. Opowiedziałem więc wszystko, co się dzieje od chwili naszego przebudzenia aż do południa. Opisałem lekcję kleksografii, przedzenia liter, odmalowałem kuchnię pana Kleksa, opowiedziałem o poszukiwaniu skarbów i o moich przygodach w psim raj. Od wielu dni spędzam cały wolny czas nad tym pamiętnikiem, a mimo to doznałem dopiero do momentu, gdy o godzinie czwartej pan Kleks kazał wszystkim nam zebrać się przy bramie i rzekł:

– Zaprowadzę was dzisiaj na zwiedzenie najciekawszej fabryki na świecie. Ujrzycie najwspanialsze urządzenia i maszyny, przy których pracuje dwanaście tysięcy majstrów i robotników. Mój przyjaciel, inżynier Kopeć, jest kierownikiem tej fabryki i obiecał oprowadzić nas po wszystkich halach fabrycznych, abyśmy mogli przyjrzeć się pracy ludzi i maszyn. Będzie to bardzo pouczająca wycieczka. Proszę ustawić się w czwórki. Idziemy.

Anastazy otworzył bramę i ruszyliśmy w kierunku śródmieścia.

Na placu Czterech Wiatrów wsiedliśmy do tramwaju, który miał zawieść nas do fabryki. Ponieważ dla wszystkich nie wystarczyło miejsca, pan Kleks przy pomocy swojej powiększającej pompki rozszerzył tramwaj o sześć brakujących siedzeń, dzięki czemu jechaliśmy bardzo wygodnie. Droga początkowo prowadziła przez miasto, po pewnym zaś czasie wydostaliśmy się na brzeg rzeki i niebawem wjechaliśmy na samogrający most. Jak nam objaśnił pan Kleks, ciężar tramwaju wprowadził w ruch maszynę mostu, dzięki czemu z ukrytych w nim trąbek popłynęły dźwięki marsza ołowianych żołnierzy. Po drugiej stronie rzeki rozrzucone było malownicze, schludne miasteczko. Były to domki robotników zatrudnionych w fabryce. Sama fabryka ukazała się naszym oczom za zakrętem, gdzie znajdował się końcowy przystanek tramwajowy. Od tego miejsca prowadziły do fabryki ruchome chodniki. Czuliśmy się na nich zupełnie jak w lunaparku, gdyż nieprzywykli do takiego środka komunikacji, nie mogliśmy utrzymać równowagi i wywracaliśmy się co chwila na ziemię.

Przeciwległym chodnikiem zbliżał się na nasze spotkanie inżynier Kopeć.

Był to wysoki, chudy, siwy pan z rozwianym włosiem i kozią bródką. Stał na cienkich, długich nogach i wymachiwał cienkimi, długimi rękami. Przypominał mi bardzo stracha na wróble w podeszłym wieku.

Jednym susem przeskoczył na nasz chodnik, objął serdecznie pana Kleksa i pocałował go w obydwie policzki.

dwudziestu czterech – rzekł pan Kleks.

– Aga, ak! – rozległ się głos Mateusza z tylnej kieszeni pana Kleksa.

– A to jest mój ulubiony szpak Mateusz – dodał pan Kleks wyjmując go z kieszeni.

Pan Bogumił Kopeć przyjrzał się nam uważnie, pogłaskał Mateusza i rzekł bawiąc się końcem swojej bródki:

– Wielki to dla mnie zaszczyt powitać cię, mój Ambroży. Bardzo też chętnie oprowadzę twych uczniów po mojej fabryce dziur i dziurek. Tylko pamiętajcie, chłopcy – zwrócił się do nas – w fabryce nie wolno niczego dotykać.

Po tych słowach owinał lewą nogę dookoła prawej, palce obu rąk pozaplatał jak dwa warkoczyki i płynął na czele naszej gromadki na ruchomym chodniku w kierunku fabryki, do której przybliżaliśmy się z zawrotną szybkością.

Fabryka składała się z dwunastu olbrzymich budynków o przezroczystych murach i oszklonych dachach. Z daleka już można było rozpoznać potężne koła maszyn, których stukot donośnym echem rozlegał się po całej okolicy.

Gdy weszliśmy do pierwszej hali, o mało nas nie oślepiły snopy różnokolorowych iskier, tryskających z pasów transmisyjnych, elektrycznych świdrów i tokarek.

Maszyny stały długimi szeregami w kilka rzędów, inne zawieszane były na linach i dźwigach, przy wszystkich zaś uwijały się tłumy robotników ubranych w skórzane fartuchy i hełmy o czarnych szklach.

Praca wrzała, a łoskot maszyn i narzędzi zagłuszał słowa inżyniera Kopcia, który tłumaczył coś i objaśniał piskliwym głosem.

Zdołałem dosłyszeć jedynie tyle, że w hali tej wyrabiane są dziurki od kluczy, dziurki w nosie i dziurki w uszach, jak również inne jeszcze dziurki mniejszego kalibru.

Przyglądaliśmy się z ogromnym zainteresowaniem pracy maszyny i podziwialiśmy niezwykle wprawę tokarzy, którzy za jednym obrotem koła otrzymywali dziesięć do dwunastu prześlicznie wykończonych dziurek.

Gotowe wyroby wrzucali do małych wagoników, a po napełnieniu chwyciły je specjalne ruchome dźwigi i przenosiły do składu w sąsiednim gmachu.

Pan Kleks zbliżył się do jednego z wagoników, wyjął z nosa obie zużyte swoje dziurki, wybrał sobie dwie nowe, dopiero co utoczone, i włożył je do nosa na miejsce starych. Wyglądały ślicznie, połyskiwały polerowanymi brzegami i widzieliśmy, z jaką przyjemnością pan Kleks raz po raz wyciera nos.

Pamiętając o zakazie inżyniera Kopcia musieliśmy nieustannie pilnować Alfreda, gdyż miał

ogromną skłonność do dłubania w nosie i co chwila odruchowo wyciągał palec, aby podłubać nim w dziurkach obrabianych przez tokarzy.

W następnych halach fabrycznych wyrabiane były dziury i dziurki większych rozmiarów, a więc dziury na łokciach, dziury w moście, a nawet dziury w niebie. Te ostatnie były szczególnie duże i maszyny, na których je toczono, wystawały wysoko ponad dach fabryki, a robotnicy pracujący przy nich musieli. wspinać się po olbrzymich rusztowaniach.

Dziury na łokciach i na kolanach miały prześlicznie strzępione brzegi i wymagały szczególnej staranności robotników. Pan Kopeć pokazał nam różne pomysłowe rysunki i wzory, podług których młodzi inżynierowie wycinali formy służące do wyrobu tych dziur.

W jednym z pawilonów fabrycznych mieściła się sortownia, gdzie mnóstwo doświadczonych majstrów zajętych było kontrolą, pomiarami i sprawdzaniem gotowych już dziur i dziurek. Popękane, źle wypolerowane, wygięte i uszkodzone dziurki wrzucano do dużych kotłów, gdzie przetapiano je ponownie.

W ostatniej hali mieściła się pakownia. Tam specjalne robotnice ważyły dziury i dziurki na dużych wagach i pakowały je do pięcio- i dziesięciokilowych skrzynek.

Inżynier Kopeć podarował nam dwie skrzynki dziurek do obwarzanków.

Po powrocie do Akademii pan Kleks upiekł dużo słodkiego waniliowego ciasta i z dziurek tych narobił dla nas mnóstwo znakomitych obwarzanków, którymi zajadaliśmy się przez cały wieczór.

Byliśmy wszyscy zachwyceni urządzeniem fabryki, nie mogliśmy wprost oderwać oczu od elektrycznych świdrów rozpalonych do czerwoności, od tokarek i wszelkiego rodzaju narzędzi, których nazw nie znaliśmy wcale.

Gdy opuściliśmy fabrykę, było już prawie ciemno. Z oddali widzieliśmy przez szklane mury fontanny iskier niebieskich, zielonych i czerwonych, które oświetlały całą okolicę jak fajerwerki.

– Z tych iskier można by przyrządzać doskonałe kolorowe potrawy – zauważył pan Kleks.

Inżynier Kopeć towarzyszył nam aż do przystanku tramwajowego, opowiadając przeróżne historie ze swego życia.

Okazało się, że w chwilach wolnych od zajęć w fabryce inżynier występuje w cyrku jako linoskoczek, aby nie wyjść z wprawy w owijaniu jednej nogi dookoła drugiej.

Gdy znaleźliśmy się przy końcu ruchomego chodnika, tramwaj stał już na przystanku i cierpliwie czekał. Był to wóz wyleczony swego czasu przez pana Kleksa, dlatego na nasz widok zazgrzytał z radości kołami i nie chciał bez nas ruszyć z miejsca.

Inżynier Kopeć pożegnał się z nami bardzo serdecznie, niektórych z nas połaskotał swoją kozią bródką, po czym chwilę jeszcze rozmawiał z panem Kleksem w jakimś nieznanym języku, zdaje się, że po chińsku, gdyż jedyny wyraz, który zrozumiałem, było to nazwisko doktora Paj-Chi-Wo.

Wreszcie wsiedliśmy do tramwaju, który niezwłocznie ruszył. Pan Kleks, pragnąc uniknąć ścisku, pozostał na zewnątrz i szybował obok w powietrzu.

Przez jakiś czas jeszcze widzieliśmy stojącego na przystanku inżyniera Kopcia. Pozapłatał palce obu rąk w warkoczyki i machał nimi z daleka na pożegnanie. W ciemnościach wieczoru, na tle łuny bijącej od fabryki, długa jego postać sięgała aż pod samo niebo.

Dopiero gdy tramwaj skręcił w ulicę Niezapominajek, straciliśmy inżyniera Kopcia z oczu. Niebawem wjechaliśmy na samogrający most, który tym razem odegrał na trąbkach marsz muchomorów.

Pan Kleks, chcąc widocznie wypróbować swoje nowe dziurki w nosie, wtórował mostowi nucąc melodię przez nos.

Gdy dojechaliśmy do placu Czterech Wiatrów, było już zupełnie ciemno, dlatego też pan Kleks rozdał nam płomyki świec, które przechowywał w kieszonce od kamizelki, i w ten sposób dotarliśmy wreszcie późnym wieczorem do naszej Akademii.

W domu czekała nas przykra niespodzianka.

Wszystkie pokoje, sale, pomieszczenia i przejścia opanowane były przez muchy.

Nieznośne te owady, korzystając z nieobecności domowników, wdarły się przez otwarte okna do wnętrza domu, obsiadły wszystkie przedmioty i sprzęty, niezliczonymi rojami unosiły się i brzęczały w powietrzu i z całą właściwą im natarczywością rzuciły się na nas. Wdzierały się do ust i nosów, wpadały do oczu, kotłowały się we włosach, kłębiły się czarnym rojowiskiem pod sufitami, w kątach, na piecach i pod stołami. Na to, by przejść z pokoju do pokoju, trzeba było zamykać oczy, wstrzymywać oddech i opędzać się od nich obiema rękami. Nigdy dotąd nie widywałem takiego najścia much.

Leciały w bojowym szyku, jak wielkie eskadry samolotów, formowały się w klucze, w czworoboki, w pułki i nacierały z brzękiem przypominającym odgłos wojennych trąb. Wodzowie wyróżniali się rozmiarami skrzydeł, wojowniczością i odwagą. Bolesne ukłucia, zadawane mi przez tę kąśliwą nawałę, wskazywały na to, że walka prowadzona jest na śmierć i życie. W pewnej chwili do pokoju, przez który usiłowałem przebiec, wleciała z głośnym brzękiem królowa much, szybkim bzyknięciem wydała kilka krótkich rozkazów swoim wodzom, wbiła mi żądło w nos i pomknęła na inne pole walki.

Światło lamp nie mogło przedrzeć się przez tę czarną, wirującą w powietrzu chmurę.

Chodziliśmy po omacku, deptając i zabijając całe chmary obsiadających nas zewsząd much, ale wcale ich przez to nie ubywało.

Nie pomogło również wymachiwanie chustkami i ręcznikami. Na miejsce zabitych much pojawiały się nowe i nacierały na nas z większym jeszcze natręctwem.

Pan Kleks, który dotąd – fruując po pokojach – prowadził z muchami zaciętą walkę, opadł wreszcie z sił, założył nogę na nogę i wisząc w powietrzu, zamyślał się głęboko. Muchy w jednej chwili obsiadły go w takiej ilości, że nie było go wcale spoza nich widać.

Wreszcie pan Kleks stracił cierpliwość. Wypłynął szybko przez okno i po paru minutach wrócił niosąc w palcach pajaka – krzyżaka. Przyłożył doń powiększającą pompkę i pajak szybko zaczął się powiększać. Gdy był już wielkości kota, pan Kleks wzbił się wraz z nim w górę i umieścił go na suficie. Niebawem ujrzeliśmy mnóstwo nitek zwieszających się z sufitu aż do podłogi, a po kwadransie olbrzymia pajęczyna przedzieliła pokój na dwie części. Setki i tysiące much, całe ich zgiełkliwe roje wpadały w nastawione sieci, ale nic nie było w stanie osłabić ich waleczności i bojowego ducha. Pajak rzucał się żarłocznie na złowione w pajęczynę muchy, pożerał ich szturmujące oddziały, wysysał z nich wszystkie soki, miażdżył je i tratował wielkimi włochatymi łapami, ale po krótkim czasie tak już się nimi nasycił, że działanie powiększającej pompki ustało. Pajak zaczął się zmniejszać, wrócił do swej normalnej wielkości, zmniejszyła się również jego pajęczyna i muchy w jedno okamgnienie rozszarpały go na strzępy, mszcząc się w ten sposób za klęskę swych towarzyszek. Królowa much uniosła z sobą jako trofeum krzyż, zdarty niby skalp z pleców pajaka.

Wówczas pan Kleks przywołał nas do siebie i oznajmił, że właśnie przed chwilą wymyślił specjalny rodzaj muchołapki, która uwolni naszą Akademię od plagi much.

Po chwili przyniósł do sali szkolnej miednicę z wodą, paczkę gumy arabskiej, mydło i szklaną rurkę. Podczas gdy my opędzaliśmy go od much, pan Kleks rozrobił w miednicy klej razem z mydłem i za pomocą szklanej rurki zaczął wypuszczać bańki mydlane, które jedna po drugiej unosiły się w powietrze.

Zastosowanie tych muchołapek dało nadzwyczajne wyniki.

Muchy oblepiały ze wszystkich stron kleistą powierzchnię baniek i nie mogąc się już oderwać, razem z nimi opadały na podłogę. Pan Kleks nie ustawał w pracy. Wypuszczał coraz to nowe bańki, my zaś pochwyciliśmy miotły i żwawo wymiataliśmy stosy czarnych od much muchołapek.

Niebawem wszystkie pokoje, sale, pomieszczenia i korytarze zapełniły się mydlanymi bańkami pana Kleksa.

Muchy rzucały się na ich tęczową, zdradliwą powierzchnię i chmarami przylepiały się do nich. Żadnej nie udało się uniknąć tego żalostnego losu. Pan Kleks dmuchał w rurkę bez przerwy i po

godzinie w całej Akademii nie było już ani jednej muchy, tylko kilkanaście prześlicznie mieniących się baniek tu i ówdzie unosiło się jeszcze nad naszymi głowami.

Wymiecione przez nas muchy poukładaliśmy na dziedzińcu w wysokie sterty i dopiero nazajutrz rano trzy ogromne ciężarówki, przysłane z Zakładu Oczyszczania Miasta, uprzątnęły to obrzydliwe cmentarzysko.

Tak zakończyła się wojna pana Kleksa z muchami.

W tym wszystkim jedna rzecz wprawiła nas w zdumienie: gdy znaczna część much była już wytępiona, spoza ich czarnych rojów wyłoniła się postać fryzjera Filipa, który spał na otomanie w gabinecie pana Kleksa. Początkowo nie zauważyliśmy go zupełnie, tak był oblepiony przez muchy, kiedy jednak wreszcie dostrzegł go któryś z chłopców, nie mogliśmy wyjść z podziwu, że najście much, które go szczelnie obsiadły, nie zdołało zakłócić jego snu. Jedynie głośnie, przerywane chrapanie pozwalało się domyślać, że nie był to sen przyjemny ani błogi.

Po wytępieniu much pan Kleks obudził Filipa, kazał nam wyjść z gabinetu, zamknął drzwi na klucz i odbył z Filipem długą, tajemniczą rozmowę.

Gdy po pewnym czasie drzwi otworzyły się, Filip wyszedł bardzo wzburzony i oświadczył panu Kleksowi podniesionym głosem:

– Od dzisiaj proszę sobie znaleźć innego fryzjera. Nie będę więcej strzygł ani pana, ani pańskich uczniów. Dostyc mam już wyczekiwania i obietnic. Przyprawdę go w tym tygodniu. I to nieodwołalnie. Dla niego miała być ta Akademia, a nie dla tej całej pańskiej hałustry! Żegnam pana, panie Kleks.

I nie zwracając na nas uwagi, wyszedł z Akademii, trzaskając po drodze wszystkimi drzwiami.

Po chwili doleciał nas z parku jego przeraźliwy śmiech. W świetle księżyca widzieliśmy przez okno, jak przesadził bramę i pobiegł ulicą Czekoladową w kierunku miasta.

Późną nocą zasiedliśmy do kolacji. Pan Kleks przez cały czas nad czymś rozmyślał i był tak roztargniony, że kalafiory, które dla nas przyrządził, miały czarny kolor i smakiem przypominały pieczone jabłka.

Po kolacji pan Kleks wezwał do siebie dwóch Andrzejów i kazał im zanieść do naszej sypialni dwa łóżka i pościel, gdyż jak oznajmił, spodziewa się w każdej chwili dwóch nowych uczniów.

Gdy Andrzejowie wykonali to polecenie, udaliśmy się do sypialni i pograżyliśmy się niebawem w głębokim śnie.

Na tym kończy się opis jednego dnia, spędzonego przeze mnie w Akademii pana Kleksa.

SEN O SIĘDMIU SZKLANKACH

Dzień pierwszego września obfitował w wydarzenia o niezwyklej doniosłości. Była to niedziela i każdy z nas mógł robić, co mu się tylko podobało. Artur uczył swego tresowanego królika rachować, Alfred wycinał fujarki, Anastazy strzelał z łuku, jeden z Antonich, klęcząc nad wielkim mrowiskiem, obserwował życie mrówek, Albert zbierał kasztany i żołądźcie, ja zaś bawiłem się moimi guzikami i układałem z nich rozmaite figury i postacie.

Pan Kleks był nie w humorze. W ogóle stracił humor od czasu owej kłótni z Filipem. Nie przypuszczałem, że Filip może być kimś ważnym w życiu pana Kleksa i że ten fryzjer i dostawca piegów ma prawo podnosić na niego głos i trzaskać drzwiami. Pan Kleks nie mylił się, że Filip chyba zwariował. Jednak w Akademii od tego dnia coś się zmieniło. Pan Kleks przygarbił się nieco, chodził zamyślony i po całych dniach zajęty był reperowaniem swojej powiększającej pompki. Coraz częściej podczas wykładów wyręczał się Mateuszem, w kuchni przez roztargnienie przypalał potrawy i malował je na nieodpowiednie kolory, a na każdy odgłos dzwonka przy bramie podbiegał do okna i nerwowo szarpał brwi.

Gdy owego dnia, który opisuję, ułożyłem z moich guzików pięknego zająca, pan Kleks nachylił się nade mną i posypał ułożoną figurę brązowym proszkiem. Zając nagle poruszył się, pobiegł w kierunku drzwi i uciekł unosząc z sobą moje guziki.

Panu Kleksowi spodobał się widać bardzo ten żart, gdyż zaczął się głośno śmiać, natychmiast jednak posmutniał na nowo i rzekł:

– Cóż z tego, że znam się na kolorowych proszkach, na farbach i na szkiełkach, kiedy nie mogę sobie poradzić z tym nieznośnym Filipem. Przeczuwam, że będę miał przez niego mnóstwo zgryzot i przykrości. Po prostu uwziął się na mnie.

Zdziwiły mnie słowa pana Kleksa, gdyż nie wyobrażałem sobie, aby taki wielki człowiek nie mógł sobie z kimkolwiek poradzić.

Pan Kleks, zgadując moje myśli, przybliżył się do mnie i dalej mówił szeptem:

– Tobie jednemu mogę to wyznać, bo jesteś moim najlepszym uczniem. Filip domaga się, abym przyjął do Akademii dwóch jego synów. Powymyślał dla nich nowe imiona, które zaczynają się na literę A, i grozi mi, że w razie ich nieprzyjęcia odbierze nam wszystkie piegi. W dodatku ostatnio zwariował, robi mi na złość i nie przestaje się śmiać. Zobaczysz, że ta historia bardzo żałośnie się skończy.

Po tych słowach wyjął z kieszeni garść guzików, rzucił je na podłogę tak zręcznie, że same ułożyły się w figurę mego zająca, i wyszedł z pokoju kurcząc się i podskakując na jednej nodze.

Ta rozmowa tak mnie zaintrygowała, że postanowiłem odszukać Mateusza i wypytać go o

szczególności dotyczące stosunków pana Kleksa z Filipem.

Mateusz spędzał zazwyczaj niedziele w bajce o słowiku i róży, dokąd latał na naukę słowiczego śpiewu. Udałem się więc do parku w nadziei, że dostrzegę go w chwili, gdy będzie wracał do Akademii.

W parku uderzyło mnie jakieś osobliwe poruszenie i szelesty. Pożółkłe już nieco podszycie parku wrzało, krzaki chwiały się, trawa się kołysała, nie ulegało wątpliwości, że strumień niewidzialnych istot przesuwa się spodem parku, omijając drogi i ścieżki.

Pobiegłem w kierunku owego ruchu i kiedy zbliżyłem się do stawu, zrozumiałem, co zaszło. Cała woda była spuszczone, ryby trzepotały się rozpaczliwie na suchym dnie, a nieprzejrzane szeregi żab i raków wyruszyły w świat w poszukiwaniu jakiejś nowej, odpowiedniej siedziby.

Towarzyszyłem im przez pewien czas, podziwiając zwłaszcza żaby, które w zgodnych podskokach, nie robiąc sobie nic z mojej obecności, zdążyły za przewodniczką. Kiedy podszedłem do niej, aby się przyjrzeć, zobaczyłem, że ma złotą koronę na głowie, i domyśliłem się od razu, że to Królowa Żabka, którą już niegdyś widziałem.

– Poznaję cię, chłopcze, byłeś niedawno w mojej bajce i zachowałam o tobie miłe wspomnienie. Czy widzisz, co się stało? Pan Kleks z niewiadomych powodów zabrał całą wodę ze stawu, pozostawiając wszystkie żaby, ryby i raki na pastwę losu. Postanowiłam nieść im ratunek i dlatego opuściłam mój podziemny pałac. Chociaż jestem z innej bajki, ale żaba łatwiej zrozumie żabę niż pana Kleksa. Nic też dziwnego, że moje rodaczki z waszego stawu poszły za mną.

– A dokąd je prowadzisz, Królowo Żabko? – zapytałem wzruszony jej słowami.

– Nie jestem jeszcze całkiem zdecydowana – odrzekła. – Mogę zaprowadzić je do jeziora z bajki o zaklętym jeziorze albo do stawu z bajki o zielonej wodnicy.

– My chcemy do stawu! – zarechotały chórem żaby. Skakały przy tym tak wysoko, że pochód ich przypominał żabi cyrk, jeśli taki gdziekolwiek istnieje.

Raki wędrowały w milczeniu w pewnym odstępnie.

Nie wydawały żadnych dźwięków, z trudem tylko powłóczyły kleszczami. Była ich nieprzebrana wprost ilość, niemal tyleż co żab, a może nawet jeszcze więcej. Niektóre spośród nich, zapewne z wysiłku i ze zmęczenia, porobiły się zupełnie czerwone, jakby je kto polał wrzątkiem.

Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku, przypomniałem sobie jednak o nieszczęśliwych rybach, pozostawionych bez wody, przeprosiłem więc Królową Żabkę i chciałem już odejść, lecz zatrzymał mnie jej błagalny głos:

– Adasiu, zaczekaj jeszcze! Czy pamiętasz, jak podczas twej bytności w moim pałacu pozwoliłam ci zabrać ze skrzyni złoty klucz? Bez niego nie będę się teraz mogła dostać ani do bajki o zaklętym jeziorze, ani do bajki o zielonej wodnicy, a przecież tylko w bajce może się znaleźć miejsce dla moich żab i raków. Byłam już w wielkim kłopotcie z tego powodu, ale skoro los zesłał mi ciebie, błagam cię, zwróć mi złoty klucz, a ocalisz wszystkie stworzenia, które tu widzisz.

– Kluczyk? – rzekłem. – Kluczyk? Ależ tak, oczywiście, chętnie ci go zwrócę, królowo. Nie pamiętam tylko, gdzie go schowałem. Zdaje się, że zabrał go pan Kleks. Poczekaj chwilę, zaraz do ciebie wrócę.

Nie wiedziałem, do czego wpierw mam się zabrać. Żał mi było żab, które słabły już wskutek braku wody, ale bardziej jeszcze niepokoiłem się o ryby. Pobiegnęłam co sił do Akademii, zebrałam kilku chłopców, którzy nawinęli mi się po drodze, opowiedziałem im o tym, co zaszło, i namówiłem ich, aby zajęli się losem ryb.

Pana Kleksa żaden z nich nie widział, zacząłem go tedy szukać po całej Akademii. Nie mogąc go znaleźć ani na dole, ani w jego pokoju, wpadłem do szpitala chorych sprzętów.

Rozejrzałem się po sali. Tak. Pan Kleks był tam, ale to, co robił, przechodziło po prostu ludzkie wyobrażenie. Nie większy od Tomcia Palucha, wisiał uciepiony rękami i nogami u wahadła zegara i huśtał się na nim jak na huśtawce, powtarzając raz po raz głośno:

– Tik–tak, tik–tak, tik–tak.

W tej samej chwili zegar zaczął wydzwaniać godzinę i pan Kleks zawtórował mu dźwięcznym basem:

– Bim–bam–bom.

Na mój widok przerwał huśtanie, zeskoczył na podłogę, rozkurczył się, rozprostował i jakby na poczekaniu urósł.

– Zawsze musicie mi przeszkadzać! – rzekł rozdrażnionym głosem. – O co chodzi? Przecież widzisz, że uczę zegar mówić.

Natychmiast jednak opanował się i rzekł uprzejmie, jak zazwyczaj:

– Przykro mi, Adasiu, że robisz takie zdziwione oczy. Ach, to wszystko wina tego podłego Filipa. Chce mnie po prostu zniszczyć. Wszystko się we mnie psuje i coraz trudniej zachować mi normalny wzrost. Dosłownie maleję z dnia na dzień. A teraz mam nowe zmartwienie: płomyki świec zaczęły mnie tak parzyć od pewnego czasu, że dzisiaj musiałem powyrzucać je z kieszeni i zalać wodą ze stawu. Fatalne to wszystko, fatalne! Nie opowiadaj tego nikomu, bo stracę do ciebie zaufanie. Czego sobie życzysz ode mnie? Po co przyszedłeś?

Opowiedziałem panu Kleksowi, jak żalosne w swych skutkach było spuszczenie stawu, powiadomiłem go o wymarszu żab i raków i poprosiłem wydanie mi złotego kluczyka, który – jak domyślałem się – schował w bezdennych kieszeniach swych spodni.

Pan Kleks sposepniał.

– Szkoda, wielka szkoda! – rzekł po chwili. – Żaby nie będą nam więcej układały swoich wierszyków. Ale nie miałem przecież innego wyjścia. Musiałem ugasić płomyki świec, w przeciwnym bowiem razie cała Akademia poszłaby z dymem. Potrzebna mi jest koniecznie ogniotrwała kieszeń. A co się stanie z rybami? Może uda mi się wymyślić jakiś ratunek dla nich... Aha, prawda! Chciałeś abym ci oddał kluczyk... Zaraz...

Mówiąc to, pan Kleks zaczął skrupulatnie przeszukiwać kieszenie.

– Muszę ci wyznać – zauważył szeptem – że mam jeszcze jedną zgryzotę. Od czasu kłopotów z Filipem pozarastała mi większość moich kieszeni. Nie mogę już wcale do nich się dostać. Ale kluczyk szczęśliwie znalazłem. Masz, zanieś go Królownie Żabce, pozdrów ją ode mnie i przeproś za spuszczenie stawu.

Po tych słowach pan Kleks uczeplił się znowu wahadła i jął się bujać na nim, powtarzając za każdym odchyleniem:

– Tik–tak, tik–tak, tik–tak.

Pobiegłem z kluczykiem do parku i złożyłem go u stóp Królowny Żabki.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczna – rzekła królowna. – Biorę ten kluczyk, ale nie sądz, że będziesz pokrzywdzony. W zamian za to otrzymasz ode mnie Żabkę Podajłapkę. Będzie ci ona pomocna we wszystkich sprawach, które przedsięweźmiesz.

Po tych słowach królowna powiedziała kilka słów po żabiemu i po chwili z tłumu otaczających ją żab wyskoczyła żabka nie większa od muchy. Miała barwę jasnozieloną i lśniła, jakby była pokryta emalią.

– Weź ją sobie – rzekła królowna. – Najlepiej ukryj ją we włosach i dawaj jej codziennie jedno ziarnko ryżu.

Wziąłem Żabkę Podajłapkę i posadziłem ją sobie na głowie. Wśliznęła się natychmiast pomiędzy włosy, a była tak mała, że wcale jej nie poczułem.

Następnie podziękowałem królownie, pożegnałem ją z wielkim szacunkiem i przeskakując przez gromady żab i raków, pobiegłem nad staw. Zostałem tam już pana Kleksa w otoczeniu kilkunastu uczniów. Wyglądał tak jak zazwyczaj, tylko był znowu cokolwiek mniejszy.

Na polecenie pana Kleksa chłopcy powrzucaли ciężko dyszące ryby do wielkich koszów sprowadzonych z lamusa.

– Za mną – rzekł pan Kleks.

Ruszyliśmy za nim, uginając się pod ciężarem koszów, minęliśmy kasztanową aleję i malinowy chruśniak, a po jakimś czasie, przedzierając się przez gąszcze drzew, dotarliśmy do muru bajek. Pan Kleks zatrzymał się przed furką z napisem: Bajka o rybaku i rybaczce i otworzył kłódkę. Z daleka już ujrzeliśmy rybaka, który stał na brzegu morza i łowił niewodem ryby. Powitał nas bardzo serdecznie i uśmiechnął się życzliwie, nie wyjmując z ust glinianej fajeczki.

Wyrzuciliśmy ryby z koszów do wody, a potem, idąc za radą rybaka, skorzystaliśmy ze sposobności i wykąпалиśmy się w morzu, gdyż dzień był nadzwyczaj ciepły.

Gdy wróciliśmy do parku, nie było już ani żab, ani raków, a po dnie stawu spacerowały ślimaki bawiąc się w wilgotnym mule.

Zamierzaliśmy już wracać do domu na obiad, gdy naraz ujrzeliśmy nad sobą Mateusza. Niezwykle podniecony krążył nad naszymi głowami i wołał na cały głos:

– Aga, onik! Aga, onik!

Pan Kleks pierwszy zrozumiał i jął wpatrywać się w niebo. Po chwili i on również zawołał:

– Uwaga, balonik!

Istotnie, mały punkcik, wiszący wysoko w górze, począł przybliżać się coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie wyraźnie można było rozróżnić niebieski balonik z umocowanym u spodu koszyczkiem.

Pan Kleks ucieszył się ogromnie i zacierając z zadowolenia ręce, raz po raz powtarzał:

– Moje oko wraca z księżycą!

Balonik opadał coraz szybciej, a gdy już był na wysokości ramienia, pan Kleks wyjął z koszyczka swoje oko, zerwał z prawej powieki plaster i włożył oko na miejsce.

– Nie! No, coś podobnego! – wołał z zachwytem. – Tego jeszcze nikt nie widział! Co za cuda! Co za cuda! Widzę życie na księżycu! Takiej bajki jeszcze nikt dotąd nie wymyślił!

Z zazdrością patrzyliśmy na pana Kleksa, który stał jak urzeczony i upajał się księżycowymi widokami, dostarczonymi mu przez wszechwidzące oko.

Opanował się wreszcie i rzekł do nas:

– Historią o księżycowych ludziach zaćmię wszystkie dotychczasowe bajki. Ale na to przyjdzie czas.

– A może pan profesor opowie nam ją teraz? – odezwał się Anastazy.

– Na wszystko musi być odpowiednia pora – odrzekł pan Kleks. – Teraz pójdziemy do domu na obiad, a po obiedzie odczytam wam z sennika mojej Akademii sen, który się przyśnił Adasiowi Niezgódce.

Chłopcy ucieszyli się bardzo tą wiadomością.

Szybko tedy zjedliśmy obiad, po czym zebraliśmy się w sali szkolnej.

Pan Kleks siadł przy katedrze, otworzył wielką księgę, zawierającą opisy najpiękniejszych snów, i zaczął czytać:

Sen o siedmiu szklankach

Śniło mi się, że się zbudziłem.

Pan Kleks przemieniał w chłopców wszystkie krzesła, stoły i stołki, łóżka, ławki i wieszadła, szafy i półki, tak że łącznie z uczniami Akademii było nas przeszło stu.

– Zawiozę was dzisiaj do Chin – oświadczył pan Kleks.

Gdy wyrzależ przez okno, ujrzałem stojący przed domem maleńki pociąg, złożony z pudełek od zapalek, przyczepionych do czajnika zamiast lokomotywy. Czajnik był na kółkach i buchała zeń para.

Powiadaliśmy do maleńkich tych wagoników i okazało się, że wszyscy pomieściliśmy się w nich doskonale.

Pan Kleks siadł na czajniku i pociąg nasz miał już ruszyć, gdy nagle na niebie nad nami rozpostarła się ogromna czarna chmura. Zerwał się wichur, który powywracał pudełka od zapalek. Zapowiadała się straszliwa burza.

Wobec tego pobiegłem do kuchni, wziąłem siedem szklanek, ustawiłem je na tacy, z komórki porwałem drabinę i wróciłem przed dom.

Pan Kleks usiłował rękami powstrzymać parę, która wydobywała się z czajnika i łączyła się z chmurami.

– Ratuj, Adasiu, mój pociąg! – wołał pan Kleks podskakując wraz z pokrywką czajnika.

Nie oglądając się na nikogo, przystawiłem drabinę do dachu Akademii i trzymając w lewej dłoni tacę z siedmioma szklankami, wdrapałem się na najwyższy szczebel drabiny.

Gdy tylko znalazłem się na szczycie, drabina zaczęła się wydłużać tak szybko, że niebawem dotarła do czarnej chmury i oparła się o jej brzeg.

Niewiele myśląc schwyciłem w dłoń łyżkę, którą zabrałem z kuchni, i jąłem nią rozgarniać chmurę. Najpierw zebrałem z wierzchu cały deszcz i wlałem go do pierwszej szklanki. Następnie zeszkrobałem pokrywający chmurę śnieg i wsypałem do drugiej szklanki. Do trzeciej szklanki wrzuciłem grad, do czwartej – grzmot, do piątej – błyskawicę, do szóstej – wiatr.

Gdy napełniłem w ten sposób wszystkie sześć szklanek, okazało się, że zebrałem łyżką całą chmurę, tak jak zbiera się kożuch z mleka, i że niebo dzięki temu już się wypogodziło.

Nie wiedziałem tylko, do czego służyć ma siódma szklanka.

Zbiegłem szybko po drabinie na sam dół, ale w miejscu, gdzie stał pociąg pana Kleksa, nikogo już nie zastałem, gdyż wszyscy chłopcy przemienili się przez ten czas w srebrne widelce, które rzędem leżały na ziemi.

Został tylko pan Kleks, zajęty w dalszym ciągu swoim czajnikiem i usiłujący palcem zatkać jego dzióbek.

Ustawiłem tacę z siedmioma szklankami na trawie i nakryłem ją chustką tak, jak to czynią cyrkowi sztukmistrze.

– Coś ty narobił! – rzekł do mnie wreszcie pan Kleks. – Ukradłeś chmurę. Odtąd już nigdy nie będzie deszczu ani śniegu, ani nawet wiatru. Wszyscy będziemy musieli zginąć od posuchy i upału.

Rzeczywiście, w górze nad nami wisiał przeczysty błękit i nagle zorientowałem się, że jest to emaliowany niebieski czajnik, zupełnie taki sam, na jakim siedział pan Kleks, tylko wielkości całego nieba. Z czajnika sączyło się na ziemię słońce, a raczej złocisty wrzątek, który parzył nas niemiłosiernie.

Pan Kleks, nie mogąc znieść takiego upału, zaczął szybko rozbierać się, ale miał na sobie tyle surdutów, że zdejmowanie ich nie miało końca. Kiedy zobaczyłem, że głowa jego zaczęła się tlić i z włosów buchnął dym, porwałem z tacy szklankę z deszczem i wylałem ją na pana Kleksa. Równocześnie lunął rzęśisty deszcz, tylko że padał tym razem nie z góry na dół, lecz z dołu do góry.

Wyglądało to tak, jak fontanna tryskająca z ziemi.

– Śniegu! – wołał pan Kleks. – Śniegu, bo spłoneę doszczętnie!

Schwyciłem wobec tego szklanę ze śniegiem i wybierając śnieg łyżką, jałem okładać nim głowę pana Kleksa.

Skutek był zdumiewający, gdyż śnieg począł mnożyć się z taką szybkością, że pokrył cały park. W tej samej chwili spod śniegu wyskoczyły wszystkie srebrne widelce i wirując jak opętane, zabrały się do rzucania kulami ze śniegu. W widelcach rozpoznawałem raz po raz to Artura, to Alfreda, to Anastazego, to znowu jakiegoś innego kolegę.

Widelce swoim zawrotnym tańcem w śniegu podniosły taką śnieżycę, że po prostu nic nie było widać. Wpadłem tedy na pomysł, aby śnieg zdmuchnąć za pomocą wiatru. Wziąłem więc szklanę z wiatrem, który wyglądał jak rzadki, niebieskawy krem, i wygarnąłem go jednym zamachem łyżki.

Takiego wiatru nigdy dotąd nie widział. Dął jednocześnie we wszystkich kierunkach, unosząc z sobą wszystko, co tylko napotkał na drodze. Śnieg rozwiął się natychmiast, a srebrne widelce, uniesione w górę, zawisły w niebie jak gwiazdy. Zrobiło się bardzo zimno. Spojrzałem na pana Kleksa i w pierwszej chwili nie poznałem go wcale. Przeistoczył się w bałwana ze śniegu i wesoło podśpiewywał:

Jedzie mróz, jedzie mróz. Wiezie śniegu cały wóz!

Pomyślałem, że pan Kleks odmroził sobie rozum, dlatego też wziąłem czajnik z wrzątkiem i wylałem całą jego zawartość na głowę pana Kleksa.

Śnieg natychmiast stopniał, znowu się ociepliło i pan Kleks zaczął rozkwitać.

Naprzód wypuścił liście, potem pączki, aż wreszcie cała jego głowa i ręce pokryły się pierwiosnkami. Zrywał je z siebie i zjadał z apetytem, przyśpiewując:

Gdy się kwiatków dobrze najem, Grudzień znów się stanie majem.

Po chwili jednak stracił humor, a to z tego powodu, że pszczoły, zwabione kwiatami na głowie pana Kleksa, obsiadły go ze wszystkich stron i niejedna musiała zapuścić żądło w jego ciało, gdyż począł żałośnie jęczeć.

Gdy po pewnym czasie pszczoły odleciały, głowa pana Kleksa wyglądała jak wielki bąbel, a z oczu jego ciekły duże krople gęstego miodu.

Wziąłem tedy z tacy czwartą szklanę, w której mieścił się grad. Wyglądało to tak, jakby do szklanki włożył ktoś garść grubego śrutu.

Wysypałem na dłoń kilka ziarenek gradu i wcierałem je w głowę pana Kleksa. Musiał doznać

nadzwyczajnej ulgi, gdyż zdjął głowę z karku i rzucił mi ją jak piłkę. Odrzuciłem mu ją z powrotem w przekonaniu, że grę w piłkę lubi tak samo jak ja. Tymczasem pan Kleks, nie mogąc widzieć własnej lecącej ku niemu głowy, tak niezręcznie nadstawił ręce, że głowa potoczyła się w innym kierunku, odbiła się kilka razy od ziemi i znikła w zaroślach.

Zapytałem pana Kleksa, jak się czuje bez głowy, ale nic mi nie odpowiedział, gdyż nie miał czym.

W tym czasie właśnie emaliowany czajnik w górze odwrócił się zakopconym dnem na dół i naraz zapadła ciemność, w której tylko srebrne widelce migotały wesoło.

Pan Kleks stał bez głowy, bezradnie wymachując rękami.

Wyjąłem tedy z piątej szklanki błyskawicę, wygiąłem ją na kształt laski i świecąc nią sobie, udałem się na poszukiwanie głowy pana Kleksa.

Znalazłem ją wśród pokrzyw. Była cała poparzona, co wcale nie przeszkadzało jej podśpiewywać:

Poparzyły mnie pokrzywy, Taki jestem nieszczęśliwy!

Zwróciłem panu Kleksowi głowę, błyskawicę zaś wetknąłem obok w ziemię.

Dawała tyle światła, że było widno jak w dzień.

– Chętnie bym coś zjadł – powiedział pan Kleks.

Niestety, jedyną rzeczą, którą posiadałem, była szklanka z grzmotem.

– Doskonale! – zawołał pan Kleks. – Nie znam nic smaczniejszego od grzmotu. Przynies go tutaj.

Wyjąłem grzmot ze szklanki i podałem panu Kleksowi. Była to piękna czerwona kula, przypominająca owoc granatu.

Pan Kleks wydobyl z kieszeni scyzoryk, pokrajał grzmot na ćwiartki, obrał ze skórki zjadł z ogromnym apetytem, oblizując się smakowicie.

Po chwili jednak rozległ się potężny huk i pan Kleks, rozsadzony od środka, rozerwał się na tysiąc drobnych cząsteczek. Właściwie każda taka cząsteczka była samodzielnym małym panem Kleksem, a wszystkie tańczyły wesoło na trawie i śmiały się cieniutkimi głosikami.

Wziąłem jedną z tych śmiejących się cząsteczek, włożyłem do siódmej, pustej szklanki, stojącej

na tacy, i zaniósłem do kuchni.

Nagle przez otwarty lufcik wdarły się z głośnym brzękiem srebrne widelce, osaczyły mnie ze wszystkich stron, a dwa spośród nich, zdaje się, że Antoni i Albert, usiłowały dostać się do szklanki, gdzie był maleńki pan Kleks.

Ratując go przed widelcami, szybko wstawiłem szklankę do kredensu i mocno zatrzęsnałem drzwiczki.

W tej samej chwili obudziłem się.

Ujrzałem nad swoim łóżkiem prawdziwego pana Kleksa, który stał wpatrzony w moje senne lustro, szarpał sobie brwi i mówił sam do siebie:

– Sen o siedmiu szklankach... Sen o siedmiu szklankach... No, no!

ANATOL I ALOJZY

Przez cały wrzesień lały ulewne deszcze. Na krok nie wychodziliśmy z domu, zabawy w parku i gry na boisku ustały zupełnie, pan Kleks posmutniał i stał się dziwnie małowówny, jednym słowem – wyraźnie zaczęło się coś psuć w naszej Akademii.

Któregoś wieczoru pan Kleks oświadczył nam, że życie bez motyli i bez kwiatów bardzo go nuży i że wskutek tego musi zacząć wcześniej chodzić spać.

Pożegnaliśmy się tedy z panem Kleksem i udaliśmy się do naszej sypialni.

– Nudno mi – rzekł jeden z Aleksandrów.

A ja wam coś powiem – odezwał się nagle Artur – pan Kleks ma jakieś wyraźne zmartwienie. Czy żaden z was nie zauważył, że stał się trochę mniejszy, niż był dotychczas?

– Istotnie! – zawołał jeden z Antonich. – Pan Kleks maleje.

– A może mu się popsuka jego powiększająca pompka? – zapytał Anastazy.

Nie brałem udziału w rozmowie, gdyż byłem bardzo senny. Położyłem się więc do łóżka i usnąłem natychmiast.

Śniło mi się, że jestem młotkiem i że pan Kleks rozbija mną po kolei wszystkie moje guziki. Uderzenia młotka rozlegały się po całej Akademii i wzmogły się do tego stopnia, że wreszcie się obudziłem, ale uderzenia nie ustały. Począłem więc nasłuchiwać. Nie ulegało wątpliwości, że owo stukanie dolatywało z parku i że ktoś wali w wejściową bramę.

Zbudziłem natychmiast Anastazego, narzuciliśmy sobie płaszcze i świecąc latarkami, pobiegliśmy do parku. Za bramą stał fryzjer Filip w towarzystwie dwóch jakichś nieznanych chłopców. Wszyscy trzej przemoczeni byli do ostatniej nitki i deszcz ociekał z nich strumieniami. Anastazy otworzył bramę i wpuścił niezwykłych nocnych gości.

Nowi uczniowie pana Kleksa! – zawołał Filip zanosząc się od śmiechu. – Przyszłe znakomitości słynnej Akademii, cha–cha! Jeden ma na imię Anatol, a drugi Alojzy. Obydwaj na A, cha–cha! Anatolu, przedstaw się kolegom, bądź dobrze wychowany!

Młodzieniec nazwany Anatolem uklonił się mówiąc:

– Jestem Anatol Kukuryk. A to jest mój młodszy brat Alojzy. – Z tymi słowy wskazał dłonią na drugiego chłopca, którego obaj z Filipem trzymali pod rękę.

– Bardzo nam przyjemnie panów poznać – rzekł z galanterią Anastazy. – Niepotrzebnie jednak

stoimy na deszczu. Panowie pozwolą za mną.

Udaliśmy się wszyscy do Akademii, pozostawiliśmy w sieni zmoczone okrycia, po czym Anastazy wprowadził gości do jadalni i usadowił ich przy stole. Byli widać bardzo zmęczeni, gdyż Alojzy natychmiast usnął i kiwał się na krześle jak chińska figurynka. i

Filip przestał się śmiać i oznajmił, że miał zamiar przyprowadzić Anatola i Alojzego do Akademii przed wieczorem, ale zabłądził po drodze i wskutek tego dopiero po północy zdołał odszukać ulicę Czekoladową.

– Jesteście pewno, panowie, głodni – rzekłem. – Będę musiał obudzić pana Kleksa i zawiadomić go o przybyciu panów.

– Koniecznie trzeba obudzić pana Kleksa! – zawołał Filip śmiejąc się znowu. – Mam dla niego świeżutkie piegi, cha–cha! Bardzo chcielibyście zobaczyć pana Kleksa, cha–cha! Nieprawdaż, Anatolu?

– Będzie to dla mnie wielki zaszczyt – odrzekł grzecznie Anatol.

Wobec tego pobiegłem czym prędzej na górę i zapukałem do sypialni pana Kleksa. Ponieważ nikt nie odpowiedział, zapukałem powtórnie, potem jeszcze raz. Ale Pan Kleks miał widocznie bardzo mocny sen albo też w ogóle nie chciał się obudzić. Nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Sądziłem, że może Mateusz usłyszy moje stukanie, na próżno jednak w dalszym ciągu dobijałem się do drzwi – nikt mi nie odpowiadał.

Postanowiłem więc sam pójść do kuchni i przyrządzić kolację dla chłopców i dla Filipa. Znalazłem w spiżarni dzbanek z mlekiem, pieczywo, masło, trochę sera, kurę na zimno. Ustawiłem to wszystko na tacy i sięgnąłem do kredensu po talerze i szklanki. Naraz w jednej ze szklanek dostrzegłem coś szarego. W przekonaniu, że to mysz nakryłem szklankę dłonią i zbliżyłem do światła. To, co zobaczyłem, napełniło mnie przerażeniem. W szklance siedział pan Kleks. Maleńki pan Kleks. Wyraźnie rozpoznałem jego głowę, jego dziwaczny strój, nawet piegi na jego nosie. Siedział na dnie szklanki i spał.

Wyjąłem go delikatnie dwoma palcami i położyłem na talerzyku. Zetknięcie z chłodną porcelaną obudziło pana Kleksa. Zerwał się na równe nogi, szybko rozejrzał się dookoła, po czym wy dobył z kieszeni powiększającą pompkę i przyłożył ją do ucha. Niebawem też zaczął się powiększać, zeskoczył z talerzyka na krzesło, potem na podłogę, a po paru chwilach stał się normalnym, zwykłym panem Kleksem.

Byłem tym wydarzeniem zupełnie oszołomiony i nie wiedziałem, jak się zachować.

Pan Kleks przyglądał mi się uważnie przez jakiś czas, aż wreszcie rzekł do mnie surowo:

– To wszystko tylko ci się śniło! Rozumiesz? Idiotyczny, głupi sen! Po prostu jakieś brednie! Zabraniam ci o tym śnie opowiadać komukolwiek. Pan Kleks ci zabrania! I żeby mi się więcej takie sny nie powtarzały! Pamiętaj!

Przeprosiłem pana Kleksa, bo cóż innego miałem uczynić, po czym oznajmiłem mu o przybyciu Filipa z dwoma chłopcami.

– Poradźcie sobie beze mnie – rzekł pan Kleks. – Daj im kolację i niech idą spać, a rano z nimi porozmawiam. Filip może położyć się w moim gabinecie na otomanie. Dobranoc.

Po tych słowach wyszedł trzasnąwszy za sobą drzwiami. Wybiegłem za nim i widziałem, jak po poręczy wjeżdżał na górę.

"Coś się psuje w Akademii" – pomyślałem. Wróciłem do kuchni, wziąłem tacę z kolacją i zaniósłem ją do jadalni.

Alojzy spał w dalszym ciągu. Filip i Anatol zabrali się do jedzenia, nie zwracając na niego uwagi.

– Może obudzić pańskiego brata? – zagadnął Anastazy Anatola. – Pewno jest bardzo głodny.

– O, nie. To zbyt ciężkie! – odrzekł Anatol. – Taki pokrzepiający sen zastąpi mu w zupełności jedzenie. Alojzy bardzo nie lubi, żeby go budzić.

– Zobaczycie, chłopcy, to będzie chluba waszej Akademii, ten śpiący królewicz! – śmiał się Filip zjadając kurę.

Po kolacji Anastazy zaprowadził Filipa do gabinetu, ja zaś udałem się do sypialni, aby przygotować łóżka dla obu chłopców.

Gdy kończyłem przygotowania, w drzwiach ukazali się Anastazy i Anatol. Anatol niósł na rękach śpiącego Alojzego.

– Bardzo nie lubi, żeby go budzić – wyjaśnił raz jeszcze Anatol. – Dlatego też nie będziemy go wcale rozbierali: niech sobie śpi w ubraniu.

Położyliśmy go więc ostrożnie na łóżku, rozebraliśmy się szybko i usnęliśmy wreszcie po dziwnych wydarzeniach tej nocy.

Nazajutrz zbudziłem się bardzo wcześnie. Przybycie nowych uczniów do Akademii stanowiło sensację niepospolitą. Szturchnąłem Alfreda, który spał w sąsiednim łóżku, i opowiedziałem mu szeptem o Anatolu i Alojzym. Alfred zbudził śpiącego obok Artura, Artur Aleksandra i po chwili w sypialni wrzało jak w ulu.

Ranna pobudka Mateusza zastała wszystkich na nogach.

Chłopcy przyglądali się ciekawie. Anatolowi, którego obudziła nasza krzątanka, oraz Alojzemu wyciągniętemu nieruchomo na łożku.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł pan Kleks.

– Dzień dobry, chłopcy! – zawołał od progu. – Gdzie są wasi nowi koledzy?

Anatol usiadł na łożku. i rzekł uprzejmie:

– Jestem, panie profesorze. Nazywam się Anatol Kukuryk, a to mój młodszy brat.

Wskazał przy tym na Alojzego, który przez cały czas nawet nie drgnął.

Pan Kleks przyjrzał się w milczeniu Anatolowi i podszedł do Alojzego.

Długo stał nad nim zagłębiony w swych myślach, wreszcie nachylił się i krzyknął mu prosto w ucho:

– Nazywasz się Alojzy, prawda?

Alojzy nie drgnął.

– Czy mnie słyszysz, Alojzy? – krzyknął znowu pan Kleks.

Alojzy nie drgnął.

Wówczas pan Kleks podniósł mu powieki i zajrzał w oczy, dłonią potarł mu policzki i czoło, poklepał po rękach.

Ale i to nie zdołało obudzić Alojzego.

– Popatrzcie, chłopcy – zwrócił się do nas pan Kleks. – Alojzy nie jest żywym człowiekiem, tylko lalką. Byłem zawsze przeciwny wprowadzaniu lalek do mojej Akademii. Ale teraz już nic nie poradzę. Alojzy został w nocy podstępnie przemycony. Będę miał z nim mnóstwo kłopotów. Muszę go nauczyć czuć, myśleć i mówić. Spróbuję, może mi się uda. Adasiu, weź sobie do pomocy Alfreda i dwóch Antonich i zanieście Alojzego ostrożnie do szpitala chorych sprzętów. Lekcji żadnych dzisiaj nie będzie, gdyż jestem zajęty. Jeśli nie będzie deszczu, możecie pójść z Mateuszem do parku.

Po tych słowach pan Kleks trochę jak gdyby się przykurczył i wyszedł z pokoju.

Bez chwili zwłoki przy pomocy trzech wyznaczonych kolegów zabrałem się do przenoszenia

Alojzego. Jakżeż wielkie jednak było moje zdziwienie, gdy okazało się, że niczyja pomoc nie jest mi potrzebna i że sam jeden z łatwością mogę unieść Alojzego. Był lekki jak piórko. Gdy trzymałem go na rękach, chłopcy otoczyli mnie ze wszystkich stron, pragnąc dokładnie się przyjrzeć. Gdyby nie zadziwiająca lekkość i martwota, Alojzy niczym właściwie nie różniłby się od żywego człowieka.

Kształt głowy, włosy, wyraz twarzy, układ ust, wilgotna powłoka oczu, zarys czoła, nosa i podbródka, ręce i paznokcie na palcach, wszystko to było tak naturalne, tak ludzako prawdziwe, że mało kto od pierwszego wejrzenia rozpoznałby w Alojzym lalkę.

Nawet masa, z której ulepiona była twarz i ręce, miała elastyczność i ciepło, właściwe tylko i wyłącznie ludzkiemu ciału.

Krótko mówiąc, wykonanie tej wspaniałej, niezwyklej lalki godne było najwyższego podziwu.

Zachwyt nasz nie miał granic, a przy tym pożerała nas ciekawość, czy pan Kleks zdoła Alojzego ożywić i jak ułożą się nasze stosunki z lalką, która stanie się sztucznym człowiekiem.

Anatol wtrącił się wreszcie do naszej rozmowy i bardzo uprzejmie zaczął wyjaśniać nam budowę lalki, którą kochał jak brata. Skorzystałem z tego, wyrwałem się kolegom i pobiegłem z Alojzym do pana Kleksa, który wyczekiwał już niecierpliwie w szpitalu chorych sprzętów.

– Połóż go na tym stole – rzekł do mnie – natychmiast zabierzemy się do roboty.

– A więc mogę tu zostać? – zapytałem nieśmiało.

– Owszem – odparł pan Kleks – potrzebna mi będzie pomoc.

Ponieważ nie jedliśmy jeszcze śniadania, pan Kleks po raz pierwszy poczęstował mnie pigułkami na porost włosów, po czym polecił mi, abym Alojzego rozebrał.

Okazało się, że tylko głowa i dłonie lalki ulepione były z cielesnej masy, wszystkie zaś pozostałe jej części pokrywała cienka warstwa miękkiego metalu o mieniącym się różowym połysku.

Pan Kleks wyjął z kieszeni spodni duży słoik z maścią i rzekł:

– Tą maścią będziesz nacierać Alojzego tak długo, aż pod metalową powierzchnią pojawią się naczynia krwionośne. Musisz uzbroić się w cierpliwość, gdyż nacieranie potrwa bardzo długo. Zaczynij od nóg, a ja zajmę się przez ten czas płucami i sercem.

Praca nasza trwała kilka godzin bez przerwy. Pan Kleks odśrubował blachę, która pokrywała klatkę piersiową lalki, i niestrudzenie majstrował w jej wnętrzu. Mnie od nacierania wprost omdlewały ręce, doprowadziłem jednak wreszcie do tego, że pod metalowym naskórkiem Alojzego pomału zaczęły się ukazywać liczne rozgałęzienia cieniutkich żyłek.

– Nogi mają już dosyć – rzekł po pewnym czasie pan Kleks nie patrząc wcale w moją stronę. – Zajmij się teraz rękami.

Zabrałem się wobec tego do wcierania maści w ramiona i dłonie Alojzego. Właśnie w tej chwili gdy pojawiły się już na nich naczynia krwionośne, rozległ się dźwięk dzwonka wzywającego na obiad.

Pan Kleks, purpurowy z napięcia i wysiłku, rozprostował plecy, przyśrubował z powrotem blaszaną pokrywę do klatki piersiowej lalki i rzekł do mnie z zadowoleniem:

– Doskonale! Świetnie! Idź teraz na obiad, a ja tymczasem popracuję nad mózgiem tego kawalera.

Z żalem opuściłem szpital chorych sprzętów i udałem się do jadalni. Pierwszy podbiegł do mnie Anatol, a za nim pozostali koledzy i zarzucili mnie tysiącami pytań:

– Czy Alojzy już chodzi?

– Czy mówi?

– Co robi pan Kleks?

– Kiedy zejdzie na dół?

– Co Alojzy ma w głowie?

– Czy Alojzy już myśli?

Opowiedziałem im dokładnie o wszystkim, co działo się w szpitalu chorych sprzętów, a potem szybko zabrałem się do jedzenia, aby co rychlej wrócić do przerwanej pracy.

Gdy byliśmy już przy deserze, drzwi od jadalni otworzyły się nagle.

Dwadzieścia pięć par oczu zwróciło się w ich kierunku.

W drzwiach stał Alojzy podtrzymywany przez pana Kleksa.

Stawiając niezręczne i płochliwe kroki, posuwał się z wolna naprzód, rozglądał się ciekawie dookoła i przesadnie gestykulował lewą ręką.

– Macie go! – zawołał z tryumfem pan Kleks. – Poznajcie się z waszym kolegą.

– Dzień dobry, Alojzy! – odezwał się pierwszy Anatol, olśniony widokiem lalki.

– Dzień do–bry – odrzekł Alojzy wymawiając z trudem każdą sylabę.

– Powiedz jak się nazywasz! – krzyknął mu w ucho pan Kleks.

– A–loj–zy Ku–ku–ku... – zaciął się Alojzy powtarzając monotonicznie i bez przerwy pierwszą sylabę swego nazwiska.

Pan Kleks otworzył mu usta, wsunął pod język dwa palce i szybko przykręcił jakąś śrubkę.

– No, spróbuj mówić teraz.

Lalka odetchnęła głęboko i powiedziała już nieco płynniej:

– A–loj–zy Ku–ku–ryk. Nazywam się A–loj–zy Ku–ku–ryk.

– Doskonale – klasnął w dłonie pan Kleks – doskonale! Siadaj teraz do stołu, a wy, chłopcy, dajcie mu coś do zjedzenia.

Alojzy takim samym powolnym, ostrożnym krokiem zbliżył się do stołu, siadł na krześle i rzekł bezdźwięcznym głosem:

– Daj–cie mi jeść.

Jeden z Antonich podsunął mu talerz z makaronem i podał widelec.

Alojzy ujął niezgrabnie widelec w garść i zabrał się do jedzenia. Znaczna część nabieranego makaronu wypadła mu z ust, resztę zaś powoli żuł i z trudem połykał.

– Smaczne – powiedział z bladym uśmiechem, gdy już opróżnił talerz.

Z zadziwiającą szybkością nabierał wprawę w jedzeniu, w ruchach i w mowie.

Po godzinie zaczął układać dłuższe zdania, a pod wieczór wdał się z panem Kleksem w rozmowę o Akademii.

Nazajutrz zaprowadziliśmy go do parku na spacer. Chodził już zupełnie poprawnie i próbował nawet gonić Anatola, ale zaczął się o własną nogę i upadł.

Jadł coraz staranniej, nauczył się trzymać w dłoniach nóż i widelec, a na trzeci dzień sam się umył, uczesał i ubrał.

Po tygodniu nikt nie byłby już w stanie rozpoznać w Alojzym zwyczajnej lalki powołanej do życia przez pana Kleksa.

HISTORIA O KSIĘŻYCOWYCH LUDZIACH

Gdy rano jak zazwyczaj przynieśliśmy panu Kleksowi nasze senne lusterka, pan Kleks rzekł do nas bardzo poważnie:

– Słuchajcie, chłopcy! Jutro punktualnie o jedenastej rano odbędzie się wielka uroczystość w naszej Akademii. Domyślcie się zapewne, o co chodzi. Otóż opowiem wam, co moje prawe oko widziało na księżycu, czyli historię o księżycowych ludziach. Na uroczystość tę zaprosiłem sąsiednie bajki. Powiększyłem trzykrotnie salę szkolną, aby wszyscy mogli się w niej pomieścić. Cały dzisiejszy dzień przeznaczam na przygotowania. Chciałbym, abyście wyglądali schludnie i czysto. Poza tym proszę, abyście zajęli się uporządkowaniem parku i Akademii. Mateusz udzieli wam niezbędnych wskazówek. Ja przez ten czas przygotuję odpowiedni poczęstunek dla gości. Proszę mi nie przeszkadzać i nie wchodzić do kuchni. Czy mogę na was liczyć?

– Tak jest, panie profesorze! – zawołaliśmy chórem.

Niezwłocznie zabraliśmy się do roboty.

Jedni z nas trzepali fotele i dywany, inni zaciągali i froterowali podłogi, myli okna, uprząтали ścieżki, pucowali obuwie, kąpali się, jednym słowem, w Akademii zawrzało jak w ulu.

Mateusz bez przerwy krążył nad nami, zaglądał w najmniejsze szpary, poganiał nas i sprawdzał to, cośmy zrobili.

Zdawało się, że wszystko idzie jak najlepiej i że nic nie jest w stanie zakłócić panującej w Akademii harmonii.

Stało się jednak inaczej.

Na świeżo zafroterowanej posadzce w gabinecie pana Kleksa pojawiła się nie wiadomo skąd kałuża atramentu. Z poduszek, które wietrzyły się na dziedzińcu, zaczęły się nagle unosić tumany pierza. Obsiadło ono dywany, meble i nasze ubrania, tak że ledwo mogliśmy się potem doczyścić. Okazało się, że czyjaś niewidzialna ręka poprzecinała poduszki nożem. Ale to jeszcze nie koniec. W sypialni naszej ni z tego, ni z owego pojawiły się ogromne ilości sadzy. Fruwała po pokoju opadając na czystą pościel i bieliznę. Gdy jeden z Adamów usiadł na otomanie rozdarł sobie spodnie, gdyż z otomany sterczały ostre gwoździe.

Krzesła ktoś złośliwie wysmarował klejem. W łazience nie wiadomo kto poodkręcał wszystkie krany i woda zalała nie tylko całą łazienkę, ale i kuchnię, wskutek czego pan Kleks musiał włożyć na nogi głębokie kalosze.

Nie mogliśmy w żaden sposób ustalić, kto tu jest winowajcą. Byliśmy wściekli, że cała nasza praca idzie na marne, i podejrzliwie spoglądaliśmy jeden na drugiego.

Po południu jednak bomba wreszcie pękła.

Artur, wchodząc po schodach na pierwsze piętro, spostrzegł przypadkowo przez uchylone drzwi Alojzego, który nożyczkami przecinał druty elektryczne. Pobiegł więc szybko po mnie i obaj niespodzianie wpadliśmy do pokoju. Alojzy roześmiał się głupio, ale nie przerywał bynajmniej swojego zajęcia.

Wyrwałem mu z rąk nożyczki. Tak go to rozgniewało, że kopnął stojący obok stół i wywrócił go wraz ze wszystkim, co na nim stało.

– Alojzy, opamiętaj się – rzekł Artur.

– Nie chcę się opamiętać! – zawołał Alojzy. – Będę wszystko niszczył, bo tak mi się podoba! To ja wylałem atrament w gabinecie, to ja podziurawiłem poduszki, to ja napuściłem sadzy do sypialni! I co mi zrobicie? Nic. A jeśli będziecie mi się sprzeciwiali, podpale całą tę budę i już!

Przerażeni pobiegliśmy do kuchni do pana Kleksa i opowiedzieliśmy mu o łobuzerskich wybrykach Alojzego.

Pan Kleks upuścił na podłogę tort, który trzymał właśnie w rękach, i zasepił się bardzo.

– Przewidziałem, że z tym Alojzym będą nieprzyjemności – rzekł z zakłopotaniem. – Trudno. Dajcie mu, chłopcy, spokój, to nie jest wina jego, lecz mechanizmu. Tak jak nastawia się budzik na pewną godzinę, można również nastawić mechaniczną lalkę na wykonywanie pewnych czynności. Czuję w tym sprawę Filipa. Ale jestem zupełnie bezsilny. Rozumiecie? Jestem bezsilny.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym pan Kleks ciągnął dalej:

– Nie znam mechanizmu Alojzego. Jest to sekret Filipa, który go skonstruował. Dlatego też musimy być dla Alojzego wyrozumiali i cierpliwi. W gruncie rzeczy prześcignął was wszystkich. Jest po prostu cudownym tworem. Nauczył się już w Akademii wszystkiego i umie nawet mówić po chińsku. Zdaje mi się, że dosłownie zjadł mój słownik chiński, bo nigdzie go nie mogę znaleźć. Idźcie do swojej pracy. Myślę, że Alojzy sam wreszcie się uspokoi, gdy zobaczy, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Wyszliśmy z kuchni bardzo strapieni. O ile Anatol był miłym chłopcem i dobrym kolegą, o tyle Alojzy od dłuższego już czasu dokuczał nam swymi drwinami i docinkami. Kpił sobie ze wszystkich i ze wszystkiego, odnosił się z lekceważeniem do pana Kleksa, po nocach nie dawał nam spać, a Mateuszowi przy każdej sposobności wrywał pióra z ogona. Początkowo znosiliśmy cierpliwie jego wybryki, potem jednak zaczęliśmy go unikać, tak że wolny czas musiał spędzać samotnie albo z Anatolem, którego nieustannie dręczył, potrącał i szczypał.

Był antypatycznym, obrzydliwym chłopcem, chociaż istotnie nie można było mu odmówić

niezwykłych zdolności, inteligencji i sprytu.

Trzeba go było za wszelką cenę na jakiś czas unieszkodliwić, dlatego też poświęciłem się dla dobrej sprawy i zaproponowałem mu, aby poszedł ze mną do parku na szczygły.

Alojzy zgodził się, wobec czego urwaliśmy kilka gałązek ostu na przynętę, przygotowaliśmy pętlice z końskiego włosia i zastawiliśmy sidła, sami zaś przyczailiśmy się w pobliskich krzakach.

– Nudno mi – rzekł szeptem Alojzy. – Jesteście głupcy, jeśli możecie wytrzymać z tym waszym panem Kleksem. Przy pierwszej sposobności ucieknę stąd i wyjadę do Chin. Właśnie nigdzie indziej, tylko do Chin. Tak sobie postanowiłem.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, on zaś snuł dalej swoje zwierzenia.

– Nie prosiłem pana Kleksa, aby uczył mnie myśleć. Mogłem bez tego się obejść. Wiem, że jestem zupełnie niepodobny do was, chociaż na pozór niczym się od was nie różnię. Właściwie nie cierpię was wszystkich, a na pana Kleksa nie mogę patrzeć. Zobaczysz, co ja jeszcze narobię. Długo będziecie mnie pamiętali.

Mówił coraz głośniej, wreszcie jednak uspokoił się, oparł głowę na rękach i po chwili usnął.

Skorzystałem z tego, wypuściłem złapanego szczygła i cicho stąpając na palcach, pobiegłem do Akademii.

Chłopcy kończyli już swoje zajęcia. Pokoje i sale lśniły czystością, aż przyjemnie było spojrzeć.

Zjedliśmy wcześniej kolację i poszliśmy spać.

Alojzego nie było i nikt nawet o niego się nie zatroszczył. Postanowił widocznie spędzić noc w parku, czemu wcale się nie dziwiłem, gdyż wiedziałem, że ciało jego nie odczuwa chłodu.

Nazajutrz wystroiliśmy się od rana i oczekiwaliśmy przybycia bajek. Pan Kleks po raz pierwszy włożył na siebie zamiast zwykłego swego surduta tabaczkowy frak z zielonymi wyłogami i w milczeniu przechadzał się po Akademii. Był cokolwiek mniejszy niż dnia poprzedniego, ale w nowym stroju zmiana ta była ledwie dostrzegalna.

Już o godzinie dziesiątej zaczęli nadchodzić zaproszeni goście. Park zaludnił się mnóstwem najrozmaitszych postaci, jakie dzisiaj można oglądać tylko w teatrze lub w kinie.

Aczkolwiek była to już późna jesień, w parku przygrzewało słońce i klomby oraz kwietniki nagle pozakwitały.

Przed ganek zajeżdżały powozy i złocone karety, w powietrzu latające dywany i skrzynie furkotały jak samoloty. Przeróżne królowny i księżniczki ciągnęły w otoczeniu swoich dworzan i paziów. Gnomy i krasnoludki roily się na ścieżkach, jak owe żaby po spuszczeniu stawu przez pana Kleksa. Przybywały też zwierzęta znane z niektórych bajek, a więc kot w butach, kura znosząca złote jajka, niedźwiadek Miś, Koziołek Matołek, Kaczka Dziwaczka, lis–przechera, czapla i żuraw, a nawet konik polny i mrówka. Rusałka jechała w szklanym powozie napełnionym wodą, a dookoła niej pluskały się złote rybki. Nie brak też było Arabów, Indian i Chińczyków oraz innych najrozmaitszych cudzoziemców z bajek i opowieści różnych ludów.

Pan Kleks witał wszystkich przy wejściu do Akademii, a co najdziwniejsze, każdego znał osobiście.

Muszę również stwierdzić, że najwspanialszi nawet królewicze okazywali panu Kleksowi szczególny szacunek i jego zaproszenie uważali dla siebie za zaszczyt. Widząc to, doznawałem uczucia dumy, że jestem uczniem takiego znakomitego człowieka.

Sala szkolna, po rozszerzeniu jej przez pana Kleksa, stała się tak obszerna, że wszyscy goście pomieścili się w niej z łatwością, a gdyby miało ich być nawet trzy lub cztery razy więcej, na pewno dla nikogo nie zabrakłoby miejsca.

Mnie wraz z pozostałymi chłopcami przypadło w udziale zajmowanie się gośćmi. Roznosiliśmy więc na srebrnych tacach i półmiskach przyrządzone przez pana Kleksa przysmaki. Były tam różne torty i ciastka, czekoladki, kwiaty i owoce w cukrze, pierniki, lody, kremy, winogrona i orzechy, wyśmienite przysmaki wschodnie dla bajek arabskich, napoje gorące i zimne, a nawet kompot i cukierki z kolorowych szkiełek, z motyli i z pelargonii.

Dla znawców i smakoszków przygotowane były również pigułki na porost włosów, sny w pastylkach oraz zielony płyn.

Żabka Podajłapka usadowiła się za moim uchem i podszeptowała mi, kogo i jak mam obsłużyć, co bardzo ułatwiło mi pracę.

Kiedy wszystkie zaproszone bajki już się zebrały i zajęły miejsca, ustawiliśmy się pod ścianami. Punktualnie o godzinie jedenastej pan Kleks wszedł na katedrę. W swym tabaczkowym fraku, z Mateuszem na ramieniu, z rozwianym włosiem i mnóstwem galowych piegów na nosie wyglądał wspaniale.

Salę zaległa cisza.

Pan Kleks odchrząknął i zaczął swoją opowieść:

– Daleko, daleko, za borem, za rzeką, gdzie już nikt nie mieszka, biegnie wąska ścieżka. Ścieżka biegnie w górę przez kosmatą chmurę, przez białe obłoki biegnie w świat wysoki, gdzie w

dali podniebnej wisi księżyc srebrny. Moje prawe oko bywało wysoko, wszystko, co widziało, mnie opowiedziało.

Cała powierzchnia księżyca pokryta jest górami z miedzi, srebra i żelaza. Góry poprzecinane są we wszystkich kierunkach długimi, krętymi korytarzami, od których prowadzi niezliczona ilość drzwi do leżących wzdłuż korytarzy pieczar.

Mieszkają w nich księżycowi ludzie, którzy nazywają się Lunnami.

Na powierzchni księżyca panuje wieczysty mróz, dlatego też Lunnowie nigdy nie opuszczają wnętrza gór. Snują się nieustannie po swoich korytarzach, wędrują z piętra na piętro, zapuszczają się w głąb swojej planety, drążą niestrudzenie metalowe ściany i prowadzą pracowite życie mrówek.

Roślinności na księżycu nie ma żadnej, nie ma też żadnych innych żywych istot prócz Lunnów.

Lunnowie nie posiadają ani ciała, ani kości. Utworzeni są z mglistej miazgi podobnej do obłoków i mogą przybierać najrozmaitsze, dowolne kształty. Miazga ta pokryta jest przezroczystą elastyczną powłoką, przypominającą żelatynę.

Wszyscy Lunnowie mają naczynia ze szkła, w którym spędzają czas wolny od pracy. Każde z tych naczyń posiada odrębny kształt, dzięki czemu Lunnowie mogą wyodrębnić się jedni od drugich.

Mieszkania Lunnów wypełnione są dziwacznymi sprzętami z żelaza i miedzi. Są to przeróżne krażki, płytki, talerze, misy, poustawiane na trójnogach lub pozawieszane na ścianach.

Światła Lunnowie nie posiadają, natomiast sami promieniują w miarę potrzeby. Żywią się zielonymi kulkami, które wybierają z miedzi. Wydają dźwięki podobne do uderzeń srebrnych dzwonek i doskonale w ten sposób porozumiewają się między sobą.

Lunnowie poruszają się podobnie jak obłoki, to znaczy – płynąc. Do pracy nie używają żadnych narzędzi i we wszystkim, co robią, posługują się różnymi promieniami, które z siebie wydzielają.

Tacy są księżycowi ludzie zwani Lunnami.

Na południu półkuli księżyca, w Wielkiej Srebrnej Górze, mieszka władca Lunnów, potężny i groźny król Niesfor. On jeden tylko osiągnął taki stopień doskonałości, że utracił swą przezroczystość i ukształtował swe płynne ciało bez potrzeby uciekania się do szklanego naczynia. Król Niesfor podobny jest do człowieka ziemskiego, ma nawet ręce i nogi, brak mu tylko twarzy, dlatego też głowa jego posiada formę gładkiej kuli.

Król Niesfor nigdy nie wypuszcza z dłoni wąskiego, długiego miecza. Gdy który z Lunnów narazi się na jego gniew, przekłuwa go ostrzem swej klingi.

Wtedy z żelatynowej powłoki wypływa promienista miazga i ulatnia się w jednej chwili. Powłokę przekłutego Lunna król Niesfor zabiera do swego srebrnego pałacu i chowa do żelaznej skrzyni.

Pewnego dnia król Niesfor przełamał obyczaje swojego ludu i wyszedł na powierzchnię Srebrnej Góry. Wtedy właśnie stała się rzecz, której nikt nie był w stanie przewidzieć... – w tym miejscu pan Kleks przerwał i uważnie czegoś nasłuchiwał.

Po chwili zaczął zdradzać zaniepokojenie, które wyraźnie udzieliło się wszystkim obecnym. Z parku dolatywały krzyki, trzask łamanych gałęzi, brzęk tłuczonych szyb. Widocznie zaszło coś szczególnego.

Zgiełk przybliżał się coraz bardziej, aż nagle drzwi do sali rozwarły się z łoskotem i w progu stanął Alojzy.

Był rozczochrany, brudny, ubranie miał pomięte. W dłoni trzymał sękaty kij.

Na twarzy jego malowała się wściekłość.

– A cóż to znaczy, panie Kleks?! – zawołał głosem, który zamroził i przeraził wszystkich. – Zachciało się wam urządzać zabawy beze mnie! Co? Mnie się zostawiło szczygłom na pożarcie, a tu przez ten czas opowiada się bajeczki! Czego się gapicie na mnie, wy wszyscy? Fora ze dwora! Wynosić się stąd, pókim dobry!

Przy tych słowach zaczął wymachiwać kijem nad głowami wystraszonych gości.

Pan Kleks zaniemówił, spoglądał przed siebie szklanym wzrokiem i nerwowo szarpał brwi.

Alojzy bez żadnych przeszkód buszował po sali, wreszcie zbliżył się do stołu zastawionego przysmakami pana Kleksa i z całych sił uderzył w stół kijem. Rozległ się trzask, odłamki porcelany i szkła posypały się we wszystkie strony, a kremy i napoje ochlapały najbliższej siedzących gości.

Anatol usiłował obezwładnić Alojzego, ale jednym pchnięciem pięści został obalony na podłogę.

Powstał popłoch nie do opisania.

Jedna królewna i dwie małe księżniczki zemdlały, pozostali zaś goście pozrywali się z miejsc i zaczęli uciekać drzwiami i oknami.

Pan Kleks stał nieruchomo jak słup soli, skurczył się tylko nieco i ze smutkiem spoglądał na Alojzego.

– Hej! Panowie, panowie! – krzyczał Alojzy – może byście się tak trochę pospieszyli? Zmykaj, Kaczko Dziwaczkco, bo cię zjem na obiad! Uciekaj, mrówko, bo cię rozdepczę! Teraz ja się bawię, cha–cha–cha!

Z ciżby tłoczących się do drzwi gości wysunęła się nagle piękna blada pani o dumnej postawie. Podeszła do Alojzego i rzekła doń stanowczym głosem:

– Jestem Wieszczką lalek. Żądam od ciebie, abys natychmiast opuścił salę!

– Ale Alojzy nie był już zwykłą lalką i dlatego Wieszcza nie miała nad nim władzy. Roześmiał się jej szyderczo w twarz, odwrócił się plecami i rozpychając się brutalnie, zawołał:

– To jeszcze nie koniec, panie Kleks! Odechce się panu pańskich bajeczek! Z pańskiej Akademii zostaną trociny. Rozumie pan? Tro–ci–ny!

Alfred, nie mogąc znieść tej sceny, rozplakał się.

Inni chłopcy stali przerażeni i spoglądali na pana Kleksa. Ja dygotałem wprost z oburzenia i uczucia przykrości.

Sala stopniowo opróżniała się, aż wreszcie opustoszała całkiem.

Z parku dolatywał turkot odjeżdżających powozów i karet. Zemdloną królowną wynieśli jej paziowie na rękach.

Zostaliśmy sami z panem Kleksem znieruchomiałym i zapatrzonym przed siebie.

Tymczasem sala zmniejszyła się i powróciła do zwykłych swoich rozmiarów, niebo zachmurzyło się i znowu zaczął padać drobny jesienny deszcz.

Alojzy z miną pełną zadowolenia rozsiadł się w fotelu na wprost pana Kleksa i wyzywająco gwizdał.

Wreszcie pan Kleks się ocknął. Rozejrzał się po pustej sali, popatrzył na nas, stojących pod ścianami, potem na Alojzego i rzekł spokojnie, jak gdyby nigdy nic:

– Szkoda, chłopcy, że nie mogłem opowiedzieć do końca historii o księżycowych ludziach. Będę musiał odłożyć to do innej książki! Trudno. Zdaje się, że czas już na obiad. Prawda, Mateuszu?

– Awda, awda! – zawołał Mateusz i pofrunął w kierunku jadalni.

Nie zwracając uwagi na Alojzego, pan Kleks przeszedł obok niego, uniósł się w powietrze i popłynął w ślad za Mateuszem, przytrzymując rękami rozwiewające się poły swego tabaczkowego

fraka.

Taki to był wspaniały człowiek!

SEKRETY PANA KLEKSA

Kiedy przed półrokiem zacząłem pisać ten pamiętnik, wcale nie przypuszczałem, że zajmie on tyle miejsca i że będę miał do opisanego tak wiele rozmaitych, przedziwnych wydarzeń.

Ostatnio zaś wypadki potoczyły się tak szybko, że trudno mi wprost uporządkować je w pamięci.

Najważniejsze jest to, że z panem Kleksem od pewnego czasu zaczęły się dziać rzeczy całkiem niezrozumiałe.

Przede wszystkim więc zauważyliśmy wszyscy, że coś popsuło się w jego powiększającej pompce. Jak już wspomniałem przedtem, odbiło się to w sposób widoczny na jego wzroście: pan Kleks z każdym dniem stawał się odrobinę mniejszy i nigdy już nie mógł osiągnąć wzrostu z dnia poprzedniego. Wprawilo go to w stan zdenerwowania, coraz bardziej był roztargniony i zamyślał się w chwilach najmniej stosownych. Któregoś dnia zamyślił się wjeżdżając po poręczy do góry i przez parę godzin siedział na niej okrakiem pomiędzy dwoma piętami. Innym razem, fruując nad stołem z polewaczką w ręce, zapomniał, że jest w powietrzu, i zadumał się tak głęboko, że spadł na półmisek z pieczenią baranią, czego wcale nie zauważył.

Od pewnego czasu ubytek wzrostu pana Kleksa stał się wprost zatrważający. Alfred, który był najmniejszy spośród nas, przewyższał go niemal o głowę.

– Zobaczycie, że jeśli tak dalej pójdzie, za miesiąc w ogóle nie będzie już pana Kleks – drwił sobie na głos Alojzy.

Muszę zaznaczyć, że to, co Alojzy wyprawiał w Akademii, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Po awanturze z bajkami nikt już nie mógł sobie z nim poradzić, a pan Kleks puszczał mu płazem wszystkie wybryki.

Alojzy wstawał, kiedy chciał, opuszczał wykłady, na sennych lusterkach malował karykatury pana Kleksa, bez pytania wchodził do kuchni i wrzucał do garnków żaby i pająki, podziurawił igłą baloniki pana Kleksa i wszystkim nam nieustannie dokuczał. Nienawidziliśmy go i doznawaliśmy uczucia ulgi, gdy Alojzy zasypiał albo wychodził do parku.

Pan Kleks na wszystko mu pozwalał, tak jak gdyby się bał. Mało tego – w miarę jak wzrastało zuchwalstwo Alojzego, słabła władza i powaga pana Kleksa. Coraz częściej zaniedbywał kuchnię i zapominał o naszych obiadach, nie dbał zupełnie o swoje piegi, a nawet przestał zażywać pigułki na porost włosów, wskutek czego całkiem niemal wyłysiał i stracił zarost na twarzy.

Ale dziwna przemiana dotknęła nie tylko samego Kleksa. Również gmach Akademii skurczył się nieco, pokoje zrobiły się niższe, meble i sprzęty zmniejszyły się, a łóżka stały się krótsze. Park, który dotąd przypominał rozległą puszcę, zmalął i przeredził się, a potężne dęby i buki

przeistoczyły się w małe i niepozorne drzewa.

Przemiana ta odbywała się oczywiście stopniowo i bardzo powolnie, jednak po miesiącu stała się już tak widoczna, że wszyscy odczuwaliśmy smutek i lęk.

Jeden tylko Alojzy nie tracił animuszu, śpiewał na cały głos, gwizdał, trzaskał drzwiami, wybijał kamieniami kolorowe szyby, drażnił Mateusza i chwilami stawał się nie do zniesienia.

Pan Kleks przyglądał mu się w milczeniu, drapał się z zakłopotaniem w łysinę i co pewien czas usypiał zapominając nieraz po przebudzeniu napić się zielonego płynu.

Zrozumieliśmy, że zbliża się koniec naszej Akademii.

W Wigilię Bożego Narodzenia pan Kleks zebrał nas wszystkich w sali szkolnej i rzekł do nas ze smutkiem w głosie:

– Drodzy moi chłopcy, nie mogliście nie zauważyć tego, co dzieje się dookoła was. Widzicie, jak od pewnego czasu zmałałem. Mówiąc do was, muszę stać, ażebyście mnie mogli widzieć zza katedry. Wszystko, co was otacza, zmniejsza się i maleje. Rozumiecie chyba sami, jaka jest tego przyczyna. Ot, po prostu i zwyczajnie bajka o mojej Akademii dobiega końca. Bądźcie przygotowani na to, że Akademia ta w ogóle przestanie istnieć, a i ze mnie prawie nic nie pozostanie. Przykro mi będzie rozstać się z wami. Spędziliśmy wspólnie cały rok, było nam wesoło i przyjemnie, ale przecież wszystko musi mieć swój koniec.

– A co z nami się stanie, panie profesorze? – zawołał Anastazy tłumiąc płacz.

Pan Kleks spojrzał nań z rozczeniem i rzekł:

– Mój Anastazy, każdy z was ma swój dom, do którego wróci. W każdym razie pamiętaj o jednym: dziś w o północy obowiązkowo otwórz bramę, po czym klucz wrzuć do stawu. Znajdziesz przy brzegu przeręblę, którą specjalnie w tym celu wyrąbałem w lodzie. Na tym zakończy się właśnie bajka o Akademii pana Kleksa.

Wszystkim nam zrobiło się niezmiernie smutno. Otoczyliśmy Pana Kleksa i całowaliśmy go po rękach, które stały się już tak małe, jak ręce dziecka.

Pan Kleks obejmował nas serdecznie, potrząsał swoją łysą główką i nieznacznie ocierał łzy z oczu.

Była to bardzo wzruszająca scena, którą przez całe życie zachowałem w pamięci.

Tymczasem nadszedł wieczór. Za oknami padał śnieg i pełno płatków śnieżnych migotało na szybach.

Pan Kleks otworzył lufcik, spojrział w niebo i rzekł do nas z łagodnym uśmiechem:

– No, dosyć, chłopcy, przestańcie się rozrzewniać! Przygotowałem dla was niespodziankę wigilijną, chodźcie ze mną na górę.

Pan Kleks lekko jak piórko wśliznął się po poręczy, my zaś podążyliśmy za nim przeskakując po kilka schodów na raz. Gdy zebraliśmy się już wszyscy na drugim piętrze, pan Kleks wyjął pęk kluczy i otworzył nimi drzwi od pokojów, które dotąd stale były pozamykane. Mrok jednak zapadł tak szybko, że nic nie mogliśmy w ciemnościach rozpoznać.

Pan Kleks wyjął tajemniczo z ogniotrwałej kieszonki płomyk świecy i wszedł do jednego z pokojów.

Po chwili pojawiły się w głębi światelka i niebawem rozlała się dookoła niezwykła jasność. Byliśmy olśnieni. Pośrodku ogromnej sali stała wspaniała choinka, rozświetlona setkami płonących świeczek i przepysznie ubrana ślicznymi zabawkami, łańcuchami, złotymi i srebrnymi nićmi, płatkami szklanego śniegu i mnóstwem najrozmaitszych ozdób. Choinkę otaczały pięknie nakryte stoły, uginające się pod ciężarem półmisek, salaterek i waz.

W uroczystym nastroju zasiedliśmy do wieczerzy.

Rozglądając się wkoło, spostrzegłem, że byliśmy w tej samej sali, w której poprzednio mieścił się szpital chorych sprzętów. Rozpoznałem też większość otaczających mnie mebli. Były to stoły, krzesła, stoliki, zegary, które jeszcze niedawno przypominały stare rupiecie, teraz zaś, wyleczone przez pana Kleksa, lśniły, połyskiwały świeżutką politurą i wyglądały jak nowe.

Pan Kleks wbrew dotychczasowym zwyczajom siedział wśród nas i zjadał z apetytem przeróżne gatunki ryb piętrzących się na półmiskach.

Po wieczerzy zebraliśmy się wszyscy dookoła choinki, gdyż pan Kleks przygotował dla nas gwiazdkowe podarunki, które nam rozdawał niczym święty Mikołaj.

Gdy przyszła kolej na Alojzego, okazało się, że nie ma go pośród nas, i nagle stwierdziliśmy, że nie było go również podczas wieczerzy.

Pan Kleks zaniepokoił się bardzo.

– Gdzież jest Alojzy? Co się z nim stało? Mateuszu, leć czym prędzej i szukaj Alojzego.

Anatol przerażony zerwał się z krzesła.

– Panie profesorze – zawołał – ja wiem, gdzie on jest! Prosiłem go i błagałem, żeby tego nie robił. Nie chciał mnie usłuchać.

Pan Kleks podbiegł do Anatola i, blady jak płótno, wpił się palcami w jego ramię:

– Mów! Mów! Gdzie jest Alojzy?!

– Alojzy jest w sekretach pana profesora – wyszeptał Anatol drżącym głosem i bez sił opadł na krzesło.

Spojrzałem odruchowo na sufit. Z góry wyraźnie dobiegały odgłosy czyichś kroków.

Pan Kleks jednym susem znalazł się przy oknie, otworzył lufcik i wypłynął na zewnątrz.

Zrozumieliśmy, że stała się rzecz straszna. Żaden z nas nie ośmieliłby się nigdy wdrzeć do sekretów pana Kleksa. Wiedzieliśmy, że za coś podobnego groziło, poza innymi karami, wypędzenie z Akademii. Zresztą zbyt szanowaliśmy pana Kleksa, aby którykolwiek z nas odważył się przekroczyć jego surowy zakaz. Na to mógł sobie pozwolić tylko Alojzy, ta zniechęcona przez wszystkich, zuchwała, zarozumiała i przemądrzała lalka.

W ogromnym napięciu oczekiwaliśmy dalszego rozwoju wypadków.

Gdy tak trwaliśmy pełni niepokoju, rozmawiając szeptem między sobą, nagle drzwi otworzyły się i do sali wpadł Alojzy, cały wysmarowany sadzą, niosąc w dłoniach niewielką hebanową szkatułkę.

– Mam sekrety pana Kleksa! – zawołał zdyszany. – Zaraz je obejrzymy! Patrzcie, oto są sekrety, cha–cha–cha!

Z tymi słowy postawił szkatułkę na stole, otworzył ją wytrychem i wysypał z niej kilkanaście porcelanowych tabliczek, zapisanych drobnym chińskim pismem.

Nie rozumieliśmy, co to znaczy. Nikt z nas nie znał chińskiego. Byliśmy oszołomieni niezwykłym wyglądem Alojzego i jego zuchwalstwem.

– Ja jeden tu czytam po chińsku! – wołał Alojzy. – Ja jeden potrafię odkryć sekrety pana Kleksa. Dowiemy się wreszcie, kim jest ten napuszony dziwak! Cha–cha–cha!

Naraz w otworze lufcika ukazała się blada, wykrzywiona twarz pana Kleksa. Kiedy wpłynął do sali, był o połowę mniejszy niż przedtem. Miał po prostu wzrost pięcioletniego chłopca.

Alojzy widząc, że nie zdąży odczytać tajemniczych chińskich tabliczek, zmiótł je jednym zamachem ręki ze stołu na podłogę i począł je deptać z całych sił obcasami, aż potłukł je i starł na drobny proszek.

Nikt nie zdążył mu przeszkodzić w tym dziele zniszczenia.

– Zniszczyłeś moje sekrety, Alojzy – rzekł pan Kleks głosem spokojnym, lecz surowym. – Wobec tego ja zniszczę ciebie. Jesteś dziełem moich rąk i z rąk moich zginiesz.

Po tych słowach włożył do ucha powiększającą pompkę, nacisnął ją parokrotnie, połknął kilka pigułek na porost włosów i po chwili stał się dawnym, wspaniałym panem Kleksem.

Brawura i zuchwalstwo Alojzego znikły bez śladu.

Pan Kleks wyjął z jednej z szaf dużą skórzaną walizkę, otworzył ją i postawił na stole. Następnie zbliżył się do Alojzego i nie mówiąc ani słowa, posadził go na stole obok walizki. Przygotowaniom tym przypatrywaliśmy się z zapartym oddechem. Po chwili pan Kleks objął dłonią prawe ramię Alojzego, odśrubował je i bezwładną zupełnie rękę włożył do walizki. W podobny sposób odkręcił również drugą rękę oraz nogi i wrzucił na dno walizki. Na stole pozostał jedynie kadłub z głową.

Alojzy milczał, śledząc z przerażeniem czynności pana Kleksa.

Pan Kleks ujął go tymczasem oburącz za głowę i pokręcił nią w lewą stronę. Śruba lekko ustąpiła i niebawem głowa Alojzego została oddzielona od tułowia. Wówczas pan Kleks odśrubował ciemię i wysypał z głowy całą jej zawartość. Były tam litery, płytki dźwiękowe, szklane rurki oraz mnóstwo kółek i sprężynek.

Wreszcie pan Kleks rozebrał na części tułów Alojzego, części te ułożył wraz z głową w walizce i walizkę zamknął.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą: Alojzy – ta niegodziwa karykatura człowieka – przestał istnieć.

Jeden tylko Anatol miał łzy w oczach.

– Mój Boże – szeptał – mój Boże, co teraz powiem Filipowi? Przecież kazał mi pilnować i strzec Alojzego. Taka piękna lalka... Taka piękna!

Tymczasem pan Kleks na nowo skurczył się i zmałał. Zwrócił do nas swoją twarzą dziecka i rzekł:

– Nie przejmujcie się, chłopcy, tym wszystkim. Domyślałem się, że takie właśnie będzie zakończenie naszej bajki. Niebawem będzie już po wszystkim. Alojzy wykradł mi moje sekrety. Na tych porcelanowych tabliczkach, które podepał i potłukł, wypisana była cała wiedza, którą przekazał mi doktor Paj–Chi–Wo. Skończyło się odtąd gotowanie kolorowych szkiełek, unoszenie się w powietrzu, odgadywanie waszych myśli, powiększanie przedmiotów, leczenie chorych sprzętów. Utraciłem wszystkie moje umiejętności, z których słynałem w sąsiednich bajkach i które wślawiły mnie i moją Akademię. Zamiast jednak martwić się, zaśpiewajmy sobie lepiej kolędę. Zgoda?

Zanim pan Kleks zdążył zaintonować pieśń, otworzyły się drzwi i wszedł fryzjer Filip. Czapkę i futro miał pokryte śniegiem. Był czerwony od mrozu i wściekłości.

– Czemuż to nie otwieracie bramy? – wołał trzęsąc się z gniewu. – Musiałem przełazić przez mur, żeby się do was dostać. Durnie! Dostyc mam tej całej waszej Akademii! Anatolu, zabieram cię do domu. Gdzie Alojzy?

Anatol nieśmiało zbliżył się do Filipa.

– Alojzy... Alojzy... tam... w tej walizce – wybełkotał z przerażeniem w głosie.

Filip podbiegł do walizki, otworzył ją, spojrzał i zachwiał się na widok zepsutej lalki.

– A więc tak, panie Kleks! – syknął przez zęby. – Tak pan dotrzymał naszej umowy? Dwadzieścia lat pracowałem nad moją lalką, znosiłem panu piegi i kolorowe szkiełka, oddałem panu cały mój majątek, aby mógł pan stworzyć tę głupią Akademię. Miał pan za to z Alojzego zrobić człowieka. I co pan zrobił? Zmarnował pan cały trud, cały wysiłek mojego życia! Nie ujdzie to panu płazem, nie, panie Kleks. Ja panu pokażę, co potrafi Filip, kiedy chce się zemścić. Ja panu pokażę!

Po tych słowach wyjął z bocznej kieszeni długą brzytwę, otworzył ją i zbliżył się do choinki.

Pan Kleks obserwował go w milczeniu i stał się tylko jeszcze mniejszy, aniżeli był przedtem.

Filip, nie powstrzymywany przez nikogo, zabrał się do roboty. Ostrzem brzytwy obcinał po kolei wszystkie płomyki świec jarzących się na choince i chował je do kieszeni futra.

W miarę znikania płomyków w sali poczęło się ściemniać, aż wreszcie zapadł zupełny mrok. Co się działo dalej, nie wiem. Ogarnięty trwogą wybiegłem na schody i nie wiedząc nawet kiedy i jak znalazłem się na dziedzińcu.

Była piękna, mroźna noc grudniowa. Śnieg przestał padać i w świetle księżyca iskrzyła się jego biel.

Cała Akademia, jej mury i park widoczne były jak na dłoni.

Mignęła mi przed oczami postać Anastazego, a po chwili usłyszałem zgrzyt zamka. Anastazy otworzył bramę i jak przez sen zobaczyłem przesuwające się przede mną wydłużone cienie moich kolegów.

Chciałem krzyknąć: "Do widzenia, chłopcy!", ale głos zamarł mi w krtani.

POŻEGNANIE Z BAJKĄ

Księżyc raził mnie w oczy i oblewał swoim tajemniczym blaskiem.

Usiadłem na ławce, gdyż poczułem nagle okropne znużenie. Całym wysiłkiem woli panowałem nad sobą, aby nie usnąć.

W tej samej jednak chwili uderzyła mnie rzecz niezwykła: gmach Akademii nie był już dawnym wspaniałym gmachem. Nie spostrzegłem zupełnie, że zmniejszył się o połowę i nadal kurczył się w moich oczach. To samo stało się z parkiem i z otaczającym go murem.

Szumiało mi w uszach, a przed oczami fruwały czerwone płatki.

Gmach Akademii zmniejszał się bez przerwy.

Gdy był już wielkości zwyczajnej szafy, z drzwi jego wyszła jakaś maleńka postać która zbliżyła się do mnie. Był to pan Kleks. Taki sam pan Kleks, jakim widziałem go niegdyś w szklance.

Tymczasem niebo nade mną się obniżyło i księżyc wisiał na nim jak lampa na suficie. Mur otaczający Akademię przybliżył się i wyraźnie rozróżniałem w nim furtki prowadzące do sąsiednich bajek.

Czas upływał i wszystko dokoła mnie kurczyło się coraz bardziej. Powieki mi się kleiły i ogarnęła mnie taka senność, że niepostrzeżenie usnąłem.

Gdy po chwili otworzyłem oczy, przeobrażenie otaczających mnie przedmiotów dobiegało końca.

Znajdowałem się w pokoju oświetlonym z góry dużą kulistą lampą. Gmach Akademii przemienił się w klatkę, w której siedział zamyślony Mateusz. W miejscu gdzie przypadał park, leżał piękny zielony dywan, haftowany w drzewa, krzaki i kwiaty. Tam, gdzie był mur, stała biblioteka, a furtki w murze zamieniły się w grzbiety książek, na których wyciśnięte były złotymi literami ich tytuły. Znajdowały się tam wszystkie bajki pana Andersena i braci Grimm, bajka o dziadku do orzechów, o rybaku i rybaczce, o wilku, który udawał żebraka, o krasnoludkach i sierotce Marysi, o Kaczce Dziwaczce i wiele, wiele innych.

Siedziałem na tapczanie, a u moich stóp na podłodze stał pan Kleks. Był już nie większy niż mój mały palec. Ręk i nóg jego nie mogłem zupełnie rozróżnić i właściwie jedynie łysa główka jaśniała w świetle lampy.

Ująłem go delikatnie w dwa palce i postawiłem na swojej dłoni. Ledwie dosłyszalnym głosem pan Kleks rzekł do mnie:

– Bądź zdrow, Adasiu, musimy się pożegnać. Jesteś miłym i dzielnym chłopcem. Życzę ci powodzenia w życiu. Kto wie, może spotkamy się jeszcze w jakiejś innej bajce.

Po tych słowach pan Kleks stał się znów o połowę mniejszy. Był wielkości śliwki, a potem – potem już tylko wielkości orzecha laskowego.

I nagle zaszła rzecz najmniej oczekiwana.

Przedmiot wielkości orzecha laskowego przestał być panem Kleksem. A stał się guzikiem. Po prostu zwyczajnym guzikiem, który połyskiwał blad różową powierzchnią.

Mateusz, zdawało się, czekał tylko na ten moment.

Wyfrunął z klatki, usiadł mi na ramieniu, potem zeskoczył na moją dłoń, porwał w dziób guzik i sfrunął z nim na podłogę.

Czyż nie domyśliliście się jeszcze, że był to guzik od cudownej czapki bogdychanów, cudowny guzik doktora Paj–Chi–Wo, mający przywrócić Mateuszowi jego książęcą postać? Czyż nie przyszło wam dotychczas na myśl, że pan Kleks był owym guzikiem, który doktor Paj–Chi–Wo przeobraził w człowieka?

Jeżeli chodzi o mnie, uprzytomniłem sobie to dopiero wówczas, gdy dostrzegłem stopniowe przemiany Mateusza. Począł on mianowicie pęcznieć i powiększać się. Skrzydła jęły pomału przybierać kształt ludzkich ramion, nogi wydłużyły się, na miejscu dzioba zaznaczyły się zarysy twarzy.

Przybierając coraz bardziej na wzroście, Mateusz już po kilku minutach stał się większy ode mnie. Zanim zdążyłem zdać sobie sprawę z zachodzących w mych oczach wydarzeń, ujrzałem przed sobą wytwornego pana w wieku lat czterdziestu, o włosach przyprószonych lekką siwizną.

Skłoniłem się przed nim nisko i rzekłem:

– Cieszę się, że mogę powitać Waszą Książęcą Mość. Sądzę, że Wasza Książęcą Mość zasiądzie niebawem na tronie swojego ojca.

Przemówienie moje nie bardzo było udane, ale przecież nie miałem nawet czasu, aby je sobie obmyślić i przygotować. Mateusz, przeobrażony w człowieka, wysłuchał mych słów z powagą, a potem nagle roześmiał się serdecznie, pogłaskał mnie po twarzy i rzekł:

– Kochany chłopcze! Nie jestem żadnym księciem. Po prostu opowiedziałem ci bajkę, a tyś uwierzył w jej prawdziwość. Historia o królu wilków była przeze mnie zmyślona.

– No, a książę? A doktor Paj–Chi–Wo? – zapytałem zdziwiony.

– Bajka zawsze jest tylko bajką, mój chłopcze – odrzekł z uśmiechem.

– Kim więc jesteś, Mateuszu? Co to wszystko ma znaczyć?! – zawołałem gubiąc się już zupełnie.

– Jestem autorem historii o panu Kleksie – odparł szpakowaty pan. – Napisałem tę opowieść, gdyż ogromnie lubię opowieści fantastyczne i pisząc je, sam bawię się znakomicie.

Z tymi słowy wziął ze stołu otwartą książkę, która tam leżała, zamknął ją i wstawił do biblioteki obok innych bajek.

Na grzbiecie tej książki widniał napis:

Akademia pana Kleksa

PODRÓŻE PANA KLEKSA

BAJDOCJA

Działo się to w czasach, kiedy atrament był jeszcze zupełnie, ale to zupełnie biały, natomiast kreda była czarna. Tak, tak, moi drodzy, kreda była jeszcze wtedy kompletnie czarna. Łatwo sobie wyobrazić, ile z tego powodu wynikało kłopotów i nieporozumień. Pisało się białym atramentem na białym papierze i czarną kredą na czarnej tablicy. Tak, tak, moi drodzy, sami chyba rozumiecie, że napisane w ten sposób litery były całkiem, ale to całkiem niewidoczne. Gdy uczeń pisał wypracowanie, nauczyciel nigdy nie wiedział, czy kartki są zapisane, czy też nie zapisane. Uczniowie wypisywali przeróżne głupstwa na papierze lub na tablicy, ale nikt nie mógł tego sprawdzić ani nawet zauważyć. Listy pisane w ten sposób były zupełnie nieczytelne, toteż mało kto pisywał je w tych czasach. Urzędnicy w biurach wypełniali pismem ogromne księgi, ale na próżno ktokolwiek usiłowałby odnaleźć w nich ślady liter lub cyfr. Po prostu były niewidoczne. I gdyby nie to, że istnieje w biurach z dawna zakorzeniony zwyczaj prowadzenia ksiąg, na pewno zaniechano by tej żmudnej i niepotrzebnej pracy.

Ludzie podpisywali się na rozmaitych papierach i dokumentach, chociaż doskonale wiedzieli, że nikt, nie wyłączając ich samych, podpisów tych nigdy nie odczyta i najwymyślniejsze nawet zakrętasz pójdą na marne. Ale ponieważ od niepamiętnych czasów podpisywanie się sprawiało ludziom ogromną przyjemność, nie zważali więc na to, że biały atrament jest niewidoczny na białym papierze. Tak, tak, moi drodzy, ci, co się podpisywali, nie przejmowali się zupełnie tym przykrym stanem rzeczy. I nie wiadomo, jak długo trwałyby on jeszcze, gdyby nie pan Ambroży Kleks.

Sławny ten mędrzec, dziwak i podróżnik, uczeń wielkiego doktora Paj-Chi-Wo, założyciel słynnej Akademii, wylądował pewnego dnia całkiem przypadkowo w jednym z portów Półwyspu Bajkańskiego.

Po długich wędrówkach dotarł pan Kleks do Bajdocji, rozległego i bogatego kraju, leżącego na zachodnim wybrzeżu półwyspu. Łagodny charakter i gościnność Bajdotów, ich zamiłowanie do bajek, dzielność mężczyzn i uroda bajdockich dziewcząt zachęciły pana Kleksa do bliższego zapoznania się z językiem, życiem i obyczajami tego ludu.

Zamieszkał więc w stolicy państwa, Klechdawie, położonej u podnóża góry zwanej Bajkaczem. Większość mieszkańców Klechdawy zajmowała się hodowlą kwiatów, toteż miasto tonęło w zieleni i wyglądało jak czarodziejski ogród. Parki, cieplarnie i klomby usiane były kwiatami nieznanymi i niespotykanymi odmian.

Powietrze w Klechdawie, przesycone aromatem róż, lewkonii, jaśminów i rezedy, odurzało mieszkańców i tym zapewne tłumaczyć można ich niezwykle zamiłowanie do układania bajek. W alejach i parkach bajkopisarze odziani w barwne stroje i uwieńczeni kwiatami opowiadali bajki tak niezwykle, że nikt ze słuchaczy nie umiałby żadnej z nich powtórzyć.

Bajdoci mówili językiem bardzo podobnym do innych języków, z tą tylko różnicą, że nie znali i nie używali samogłoski "u". Tak, tak, moi drodzy, litera "u" nie była im zupełnie znana. Dlatego też "mur" po bajdocku posiadał brzmienie "mr", "ucho" po bajdocku było "cho", "mucha" – "mcha", "kura" – "kra" itd. Pan Kleks bardzo szybko podchwycił tę szczególną cechę języka Bajdotów i już po kilku dniach władał nim doskonale.

Klechdawianie mieszkali w małych, jednopiętrowych domkach, obrośniętych dookoła zielenią i kwiatami. Ich barwy i zapachy zwabiały niezliczone ilości motyli, które czyniły otaczający świat jeszcze barwniejszym. Śpiewy ptaków rozbrzmiewały tam od wczesnego świtu do późnego zmierzchu przez cały niemal rok, bowiem jesień i zima w Bajdocji trwały bardzo krótko. Za ledwie jeden miesiąc, pięć dni i dwie godziny.

Raz na dwadzieścia lat odbywał się zjazd wszystkich bajkopisarzy bajdockich, którzy wybierali spośród siebie Wielkiego Bajarza. Był nim jak się łatwo domyślić autor najpiękniejszej bajki. Przybyli na zjazd rozbijali namioty w Dolinie Tulipanów, które pachną najsubtelniej i odurzają mniej niż inne kwiaty. Wstępowali oni kolejno na wieżę wzniesioną w sercu doliny i wygłaszali po jednej ze swych bajek. Musieli mówić bardzo donośnie, tak aby wszyscy zebrani mogli ich słyszeć, toteż przez cały czas, dla wzmocnienia strun głosowych, odżywiali się tylko miodem i sokiem morwowym. Wszyscy słuchali współzawodników z niesłabnącą uwagą, gdyż dla Bajdotów nie istniało nic piękniejszego i ciekawszego niż bajki.

Tak, tak, moi drodzy, bajki były dla nich czymś najważniejszym. Ponieważ Bajdocja miała bardzo, bardzo wielu bajkopisarzy, więc wygłaszanie bajek trwało od rana do wieczora przez dwa, a czasem nawet przez trzy miesiące. Ale zjazd taki odbywał się raz na dwadzieścia lat, słuchacze byli więc niezwykle cierpliwi, nikt nie zakłócał spokoju, a nawet rzadko kto kichnął, chyba że już w żaden sposób nie mógł się od tego powstrzymać.

Każdy z obecnych dostawał małą gałąkę z kości słoniowej, którą wręczał autorowi

najpiękniejszej, jego zdaniem, bajki. Kto zebrał najwięcej gałek z kości słoniowej, został Wielkim Bajarzem. Wręczano mu ogromne złote pióro, będące oznaką najwyższej władzy w Bajdocji, i wprowadzano go uroczyście przy dźwiękach muzyki do marmurowego pałacu, wznoszącego się na szczycie Bajkacza. Tam Wielki Bajarz zasiadał na misternie rzeźbionym fotelu z wonnego sandałowego drzewa i od tej chwili stawał się głową państwa bajdockiego na przeciąg dwudziestu lat i sprawował rządy przy pomocy siedmiu innych znakomitych bajkopisarzy, zwanych Bajdałami, czyli doradcami.

Cały naród czczył Wielkiego Bajarza i okazywał mu bezwzględne posłuszeństwo. Najznakomitsi ogrodnicy przysyłali mu rzadkie odmiany kwiatów i najwonnejszy miód ze swoich pasiek. Na pałacowych trawnikach młode tancerki bajdockie, naśladując motyle, odgrywały barwne pantomimy; najlepsi muzycy, ukryci w cieniu drzew, na swoich instrumentach o jednej srebrnej strunie, zwanych bajdolinami, naśladowali szum wiatru, szmer strumienia, trzepot ptaków, szelest liści i brzęczenie pszczoł. Każdy starał się, w miarę swych sił, uprzyjemnić, upiększyć i ubarwić życie Wielkiego Bajarza, aby pobudzić jego natchnienie.

Ale bajki, to największe bogactwo ludu bajdockiego, ginęły nie utrwalone, nie przekazane nie tylko innym narodom, ale nawet potomnym we własnym kraju. Nikt bowiem nie mógł ogarnąć pamięcią wciąż nowych bajek, a nie znano sposobu utrwalania ich na papierze, gdyż atrament był biały. Tak, tak, moi drodzy, w tych czasach przecież nie znano jeszcze czarnego atramentu.

Jeden z uczonych bajdockich po wielu latach pracy obmyślił sposób wiązania supełków, które odpowiadały poszczególnym literom i wyrazom.

Bajkopisarze jęli tedy za pomocą tego niezmiernie skomplikowanego systemu przenosić swe utwory na zwoje sznurków, a odpowiednio wyszkolone dziewczęta, przepuszczając supełki przez palce, umiały je odczytywać. Powstały niebawem liczne biblioteki, gdzie na półkach przechowywano kłębki sznurków powiązanych w różnorodne, misternie splątane supełki, podobnie jak dziś przechowuje się książki. Tysiące bajdockich bajek utrwalano w ten sposób, doprowadzając wiązanie supełków do coraz większej doskonałości.

Stało się jednak nieszczęście, którego nawet najmądrzejsi ludzie w Bajdocji nie mogli przewidzieć. Oto pewnego dnia, u schyłku lata, pojawił się nagle owad wielokrotnie mniejszy od komara, zwany supełkowcem, który żywił się tylko i wyłącznie supełkami. Rozmnażał się on z nadzwyczajną szybkością. Już po kilku godzinach chmary drobniutkich, prawie niewidzialnych szkodników przeniknęły do wszystkich bibliotek i zanim zdołano przedsięwziąć jakiegokolwiek środki zaradcze, pożarły wszystkie supełki, skarb bajdockiego bajkopisarstwa.

Gdy przerażony Wielki Bajarz przybył wraz z Bajdałami do biblioteki narodowej w Klechdawie, zastał tam jedynie zwały pyłu i stosy drobniutkich muszek, napęczniałych z przejedzenia.

Wielki Bajarz zasiadł w swoim fotelu, zamyślił się głęboko i przez cały tydzień nie zajmował

się sprawami państwa, a Bajdałowie na próżno usiłowali przypomnieć sobie bajki swego władcy, pożarte przez supelkowce. Potem zawarły się wszystkie okna marmurowego pałacu i przez długie miesiące trwała żałoba narodowa.

Skoro jednak Bajdoci otrząsnęli się ze swej straszliwej zgryzoty i wrócili do codziennych zajęć, uczeni zaczęli szukać innego sposobu utrwalania dzieł bajkopisarzy.

Ale nowe próby również zawiodły. Nikt nie potrafił wynaleźć sposobu nadania bajkom żywota trwalszego aniżeli żywot motyli unoszących się nad kwietnikami Klechdawy.

Działo się to za panowania Wielkiego Bajarza, który nazywał się Apolinary Mrk, co po polsku należy czytać Apolinary Mruk. Zyskał on sławę największego w dziejach Bajdocji bajkopisarza i lud czcił go bardziej niż wszystkich jego poprzedników.

Był to tłuściutki jegomość w wieku lat około pięćdziesięciu, na krótkich nóżkach, które nie sięgały do ziemi, gdy siadał na swoim urzędowym fotelu z sandałowego drzewa. Odznaczał się niezwykłą pogodą i dobrotliwością. Twarz miał okrągłą, bez zarostu, głowę łysą, okoloną wianuszkami siwiejących włosów, maleńkie, śmiejące się oczki i nos przypominający czerwoną rzodkiewkę, która pozostała na talerzu tylko dlatego, że była ostatnia.

Raz w tygodniu Wielki Bajarz ukazywał się na balkonie marmurowego pałacu i opowiadał tłumom zgromadzonym w ogrodach swoją najnowszą bajkę. Ale bajki te były zbyt czarodziejskie, aby ktokolwiek zdołał je zapamiętać. Tak, tak, moi drodzy, były to bardzo dziwne i niezwykłe bajki. Toteż ludność Bajdocji nie mogła pogodzić się z faktem, że giną one natychmiast po ich opowiedzeniu, niedostępne dla mieszkańców innych miast i krajów.

Wtedy to właśnie w marmurowym pałacu na górze Bajkacz zjawił się pewnego dnia nieznanego cudzoziemiec i oświadczył, że pragnie mówić z Wielkim Bajarzem.

Gdy wprowadzono go do sali, gdzie na fotelu z drzewa sandałowego zasiadł Wielki Bajarz Apolinary Mruk dyndając w powietrzu krótkimi nóżkami, przybyły skłonił się przed majestatem talentu i rzekł:

– Dużo podróżowałem, dużo widziałem, a wiem jeszcze więcej. Słyszałem nieraz bajki Waszej Bajkopisarskiej Mości i na równi z ludem bajdockim ubolewam, że nie ma sposobu ich utrwalenia, aby natchniona twórczość Waszej Bajkopisarskiej Mości stała się dostępna mieszkańcom całego świata. Jeśli jednak wolno mi ofiarować swoje usługi i Wasza Bajkopisarska Mość zechce z nich skorzystać, podejmę się przed upływem roku dostarczyć barwnika, który atrament uczyni czarnym.

Wielki Bajarz otworzył szeroko oczy i usta, a nieznajomy ciągnął dalej:

– Znane mi są drogi prowadzące do złóż bezcennych składników czarnej i białej barwy i najdalej za rok mogę wrócić do Bajdocji obładowany nimi w ilości, która całkowicie zaspokoi

potrzeby wszystkich bajkopisarzy tego kraju.

Wielki Bajarz z nadmiaru wzruszenia poczerwieniał, a potem zbladł. Wreszcie opanował się i zapytał:

– Czego żądasz w zamian, znakomity cudzoziemcze?

Ale cudzoziemiec uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł z właściwą mu godnością:

– Wartościowe nagrody daje się robigroszom i obieżyświatom. My, uczeni, pragniemy tylko dobra ludzkości. Niechaj mi Wasza Bajkopisarska Mość odda do dyspozycji jeden ze swoich okrętów, doświadczonego kapitana i trzydzieści osób załogi. To wszystko. Resztę proszę pozostawić mojej przemyślności, wiedzy i doświadczeniu. Ufam, że zdołam dotrzymać obietnicy.

Wielki Bajarz raz jeszcze poczerwieniał i zbladł ze wzruszenia, zsunął się ze swego rzeźbionego fotela, objął nieznanego i zawołał w uniesieniu:

– Czarny atrament!... Prawdziwy czarny atrament!... Szlachetny cudzoziemcze, powiedz mi, jak się nazywasz, abym mógł opowiedzieć o tobie memu ludowi.

Nieznanomy obciągnął surdut, przycesał czuprynę wszystkimi pięcioma palcami, z lekka odchrząknął i rzekł:

– Od tego powinienem był zacząć. Jestem Ambroży Kleks, doktor filozofii, chemii i medycyny, uczeń i asystent słynnego doktora Paj-Chi-Wo, profesor matematyki i astronomii na uniwersytecie w Salamance.

Po tych słowach wyprostował się i stał z dumnie podniesioną głową, lewą dłonią głaszcząc brodę.

– Dziś jeszcze wydam wszystkie niezbędne polecenia i rozkazy, a jutro osobiście dopilnuję w porcie ich wykonania – rzekł Wielki Bajarz ze łzami w oczach.

Nazajutrz, o pierwszej po południu, z klechdawskiego portu odbił nowiutki, świetnie wyposażony trójmasztowiec "Apolinary Mrk".

W porcie stał Wielki Bajarz i trzykrotnym salutem z piętnastu moździerzy zęgnął pana Kleksa, wyruszającego w osobliwą i pełną przygód podróż.

Tak, tak, moi drodzy, widzicie – ta czarna, już ledwie dostrzegalna w oddali postać na szczycie koronnego masztu to pan Ambroży Kleks.

Życzymy znakomitemu podróżnikowi pomyślnej wiei i spokojnego morza.

CISZA MORSKA

Wiatr południowo-wschodni wydymał żagle i okręt ślizgając się po falach mknął ku nieznanym lądom, które z bocianiego gniazda wypatrywał pan Kleks.

Miał na nosie okulary własnego wynalazku. Zamiast zwykłych cienkich szkieł tkwiły w nich szklane jaja, pokryte dookoła mnóstwem wklęsłych kuleczek. W środku każdego ze szklanych jaj, podobnie jak w plastrze miodu, pełno było misternie szlifowanych sześcianów i stożków. Dzięki tym okularom pan Kleks widział o wiele, wiele dalej niż przez najdłuższą lunetę.

Wymachując energicznie rękami, pan Kleks wskazywał kierunek i co chwila wykrzykiwał nazwy dostrzeżonych na bezkresie przylądków, portów i wysp.

Tak, tak moi drodzy, było to wprost zdumiewające, jak niezwykle daleko widział pan Kleks przez swoje okulary.

Mewy, przerażone jego zachowaniem i wyglądem, trzymały się w znacznej odległości od okrętu. Załoga, chroniąc się przed słonecznym skwarem, spędzała dni pod pokładem. Wszyscy byli nieustannie głodni i pomstowali na kucharza. Nikt sobie z nim nie mógł poradzić. Jako rodowity Bajdota, kucharz Telesfor był bajkopisarzem, a kiedy układał bajki, popadał w tak głębokie zamyślenie, że zapominał o patelniach i rondlach. Jeśli który z kuchcików, pragnąc ratować przypalające się potrawy, przerywał mu natchnienie, Telesfor wpadał w okropny gniew i cały obiad wyrzucał do morza. Wkrótce jednak uspokajał się, przeproszał kapitana za swoją porywczosć i brał się do gotowania obiadu od początku. Niestety stale działo się tak, że posiłki były albo przypalone, albo też służyły za żer morskim rybom i delfinom. Wszyscy jednak cierpliwie znosili dziwactwa Telesfora, gdyż bajki jego zawierały opisy tak wspaniałych uczt, że nawet zwykłe suchary nabierały smaku wybornej pieczeni.

Kapitan okrętu także układał bajki. Za temat służyły mu przeważnie przygody żeglarzy i nigdy nie było wiadomo, czy prowadzi okręt do rzeczywistego celu podróży, czy też do wymyślonych i nie istniejących lądów. Niekiedy sam nie mógł się już połapać, gdzie kończy się bajka, a zaczyna rzeczywistość. Wtedy okręt błąkał się po bezgranicznych obszarach mórz i nie mógł trafić do miejsca przeznaczenia.

Tylko sternik, stary wilk morski, nie był bajkopisarzem i słynął niegdyś jako niezrównany żeglarz. Odkąd jednak w walce z korsarzami postradał wzrok, sterował okrętem na chybił trafił.

W tych warunkach pan Kleks musiał uważać zarówno na kapitana, jak i na sternika, a w porze obiadowej wyręczał często kucharza, gdyż znał się na kuchni nie gorzej niż na gwiazdach.

Wkrótce załoga nabrała do pana Kleksa tak wielkiego zaufania, że marynarze spali albo grali w kości i tylko od czasu do czasu spoglądali na bocianie gniazdo, żeby przekonać się, czy pan Kleks czuwa. Z czasem nawet mewy oswoiły się z dziwną postacią pana Kleksa, siadały mu na

ramionach, skubały brodę i skrzeczając przedrzeźniały jego głos.

W chwilach wolnych od zajęć pan Kleks wprost z bocianiego gniazda łapał w siatkę na motyle latające ryby, które potem smażył na kolację dla całej załogi.

Dziewiętnastego dnia podróży kapitanowi popsuła się busola. Pan Kleks z jednej z kieszeni swej kamizelki wydobyl ogromny magnes, którym natarł sobie brodę. Odtąd wskazywała ona kierunek i była stale zwrócona na północ, aczkolwiek mewy szarpały ją zawzięcie na wschód, zachód i południe.

Od czasu do czasu pan Kleks stawał w swoim bocianim gnieździe na jednej nodze, rozpościerał ramiona jak skrzydła i w tej pozycji oddawał się krótkiej drzemce, gdyż nie uznawał sypiania w nocy. Po kilkunastu minutach budził się wypoczęty, wkładał na nos okulary o jajowatych szklach i wołał:

– Kapitanie, zboczyliśmy z kursu o półtora stopnia, musimy skrócić na północny wschód, a potem trzymać się dokładnie kierunku mojej brody.

– Co pan widzi? – wołał w odpowiedzi kapitan zadzierając brodę do góry.

– Widzę Cieśninę Złych Przeczuć i Archipelag Świętego Paschalisa. Na wyspie Rabarbar stoi latarnia morska, widzę na niej latarnika, a na jego nosie cztery piegi... Ale dzieli nas jeszcze odległość sześciuset czterdziestu mil morskich i wątpię, abyśmy dotarli tam wcześniej niż za trzy miesiące.

– A czy nie widać przypadkiem w pobliżu jakiegoś korsarskiego statku?

– Owszem, widać, ale nic nam nie grozi. Statek ma poszarpane żagle i na pokładzie nie ma żywego ducha.

Następnie pan Kleks zdejmował z nosa cudowne okulary i wołał z całych sił, aby przekrzyczeć mewy:

– A co z obiadem?

Tutaj kapitan przeważnie załamywał ręce, a potem, przykładając do ust dłonie złożone w trąbkę, wołał:

– Telesfor przypalił... Jest nie do jedzenia. Nawet rekiny nie chciały tego jeść.

Sternik, przysłuchując się rozmowie, nastawiał wskazany przez pana Kleksa kierunek, gryzł suchary i zrzędził:

– Jeśli nie wrzucimy Telesfora do morza, czeka nas śmierć głodowa... Przypalił już dzisiaj dwadzieścia funtów baraniny, cały zad cielęcy i cztery perliczki... A bajki i suchary to nie jest pożywienie dla przyzwoitego człowieka.

Tak upływał tydzień za tygodniem. Aż nagle w dniu świętego Pankracego wiatr ustał. W dniu świętego Serwacego nastąpiła na morzu zupełna cisza i żaglowiec stanął nieruchomo w miejscu. A w dniu świętego Bonifacego pan Kleks opuścił bocianie gniazdo, ześliznął się po maszcie na pokład i oznajmił:

– Wpakowaliśmy się w strefę martwego wiatru. Możemy spokojnie spać aż do końca maja.

Po tych słowach stanął na jednej nodze i natychmiast zasnął.

Kapitana i załogę ogarnęło przerażenie.

Wiadomo, że sfera martwego wiatru powstaje wskutek olbrzymich szczelin w dnie morskim. Szczeliny takie wsysają znajdujący się nad nimi słup wody, od dna aż do powierzchni, wraz ze wszystkim, co się na tej powierzchni znajduje.

– Musimy co prędzej uciec z tego fatalnego miejsca, inaczej będziemy zgubieni – rzekł kapitan i wydał rozkaz, aby spuszczone łodzie ratownicze.

Ale marynarze, ufni w mądrość i wiedzę pana Kleksa, wzięli się za ręce i otoczyli go, śpiewając chórem pieśń zaczynającą się od słów: "Ojciec Wirgiliusz kochał dzieci swoje..."

Słońce stało się czerwone, niebo było jakby w płomieniach. Słoneczny poblask kładł się purpurą na skrzydłach mew, które, przerażone własnym widokiem, krążyły ponad głową pana Kleksa i rozpaczliwie skrzeczały.

Kapitan wykrzykiwał wciąż nowe rozkazy, ale nikt ich nie wykonywał. W końcu ochrypl, usiadł na zwoju lin okrętowych i szklanym wzrokiem patrzył na tańczących marynarzy.

A pan Kleks stojąc na jednej nodze, z rozcapierzonymi rękami i z brodą skierowaną na północ, spał najspokojniej.

Śpiew przerażonych marynarzy wzmagał się z każdą chwilą, aż przeobraził się w nieopisany ryk. Ale martwa cisza przenikała do szpiku kości i nie można jej było niczym zagłuszyć, jak również nie można było obudzić pana Kleksa.

Ponieważ cała uwaga skupiona była na osobie śpiącego uczonego, nikt nie spostrzegł, że okręt powoli zaczął zapadać w głąb.

Zgroza osiągnęła swój szczyt.

Ale w tej właśnie chwili pan Kleks ocknął się i widząc nadciągającą katastrofę, zawołał donośnym głosem:

– Wszyscy pod pokład! Zasunąć drzwi i uszczelnić otwory! Żwawo! I nie bać się! Jestem z wami.

Marynarze tłocząc się i popychając zbiegli na dół. Ostatni zszedł kapitan i zatrzasnął za sobą klapę. Pan Kleks wydawał zarządzenia, które załoga wykonywała z błyskawiczną szybkością. Nawet kucharz zapomniał o swoich bajkach i na równi z innymi zabrał się do pracy. Nie było słycać rozmów ani sprzeczek. Marynarze ze zwinnością kotów przebiegali kajuty i zabezpieczali wnętrze okrętu przed zalewem. Pan Kleks, zaczepiony ręką o belkę pułapu, kołysał się nad ich głowami i pilnie baczył, aby rozkazy były ściśle wykonane. Tylko kuchcik Pietrek, najmłodszy ze wszystkich, nie mógł wytrzymać z ciekawości. Przyłgął twarzą do szyby okienka okrętowego i wpatrywał się w przedziwne obrazy, które jak w kalejdoskopie przesuwały się przed jego oczami.

Okręt wraz ze słupem wody wolno i łagodnie zapadał się w dół i Pietrek miał wrażenie, jak gdyby zjeżdżał windą. Ściany wodne tworzyły studnię dookoła okrętu. Niebo u wylotu tej studni stało się teraz czarne jak w nocy i migotało gwiazdami.

Pietrek z najwyższym zdumieniem obserwował niezrozumiałe zjawisko: otwór studni nie zamykał się nad okrętem, tak jakby ściany dokoła były nie z wody, lecz ze szkła. Zresztą nie tylko kuchcik Pietrek, ale w ogóle nikt, z wyjątkiem pana Kleksa, nie mógł i nigdy nie będzie mógł tego pojąć.

Tymczasem okręt zapadał się coraz głębiej, a przed okrągłym okienkiem przesuwały się dziwy morskie, znane tylko uczonym badaczom i bajkopisarzom.

Początkowo widać było jedynie wodorosty, zwierzokrzewy i ryby rozmaitej barwy i kształtu, ale w miarę zanurzania się okrętu widoki stawały się coraz bardziej niezwykle.

Głębiej wód rozjaśniały zielonkawym światłem gwiazdy morskie, poszczepiane ze sobą w długie, wirujące łańcuchy. Jeże i koniki morskie fosforyzowały żółto–niebieskim blaskiem. W tej migocącej poświacie działy się rzeczy zapierające dech.

Wielkie skrzydlate ryby o dwóch przednich bawolich nogach toczyły zaciętą walkę ze stadem dwugłowych żarłoczych trytonów. Ryby–nosorożce, ryby–piły, ryby–torpedy raz po raz rzucały się w wir walczących i zadawały im śmiertelne ciosy. Od czasu do czasu przepływały muszle, których jedyną zawartość stanowiło wielkie oko. Muszle otwierały się, oko badawczo rozglądało się dokoła i szybko płynęło dalej.

Wkrótce obraz się zmienił. Pojawiły się włochate łby morskie, które pan Kleks nazywał karbandami. Łby szczyrzyły zęby, złożone z samych kłów, i wysuwały niezmiernie długie jęczory, zakończone pięcioma pazurami. Wyłupiaste ślepie karbandów okolone były rzęsami z kościanych

ości, nos przypominał lwi ogon, a uszy poruszały się w wodzie szybko jak dwa wiosła.

Pływające krzewy i kwiaty przerażały swoimi rozmiarami. Kielichy lilii morskich były tak ogromne, że dorosły człowiek mógł pomieścić się w nich bez trudu. Ale na szczęście same usuwały się z drogi. W liliach mieszkaly karliczki morskie o małych dziewczęcych twarzyczkach, osadzonych na zielonych pękatych arbuzach. Te biedne istoty, na wpół dziewczęta, a na wpół owoce, przyrośnięte były do wnętrza lilii długimi łodygami, zwiniętymi na podobieństwo sprężyn, co pozwalało im wyłaniać się i oddalać na niewielką odległość.

Z konarów pływających drzew koralowych zwieszały się potwory podobne do kameleonów i wyrzucały z kolorowych pysków ogniste pociski, które rozrywały się z wielką siłą, szerząc dokoła zniszczenie.

Jeden z takich pocisków ugodził w pokład okrętu, wznecając pożar, ale marynarze wspólnymi siłami zdołali go szybko ugasić.

Po skończonej pracy pan Kleks przywołał wszystkich do okien, objaśniał im niepojęte zjawiska morskich głębin i wymieniał nazwy przesuwających się roślin, płazów, zwierząt i potworów morskich.

– Patrzcie! – wołał pan Kleks. – Te ośmiornice mogłyby zmiażdżyć słonia jak muchę. A te opancerzone kule nazywają się termidele. Wylęgają się z nich żar-ptaki. Co trzy miesiące termidele wypływają na powierzchnię morza i wypuszczają za każdym razem nowe ptaki na świat. A tam, widzicie, to jest tak zwany amalikotekotendron. Żywi się własnym ogonem, który mu nieustannie odrasta. Obecność jego wskazuje na to, że zbliżamy się do dna morskiego. A teraz – uwaga! Patrzcie... Te dziwaczne stwory to są atramentnice. Wydzielają czarny barwnik, z którego można spreparować czarny atrament. Domyślcie się teraz, dlaczego was tu przywiozłem? Zdobędziemy czarny atrament i zawieziemy go do Bajdocji.

Wszyscy z zaciekawieniem przyglądali się atramentnicom, gdy naraz okręt dotknął dna morskiego i oczom podróżników ukazały się ulice zabudowane rzędami bursztynowych kopuł. Dziwne te budowle, przypominające ogromne kretowiska, nie posiadały ani drzwi, ani okien. Jakby na umówiony znak niezliczone kopulaste pokrywy zaczęły powoli unosić się w górę. Ale zanim jeszcze pan Kleks i jego towarzysze zdołali cośkolwiek dojrzeć, okręt zapadł się w szczelinę ziejącą w morskim dnie, szczelina zasklepiła się nad nim, a masy wód, utrzymujące się dotąd nieruchomo jak ściany studni, runęły na to miejsce z ogłuszającym łoskotem i hukem. We wnętrzu okrętu zapanowała ciemność.

Marynarzy ogarnęła paniczna trwoga. Jedni wzywali pomocy, inni złorzeczyli panu Kleksowi. Kucharz Telesfor przeklinał wszystkich kuchcików świata, gdyż spod ręki zginęły mu zapalki. Powstało ogólne zamieszanie i ludzie kotłowali się po ciemku, jak raki w worku.

Wreszcie rozległ się tubalny głos pana Kleksa, który doskonale widział w ciemności i znał się

na wszelkich tajemniczych sprawach.

– Kochani przyjaciele! – wołał pan Kleks. – Uspokójcie się, bo przypominacie mi stado małąp podczas pożaru lasu. Sądzę jednak, że nie jesteśmy małąpami, skoro umiecie tak świetnie kłąć i złorzeczyć. Zauważyliście już chyba, chociażby po mojej czuprynie, że nie mam głowy kapuścianej i że jestem dość mądry na to, aby wybaczyć wam niestosowne zachowanie.

– Zamilczcie już, do licha! – krzyknął gniewnie kapitan.

Gdy zaś marynarze uciszyli się wreszcie, pan Kleks ciągnął dalej:

– Za chwilę wyjdziemy na pokład. Zobaczycie różne dziwne rzeczy. Niczego nie potrzebujecie się obawiać, pamiętajcie tylko o jednym: stosujcie się do moich rozkazów i naśladujcie mnie we wszystkim. W każdym bądź razie ostrzegam was, abyście nie pili żadnych napojów, którymi będą was częstowali mieszkańcy tego nieznanego kraju. To jest najważniejsze! Czyście zrozumieli?

– Zrozumieliśmy! – zawołali chórem marynarze.

– No to chodźcie ze mną – rzekł pan Kleks i przeskakując po kilka stopni, wyszedł na pokład prowadząc za sobą kapitana i załogę.

Przed oczami ich rozpostarł się rozległy widok, zbliżony raczej do bajki niż do rzeczywistości.

ABECJA

Okręt stał na olbrzymim placu, zalanym zielonkawym światłem. Po obu stronach nieskończenie długim szeregiem stały inne okręty rozmaitego kształtu i wielkości, poczynając od potężnych galer wojennych, wyposażonych w armaty i kartaczownice, a kończąc na małych rybackich łodziach. Podpierały je z boków bursztynowe belki i przypadkowy widz mógł odnieść wrażenie, że znajduje się na wystawie albo na targu okrętów.

W górze bardzo wysoko biegł pułap wyłożony muszlami, pomiędzy którymi w równych odstępach widniały okrągłe otwory, zamknięte klapami z bursztynu.

Plac, którego granice ginęły w odległym półmroku, pokryty był malachitowymi płytami, pośrodku zaś, w ogromnym basenie, wesoło pluskały się atramentnice.

Dokoła okrętu uwijały się postacie, które nie przypominały ani ludzi, ani zwierząt, natomiast kształtem swym zbliżone były raczej do wielkich pajaków. Ich kuliste kadłuby, wsparte na sześciu rękach zakończonych ludzkimi dłońmi, poruszały się w szybkich płasach z niepospolitą zręcznością. Z każdego kadłuba wyrastała mała, wirująca główka, zaopatrzona w jedno czujne, okrągłe oko. Po obu bokach górnej części kadłuba widniały dwa otwory przypominające usta. Jedne z tych ust wymawiały dźwięk "a", drugie zaś – "b". Przysłuchując się pilnie, można było zauważyć, że rozmaite kombinacje tych dwóch dźwięków, wymawianych na przemian to jednymi, to drugimi ustami, stanowią mowę dziwacznym podmorskich istot.

Pan Kleks już po kilku minutach nauczył się rozróżniać poszczególne wyrazy, jak na przykład: aa, ba, abab, baab, baabab, babaab, ababab, baba, abba i bbaa i tak dalej, a po upływie godziny mógł swobodnie porozumiewać się z Abetami, tak bowiem, zgodnie z właściwościami ich mowy, nazywali się mieszkańcy tego kraju.

Abeci z natury byli bardzo łagodni i okazywali przybyszom najdalej posuniętą uprzejmość. Z rozmów z nimi pan Kleks dowiedział się wielu ciekawych szczegółów ich życia. Niektórzy z nich, otaczani szczególną czcią przez pozostałych Abetów, posiadali siódmą rękę, uzbrojoną w stalowe szpony. Tym Abetom wolno było raz na dzień przez bursztynowe klapy wyruszyć w morze na połów. Umieeli pływać szybciej aniżeli mieszkańcy głębin morskich, a uzbrojona siódma ręka służyła zarówno do ataku, jak do obrony. Z wypraw i polowań wracali obładowani zdobyczą, którą dzielono sprawiedliwie pomiędzy wszystkich mieszkańców Abecji. Abeci żywili się rybami, meduzami, wszelkiego rodzaju skorupiakami, a jako napój służyło im czarne mleko atramentnic lub wywar z koralu. Do gotowania używali bursztynowych maszynek oraz bursztynowych piecyków, ogrzewanych prądem czerpanym z ryb elektrycznych.

– A skąd macie tu powietrze? – zapytał pan Kleks oddychając pełną piersią.

– Kraj nasz – odrzekł jeden z Abetów – łączy się długim kanałem z Wyspą Wynalazców. Stamtąd płynie do nas powietrze niezbędne dla naszego istnienia. Mieszkańcy wyspy znają drogę i

często przychodzą do Abecji, ale żaden z nas nie odważył się nigdy wyjść na powierzchnię ziemi, gdyż światło słońca i księżycy zabiłoby nas natychmiast.

Po krótkiej rozmowie Abeci, przeskakując zwinnie z ręki na rękę, zaprowadzili gości do sali, gdzie rozłożone były materacyki z trawy morskiej, a na bursztynowych stolikach stały ozdobne naczynia z kości wielorybich, z muszli i malachitu.

Abetki, przystrojone w korale i perły, w fartuszkach uplecionych z wodorostów, wnieśli tacki z potrawami oraz napoje w bursztynowych dzbanach. Posługiwały się przy tym tylko dwiema rękami, a pozostałe cztery, które służyły im do chodzenia, obciążone były ni to rękawiczkami, ni to trzewiczkami ze skóry rekina.

Goście byli głodni i z apetytem zabrali się do jedzenia. Najbardziej smakowały im pieczone meduzy w sosie z lilii morskich, duszone płetwy wieloryba i sałatka z ośmiornicy.

Pamiętając przestrogę pana Kleksa, nikt nie tknął proponowanych napojów, aczkolwiek wszystkich dręczyło pragnienie. I chociaż wino koralowe nęciło swoją czerwienią, kapitan wysłał kuchcików na okręt po wodę i owoce.

Marynarze prowadzili z Abetami ożywione rozmowy na migi, co – zwłaszcza gospodarzom posiadającym po trzydzieści palców – przychodziło z łatwością.

Niekiedy korzystano z pomocy pana Kleksa jako tłumacza. Okazało się, że to właśnie inżynierowie abeccy, przy użyciu skomplikowanych urządzeń technicznych i przy pomocy mieszkańców Wyspy Wynalazców, skonstruowali gigantyczną zapadnię w dnie morskim, aby porywać przejeżdżające okręty.

– Nie żywimy złych zamiarów względem ludzi – rzekł jeden z Abetów uśmiechając się obojętnie ust równocześnie – chodzi nam tylko o to, aby od żeglarzy uczyć się wiedzy i mądrości ludzkiej. Dzięki nim nauczyliśmy się rzemiosł, poznaliśmy dzieje podwodnego świata, dowiedzieliśmy się o słońcu i o gwiazdach, o okrutnych wojnach, które ludzie prowadzą między sobą, o dziwnych zwierzętach i roślinach ziemskich. Najbardziej jednak wdzięczni jesteśmy ludziom za to, że nauczyli nas wydobywać ciepło z ryb elektrycznych.

– A czy ludzie nigdy was nie skrzywdzili? – zapytał pan Kleks.

– Nie mieli powodu – odrzekł Abeta. – Wiedzą doskonale, że tylko z naszą pomocą mogą się stąd wydostać, my zaś nikogo nie chcemy więzić wbrew jego woli.

Wniesiono nowe potrawy, ale nikt już nie mógł ich jeść. Tylko kucharz Telesfor, znany z łakomstwa, nałożył sobie dużą porcję pieczeni z trytona, szpikowanej słoniną jeża morskiego, i pałaszował ją z apetytem. Potrawa była ostra i budziła pragnienie. Telesfor łąpczywie porwał ze stołu muszlę napełnioną koralowym winem i wychylił ją duszkiem. Poczł piekący smak w ustach i

zanim zorientował się w popelnionym głupstwie, popadł w głęboki sen. Abeci nie ukrywali swojej radości, ale pan Kleks posmutniał i rzekł do towarzyszy podróży:

– Straciliśmy Telesfora. Zostanie tu już na zawsze.

Istotnie, gdy po pewnym czasie podróżnicy postanowili opuścić Abecję, Telesfor oświadczył, że pozostaje w tym kraju, gdyż czuje się Abetą i nie zniósłby odtąd widoku słońca ani księżyca. Zresztą, od chwili gdy się przebudził, doskonale mówił po abecku i pląsał na czworakach z zadziwiającą zręcznością.

Takie to było działanie koralowego wina.

Po obiedzie pan Kleks z nie tajoną ciekawością zaczął wypytywać o atramentnice, które były przecież głównym celem tej podróży. Pragnął zbadać barwę i gęstość ich mleka, aby przekonać się, czy posiada właściwości czarnego atramentu.

Nasz uczonec objawiał niesłychane ożywienie. Biegł dokoła basenu i gwizdząc na dwa głosy, wabił atramentnice, które szybko z nim się oswoiły, lgnęły do jego rąk zanurzonych w wodzie i łąsiły się do niego jak koty. Wydawały przy tym dźwięki przypominające skrzypienie szafy.

Pan Kleks cieszył się jak dziecko. Zdjął z głowy kapelusz i raz po raz napełniał go czarną cieczą, lubując się jej barwą i połyskiem. Wreszcie z napełnionym kapeluszem udał się na pokład okrętu, a po chwili wrócił wymachując z daleka arkuszem papieru, na którym widniały napisy, rysunki i kleksy.

Nie było żadnej wątpliwości. Mleko atramentnic znakomicie nadawało się do pisania. Toteż pan Kleks polecił załodze opróżnić wszystkie beczki znajdujące się na okręcie i napełnić je atramentowym mlekiem.

Abeci z ciekawością przyglądali się niezrozumiałym dla nich zabiegom pana Kleksa i uśmiechali się uprzejmie obojgiem ust.

– Patrzcie! – wołał pan Kleks. – Cóż za gęstość! Z jednej szklanki płynu można otrzymać sto flaszek doskonałego atramentu. Wielki Bazarz będzie mógł utrwalić swoje piękne bajki. Każdy będzie mógł pisać czarnym atramentem. Pozyskacie wdzięczność całego narodu. Niech żyją atramentnice!

Bajdoci skakali z radości. Kapitan nie tracąc czasu zabrał się do pisania nowej bajki. Po napełnieniu dwunastu beczek atramentowym mlekiem marynarze odśpiewali bajdockingi hymn narodowy, zaczynający się do słów: "Chwalmy Wielkiego Bazarza, co nas bajkami obdarza".

Tylko kucharz Telesfor siedział na uboczu i mówił po abecku sam do siebie:

– Zostanę tu już na zawsze. Chcę być Abetą do końca życia. Będę pił koralowe wino i czarne mleko. Będę wymyślał dla Abetów nowe potrawy z gwiazd morskich i z wodorostów. Otóż to właśnie. Tra-la-la!

Pan Kleks przyglądał mu się z wyrazem głębokiego współczucia. Znał działanie koralowego wina, wiedział więc, że dla Telesfora nie ma już ratunku. Istotnie, Telesfor na oczach wszystkich zaczął się kurczyć i ku ogólnemu zdumieniu pod wieczór przeistoczył się w prawdziwego Abetę.

– Straciliśmy kucharza – rzekł pan Kleks – ale za to zyskaliśmy atrament. Możemy wracać do Bajdocji.

Następnie przemówił do Abetów:

– Kochani przyjaciele! Poznaliśmy waszą wspaniałomyślność i jesteśmy przekonani, że pozwolicie nam wsiąść na okręt i wrócić do naszej ojczyzny. Dziękujemy wam za gościnność i za cudowne atramentowe mleko. Żegnamy was w imieniu własnym oraz wszystkich moich towarzyszy podróży. Ababa, abaab, abbab!

Ten końcowy okrzyk w języku abeckim oznaczał: "Niech żyje Abecja!"

– O waszym losie zadecyduje królowa Aba – oświadczył jeden z Abetów.

– Mamy rozkaz, aby was do niej przyprowadzić. Chodźcie. Trzeba uszanować jej wolę.

Pan Kleks uważał to za zbędną stratę czasu, ale dobre wychowanie, a zwłaszcza dociekliwość badacza wzięły górę nad pośpiechem. Udali się przeto za swym przewodnikiem.

Wędrówka przez kręty korytarz trwała już dobrą godzinę, gdy naraz ukazał się jego wylot i podróżnicy stanęli jak wryci, olśnieni wspaniałym i nieoczekiwanym widokiem. Znaleźli się bowiem nad jeziorem, którego przeciwny brzeg ginał na odległym horyzoncie. Woda w jeziorze była przezroczysta jak szkło i miała barwę lazuru.

Na wybrzeżu, dokoła jeziora, w równych odstępach wznosiły się ciosane w bursztynie wysokie grobowce zmarłych królów Abecji, a na każdym z nich stał żar-ptak jaśniejąc płomieniem swych piór aż po kres widnokregu. U stóp grobowców, pośród karłowatych pąsowych krzewów, złote i srebrne pająki snuły pracowicie swoją nić, zamykając dostęp do jeziora.

Z dala od brzegu, na pływającej wyspie, mieszkała królowa Aba. Spoczywała na wielkiej muszli, dźwiganej stale przez siedmiu siedmiorękich Abetów.

Na powitanie przybyłych wyspa podpłynęła do brzegu i królowa uniosła się na muszli. Na jej widok nawet pan Kleks nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia. Zamiast spodziewanego stworu o sześciu rękach i jednym oku żeglarze ujrzeli młodą, piękną kobietę, która obdarzyła ich skinieniem

dłoni i wdzięcznym uśmiechem. Abeci na znak czci pokładli się na ziemi, Bajdoci pochyłili głowy, a pan Kleks, nie tracąc przytomności umysłu, wygłosił w języku abeckim okolicznościowe przemówienie, wyrażając w nim hołd i podziw dla pięknej królowej.

W odpowiedzi na słowa pana Kleksa królowa Aba, posługując się płynnie jego ojczystą mową, odrzekła:

– Nie należę do dynastii wielkich królów Abecji. Objęłam panowanie na prośbę tego ludu przed siedmiu laty. Byłam żoną króla Palemona, władcy wesołej i słonecznej Palemonii. Pewnego dnia, podczas podróży okręt nasz zapadł się podobnie jak wasz. Po wypiciu koralowego wina mój małżonek oraz wszyscy nasi dworzanie przeobrazili się w siedmiorękich Abetów i musieli pozostać na zawsze w tym kraju. Ja jedna tylko nie piłam czarodziejskiego trunku i zachowałam ludzką postać. Poprzedni król Abetów, Baab–Ba, tak się tym przeraził, że zamknął się w przeznaczonym dla niego grobowcu, lud zaś obwołał mnie królową. Przyjęłam ofiarowaną mi godność, gdyż nie chciałam opuszczać mego małżonka. Przybrałam abeckie imię Aba i zamieszkałam na królewskiej wyspie w otoczeniu Palemończyków przemienionych w Abetów. Pogodziłam się z moim losem i pokochałam moich podwładnych. Jeśli złożycie mi przyrzeczenie, że o naszych dziejach nie zawiadomicie królestwa Palemonii, pozwolę wam opuścić Abecję i udać się do ojczystego kraju.

– Przyrzekamy! – zawołał uroczyście pan Kleks.

– Przyrzekamy! – powtórzyli za nim Bajdoci, a kapitan, nie mogąc opanować wzruszenia, urzeczony urodą królowej, pobiegł w kierunku wyspy. Zaplątał się jednak w pajęczynach i dopiero przy pomocy Abetów wywikłał się z sideł.

– Nikomu nie wolno zbliżać się do mnie. Takie jest abeckie prawo! – rzekła groźnie królowa Aba, po czym dodała: – A teraz moi strażnicy odprowadzą was do Wielorybiej Grani i przekażą przewodnikom z Wyspy Wynalazców.

– A nasz okręt?! – zawołał pan Kleks.

– Okręt? – zdziwiła się królowa. – Zostanie tutaj, gdyż nie znamy jeszcze sposobu podniesienia go na powierzchnię morza. Ale nie będziecie skrzywdzeni. Oto garść pereł, których wartość wielokrotnie przewyższa poniesioną przez was stratę.

Mówiąc to, rzuciła do nóg pana Kleksa woreczek z rybich łusek, wypchany perlami.

Zanim jednak pan Kleks zdążył zbadać jego zawartość i podziękować królowej Abie za hojność, piękna władczyni Abecji rzekła rozkazującym tonem:

– Posłuchanie skończone!

W tej chwili wszystkie żar–ptaki zgasły równocześnie i dokoła zapanowała ciemność. Tylko

królewska wyspa, odpływająca od brzegu, jarzyła się błękitnawym światłem.

Abeci otoczyli podróżników i szerokim korytarzem, wyłożonym płytami z bursztynu, poprowadzili ich w kierunku Wielorybiej Grani.

Dudnienie beczek z atramentowym płynem rozlegało się na wszystkie strony wielokrotnym echem, utrudniając rozmowę. Dlatego też zarówno Bajdoci, jak i Abeci szli w milczeniu, zajęci swoimi myślami.

Ale najbardziej zamyślony był pan Kleks.

Szarpał nerwowo brwi i raz po raz wykrzykiwał abeckie wyrazy, pozbawione wszelkiego związku:

– Abba–ababa–aba–bba!

Abeci, nie chcąc przerywać jego zamyślenia, dreptali w pewnym oddaleniu i szeptem porozumiewali się między sobą.

Kiedy po paru godzinach marszu u wylotu korytarza zamajaczyło czerwone światło, jeden z Abetów wybiegł na czoło pochodu, skinieniem dłoni zatrzymał Bajdotów i rzekł:

– Za tym murem kończy się nasze panowanie. Za chwilę opuścicie Abecję. W imieniu mego narodu żegnam was i życzę dalszych pomyślnych i ciekawych przygód. Spotkało nas wielkie szczęście, że mogliśmy gościć u siebie tak znakomitego uczonego, jak pan Ambroży Kleks, którego sława dotarła nawet do nas. Dzięki niemu dostąpiliście zaszczytu oglądania wielkiej królowej Aby. Nikt z cudzoziemców dotąd jej nie widział. Wy pierwsi poznaliście jej tajemnicę. Ale musicie wymazać ją ze swej pamięci bo inaczej zmylicie drogę i nigdy już nie traficie do waszej ojczyzny. A teraz chodźcie za mną.

Po tych słowach Abeta zbliżył się do muru zamykającego korytarz i wspierając się na dwóch rękach, czterema pozostałymi przekręcił równocześnie cztery bursztynowe tarcze, umieszczone w zasięgu czerwonego światła.

KIERUNEK – WYSPA WYNALAZCÓW

Mur drgnął i powoli rozsunał się na dwie strony. Abeci zniknęli niepostrzeżenie w mrocznych czeluściach korytarza. Za murem widniał zawieszony nad próżnią rozległy pomost, skonstruowany z kości wielorybów, zwany Wielorybią Granią. Bajdoci niepewnie przekroczyli próg Abecji. Gdy ostatni z nich stanął na pomoście, mur zatrzaskał się z łoskotem i dokoła zapanowała zupełna ciemność. Ale równocześnie w górze rozległy się odgłosy trąbki i zgrzyt obracających się kół. Po tym nastąpiły dźwięki sygnałów, a po chwili ogromna kabina windy, przypominająca raczej obszerny salon, zatrzymała się tuż przy Wielorybiej Grani. Kabina była rzęsiście oświetlona i wysłana puszystymi dywanami. Wewnątrz, pod ścianami, stały miękkie, głębokie fotele, a przed każdym z nich okrągły stolik pięknie nakryty i zastawiony dymiącymi potrawami. Nie zastanawiając się długo, podróżnicy weszli do windy, wtoczyli swoje beczki i ciekawie rozejrzeli się dookoła, w nadziei na spotkanie jakichś żywych istot. W kabinie jednak nie było nikogo prócz nich. Drzwi zamknęły się same, rozległy się dźwięki sygnałów, zazgrzytała niewidzialna maszyna i winda lekko poczęła unosić się w górę. Z głośniczków zawieszonych pod sufitem popłynęła przyjemna, cicha muzyka.

Na ścianach windy wisiały w ramach obrazy, na których wszystko ożyło i poruszało się jak w kinie.

– Siadamy do obiadu – rzekł pan Kleks – a potem obejrzymy te cudeńka. Nareszcie potrawy godne naszego podniebienia! Teraz mogę wam wyznać, że kuchnia abecka wcale mi nie smakowała. Kapitanie, szkoda czasu na rozmyślania. Czeka nas nowa przygoda. No, co tam? Wyglądacie jak bociany nastraszone przez żabę.

Pan Kleks próbował żartować, ale kapitan uparcie milczał. Wreszcie zasiadł przy jednym ze stołów i posępnie zapatrzył się w talerz. Miał wciąż przed oczami twarz królowej Aby. Marynarze również byli markotni i zamyśleni, a niejeden z nich zazdrościł w duchu Telesforowi. Obraz pięknej królowej uparcie prześladował Bajdotów. Zdawało się, że są zupełnie obojętni na to, co się z nimi stanie. Kapitan mamrotał coś pod nosem, układał bajkę na cześć władczyni Abecji i w roztargnieniu usiłował wbić na widelec pusty talerz. Tylko pan Kleks, ślepy sternik oraz kuchcik Pietrek zajadali z apetytem smakowite antrykoty i popijali słodkie ananasowe. wino.

– Jedzcie, przyjaciele! – wołał wesoło pan Kleks. – Czeka nas długa podróż. Hej, kapitanie, wypijmy! Mnie już niczego nie brak do szczęścia, odkąd zdobyłem atrament. Prawdziwy czarny atrament! A teraz jadę na wyspę Wynalazców, o której słyszałem od dawna, ale myślałem, że to tylko bajka. No, co? Dlaczego milczycie? Pietrek, wobec tego może ty ze mną wypijesz? Za zdrowie królowej Aby, która mieszka w muszli jak ostryga? Cha–cha!

Sternik i Pietrek śmiali się razem z panem Kleksem i wesołość ich po trochu zaczęła udzielać się marynarzom. Niektórzy wzniesli w górę szklanki.

– Za zdrowie królowej ostrygi! – drwił dalej pan Kleks i śmiał się tak, że brodą zamiatał półmiski.

Pan Kleks wiedział, co robi. Oto kapitan ocknął się już z odrętwienia, przetarł oczy i rozejrzał się dookoła. Po chwili przyłączył się do reszty towarzystwa i wychylił szklanę złocistego trunku. Uroki, które rzuciła na całą załogę królowa Aba, stopniowo słabły, a po wypiciu kilku dzbanów wina rozwiały się zupełnie.

Pan Kleks wstał i zaintonował wesołą pieśń, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. Pieśń była własnego układu. Marynarze chórem śpiewali refren:

Kury wcześniej wstają, Plam–plam–plam. Zniosła kura jajo, Plam–plam–plam. Szedł ulicą głupi Marek, Myślał, że to jest zegarek, A my pijmy, bośmy młodzi, Nas ta sprawa nie obchodzi!

Po obfitym posiłku i odśpiewaniu kilku pieśni pan Kleks przystąpił do oglądania ruchomych obrazów. Pierwszy z nich przedstawiał pana Kleksa i jego towarzyszy wsiadających na statek w Bajdocji, a potem ich kolejne przygody w podróży. Marynarze wraz z kapitanem otoczyli pana Kleksa i śledzili z podziwem swoje własne przygody. Na obrazie przesuwają się stopniowo, w filmowym skrócie, wszystkie wydarzenia dni ubiegłych, życie marynarzy na statku, potem ich pobyt w krainie Abetów i spotkanie z królową Abą. Tylko że królowa Aba ukazała się jako zgrzybiała staruszka, podobna do odpychających czarownic z bajek.

– Oto jest prawdziwe oblicze królowej Aby – rzekł pan Kleks – a to, co widzieliście w Abecji, było zwykłym złudzeniem. W ten stan wprawiły was pletwy wieloryba, gdyż zawierają substancję, która wywołuje urojenia. Sądzę, że niejeden z was przestanie marzyć o powrocie do tego kraju.

Na te słowa kapitan zaczerwienił się po uszy, marynarze wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza że w tej samej chwili na obrazie, jako dalszy ciąg tego żywego filmu, ukazała się czerwona twarz kapitana. Ponieważ dzieje pana Kleksa dobiegały właśnie do momentu, w którym znajdowali się podróżnicy, film urwał się, a rozpoczął się pokaz innych wydarzeń, nie mniej dla Bajdotów ciekawych. Ujrzeni teraz Wielkiego Bajarza, stojącego w porcie w Klechdawie i czekającego na powrót wyprawy atramentowej. Twarz miał zatroskaną, mówił coś do otaczającej go świty i wskazywał na horyzont. Wszyscy smutnie kiwali głowami, po czym Wielki Bajarz, podtrzymywany z dwóch stron przez ministrów, wrócił do pałacu.

Na pozostałych obrazach działy się rozmaite inne historie w jakimś nieznanym kraju. Pan Kleks objaśnił Bajdotom, że jest to Wyspa Wynalazców, do której z błyskawiczną szybkością zbliża się niezwykła winda. Nagle urwał, podbiegł do okna i odsunął kotarę. Do wnętrza kabiny wtargnęłoienne światło, a po chwili winda wynurzyła się z mroku, jak pociąg z ciemnego tunelu. Gdy tylko zrównała się z powierzchnią ziemi, nie zatrzymując się zmieniła kierunek i z zawrotną szybkością, jak torpeda potoczyła się po niewidzialnych szynach. Wskutek niespodziewanego wstrząsu kilku marynarzy przewróciło się, ale zaraz wstali i na nowo przyglęli z ciekawością do okien pojazdu. Dokoła rozpościerało się olbrzymie, nie kończące się miasto, ale straszliwy pęd uniemożliwiał rozróżnienie domów i ludzi.

– Odejdźcie od okien, bo dostaniecie zawrotu głowy! – zawołał pan Kleks. – Posuwamy się z szybkością czterystu mil na godzinę. Całe szczęście, że nie ma po drodze zakrętów.

Oszołomieni marynarze, za przykładem pana Kleksa, usadowili się w fotelach. Trudno było pojąć, że przy tak olbrzymim pędzie szyby w oknach nie dygotały i łoskot nie zagłuszał słów.

– Spodziewam się, że najdalej za dwie godziny będziemy u celu naszej podróży – rzekł pan Kleks. – Dużo słyszałem o Wyspie Wynalazców. Mieszkają na niej istoty zupełnie podobne do nas, ale zamiast dwóch nóg posiadają tylko jedną, o bardzo wielkiej stopie. Swoją wyspę nazywają Patentonią od nazwiska największego ich uczonego, Gaudentego Patenta. Od strony morza nikt nie ma do niej dostępu, gdyż strzegą zazdrośnie swych laboratoriów i fabryk. Jedyna droga do Patentonii prowadzi przez Abecję, dlatego tak mało wie się o tym kraju. Na wyspie tej powstają wszelkie wynalazki, znane ludzkości. Patentonczycy zawiadamiają o nich świat, wysyłając ruchome obrazy. Niestety, nie wszystkie obrazy docierają do nas, gdyż nie posiadamy odpowiednich aparatów odbiorczych. Będziecie więc mogli zobaczyć mnóstwo wynalazków, u nas zupełnie nie znanych. Pamiętajcie tylko o jednym: Patentonczycy nie cierpią podglądania ich tajemnic i są ogromnie podejrzliwi. Nie wtykajcie nosów, gdzie nie trzeba, bo możecie ściągnąć na siebie nieszczęście. Nie lekceważcie tej przestrogi. O wszystko macie prawo pytać, otrzymacie dokładne objaśnienia, a nawet plany i modele. Łatwo będziecie mogli z nimi się porozumieć, gdyż władają tysiącem języków i narzeczy, nie wyłączając języka bajdockiego. Patentonia to kraj bogaty i ludzie żyją tam po sto lat, ale poza pracą nic dla nich nie istnieje, ani śpiew, ani tańce, ani rozrywki, a sen jest nieznanym zjawiskiem. Po prostu połykają specjalne pastylki, które zastępują odpoczynek i usuwają zmęczenie. Tyle mogę wam na razie powiedzieć o słynnej Wyspie Wynalazców, resztę zobaczycie na własne oczy.

Opowiadanie pana Kleksa zrobiło na Bajdotach ogromne wrażenie. Siedzieli przez dłuższy czas zamyśleni i nawet Pietrek nie zadawał pytań, choć pożerała go ciekawość.

Torpeda pędziła z niezmienną szybkością. W miarę jak zapadał mrok, w miastach, które mijala, rozbłyskiwały niezliczone światła i zlewały się w jedno oślepiające pasmo.

W głośniku ucichła muzyka i rozległy się słowa w języku bajdockim:

– Halo, halo! Arcymechnik Patentonii wita poddanych Wielkiego Bajarza Bajdocji. W stolicy naszego kraju poczyniono już przygotowania na przybycie słynnego uczonego, Ambrożego Kleksa. Uroczystości na jego cześć odbędą się we wszystkich miastach. Halo, halo! Za godzinę minut dwadzieścia trzy Stalowa Strzała, którą podróżujecie, wjedzie na peron siódmy Dworca Magnesowego. Po zatrzymaniu się Stalowej Strzały nie opuszczać foteli... nie opuszczać foteli... Halo, halo! Prosimy o naciśnięcie czerwonego guzika pod głośnikiem.

Kapitan pierwszy zerwał się z fotela i nacisnął guzik, którego poprzednio wcale nie dostrzegł. Marynarze z ciekawością spoglądali na głośnik, spodziewając się stamtąd nowej niespodzianki. Tymczasem okazało się, że ukryty mechanizm, wprowadzony w ruch przez naciśnięcie czerwonego

guzika, zainstalowany był w stołach. Boczne ścianki wysunęły się w górę, a kiedy opuściły się z powrotem, dawna zastawa zniknęła, a na jej miejsce zjawiły się nowe nakrycia, dzbanki z czekoladą i tace z ciastami.

W tej samej chwili w głośniku rozległy się słowa:

– Halo, halo! Prosimy na podwieczorek.

– Znakomita myśl – zawołał pan Kleks i pierwszy zabrał się do jedzenia.

Bajdoci poszli za jego przykładem.

Tymczasem za oknami zapadła noc, ale w czarnym niebie krążyły samoloty–słońca, rzęsiście oświetlając ziemię.

Widno było jak w dzień, a mimo to latarnie płonęły nadal i spowijały torpedę w mgławicę blasku.

Po podwieczorku przez głośnik nadano ostatnie wiadomości z Bajdocji. Zdumieni marynarze usłyszeli głosy swych żon i dzieci, dowiedzieli się, co dzieje się w ich domach. Najczęściej padało nazwisko pana Kleksa, jako kierownika wyprawy, gdyż lud bajdocki niecierpliwił się i czekał z upragnieniem na obiecany atrament.

– Dostaną, dostaną – mruknął pan Kleks. – Esencja atramentowa, którą wiozę, wystarczy im na dziesięć lat.

Tymczasem upływały minuty i kwadransy. Zbliżał się kres podróży.

Znowu odezwał się głos:

– Halo, halo! Nie opuszczać foteli!

Po chwili torpeda zaczęła zwalniać bieg, rozległy się dźwięki sygnałów, zawirowały czerwone światła i Stalowa Strzała, punktualnie co do sekundy, wyjechała na peron siódmy Dworca Magnesowego.

Podróżnicy, nie opuszczając foteli, oczekiwali dalszych wydarzeń.

Dworzec Magnesowy była to ogromna hala, wyłożona metalowymi płytami i nakryta szklanym dachem. Płyty przesuwały się automatycznie i otwierały raz po raz przejścia, korytarze i tunele, w które wjeżdżały lub z których wyjeżdżały najrozmaitsze pojazdy. Ruch na dworcu regulowała skomplikowana sygnalizacja dźwiękowo–światlna. Co chwila w różnych miejscach zapalały się i gasły czerwone i zielone światła, przez głośniki padały nazwy miast i stacji kolejowych oraz

wszelkiego rodzaju informacje. Wszystko to odbywało się z niezwykłą precyzją, a przy tym bez udziału jakichkolwiek widzialnych istot. Na srebrnym ekranie, zawieszonym na jednej ze ścian, ukazywały się najeżdżające pociągi, oznaczone cyframi i literami. Równocześnie automatycznie przesuwały się odpowiednie płyty, zapalały się sygnały i pociągi różnego kształtu wślizgiwały się na mechanicznych płozach pod dach dworca.

PATENTONIA

Zanim Bajdoci zdążyli przyjrzeć się dokładnie ruchowi na stacji i pasażerom, sufit i ściany Stalowej Strzały uniosły się niespodziewanie w górę, natomiast cała dolna platforma, wraz z fotelami i pozostałą zawartością torpedy, ruszyła naprzód. Rozległy się dźwięki sygnałów, płyty rozsunęły się otwierając szeroki tunel, który wchłonął podróżników. Ale już po chwili platforma wynurzyła się na zewnątrz dworca. Posuwała się szybko po ulicy, która przedstawiała ciekawy widok. Wysoko nad jezdnią, na stalowych wiązaniach i łukach, wznosiły się domy Patentończyków, a na dole sunęło automatycznie osiem ruchomych chodników, każdy z inną szybkością. Chodniki wewnętrzne przeznaczone były dla ruchu pieszego, zewnętrzne, o wiele szersze, służyły dla pojazdów. Platforma Bajdotów posuwała się prawym skrajem jezdni, zaś obok przesuwali się mieszkańcy tego zmechanizowanego miasta, a każdy z nich stał na wielkiej stopie swojej jedynej nogi. Ponieważ sąsiedni chodnik poruszał się z taką samą prawie szybkością, co platforma Bajdotów, mogli oni ze swoich foteli przyglądać się tubylcom.

Patentończycy wyróżniali się nie tylko tym, że posiadali jedną nogę, ale nadto przewyższali Bajdotów wzrostem o trzy głowy. Mieli też nosy niezwykle długie i bardzo ruchliwe, tak jak gdyby węch stanowił najważniejszy zmysł tych istot. Mężczyźni byli zupełnie łysi, kobietom zaś od połowy głowy wyrastały rude włosy, zaplecione w trzy krótkie warkoczyki. Dzieci pod tym względem niczym nie różniły się od dorosłych.

Ubiór Patentończyków był prosty i jednolity. Składał się ze skórzanych kurtek, długich wełnianych pończoch i obszernych peleryn. Wielkie stopy obute były w gumowe kamasze na podwójnych sprężynowych podeszwach, dzięki którym mogli z lekkością koników polnych robić skoki na wysokość kilku metrów i poruszać się z szybkością czterdziestu mil na godzinę.

Chodniki nigdy się nie zatrzymywały. Patentończycy jednym zwinnym skokiem wydostawali się na perony, ustawione w pewnych odstępach wzdłuż jezdni. W ten sam sposób wskakiwali z peronów na chodniki.

Z lewej strony jezdni biegł najszybszy chodnik, który unosił liczne pojazdy w kształcie cygar, kul i spłaszczonych ogórków. Pojazdy te nie posiadały kół, tylko szerokie płozy, podobne do nart.

Pojazdy kuliste były to dwuosobowe świdrowce, wykonane w całości z cienkiego, lekkiego metalu o przezroczystości szkła. Nazwa ich pochodziła stąd, że w środku pojazdu sterczał maszt w kształcie świdra, który za pomocą motoru atomowego kręcił się z szybkością stu tysięcy obrotów na sekundę. Dzięki płaskim nacięciom świdra, zastępującego śmigło, świdrowce unosiły się w górę, a przy odpowiednim manipulowaniu regulatorem mogły wisieć nieruchomo w powietrzu lub też odbywać podróże tak jak samoloty. Chmary świdrowców wirujących w niebie wyglądały z dołu jak bańki mydlane. Inne pojazdy, przeznaczone do podróży wodno-łądowych, poruszały się za pomocą śruby umieszczonej z przodu na samym dziobie. Mogły one poruszać się po każdym terenie, gdyż umocowane pod spodem płozy zastępowały szyny kolejowe. Śrubowce rozwijały olbrzymią szybkość, przeskakiwały nierówności terenu, zaledwie dotykając płozami ziemi.

Bajdoci rozglądali się dokoła z szeroko otwartymi ustami i raz po raz wydawali okrzyki zdumienia, a pan Kleks wypytywał przesuwających się obok Patentonczyków o rozmaite szczegóły, dotyczące konstrukcji świdrowców i śrubowców. Rozmowy toczyły się w języku bajdockim, jeśli zaś chodzi o język miejscowy, to prawie nigdzie nie było go słyhać, gdyż Patentonczycy między sobą porozumiewali się w sposób zupełnie inny. Mieli na nosach okulary, których szkła podobne były do małych ekranów. Odbijały się na nich myśli Patentonczyków, przybierając kształt ruchomych obrazów, i dlatego wymiana słów była całkiem zbędna. Pan Kleks obiecał towarzyszący podróżni, że wystara się dla nich o takie okulary.

– Ale musicie pamiętać – dodał pan Kleks – że Patentonczycy nie miewają myśli, które chcieliby ukryć przed innymi. Obawiam się, że niejednen z was będzie wolał wyrzec się cudownych okularów niż zdradzić się ze swoimi myślami. Jesteśmy z innej gliny i nie wszystkie tutejsze wynalazki dadzą się zastosować do naszego życia.

Na ruchomych chodnikach pojawiały się coraz to nowe postacie patentonckich jednoonogich wielkoludów. Niektórzy z nich, dla przyspieszenia podróży, skakali na swoich sprężynowych podeszwach w kierunku ruchu i znikali na podobieństwo pcheł. Dzieci odbywały drogę siedząc na składanych stołeczkach. Świdrowce wznosiły się i lądowały dla nabrania paliwa z ustawionych wzdłuż chodnika zbiorników. Platforma Bajdotów posuwała się naprzód, bez przeszkód mijając dziwaczne, metalowe rusztowania. Właściwego życia miejskiego nie można było dostrzec, gdyż domy mieszkalne i ulice mieściły się bardzo wysoko. Wreszcie nastąpił kres jazdy. Platforma uniosła się w górę. Porwały ją równocześnie cztery stalowe szpony i dźwignęły na szczyt olbrzymiej budowli. Bajdoci znaleźli się u wejścia na plac, na którym zebrał się tłum Patentonczyków, aby powitać pana Kleksa.

Plac wybrukowany był płytkami z matowego szkła. Z takich samych płytek zbudowane były wielopiętrowe domy, zwężające się ku górze i zakończone obrotowymi wieżami. Do wież umocowane były wklęsłe tarcze, które pochłaniały promienie słoneczne i wytwarzały ciepło, niezbędne nie tylko do ogrzewania mieszkań, ale również do ogrzewania powietrza na zewnątrz. Dzięki mechanizmowi tarcz słonecznych oraz systemowi elektrycznych chłodziń Patentonczycy umieli utrzymywać temperaturę swych miast na jednakowym poziomie o każdej porze roku. Było to ważne chociażby z tego względu, że Patentonczycy posiadali niezmiernie duże nosy, więc przy lada powiewie dostawali kataru i kichali tak głośno, jakby grali na trąbach.

Plac przecinała szeroka ulica, której liczne odgałęzienia i przecznice widoczne były z daleka. Ponad placem wisały roje świdrowców, przyczepionych do balkonów domów jak baloniki. Mieszkańcy miasta wylegli na balkony, trzymając przy ustach małe kauczukowe głośniki. Zebrani na placu Patentonczycy przystrojeni byli w uroczyste, spiczaste kaptury, zakończone małymi antenami w kształcie guzika. Jeden z nich, wyróżniający się szczególnie dużym nosem, zbliżył się w drobnych podskokach do Pana Kleksa, pochylił się nisko i zwyczajem patentonckim pocałował go w ucho. Była to oznaka wielkiej czci, na którą pan Kleks odpowiedział w podobny sposób, ale musiał przy tym podskoczyć wysoko w górę, gdyż Patentonczyk przewyższał go wzrostem o dobre cztery głowy. Powitanie z pozostałymi Bajdotami było mniej ceremonialne i ograniczało się do wzajemnego

pociągania za uszy. Pietrkowi ogromnie podobał się ten zwyczaj, gdyż po raz pierwszy w życiu mógł targać za uszy innych, tak jak to z nim dotychczas robili marynarze, bynajmniej nie po to, aby mu pokazać szacunek.

Po zakończeniu powitań, podczas których zgromadzony tłum odegrał na nosach Marsza Wynalazców, Patentonczyk przyłożył do ust siatkę ze szklanego drutu, wielkości kieszonkowego zegarka, i rozpoczął przemówienie. Siatka ta stanowiła niezwykle wynalazek. Przetwarzała ona mowę patentońską na każdy inny język, stosownie do nastawienia znajdującej się w środku wskazówki. W ten sposób przemówienie wygłoszone po patentońsku Bajdoci usłyszeli w języku bajdockim.

– Dostojny gościu! – powiedział mówca zwracając się do pana Kleksa. – Dzielni podróżnicy! Na wstępie pragnę nadmienić, że piastuję w Patentonii godność Arcymechnika, która u nas odpowiada godności Wielkiego Bajarza w waszym kraju. Przed trzema laty, gdy Urząd Patentowy stwierdził, że dokonałem największej ilości wynalazków, przejąłem władzę z rąk mojego poprzednika, Patentoniusza XXVIII, i sprawuję rządy pod przybranym imieniem Patentoniusza XXIX. Gdy któryś z moich ziomków prześcignie mnie w ilości wynalazków, jemu przekażę władzę jako memu następcy. Takie prawo panuje w naszym kraju.

Po tych słowach zebrani na placu Patentonczycy zawołali chórem:

– Ella mella Patentoniusz adarella! – co miało oznaczać po patentońsku: "Niech żyje Patentoniusz XXIX!"

Mówca zaś ciągnął dalej:

– Dumny jestem, że mogę powitać w naszym kraju uczonego tej miary, co pan Ambroży Kleks, któremu mam do zawdzięczenia pomysły wielu naszych wynalazków. Pomysły te nie mogły być wprowadzone w życie w ojczyźnie pana Kleksa wskutek braku odpowiednich materiałów i urządzeń technicznych, ale ich opisy i plany, świadczące o geniuszu tego uczonego, dotarły do nas i pozwoliły nam zrealizować wiele doniosłych wynalazków ku pożytkowi naszego kraju.

W tym miejscu Arcymechnik skłonił się nisko, jeszcze raz ucałował pana Kleksa w ucho i mówił dalej:

– Pozwól, dostojny gościu, że wymienię tu wynalazki, które tobie mamy do zawdzięczenia. A więc na pierwszym miejscu – pompka powiększająca. Dzięki niej mogliśmy powiększyć nasz wzrost naturalny o jedną trzecią. Wynalazek ten chciałbym tu zademonstrować.

Mówiąc to Patentonczyk wyjął z kieszeni peleryny pompkę przypominającą zwykłą oliwiarę, przyłożył jej koniec do ucha pana Kleksa i kilkakrotnie nacisnął denko. W tej samej chwili pan Kleks zaczął rosnać na oczach wszystkich i po upływie kilku sekund dorównywał już wzrostem Patentonczykowi. Było to naprawdę zdumiewające. Bajdoci spoglądali z zazdrością na pana Kleksa,

który stał się niemal wielkoludem. Otoczyli zaraz Arcymechanika i nadstawiali natrętnie uszy, domagając się na migi tego samego zabiegu. Tylko ślepy sternik stał na uboczu, bo nie bardzo wiedział o co chodzi.

Arcymechanik zorientował się, że sternik jest ślepy, i zręcznym ruchem ponad głowami marynarzy włożył mu na nos binokle o pryzmatycznych, opalizujących szklach. Trudno opisać radość sternika, który nagle zaczął widzieć i z najwyższym podziwem rozglądał się dokoła. Jeszcze większe zdumienie go ogarnęło, gdy Patentonczyk przyłożył mu do ucha pompkę i dokonał operacji powiększającej. Szczęście jego nie miało wprost granic. Natomiast pozostałych Bajdotów Arcymechanik łagodnie, lecz stanowczo odsunął ręką, po czym znowu podniósł siatkę do ust i kontynuował przerwane przemówienie:

– Następnym wynalazkiem opartym na pomysle pana Kleksa jest kluczyk otwierający wszystkie zamki, dalej pudełko do przechowywania płomyków świec, samogrające mosty, automaty przeciwkatarowe i wiele, wiele innych. Nie mogliśmy tylko zmontować wytwórni pigulek na porost włosów, gdyż nie posiadamy odpowiednich witaminowych barwników. Nasz przemysł chemiczny nie nadąża, niestety za rozwojem techniki, ta zaś nie posiada już dla nas żadnych tajemnic.

– Pigułki na porost włosów? Ależ proszę bardzo! – zawołał pan Kleks i wyciągnął z kieszeni srebrne puzderko, z którym nigdy się nie rozstawał. – Proszę bardzo! Mam ich duży zapas.

Mówiąc to, otworzył puzderko i poczęstował pigułkami najbliższej stojących Patentonczyków. Po chwili puzderko było puste. Tym zaś, którzy zdążyli skorzystać z poczęstunku pana Kleksa, od razu posypały się spod kapturów bujne kędziory. Następnie kapela odegrała na nosach kantatę skomponowaną na cześć pana Kleksa.

Ale przemówienie Patentonczyka nie było jeszcze widocznie skończone, gdyż dał znak, aby wszyscy się uciszyli, po czym ciągnął dalej:

– W naszym kraju nie znajdziecie rozrywek ani zabaw, jako że cały czas poświęcamy pracy. Ujrzyście za to wiele ciekawych rzeczy, a niektóre z nich będziecie nawet mogli zabrać ze sobą do ojczystej Bajdocji. Jesteście naszymi gośćmi, ale gościna wasza nie może trwać dłużej niż jedną dobę, gdyż nie wolno nam odrywać się od naszych warsztatów. Takie jest prawo tego kraju.

"Nie chcą, aby ich podpatrywać" – pomyślał Pietrek.

Skoro tylko Arcymechanik skończył przemówienie; wszyscy jego podwładni przyłożyli siatki do ust i zawołali chórem:

– Niech żyje Patentoniusz XXIX! Niech żyje Ambroży Kleks!

Po czym jeszcze raz odegrali na nosach powitalną kantatę.

Gdy ucichły ostatnie tony pieśni, głos zabrał pan Kleks i w krótkich słowach podziękował za serdeczne przyjęcie. Mówił po bajdocku, ale Patentończycy przyłożyli do uszu kauczukowe głośniki, które od razu tłumaczyły przemówienie na język patentoński.

ARCYMECHANIK

Po zakończonej uroczystości Arcymechanik zaprosił gości do swego pałacu, gdzie już przygotowane były dla nich obszerne apartamenty. Pan Kleks przede wszystkim zatroszczył się o beczki z esencją atramentową i poprosił o przeniesienie ich do pałacu.

– Dostojny gościu – rzekł na to ze smutkiem w głosie Arcymechanik – wiem, jak zmartwi cię wiadomość, którą usłyszysz. Cokolwiek pochodzi z Abecji, umiera natychmiast pod działaniem światła słonecznego. Tak samo mleko atramentowe traci swą barwę i staje się białe. Wiem o tym dobrze, gdyż z Abecją utrzymujemy od dawna bliskie stosunki sąsiedzkie. Zresztą sam przekonasz się o prawdzie moich słów.

Natychmiast jeden z Patentóńczyków przytoczył na rozkaz Arcymechanika dwie beczki z atramentowym płynem, ustawił je przed panem Kleksem i uderzeniem potężnej pięści rozbił pokrywy. Z beczek wytrysnął biały płyn. Pan Kleks nie dowierzał jeszcze swym oczom i zajrzał do wnętrza. Tak! Nie mogło być wątpliwości: atrament stracił barwę i przeistoczył się w bezwartościowy płyn koloru mleka. Pan Kleks zanurzył w nim dłoń, a potem przyglądał się w milczeniu białym kroplom, które kapały z jego palców na szklany bruk. Nikt nie śmiał przerwać tego wymownego milczenia.

W pewnej chwili oczy pana Kleksa spotkały się z oczami Pietrka, pełnymi łez. Pan Kleks otrząsnął się, gwizdnął jak kos i rzekł:

– Trudno. Chodźmy. Ale podróż nasza nie jest jeszcze skończona. Nie możemy wracać do Bajdocji z pustymi rękami.

Po tych słowach ujął pod ramię Patentoniusza XXIX i ruszył z nim w kierunku pałacu. Za nimi podążali Bajdoci, Przyboczna Rada Mechaniczna oraz cała świta.

Tak. Trzeba przyznać, że pan Kleks był wielkim człowiekiem. Bowiem wielcy ludzie nigdy nie tracą nadziei.

Wejście do pałacu prowadziło przez wysoką bramę. Kilkanaście wind stało w pogotowiu, w oczekiwaniu gości. Charakterystycznym szczegółem budownictwa patentońskiego był zupełny brak schodów. Schody w ogóle nie istniały.

Patentóńczycy wskakiwali na wyższe piętra, posiłkując się sprężynowymi podszewami, ale poza tym kto chciał, mógł korzystać z wind oraz szybujących foteli, poruszających się we wszystkich kierunkach.

Sala, do której wprowadził gości Arcymechanik, była bardzo przestronna i zupełnie pusta. Tylko kilka rzędów różnokolorowych guzików na srebrnej płycie wskazywało na istnienie złożonego mechanizmu. Istotnie, za naciśnięciem odpowiednich guzików, z podłogi z sufitu i ze ścian wyłaniały

się przeróżne urządzenia i sprzęty, zależnie od potrzeby.

Przed wszystkim za naciśnięciem guzików niebieskich, komnata przeobraziła się w wykwintną salę jadalną, którą zapełniły stoły zastawione potrawami i dzbanami z ananasowym winem. Na znak dany przez Arcymechanika rozpoczęła się uczta, trwająca resztę nocy aż do rana. Do potraw domieszane były nieznanne przyprawy, których działanie polegało na usuwaniu znużenia, tak że Bajdoci, nie mówiąc już o panie Kleksie, nie czuli zmęczenia ani senności.

Po uczcie Arcymechanik nacisnął czerwone guziki i natychmiast sala jadalna przeistoczyła się w pracownię mechaniczną. Wypełniały ją precyzyjne aparaty, instrumenty i narzędzia, przy których Arcymechanik opracowywał i doskonalił swe wynalazki.

Arcymechanik ofiarował każdemu z gości po metalowym pudełeczku, które było równocześnie radioaparatem, zapalniczką, latarką elektryczną, muchołapką i maszynką do strzyżenia. Bajdoci nie mogli wyjść z podziwu na widok tego skomplikowanego i genialnie pomyślanego instrumentu.

Natomiast pan Kleks, któremu okazywano nieustające oznaki czci, otrzymał ponadto aparat do odgadywania myśli, skrzynkę zawierającą siedem sekretów Patentonii i piętnaście świdrowców, mających służyć jemu i jego towarzyszom w dalszej podróży. Wśród siedmiu sekretów Patentonii znajdował się między innymi sposób odnalezienia tego kraju na mapie, model pompki powiększającej, spis wynalazków Arcymechanika i jeszcze cztery, równie bezcennej wartości.

Pan Kleks w gorących słowach podziękował za hojne dary, ale nie omieszkał przy tym w delikatny sposób zauważyć, że brak wśród nich tak pożądanego czarnego atramentu.

Arcymechanik zasepił się bardzo, porozumiał się z Przyboczną Radą Mechaniczną, po czym rzekł przytknąwszy wskazujący palec do swego długiego nosa:

– Atrament nigdy nie był nam potrzebny, albowiem posiadamy zdolność zachowania raz na zawsze w pamięci wszelkich słów, cyfr i myśli. Pamięć nasza nigdy nie zawodzi, dlatego też nie robimy żadnych notatek, nic nie zapisujemy ani nie utrwalamy, choćby to były najbardziej złożone wykresy lub formuły matematyczne. Ja, choć mam już dziewięćdziesiąt dziewięć lat, pamiętam z największą dokładnością ponad sto tysięcy liczb, których uczyłem się, gdy miałem lat dziewięć. Nic więc dziwnego, że nie wynaleźliśmy atramentu i nigdy go nie wynajdziemy. Zresztą, jak już zaznaczyłem poprzednio, nie posiadamy siedmiu najważniejszych barwników. Dziwię się tylko, że tak wielki uczonec, jak pan Ambroży Kleks, nie zdobył się dotąd na dokonanie podobnie łatwego wynalazku. Powtarzam: dziwię się – a dziwić się wolno każdemu.

Pan Kleks pominął milczeniem tę uszczypliwość, gdyż doskonale umiał nad sobą panować, ale zaczerwienił się po same uszy i przeraźliwie nastroszył brwi.

Tymczasem Arcymechanik, jak gdyby nigdy nic, zaproponował gościom przechadzkę po ulicach miasta, podkreślając, że wkrótce już, ku jego ogromnemu żalowi, będą musieli opuścić Patentonię.

Po tych słowach ujął pana Kleksa pod ramię i podskakując obok niego na swojej jedynej nodze, skierował się do wyjścia. Za nimi szli Bajdoci i świta Arcymechanika.

Główna ulica, zawieszona wysoko nad ruchomą jezdnią, przypominała raczej szeroki most wybrukowany szklaną kostką. Po obu stronach wznosiły się wysoko stożkowate budowle, a z okien wyglądali Patentończycy, podobni jeden do drugiego jak bliźnięta.

Wzdłuż ulicy stały nieprzerwanym szeregiem automaty zastępujące sklepy, restauracje i kawiarnie. Arcymechanik demonstrował je po kolei, wprawiając ich mechanizm w ruch przy pomocy stalowej iglicy.

Iglica Arcymechanika posiadała sto siedemdziesiąt siedem nacięć i pasowała do wszystkich automatów. Im kto niższe zajmował stanowisko w zespole wynalazców, tym niższej kategorii miał iglicę. Wynalazcy najmniej zdolni i pracownicy posiadali iglice o siedemnastu zaledwie nacięciach. Pozwalały one zaspokajać w automatach tylko najprostsze potrzeby.

Arcymechanik demonstrował wszystkie automaty i rozdawał swym gościom owoce, słodycze, części garderoby, przedmioty codziennego użytku, drobne praktyczne wynalazki, a nawet ozdoby i klejnoty. Przy jednym z automatów Patentończycy zatrzymali się nieco dłużej. Każdy wtykał do otworu swój długi nos, był to bowiem automat przeciwkatarowy, najczęściej chyba używany w tym kraju, gdyż jego mieszkańcy stale cierpieli na katar i kilka razy dziennie automatycznie dezynfekowali sobie nosy.

– Kto ma duży nos, ten ma duży katar – zauważył filozoficznie Arcymechanik.

Były też automaty do mierzenia temperatury, do plombowania zębów, do cerowania skarpetek, do zaplatania warkoczy oraz do wykonywania mnóstwa innych niezbędnych czynności.

Bajdoci nie ukrywali podziwu dla wynalazczości Patentończyków, ale w głębi duszy byli zdania, że zastąpienie sklepów przez automaty odbiera życiu znaczną część uroku. O ileż piękniej wyglądały ulice Klechdawy, z rzęsiście oświetlonymi wystawami sklepowymi, gdzie każdy mógł nabywać przedmioty stosownie do swego upodobania i gustu! Natomiast wyroby Patentończyków, podobnie jak ich stroje, wykonane były według jednego wzoru, posiadały jednolity kształt i barwę, co sprawiało przygnębiające wrażenie.

Prowadząc tak swoich gości ulicą Automatów, Arcymechanik zatrzymał się w pewnej chwili i rzekł:

– To, co ujrzycie teraz, niewątpliwie będzie dla was przykre, ale trudno, prawa naszego kraju są surowe i dotyczą w równej mierze tubylców, jak i cudzoziemców.

Po tych słowach Arcymechanik dał kilka wielkich susów i zatrzymał się przed postacią stojącą nieruchomo w szeregu automatów. Bajdoci podążyli za nim. Oczom ich ukazała się postać Pietrka,

który szklanym wzrokiem bezmyślnie patrzył przed siebie. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, a nogi przymocowane do chodnika metalowymi klamrami.

– Chłopiec ten – rzekł Arcymechanik – wbrew zakazowi podpatrzył jeden z najnowszych moich wynalazków i puścił w ruch jego mechanizm, ujawniając przedwcześnie tajemnicę. Został za to ukarany. Przestał być człowiekiem, a stał się automatem, automatem do lizania znaczków pocztowych. Mogę go wam zademonstrować.

To mówiąc Arcymechanik wetknął swoją iglicę do otworu umieszczonego pod lewą pachą Pietrka i przekręcił trzykrotnie.

Pietrek automatycznym ruchem otworzył usta i wysunął język. Patentonczycy jeden po drugim zbliżali się do automatu, przykładali do wysuniętego języka znaczki pocztowe i nalepiali je na przygotowane zawczasu koperty. Po wyjęciu iglicy Pietrek schował język, zamknął usta i nadal stał nieruchomo, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

Pan Kleks był głęboko wstrząśnięty tym widokiem. Wiedział, że dla Pietrka nie ma już ratunku. Długo stał w milczeniu, a potem zbliżył się do nieszczęsnego chłopca i złożył pocałunek na jego czole, które było zimne jak metal.

Odwrócił się wreszcie do Arcymechanika i rzekł drżącym głosem:

– Twarde jest prawo patentońskie, które zmieniło tego dzielnego chłopca w automat. Ciekawość jego została ukarana zbyt surowo. Skoro nie możemy odwrócić tego, co się stało, nie chcemy dłużej pozostawać w kraju, gdzie ludzie zamiast serc mają stalowe sprężyny. Wypuście nas stąd czym prędzej. Jest to nasze jedyne życzenie.

Bajdoci, do głębi oburzeni, otoczyli pana Kleksa i również domagali się natychmiastowego opuszczenia tej posepnej wyspy. Tylko sternik stał na uboczu i wołał:

– A ja nie chcę! Nie chcę być ślepym do końca życia. Tutaj przynajmniej widzę. Pozwólcie mi zostać!

– Nie mamy nic przeciwko temu – oznajmił Arcymechanik. – Rozumiemy, czym jest wzrok dla człowieka. Opalizujące szkła szybko tracą swą moc i często trzeba je zmieniać. A zmienić je można tylko w Patentonii. Pozwólcie więc waszemu sternikowi, aby został u nas. Będzie pracował tak, jak my, i żył tak, jak my. Bo u was nikt nie potrafi przywrócić mu wzroku.

Zapanowało ogólne milczenie. Pan Kleks usiłował stłumić w sobie niechętnie uczucia względem Patentonczyków, których zniechęcił za bezdusność. Uważał, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby Arcymechanik wyjawiał tajemnicę opalizujących szkieł. Ale ten wyniosły i zimny władca Patentonii poczuł się dotknięty w swoim poczuciu władcy i nic nie mogło go przejednać.

– Dobrze – powiedział pan Kleks – niechaj sternik zostanie. Wprawdzie, jeśli o mnie idzie, wolałbym być ślepy w Bajdocji niż królem w Patentonii, ale to już sprawa czysto osobista.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku placu. Bajdoci podążyli za nim. Ponad ich głowami w zwinnych skokach przemknęli Patentonczycy. Zgromadzony na placu tłum przyglądał się w uroczystym skupieniu pracy kilkunastu mechaników krzątających się dokoła lśniących, nowiutkich świdrowców, gotowych do odlotu.

Arcymechanik przywołał Bajdotów i udzielił im szeregu wyjaśnień oraz wskazówek, jak obchodzić się z mechanizmem tych latających kul. Trzeba przyznać, że był to mechanizm niezmiernie prosty. Nawet dziecko mogło posługiwać się nim z łatwością. Pan Kleks wsiadł do jednego ze świdrowców i odbył próbny lot, który wypadł całkiem zadowalająco.

Skoro przygotowania do odlotu były już zakończone, Arcymechanik zwrócił się do pana Kleksa i rzekł:

– Znajomość nasza pozostanie mi w pamięci na zawsze. Umiem łatwo zapominać drobne nietakty moich gości, ale nie zapomnę nigdy chwil głębokiego wzruszenia, jakie budzi we mnie najkrótsze nawet obcowanie z wielkim uczonym. Pomnik, który wzniesiemy na tym placu, upamiętni wasze niezwykle odwiedziny, a plac otrzyma nazwę placu Ambrożego Kleksa.

Przy tych słowach Patentoniusz XXIX pociągnął pana Kleksa za ucho, po czym mówił dalej:

– Wszystkie świdrowce są obficie zaopatrzone w żywność, nadto każdy z was otrzyma na drogę okrycie, bo w górze jest bardzo zimno. Patrzcie, te peleryny są mego wynalazku. W każdym guziku mieści się mała bateryjka, z której przepływa przez płaszczyznę równomierna fala ciepła. Temperaturę można regulować przez włączenie jednego, dwóch albo trzech guzików. A teraz nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać was i życzyć szczęśliwej podróży.

Podczas gdy Patentonczycy rozdawali Bajdotom peleryny, pan Kleks wygłosił krótkie pożegnalne przemówienie i podziękował Arcymechanikowi za gościnność.

Sternik był niesłychanie wzruszony. Pobiegł do swoich towarzyszy podróży i ścisnął ich po kolei, głośno szlochając.

– Wiem, że już nigdy nie usłyszę bajek Wielkiego Bajarza! – wołał z płaczem. – Wybaczcie mi, ale nikt z was nie wie, co to jest ślepoty! Może tutaj jakoś się oswoję, będę się opiekował Pietrkiem... Wybaczcie, bądźcie zdrowi!

Pan Kleks ze łzami w oczach ucałował sternika, skłonił się jeszcze raz Arcymechanikowi i zgromadzonym Patentonczynom, po czym dał Bajdotom znak, aby wsiadali do świdrowców. W każdym z nich usadowiło się po dwóch Bajdotów, a do ostatniego wsiadł sam tylko pan Kleks.

Patentończycy zaintonowali na nosach pożegnalnego marsza i po chwili piętnaście świdrowców uniosło się w górę. W miarę oddalania się od ziemi, zgromadzeni na placu ludzie stawali się coraz mniejsi, a po kilku minutach przypominali już roje ruchliwych mrówek. Niebawem też cała Wyspa Wynalazców, zwana Patentonią, wyglądała z góry jak talerz pływający po powierzchni morza.

WALKA Z SZARAŃCZĄ

Pan Kleks nawet nie zauważył, że odzyskał znowu swój normalny wzrost.

"Zdaje się, że wynalazki tych bezdusznych durniów są złudne i nierzeczywiste" – pomyślał z niesmakiem.

Gdy jednak włączył ogrzewające guziki płaszcza, poczuł we wszystkich członkach przyjemne ciepło. Następnie wypróbował aparat do zgadywania myśli i na maleńkim ekranie zobaczył szereg bezbarwnych i jednostajnych obrazów. Były to myśli marynarzy, którzy widocznie oddawali się swoim codziennym marzeniom. Jedynie myśli kapitana raz po raz wracały do Patentonii, krążyły wokół sternika, zatrzymały się na Pietrku i wybuchały gniewnymi iskrami nad głową Arcymechnika.

Pan Kleks włożył swoje dalekowzroczone okulary, rozpostarł samoczynną mapę – dar Patentoniusza XXIX i poszybował na północno–zachód. Pozostałe świdrowce leciały za nim na podobieństwo klucza żurawi.

Niebo było czyste, ale przejmujący chłód wdzierał się do kabin. Na szczęście wszystkie ogrzewające guziki działały sprawnie, toteż Bajdotom ziębły jedynie uszy i nosy. Pan Kleks podniósł do góry swą rozłożystą brodę i wtulił w nią twarz jak w ciepły szal. Rozglądał się pilnie dokoła, podawał przez mikrofon rozkazy i krótkie komunikaty o trasie lotu.

– Lecimy na wysokości osiemnastu tysięcy stóp... Na prawo rozciąga się Archipelag Wysp Gramatycznych. Stamtąd rozchodzą się na cały świat reguły i prawidła pisowni... Przed nami na wprost rozpościera się Morze Kormorańskie... Zbliżamy się z szybkością dwustu dwudziestu mil na godzinę do kraju Metalofagów... Jest obecnie jedenasta czterdzieści pięć czasu środkowo–obiadowego... Wyłączam się...

Bajdoci posilili się pastylkami odżywczymi, w które świdrowce były obficie zaopatrzone. Pastylki zawierały trzy smaki mięsne, trzy jarzynowe i dwa owocowe, a nadto składały się częściowo z wina ananasowego w proszku.

Lot przez dłuższy czas odbywał się pomyślnie. Po bezchmurnym niebie rozpląwała się jasność słonecznego dnia, a w dole, poprzez krystalicznie czyste powietrze, widniała powierzchnia morza, przypominająca zieloną pomarszczoną ceratę na biurku. Nagle w odbiornikach rozległ się wzburzony głos pana Kleksa:

– Uwaga, uwaga! Od wschodu zbliża się chmura... Ogromna chmura... Zakrywa cały widnokrąg... Nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego, ale zdaje się, że to trąba morska... Zniżamy lot! Przygotować pompki ratownicze! Nie bać się! Jestem z wami...

Pan Kleks przetarł wężami okulary, wychylił się z kabiny i zawisł w powietrzu, trzymając się jedną ręką steru świdrowca. Surdut jego wydał się jak żagiel, a broda, rozwiewana i szarpana przez

wiatr, przypomiwała miotłę czarownicy.

Każdy inny na miejscu pana Kleksa zarządziłby zmianę kierunku lotu, aby w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa. Powtarzam: każdy inny. Ale nie pan Kleks. Ten niezwykle człowiek uważał zboczenie z kursu za niegodne uczonego i leciał prosto na spotkanie chmury. Teraz również Bajdoci dojrżeli na horyzoncie czarną plamę, do której zbliżali się z każdą sekundą. Ogarnęło ich przerażenie. Jeden ze świdrowców oderwał się nawet od pozostałych i zawrócił na południowy wschód.

W głośnikach rozległ się spokojny, ale stanowczy głos pana Kleksa:

– Wyrównać szyk! Powtarzam: wyrównać szyk!...

Pan Kleks nigdy nie wpadał w gniew i nie przemawiał podniesionym tonem, a mimo to zmuszał do posłuchu. Toteż uciekinier po chwili wrócił na swoje miejsce i świdrowce szybowwały dalej w wytyczonym kierunku, równo jak klucz żurawi.

– Kapitanie – zawołał pan Kleks – czy barometr spadł?

– Nie spadł.

– Czy siła wiatru uległa jakiejś zmianie?

– Ani trochę.

– W porządku. Zgadza się. Chmura przed nami nie jest zatem trąbą morską... To szarańcza... Wygłodniała podzwrotnikowa szarańcza... Musimy się przez nią przebić... Uwaga... daję pełny gaz!

Świdrowce rozwinęły największą możliwą szybkość i po kilkunastu minutach wbiły się klinem w gęstą masę żarłocznych owadów, które wielkością dorównywały wróblom.

Świdry samolotów dziesiątkowały szarańczę i masakrowały jej zbite szeregi. Kuliste kadłuby świdrowców uderzały z miażdżącą siłą, ale napływające coraz nowe chmury szkodników zalewały przestworze jak fale potopu. Trzepotanie milionów szklistych skrzydeł rozbrzmiewało w powietrzu niczym wiosenna burza, przelewało się nieustającym grzmieniem i ogłuszało Bajdotów.

Pan Kleks, wywieszony na zewnątrz, jedną ręką trzymał się ramy swego świdrowca i wymierzał mordercze kopniaki najbardziej zaciętrzewionym napastnikom, dając całej załodze przykład nieustraszonego męstwa.

Bajdoci nacierali w pojedynkę, pikowali, wrzeszczeli jak opętani i wprowadzali zamieszanie wśród szarańczy. Wpadli też na oryginalny pomysł. Zaczęli rozsypywać pełnymi garściami odżywcze pastylki. Wygłodniałe owady rzucały się na żer, biły się między sobą do upadłego o każdy okruch. Te, które zdołały połknąć skondensowany pokarm, natychmiast pęczniały i pękały z trzaskiem jak

baloniki.

Po dwóch godzinach zacieklej walki promienie słońca zaczęły się z wolna przebijać przez rzednące masy szarańczy. Znow ukazał się czysty błękit nieba i już tylko opóźnione gromadki owadów tu i ówdzie lśniły jak lotne obłoczki.

– Trzymać się kursu! – zawołał wesoło pan Kleks. Ale nagle stwierdził brak dwóch świdrowców i równocześnie dało się słyszeć w odbiorniku żalosne wołanie:

– Halo! halo! Porwała nas szarańcza... Nie możemy się wyrwać! Świdry zaplątały się w skrzydłach owadów... SOS!...SOS!...

Pan Kleks przetarł okulary i ujrzał w oddali masy szarańczy opadające z wolna na wyspę, która wystawała z morza. Dokonał błyskawicznego zwrotu w tył i ruszył jak strzała na pomoc zagrożonym świdrowcom. Bajdoci karnie podążali za nim.

– Nacierać od dołu! – wołał pan Kleks, a głos jego rozbrzmiewał we wszystkich odbiornikach równocześnie. – Musimy starać się otoczyć tych nieszczęśników! Ale nie wolno lądować... Powtarzam: nie wolno lądować!

Dzięki szybkiej akcji ratunkowej panu Kleksowi udało się uwolnić jeden z porwanych świdrowców. Drugi jednak, chociaż miał przetartą drogę odwrotu, z wolna obniżał lot i dał się nieść fali szarańczy.

– Nie lądować! – wołał rozpaczliwie pan Kleks. – Ostrzegam przed lądowaniem!

Ale świdrowiec oddalał się coraz bardziej, a w odbiornikach rozlegały się ochryple głosy jego dwuosobowej załogi:

– Widzimy na wyspie wspaniałe miasto... Nadzwyczajne miasto... Postanowiliśmy tutaj zostać... Mamy już dość atramentowej wyprawy! Halo, halo... Szarańcza poleciała dalej... Zniżamy się... Witają nas tłumy kolorowych postaci... Lądujemy! Słyszycie nas? Lądujemy...

Pan Kleks wyprostował ster i zawołał donośnie:

– Wyrównać szyk! Trzymać się kursu!

Gdy załogi świdrowców sprawnie wykonały rozkaz, pan Kleks podał komunikat informacyjny:

– Uwaga, uwaga! Zostawiliśmy za sobą Wyspę Metalofagów. Mieszkańcy tej wyspy nie robią krzywdy ludziom, ale żywią się metalem i pożarliby natychmiast metalowe części naszych świdrowców. Dlatego też nie wróciła stamtąd żadna dotychczasowa wyprawa... Staciliśmy dwóch towarzyszy... Poniosła ich ciekawość... Cenię w ludziach ciekawość, gdyż sprzyja ona poznawaniu

życia i świata... Ciekawość jednak musi być rozważna... Rozumiecie teraz, dlaczego nie chciałem dopuścić do lądowania... Waszym rodakom nie stanie się nic złego, ale nigdy już nie wrócą do słonecznej Bajdocji... Uwaga, jest godzina siedemnasta dwadzieścia pięć czasu podwieczorkowego... Wyłączyć guziki ogrzewające... Zbliżamy się do wybrzeży Parzybrocji...

NADMAKARON

Zapadła szybka podzwrotnikowa noc. Pan Kleks po raz ostatni spojrział na mapę, sprawdził położenie gwiazd i obliczył w pamięci ich wzajemne odległości.

– 67.254.386.957.100.356 – powiedział półgłosem. – Zgadza się. Podzielmy to przez odległość od ziemi. Otrzymamy liczbę 21.375.162. Uwzględniając kąt nachylenia, wyciągnijmy właściwy pierwiastek. Daje to 8724. Odejmijmy teraz ilość przebytych mil. Pozostaje 129. Zgadza się.

Istotnie, w dole ukazały się światła, które wyglądały z oddali jak rozrzucone na znacznej przestrzeni ogniska.

Pan Kleks przyczesał palcami potarganą brodę, obciągnął surdut i przemówił uroczyście do mikrofonu:

– Panowie... Dokładnie za siedem minut nastąpi lądowanie... Po opuszczeniu świdrowców proszę trzymać się mnie... Kapitanie, widzę pańskie myśli... Nie jestem starym durniem, za jakiego pan mnie uważa... Przeciwnie, jestem dość mądry na to, aby wybaczyć panu małoduszność niegodną Bajdoty... Honor przede wszystkim... Honor, panowie... Wyłączam się...

W odbiornikach rozległy się trzaski, a następnie urywane słowa kapitana, których nikt jednak nie słuchał, bo oto świdrowiec pana Kleksa ruszył pionowo do lądowania. Równocześnie zapłonęło trzynaście czerwonych sygnałów ostrzegawczych i trzynaście świdrowców w jednodominutowych odstępach dotknęło ziemi.

Dokoła zalegały ciemności, rozświetlane jedynie błyskami dogasających ognisk. Podróżnicy otoczyli pana Kleksa i przyglądali się z niepokojem dziwnym domostwom, przypominającym dziuple. Na próżno jednak szukali wzrokiem jakichkolwiek żywych istot. Miasto wyglądało jak wymarłe.

Pan Kleks stanął swoim zwyczajem na jednej nodze, przyłożył do ust obie dłonie zwinięte w trąbkę i odegrał na nich marsza ołowianych żołnierzy.

Jakby na umówiony znak, ze wszystkich dziupli zaczęli wyskakiwać wspaniale zbudowani brodaci mężczyźni, o nagich muskularnych torsach, przyodziani w spódnice z kolorowego płótna.

Większość z nich pobiegła rozniecać dogasające ogniska, natomiast siedmiu najdostojniejszych brodaczy zbliżyło się do pana Kleksa i po kolei złożyli mu głęboki ukłon. Następnie uklękli na ziemi i trzykrotnie zamietli ją brodami.

Pan Kleks uczynił to samo, gdyż on jeden spośród wszystkich podróżników posiadał brodę.

Po tych wstępnych oznakach czci Parzybrodzi ustawili się w rząd i jeden z nich przemówił wyrzucając z siebie gardłowe i nosowe dźwięki, przypominające gulgotanie indyka:

– Gluw–gli–glut–gla–glim–gly–gliw–gla–glus.

Żaden z Bajdotów nic z tego oczywiście nie rozumiał. Tymczasem pan Kleks płynnie odpowiedział po parzybrodzku:

– Glin–gla–gluw–gliz–gla–gluj–gle–glim.

Po czym dodał zwracając się do Bajdotów:

– Dlaczego macie takie zdziwione miny? Czyżby to i pana dziwiło, kapitanie? Przecież każdy kiep zrozumie, że język parzybrodzki jest niesłychanie łatwy. Trzeba mieć tylko odrobinę oleju w głowie, kapitanie, aby móc się nim posługiwać. Po prostu w każdej sylabie uwzględnia się tylko ostatnią literę. Gilr–glo–gluz–glu–glim–gli–gle–glic–gli–gle?

Parzybrodzi był to naród raczej pierwotny. Mimo ogromnej siły fizycznej odznaczyli się łagodnością i niezwykle ujmującym sposobem bycia. Domy swoje budowali z ciosanego drzewa, w kształcie wieżyczek, do których prowadziło jedno okrągłe wejście, nad nim zaś widniały dwa lub trzy otwory zastępujące okna. Ulice przecinały się prostopadle, tworząc regularną szachownicę. Przed każdym domem na paleniskach z cegieł stały niskie gliniane kotły.

Wszyscy Parzybrodzi mieli długie brody w różnych kolorach. Tylko dostojnicy, którzy witali naszych podróżników, wyróżniali się brodami o barwie kremowej, przy czym zarost ich przypominał raczej zwoje makaronu niż normalne owłosienie.

Podchodzili oni kolejno do pana Kleksa, przyglądali się jego brodzie i ze znawstwem, jak handlarze sukna, gnietli ją w palcach.

Dostojnicy o makaronowym zaroście stanowili Ważną Chochlę, czyli rząd Parzybrocji. Najstarszy spośród nich, noszący imię Glaz–glu–glip–gla, piastował godność Nadmakarona, co odpowiadało godności Wielkiego Bajarza w Bajdocji.

Nadmakaron ujął pana Kleksa pod ramię i zaprowadził podróżników do dziupli rządowej. Była to wielka sala, gdzie pośrodku stał ogromny stół, a pod ścianami wisały liczne hamaki uplecione z kolorowych sznurów. Płonące na ulicy ogniska rzucały przez okna migotliwe światło. Po chwili urodziwe Parzybrodki wniosły na tacach dymiące talerze zupy z makaronem i zapraszały gości do jedzenia uprzejmym: "glip–glor–glo–glis–gli–glim–gly". Pan Kleks oraz Bajdoci zasiedli do stołu i z wielkim apetytem spałaszowali po trzy talerze smakowitej zupy. Innych potraw nie znano w tym kraju.

Po wieczerzy pan Kleks, który zdołał już świetnie opanować miejscowy język, zawołał po

parzybrodźku:

Szanowny Nadmakaronie i wy, członkowie Ważnej Chochli! Cieszymy się niezmiernie, że przybyliśmy do waszego kraju, o którym tak wiele słyszeliśmy. Dziękujemy za okazaną nam gościnność, której nie zamierzamy nadużywać. Mam nadzieję, że aczkolwiek nie jesteśmy sąsiadami, stosunki sąsiedzkie pomiędzy Bajdocją i Parzybrocją ułożą się jak najpomyślniej. Glow–gli–glow–gla–glut! Co w naszym języku brzmi "Wiwat".

– Wiwat! – zawołali chórem Bajdoci.

Nadmakaron wstał, pogładził się po brodzie i rzekł:

– Jesteśmy wprawdzie ludem raczej pierwotnym, nie znamy zdobyczy nowoczesnej techniki, nie znamy sztucznego światła, rur wodociągowych ani kanalizacji, słowem, tych wszystkich urządzeń, których główną właściwością jest to, że nieustannie się psują. Jednakże mimo takiego zacofania wiemy wszystko, co wiedzieć warto. Słyszeliśmy też o tobie, czcigodny doktorze filozofii, chemii oraz medycyny. Imię sławnego uczonego Ambrożego Kleksa znane jest u nas tak samo, jak imię niezapomnianego założyciela Parzybrocji – Zupeusza Mruka, który był pradziadkiem obecnego Wielkiego Bajarza Bajdocji. Przed wielu, wielu laty dzielny ten żeglarz wylądował tu z grupą rozbitków, a my wszyscy jesteśmy ich potomkami. Zupeusz Mruk stworzył nasz język, stworzył nasze budownictwo i wszczepił nam życiodajne brody, o których dowiecie się jutro. A teraz udajcie się na spoczynek, bo niewątpliwie jesteście strudzeni długotrwałą podróżą. Glud–glo–glib–glur–gla–glin–glo–glic.

– Dobranoc – odpowiedzieli chórem Bajdoci, którzy nauczyli się już rozumieć język Parzybrodów.

Gdy gościnni gospodarze opuścili salę, pan Kleks podrapał się znacząco w głowę i stojąc na jednej nodze powiedział:

– Podróże kształcą. Ale bajki kształcą w stopniu znacznie większym. Wszystko to, co mówił Nadmakaron, Wielki Bajarz wymyślił o wiele wcześniej, a doktor Paj–Chi–Wo opowiadał mi pięćdziesiąt lat temu. Chodźmy spać. Dobranoc, kapitanie. Dobranoc, marynarze.

Po tych słowach zdjął surdut, wyciągnął się na hamaku i zasnął, pomrukując od czasu do czasu jak kot.

Bajdoci poszli za jego przykładem.

ŻYCIODAJNE BRODY

Nazajutrz wczesnym rankiem obudziła pana Kleksa cicha muzyka. To jeden z bajdockingich marynarzy imieniem Ambo, wyciągnięty w hamaku, grał na swojej nieodłącznej bajdolinie starą marynarską piosenkę:

Prowadź, prowadź, kapitanie, Okręt szybki! Daj nam. daj nam na śniadanie Złote rybki.

Pan Kleks stanął na środku sali, włożył okulary i na dwóch palcach wygwizdał pobudkę. Po chwili Parzybrodki wniosły na tacach filiżanki z zupą pomidorową i rogaliki z makaronu.

Gdy podróżnicy zjedli śniadanie i wyszli na ulicę, miasto w świetle dnia wydało im się nieporównanie piękniejsze. Obok domów, które wyglądały jak wielkie drewniane okrągłaki, krzątały się Parzybrodki odziane w kolorowe spodnie tudzież kamizelki ze słomianej plecionki. Tłumy dzieci bawiły się na placykach w "berka" albo w "klasy". Ulice tonęły w zieleni i w kwiatach, a barwne kolibry i papugi, oswojone jak kury, dziobały ziarnka, które im z okien domów rzucały parzybrodzkie dziewczęta.

Największe jednak zainteresowanie pana Kleksa obudziła praca mężczyzn. Siedzieli oni przed domami dokoła kotłów i parzyli we wrzątku swoje brody. Kobiety podtrzymywały ogień na paleniskach, a od czasu do czasu zanurzały w kotłach drewniane chochle, mieszały wrzątek i próbowały jego smak.

Nietrudno było zauważyć, że każda z życiodajnych bród, w zależności od barwy, zawierała składniki o odrębnym smaku. Były więc brody pomidorowe, burakowe, fasolowe, cebulowe, szczawiowe, a z ich połączeń powstały inne, nader urozmaicone zupy. Stanowiły one wyłącznie pożywienie ludności Parzybrocji. Na tym jednak nie koniec. Każdy mężczyzna w miarę potrzeby smarował sobie brodę pomadą, stanowiącą odpowiednią przyprawę. Wśród pomad pan Kleks rozpoznał pomadę chrzanową, solną, pieprzową i majerankową, ale były i takie, których wielki uczonec nie potrafił określić, chociaż dobrze znał się na kuchni.

– Genialne! Fantastyczne! – wołał raz po raz i biegał z łyżką od kotła do kotła kosztując wszystkich rodzajów zup.

Podziw jego jednak przekroczył wszelkie granice, gdy na ulicy ukazali się członkowie Ważnej Chochli i w różnych kotłach zanurzali po kolei swoje brody, dodając w ten sposób do zup odpowiednie porcje makaronu.

Po dostatecznym wyparzeniu bród ich właściciele powyciągali je z kotłów, a następnie wytarli rącznikami do sucha. Dziewczęta przyniosły talerze. Jedne nalewały zupę, inne częstowały gości i rozdawały posiłek domownikom.

Zjawił się również Nadmakaron, którego powitano z ogromną czcią. Gawędząc z panem

Kleksem, ten najwyższy dostojnik Parzybrocji wyjaśnił mu, że brody makaronowe są niesłychanie trudne do zaszczepienia i jedynie siedmiu szczególnie zasłużonych Parzybrodów może się nimi poszczycić, ale za to muszą używać makaronu pozostałej ludności, zwłaszcza do rosółu i zupy pomidorowej.

– Wybacz Wasza Dostojność – rzekł pan Kleks z pewnym zakłopotaniem w głosie – jestem wprawdzie profesorem chemii na uniwersytecie w Salamance, ale chciałbym zapytać, czy brody, raz wyparzone, nadają się do dalszego użytku?

– Jak najbardziej – odparł Nadmakaron z pobłażliwym uśmiechem. – Substancje zawarte w parzybrodzkich brodach nie wyczerpują się nigdy, podobnie jak nie wyczerpują się bezwartościowe składniki pańskiej brody, chociażby wyparzył ją pan nawet trzy razy dziennie. To chyba oczywiste?... Chciałbym nadto wyjaśnić – ciągnął dalej Nadmakaron – że Parzybrodzi o różnych kolorach bród jednoczą się w bractwa celem wymiany i łączenia smaków. Przy czym siedem bractw tworzy krewniactwo. My, posiadacze bród makaronowych, obsługujemy wyłącznie krewniactwa, gdyż nie bylibyśmy w stanie zaopatrywać każdego kotła z osobna.

Bajdoci słuchali opowiadania Nadmakarona z ciekawością, ale bez zachwytu.

Pan Kleks, który wyjął właśnie z kieszeni aparat do odgadywania myśli, powiedział z przekąsem do swoich towarzyszy:

– Panowie, o ile mogę stwierdzić, myślicie wyłącznie o befsztykach i pieczeni wołowej. Przyjrzyjcie się jednak, jaka wspaniała rasa ludzi wyrosła na parzybrodzkich zupach. Mieszkańcy tego kraju nie układają wprawdzie bajek, ale za to łączą w sobie urodę ciała z pogodą ducha. Tak, tak, panowie, beźmięsna kuchnia wydelikaca podniebienia i wpływa znakomicie na porost bród.

Po obiedzie członkowie Ważnej Chochli pod wodzą Nadmakarona poprowadzili gości na zwiedzenie miasta.

W muzeum pamiątek wisiał ogromny portret Zupeusza Mruka, uderzająco podobnego do Wielkiego Bajarza. Na postumentach stały gliniane posążki poprzednich Nadmakaronów, a pod szklanym kloszem widniało coś, co przypominało kawałek żelaza. Ze słów gospodarzy istotnie wynikało, że był to jedyny kawałek metalu, jaki ocalał w Parzybrocji.

– Przed trzydziestu laty – powiedział ze smutkiem Nadmakaron – najechały nasz kraj hordy Metalofagów, którzy zrabowali i pożarli wszystkie metalowe przedmioty, zgromadzone w wyniku wielu niebezpiecznych wypraw przez parzybrodzkich żeglarzy. Odtąd postanowiliśmy obchodzić się bez metalu. Używamy jedynie gliny, drzewa i szkła. W ten sposób jesteśmy zabezpieczeni przed nowym najazdem dzikusów z Metalofagii.

Zwiedzanie miasta potwierdziło słowa Nadmakarona. Zarówno zakłady tkackie, jak i warsztaty stolarskie zaopatrzone były w maszyny i przyrządy ze szlifowanego szkła, palonej gliny oraz

hartowanego drzewa.

Przed wieczorem Ważna Chochla wydała na cześć gości przyjęcie. Na długich stołach pod palmami ustawiono dzbany z nektarem kwiatowym o różnych woniach i smakach oraz frykasy z eukaliptusa, daktyli i orzechów.

Tymczasem Parzybrodzi krzatali się już przy kotłach, zaparzając brody do wieczery.

Nagle pan Kleks zamilkł, zerwał się z miejsca i zawołał wskazując na brodacza z czarnym zarostem:

– Jest.

Madmakaron nie rozumiejąc, co znaczy okrzyk pana Kleksa odpowiedział spokojnie:

– Piękna broda, nieprawdaż? Mamy tylko pięć takich w naszym mieście. Gotujemy na nich czerninę.

Pan Kleks podbiegł do czarnego brodacza i gwałtownym ruchem zanurzył jego brodę w najbliższym kotle.

– Jest! – zawołał z zachwytem. – Kapitanie, proszę spojrzeć! Przecież to najprawdziwszy atrament!

Wyciągnął z kieszeni pióro, zamoczył je w czarnym płynie i szybko zaczął kreślić w notesie swój podpis, ozdobiony mnóstwem zamaszystych zawijasów.

– Patrzcie – wołał do Bajdotów – co za atrament! Genialny! Fantastyczny! Musimy dostać tę brodę za wszelką cenę! Zabierzemy ją do Bajdocji. Będziemy mieli atrament! Niech żyje czarna broda!

Nadmakaron dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi. Ujął pana Kleksa pod ramię i oświadczył uroczyście:

– Ja i mój lud bylibyśmy niezmiernie szczęśliwi, gdyby leżało w naszej mocy zaspokoić życzenie tak wielkiego człowieka i uczonego. Bylibyśmy dumni, gdybyśmy mogli potomkowi Zupeusza Mruka ofiarować nie tylko jedną, ale sto życiodajnych bród. Niestety, brody nasze są ściśle związane z organizmem i po obcięciu więdną jak trawa. Nie miałbyś z nich pożytku, drogi przyjacielu.

– Zmartwiłeś mnie, dostojny panie – rzekł cicho pan Kleks. – Bardzo mnie zmartwiłeś. Czy pozwolisz wobec tego, aby jeden z twoich rodaków opuścił wasz kraj i udał się z nami do Bajdocji? Obsypiemy go kwiatami i bajkami, a on w zamian będzie nam zaparzał swoją piękną, czarną,

atramentową brodę...

– O, nie! To niemożliwe! – oświadczył Nadmakaron. – Nasz organizm nie znosi żadnych pokarmów poza parzybrodzkimi zupami. Gdyby ten, o którego chodzi, opuścił kraj, byłby do końca życia skazany na spożywanie czerniny z własnej brody. A to jest przecież niemożliwe, gdyż tylko odpowiednie mieszanki naszych zup zaspokajają niezbędne potrzeby organizmu. Nie mówmy o tym więcej.

Po czym, zwracając się do Bajdotów, powiedział uprzejmie:

– Panowie, prosimy na wieczerzę!

Pan Kleks nie miał apetytu. Trzymał się na osobności, rozmyślał stojąc na jednej nodze, wreszcie rzekł do swoich towarzyszy:

– Jutro, skoro świt, ruszamy w dalszą drogę. A teraz idziemy spać.

Nad miastem zapadła noc. Dogasały ogniska. Parzybrodzi nie używali światła, a zastępowała je fosforowa przyprawa do zup, która pozwalała im widzieć w ciemności. Pan Kleks i Bajdoci musieli po omacku dobrnąć do swoich hamaków.

PODRÓŻ W BECZCE

O świcie kapitan ustawił marynarzy w dwuszeręg i zameldował o tym panu Kleksowi.

– Ma pan teraz bardzo ładne myśli, kapitanie – zauważył pan Kleks zaglądając do swego aparatu.

Skoro podróżnicy opuścili rządową dziupłę, znaleźli się od razu przed szpalerem dzieci, które każdemu wręczyły po bukietach kwiatów. Droga do pałacu, gdzie stały świdrowce, również usłana była kwiatami. Nadmakaron i Ważna Chochła powitali gości, zamiatając ziemię brodami.

Jakież było przerażenie pana Kleksa, gdy okazało się, że ze świdrowców zostały tylko mizerne szczątki, które tu i ówdzie poniewierały się w trawie. Miało się wrażenie, że przez plac przeszedł huragan, który zmiażdżył kabiny, pogruchotał silniki i wszystko obrócił w perzynę.

– Co to znaczy? – zawołał pan Kleks prychnąwszy z gniewu. – Kto ośmielił się zniszczyć nasze samoloty?

– Wybacz – wymamrotał Nadmakaron. – To nasze dzieci... Nie mają żadnych zabawek, a w świdrowcach tyle było różnych kółek, kółeczek i sprężynek... Biedne dziatki nie mogły widocznie oprzeć się pokusie i rozebrały wszystko na kawałki... Nie powinieneś gniewać się na nie za tę niewinną psotę. Nie przypuszczały, że świdrowce będą wam jeszcze potrzebne. Teraz mają mnóstwo drobiazgów do zabawy... Spójrz, czy to nie wzruszający widok?

Pan Kleks przypomniał sobie, że już poprzedniego dnia zauważył w rękach dzieci równe metalowe przedmioty, co mu nasunęło pewne wątpliwości o najeździe Metalofagów na Parzybrocję. Teraz ze zgrozą spoglądał na pogięte tłoki, na połamane tryby, na pokrzywione stery i przekładnie, na pokręcone płyty aluminiowej blachy, z których dzieci na skwerach budowały sobie domki.

– Jesteśmy zgubieni! – jęknął kapitan.

Bajdoci podnieśli rozpaczliwy lament. Marynarz Ambo rzucił się między dzieci i już miał zacząć je okładać swoją bajdoliną, kiedy pan Kleks gwizdnął rozkazująco na palcach.

– Proszę zachować spokój! – rzekł dobitnie. – Trzymać się mnie! Wiem, co należy robić!

Wśród Bajdotów zapanowała cisza.

Nadmakaron stał z wyciągniętą prawą ręką, a palcami lewej przebierał

Pan Kleks zwrócił się do niego:

– Spotkało nas wielkie nieszczęście. Straciliśmy nasze świdrowce. Nie gniewamy się na

dzieci, bo nie wiedziały, że wyrządzają nam niepowetowaną szkodę. Niemniej jednak musimy ruszyć w dalszą drogę. Liczymy na waszą pomoc. Dajcie nam statek albo jakąś dużą łódź, abyśmy mogli jeszcze dzisiaj stąd odpłynąć.

Członkowie Ważnej Chochli pokiwali głowami i udali się na naradę. Nadmakaron drapał się w nos i rozmyślał. Po chwili przywołał makaronowych dostojników i długo półgłosem coś im perswadował. Wreszcie zwrócił się do pana Kleksa:

– Czcigodny panie, postanowiliśmy, oddać do waszej dyspozycji nasz najcenniejszy budynek, naszą rządową dziuplę. Wprawdzie bardziej przypomina ona beczkę niż okręt, ale zbudowana jest solidnie i można na niej popłynąć nawet na koniec świata. Za godzinę dostarczymy ją na brzeg. Idźcie nad morze i czekajcie na nas.

Pan Kleks ze łzami w oczach uścisnął Nadmakarona i opanowując wzruszenie, powiedział:

– Jesteście prawdziwie szlachetnym i wspaniałomyślnym narodem. Cieszymy się, że dostarczyliśmy waszym dzieciom rozrywki i zabawy. Niech im nasze świdrowce pójdą na zdrowie!

– Niech żyje pan Kleks! – zawołał z uniesieniem Nadmakaron.

A dzieci zaczęły skandować chórem:

– Gluk–glil–gle–gluk–glis! – i tłumnie odprowadziły podróżników na sam brzeg morza.

Niebawem w oddali rozległo się głucho dudnienie i na ukwieconym wzgórzu ukazała się olbrzymia beczka. Toczyło ją czterdziestu czterech Parzybrodów, a za nimi gromada dziewcząt niosła na tacach talerze z zupą szczawiową.

Z zachowaniem największej ostrożności beczkę spuszczone na wodę.

Po zjedzeniu zupy kapitan wydał komendę:

– Załoga na stanowiska!

Wkrótce zjawił się Nadmakaron i Ważna Chochla, a za nimi kilku tragarzy, którzy przywieźli na taczkach zwoje lin wysmarowanych obficie żywicą.

Liny te ze szczytu beczki zarzucano do wody. Po chwili wynurzyło się stado rekinów. Żarłocznie wpiły się zębami w liny. Po czym nie mogły się już od nich uwolnić, bowiem gęsta żywica zlepiła im szczęki na podobieństwo ciągutek.

– To jest mój wynalazek – oświadczył z dumą Nadmakaron. – Rekiny będą was holowały. A oto żerdź, która zastąpi wam ster.

Pan Kleks serdecznie pożegnał Parzybrodów, wdrapał się na szczyt beczki i wysunął żerdź naprzód, pod same nosy, rekinów. Gdy załoga mocno przytwierdziła do beczki jeden koniec żerdzi, wtedy do drugiego jej końca przywiązał się marynarz Ambo sznurami, które kołysały go jak huśtawka.

Na widok tak smakowitego kąska rekiny szarpnęły pociągając liny i równocześnie przywiązaną do nich beczkę, Im szybciej goniły upragniony żer, tym chętniej ślizgał się po falach niezwykle statek. Załoga zeszła na dno beczki, a tylko pan Kleks stał na wierzchu i spoglądał w stronę lądu.

"Znowu ruszam w drogę bez atramentu – myślał ze smutkiem. – Ale nie tracę nadziei. O, nie!"

Tak, tak moi drodzy. Wielcy ludzie nigdy nie tracą nadziei.

Rekiny gnały przed siebie jak opętane, wściekle bijąc ogonami o wodę. Statek oddalał się coraz bardziej od brzegów Parzybrocji. Na wzgórzu widniała jeszcze przez pewien czas wysoka sylwetka Nadmakarona, ale niebawem i ona zniknęła z oczu, a wąski skrawek ziemi zasnęła mgła.

Przez pierwsze dwa dni żegluga odbywała się nader sprawnie. Pogoda sprzyjała, a pomyślna wieja popychała nawę zgodnie z przewidzianym kursem. Ambo kołysał się na końcu żerdzi i podsyczał żarłoczność rekinów, które nie szczędząc wysiłku pruły fale i niosły statek z szybkością dwunastu supełków na godzinę. Pan Kleks zagłębiał się w samoczynną mapę, stojąc na rękach. Obliczał odległości. Równocześnie raz po raz wymachiwał w górze nogami, wskazując w ten sposób właściwy kierunek żeglugi. Kapitan odpowiednio przesunął żerdź w prawo lub w lewo i w ten sposób sterował statkiem. Załoga miała jednak bardzo kwaśne miny. Parzybrodzi zaopatrzyli bowiem statek w dwa zbiorniki zupy szczawiowej i ten jednostajny posiłek przyprawiał marynarzy o mdłości. Toteż pan Kleks musiał co pewien czas odrywać się od mapy i podnosić Bajdotów na duchu.

– Co za zupa! – wołał głaszcząc się po brzuchu. – Pyszności! Nigdy nie jadłem nic równie smacznego. Trzeba być skończonym durniem, żeby nie delektować się tak wybornym smakiem. Bodajbym do końca życia jadał taką zupę!

Po takich słowach oblizywał się wysuwając język niemal do połowy brody, po czym pałaszował dla przykładu czubaty talerz zupy.

Tymczasem rekiny, pozbawione żeru, zaczęły stopniowo słabnąć. Po dwóch dniach mogły zdobyć się już tylko na pojedyncze zrywy. Resztkami sił wyskakiwały nad powierzchnię wody w nadziei, że zdołają wreszcie pochwycić Amba. Żarłocznie szczyrzyły zęby, po czym z pluskiem opadały na fale.

Trzeciego dnia o świcie, kiedy pan Kleks drzemał jeszcze w hamaku, pogwizdując przez sen marsza krasnoludków, na dno statku zbiegł przerażony kapitan i zawołał:

– Wszyscy na stanowiska! Statek w niebezpieczeństwie!

Pan Kleks, nie przestając mrużyć i pogwizdywać, odbił się nogami od hamaka i dał susa na pokład. Natychmiast otoczyła go wystraszona załoga. Dął straszliwy wicher. Broda pana Kleksa rozwiewała się jak postrzępiony żagiel. Oszalałe z głodu rekiny dostały kręćka i goniąc za własnymi ogonami, wprawiały statek w ruch wirowy. Wśród huku zawiei parzybrodzka beczka kręciła się na wzburzonych falach jak karuzela.

Załogę ogarnęła panika. Jeden z marynarzy zdjął buty i rzucił je w spienione nurty. Inni odrywali guziki od marynarskich bluz i ciskali je rekinom w oczy. Wzmogło to wściekłość wygłodniałych bestii do tego stopnia, że wparły się łbami w lewy bok statku i usiłowały go wywrócić. Sytuacja stawała się rozpaczliwa.

Wtedy to właśnie rozległ się potężny głos pana Kleksa:

– Zachować spokój! Kto nie zastosuje się do moich rozkazów, zostanie wyrzucony za burtę! Jestem z wami i potrafię was ocalić! Wszyscy na stanowiska!

Marynarze natychmiast opanowali trwogę. Nawet Ambo przestał szczekać zębami.

– Kapitanie! – grzmiał dalej głos pana Kleksa. – Zarządzam wylanie do morza całego zapasu zupy szczawiowej!

Niezwłocznie na rozkaz kapitana ośmiu rośłych Bajdotów skoczyło w głąb statku. Po chwili zupa z obu zbiorników spływała z burt na wzburzoną wodę. Zgęstniałe fale opadły. Rekiny poczuły w pyskach smakowitą strawę i uspokoiły się. Pożywna zupa szczawiowa sączyła się im przez zaciśnięte zęby do wygłodniałych żołądków.

Pan Kleks jedną ręką uchwycił się żerdzi i na wydętym przez wiatr surducie unosił się nad wodą jak balon, badając sytuację. Po powrocie na pokład rzekł do kapitana:

– Na rekiny nie możemy już dłużej liczyć. Wszystkie zapadły na szczękościsk, owrzodzenie żołądków, zanik nerek i puchlinę wodną. Zajrzałem im w oczy. Na dnie oka każda z nich ma wypisaną swoją chorobę. Długo nie pociągną. Gdy dostaną drgawek, zatopią nam statek. Zupa nie przywróci im sił ani zdrowia.

– Co robić w tej sytuacji? – zapytał poblady kapitan.

– Przeciąć liny – oświadczył pan Kleks, oburącz wyzymając zmoczoną brodę.

Kapitan wyciągnął z pochwy swój marynarski kordelas, wyostrzył go o podeszwę buta i poprzecinał liny. Uwolnione bestie morskie wywróciły się brzuchami do góry i zniknęły pod wodą.

Statek pozbawiony balastu, gnany wiatrem, podyrdał przez fale na podobieństwo korka. Sztorm ustał. Zmordowani marynarze poczuli ostry głód.

– Cóż, zupa szczawiowa nie smakowała wam – powiedział z przekąsem pan Kleks. – Teraz przynajmniej nie będziecie grymasili.

– Jeść! – zawołał Ambo.

– Jeść! – wrzasneli chórem Bajdoci.

Pan Kleks sięgnął do przepastnych kieszeni swoich spodni i wyciągnął z nich garść ocalałych odżywczych pastylek, które otrzymał na drogę od Patentoniusza XXIX. Kapitan ustalił racjeienne po ćwierć pastylki na każdego członka załogi.

– Woda nam się kończy – powiedział z troską w głosie. – Nie wiem, czy przetrzymamy do końca tygodnia.

Ale pan Kleks tego nie słyszał. Nie chciał jeść ani pić, tylko stał na jednej nodze i myślał. Podczas badania rekinów z kieszeni surduta wypadły mu podarunki Wielkiego Wynalazcy. Dalekowzroczone okulary i maszynka do zgadywania myśli poszły na dno. Samoczynna mapa unosiła się w oddali na falach. Można było na niej dojrzeć jedynie kawałek Morza Kormorańskiego i skrawek wyspy, która, do połowy obgryziona przez ryby, przypominała raczej półwysep.

Każdy inny popadłby w rozterkę. Powtarzam – każdy inny. Ale nie pan Kleks. Ten wielki uczony stał na jednej nodze i rozmyślał. Broda jego odchyłała się tym razem na południe. Po pewnym czasie zawołał marynarzy, kazał im ustawić w pozycji pionowej żerdź, do której poprzednio był uwiązany Ambo, i mocno trzymać w rękach. Następnie wdrapał się na jej szczyt i trzymając się jedną ręką, zawisł w powietrzu. Wiatr wyduł jego obszerny surdut, kieszenie i kamizelkę jak żagle. Po chwili statek mknął w kierunku wskazanym przez brodę pana Kleksa. Marynarze kurczowo utrzymywali żerdź w pozycji pionowej, a kapitan zaintonował pomocniczy hymn Bajdocji:

Kiedy siły swe podwajasz, Brzmi donośniej hasło to: Niech nam żyje Wielki Bajarz Sto lat, sto lat, sto lat, sto!

Wszyscy ochoczo podchwycili tę wspaniałą pieśń na cześć Wielkiego Bajarza, po czym zapadła cisza. Każdy z Bajdotów starał się ułożyć w myśli swoją codzienną bajkę.

Kiedy zapadła noc, pan Kleks zsunął się po żerdzi na dół, a załoga udała się na spoczynek.

– Ja zostaję na wachcie – oświadczył pan Kleks. – Umiem spać z otwartymi oczami, a poza tym lubię przyglądać się księżycowi. Mój profesor z Salamanki nauczył mnie posługiwać się siłą przyciągania księżycyca w żegludze dalekomorskiej.

Niebawem w głębi statku rozległo się chrapanie dwudziestu siedmiu marynarzy. Tylko kapitan opowiadał przez sen bajkę o rekinie, któremu popsuł się ząb, więc zaplombował go sobie złotą rybką.

PAN Kleks cz. 2

Jan Brzechwa AKADEMIA PANA KLEKSA i inne bajczyska

... Pan Kleks czuwał na pokładzie, zapatrzony w księżyc. Tuż po północy dostrzegł na nim odbicie trójmasztowca, którego żagle podobne były do trzech obłoków. Na podstawie pobieżnych obliczeń pan Kleks ustalił kurs trójmasztowca, jego odległość oraz przeciętną szybkość.

"O piątej piętnaście zobaczymy go z prawej burty – pomyślał. – O piątej czterdzieści pięć będziemy go mieli na odległość głosu. O piątej trzeba zrobić pobudkę."

Pomyślawszy tak, pan Kleks rozłożył na pokładzie swój surdut i mruknął do siebie:

– Teraz Ambroży spać się położy.

Wielki uczoney lubił niekiedy na osobności mówić do rymu.

Chmury przysłoniły księżyc. W nocnej ciszy słyhać było jedynie chrapanie Bajdotów, paplaninę kapitana i plusk fal. Na powierzchni morza błyskały gdzieniegdzie elektryczne ryby. Pan Kleks rozciągnął się na surducie i zasnął z otwartymi oczami.

PRZYŁĄDEK APTEKARSKI

Punktualnie o godzinie piątej czasu śniadaniowego poderwał marynarzy doniosły głos:

– Pobudka! Wstać!

Gdy załoga wyległa na pokład, pan Kleks rozczesał palcami brodę i uroczyście oznajmił:

– Kapitanie! Marynarze! Bajdoci! Za chwilę ujrzycie na widnokręgu zbliżający się trójmasztowiec. Nie ustaliłem jeszcze, pod jaką płynie banderą. Znam wielu kapitanów żeglugi dalekomorskiej. Trójmasztowiec najprawdopodobniej przyjmie nas na swój pokład i będziemy szczęśliwie kontynuować naszą wyprawę. Atrament przede wszystkim! Spocznij!

Po tym przemówieniu załoga dostała swoją porcję odżywczych pastylek, popiła resztą wody i oddała się zwykłym zajęciom. Morze było spokojne i gładkie jak jezioro. Śpiewające ryby od czasu do czasu wysuwały na powierzchnię owalne pyszczki i wtedy rozlegały się ciche dźwięki, przypominające bzykanie komarów lub tony pozytywki.

Zgodnie z zapowiedzią pana Kleksa, po pewnym czasie na tle tarczy wschodzącego słońca ukazały się trzy rozpięte żagle, połyskujące bielą i srebrem.

Marynarze pobiegli na dziób statku i wrzeszczeli wniebogłosy, wymachując rękami:

– O, hej! SOS! Cip, cip, cip! Na pomoc!

Pan Kleks przerwał te niepoczytalne okrzyki i zarządził zbiórkę. Kazał marynarzom ustawić się w piramidę, wdrapał się na jej szczyt i w milczeniu zaczął wpatrywać się w dal. Wszyscy znamy doskonale wynalazczość wielkiego uczonego. Tym razem pan Kleks zrobił zeza do środka i skrzyżował spojrzenia, dzięki czemu podwoił siłę wzroku. Po chwili Bajdoci usłyszeli jego urywane słowa:

– Widzę... Na pokładzie uwijają się postacie w bieli... Banderą... Nie mogę dojrzeć... Tak, tak! Teraz widzę... Trupia główka. Muszę przyjrzeć się dokładniej... Rzeczywiście... Trupia główka... Rozumiem... Statek korsarski... Wezmą nas do niewoli i będą żądali okupu... Nie trząść się, do stu piorunów! Nie ja pierwszy stanę się jeńcem korsarzy... Przed wiekami spotkało to samo Juliusza Cezara... Który tam się kiwa? Nie bać się! Ambroży Kleks jest z wami... Co?... Nie wiecie, kto to był Juliusz Ce...

Zdania tego, niestety, pan Kleks nie zdołał dokończyć. Marynarzy obleciał nagle taki strach, że piramida zachwiała się, a nasz uczoney runął przez burtę do morza i zniknął w topieli. Niebawem jednak wypłynął na powierzchnię, wypuszczając z ust fontanny wody jak wieloryb. Obok niego zjawily się nagle dwie ryby-piły.

– Przepiłują go! – wrzasnął rozpaczliwie bosman Terno.

– Człowiek za burtą! – krzyknął kapitan stosownie do obowiązujących przepisów.

Ale zanim ktokolwiek zdążył rzucić się na ratunek, pan Kleks ze zwinnością wprawnego jeźdźca wskoczył na grzbiet jednej z ryb, chwycił ją za płetwy i zmusił do przebicia piłą drugiego napastnika. Następnie podpłynął do statku, kazał spuścić żerdź i wdrapał się po niej na pokład.

– Nie ma nic zdrowszego niż kąpiel morska – oświadczył wesoło.

Tymczasem trójmasztowiec zbliżył się już na tyle, że można było rozróżnić na nim poszczególne postacie, odziane w białe kitle.

– Wyglądają jak lekarze albo sanitariusze – zauważył kapitan.

– Dostrzegam wyraźnie nazwę statku! – zawołał Ambo.

– Nie drzyj się, bo mi bębenki w uszach popękają – skarcił go pan Kleks. – Od dawna widzę napis na kadłubie. Statek nazywa się "Pigularia".

Gdy trójmasztowiec podpłynął na odległość głosu, kapitan przy pomocy ramion zasygnalizował:

– Potrzebujemy pomocy. Czy jesteście statkiem korsarskim?

Z "Pigularii" człowiek w białym kitlu odpowiedział machając dwiema chorągiewkami:

– Jesteśmy okrętem flagowym najmiłościwiej nam panującego magistra Pigularza II udzielnego Prowizora Przyładka Aptekarskiego i Obojga Farmacji. Przyjmiemy was na pokład "Pigularii". Trzymajcie się nawietrznej strony. Zaczynamy manewrować. Podpływamy!

– Niech żyje Pigularz II! – zawołał kapitan.

– Niech żyje! – podchwycili Bajdoci.

– Rozumiem – rzekł po namyśle pan Kleks. – Trupia główka to znak używany przez aptekarzy do oznaczania leków trujących i niebezpiecznych. Z korsarzami łatwiej byłoby się dogadać. Ale trudno, nie mamy wyboru.

"Pigularia", korzystając z łagodnej bryzy, zbliżyła się do statku Bajdotów i oparła się burtą o burtę.

– Przesiadamy się – powiedział pan Kleks, po czym pierwszy dał susa na pokład

trójmasztowca. Za nim gęsiego ruszyła załoga beczki, a na końcu kapitan. Po chwili rządowa dziupla Parzybrodów, pusta i żałosna, samotnie kołysała się na falach.

Na "Pigularii" naszych podróżników przyjęto nader uprzejmie. Obie załogi ustawiły się na pokładzie naprzeciwko siebie i obaj kapitanowie statków oddali sobie należne honory. Pan Kleks stał z boku i bacznie przyglądał się ceremonii. Wszyscy poddani Pigularza II odziani byli w czyste białe kitle. Twarze ich zdobiły wąsiki i krótkie bródki, przystrzyżone w kształcie klina. Bił od nich ostry zapach ziół leczniczych.

Po zakończeniu wstępnej prezentacji na pokład wszedł paradnym krokiem Pierwszy Admirał Floty w pióropuszu na głowie i w kitlu ozdobionym złotymi galonami. Skłonił się przed panem Kleksem i rzekł po łacinie:

– Jestem Alojzy Bąbel, wychowanek słynnej Akademii Ambrożego Kleksa.

Zagrzmiały trąby, rozległy się hymny Bajdocji oraz Obojga Farmacji, a także prywatny hymn naszego uczonego. On sam stał dumnie wyprostowany, z wypiętym brzuchem. Gdy przebrzmiały hałaśliwe dźwięki hymnów, powiedział wzruszonym głosem:

– Jam jest Ambroży Kleks.

Pierwszy Admirał Floty objął go za szyję i serdecznie ucałował w obydwie policzki.

– Pamiętam cię – powiedział z uśmiechem rozrzewnienia pan Kleks. – Pewnego dnia za karę odkręciłem ci głowę, nogi oraz ręce i zamknąłem w walizce. Dawne to czasy, mój drogi Alojzy.

– Panowie – zawołał Pierwszy Admirał Floty – zajmijcie się naszymi gośćmi! Panie profesorze, proszę wyświadczyć mi zaszczyt i zjeść ze mną obiad.

Po tych słowach ujął pod ramię pana Kleksa i poprowadził go do kajuty admirałskiej. Tam każdy z nich opowiedział swoje dzieje, jako że nie widzieli się od lat trzydziestu. W toku rozmowy pan Kleks dowiedział się o założonym przed pół wiekiem państwie farmaceutów, które zaludniono aptekarzami z różnych krajów. Obecnie, pod berłem Pigularza II, opracowywane są wszelkie najnowsze leki: pigułki, krople, maści i mikstury, w które Przylądek Aptekarski zaopatruje apteki i drogerie całego świata.

– Ale my tu sobie gadu, gadu, a tymczasem obiad stygnie – rzekł wreszcie Pierwszy Admirał Floty. – Steward! Proszę podawać.

Obiad, którym uraczono pana Kleksa, składał się z dań nader osobliwych. Po zupie z dziurawca podano bitki z aloesu w sosie rumiankowym oraz sałatę z kwiatu lipowego, a na deser racuszki z siemienia lnianego polane sokiem miętowym. Na zakończenie obiadu wniesiono napój ze skrzypu i szaławii. Po obiedzie Pierwszy Admirał Floty zapalił papierosa dla astmatyków, zaciągnął się kilka

razy i rzekł:

– Wracamy właśnie z podróży dookoła świata. Sprzedaliśmy nasze leki, a zakupiliśmy zioła lecznicze, które stanowią wyjątkowe pożywienie naszej ludności. Są zdrowe i bardzo smaczne. Nieprawdaż, panie profesorze?

– Hm... tak... owszem... – odparł uprzejmie pan Kleks zapijając cierpkim napojem gorycz pozostałą w ustach po obiedzie.

Jak przystało na człowieka dobrze wychowanego, wyraził uznanie dla admirałkiej kuchni, ale jednocześnie ze smutkiem pomyślał o Bajdotach. Pogardzana przez nich zupa szczawiowa mogłaby dziś uchodzić za przysmak iście królewski.

Miłą pogawędkę starych znajomych przerwał kapitan "Pigularii", meldując Pierwszemu Admirałowi Floty, że widać już brzegi Przylądka Aptekarskiego i Obojga Farmacji.

– Wyjdźmy na pokład – zaproponował pan Kleks, albowiem dusił go dym z papierosów dla astmatyków.

Istotnie, trójmasztowiec szybko zbliżał się do portu. Na odległym wzgórzu widniało miasto. Szklane budowle połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca.

Bajdoci nie ukrywali obrzydzenia i straszliwie wykrzywiali się na wspomnienie obiadu. Całe szczęście, że nikt z gospodarzy nie rozumiał ich języka. Oficerowie, a także marynarze "Pigularii" mówili wyłącznie po łacinie.

W pewnej chwili orkiestra zagrała tusz. Trójmasztowiec majestatycznie wpłynął do portu.

Stolica państwa zabudowana była długimi szklanymi pawilonami, które na podobieństwo gwiazdy zbiegały się przy centralnym placu. Stał na nim pomnik Magistra Pigularza I, założyciela miasta i odkrywcy witamin. W pawilonach wytwarzano leki, natomiast izby mieszkalne znajdowały się w podziemiach. Zresztą ludność Przylądka Aptekarskiego wynosiła zaledwie 5555 osób, w tym 555 kobiet. Resztę stanowili mężczyźni. Dzieci w ogóle nie było. Magister Pigularz II wynalazł tabletki odmładzające, dzięki którym ludność utrzymywała się stale i niezmiennie w tym samym wieku. Dlatego też zmiana pokoleń stała się zbędna, a dzieci – niepotrzebne. Ludności ani nie ubywało, ani nie przybywało.

Okazało się jednak, że tabletki odmładzające są ściśle strzeżone, a sekret produkcji znany jest wyłącznie władcy tego kraju.

– Czemu nie chcecie swym wynalazkiem uszczęśliwić ludzi na całym świecie? – zapytał pan Kleks jednego z dygnitarzy Obojga Farmacji.

– To całkiem proste – odrzekł zagadnięty. – Nie chcemy, aby również w innych krajach dzieci stały się niepotrzebne. Świat bez dzieci byłby smutny jak nasz przylądek.

Mówiąc to, dygnitarz połą kitla otarł łzę i ciężko westchnął.

Wróćmy jednak do Pierwszego Admirala Floty.

Po przybyciu do stolicy zaprowadził on niezwłocznie pana Kleksa do pałacu Magistra Pigularza II. Był to władca smutny i poważny. Jego biały kitel zdobiły haftowane złotem godła aptekarskie, a na głowie spoczywał wieniec z liści senesowych. W dłoni, zamiast berła, trzymał wielki termometr do mierzenia temperatury.

– Miło mi powitać tak słynnego uczonego – przemówił Pigularz II. – Pozwól, czcigodny gościu, że na dowód szczególnego wyróżnienia osobiście zmierzę ci temperaturę.

Mówiąc to, wsunął panu Kleksowi termometr pod pachę.

– Trzydzieści siedem i jeden... Ochmistru, proszę poczęstować naszego gościa aspiryną i dać mu do popicia wywar z kwiatu dziewanny.

Po wychyleniu tej zwyczajowej czary przyjaźni Pigularz II w otoczeniu świty udał się z panem Kleksem na zwiedzanie miasta. Na pałacowym dziedzińcu dołączyli do nich pozostali bajdoccy goście.

Gdy stanęli na centralnym placu, Udzielny Prowizor poinformował, że plac ten nosi nazwę Obojga Farmacji, stosownie do podziału leków na stałe i płynne. Następnie wskazał termometrem szklane pawilony i udzielił dalszych wyjaśnień:

– W każdym pawilonie wytwarza się określoną kategorię leków. W tym oto wyrabiamy krople, poczynając od walerianowych, a kończąc na kroplach do oczu. W następnym produkujemy oleje – rycynowy, lniany, kamforowy i tym podobne. W następnym – maści i smarowidła. Dalej – wywary z ziół. W tym najwyższym gmachu w kształcie młyna przyrządzamy proszki w stanie sypkim. W następnym pigułki, pastylki i tabletki. W tamtym zaś – cukierki ślazowe i eukaliptusowe od kaszlu. I tak dalej, i tak dalej. Wejdzmy jednak do środka.

Oszklone drzwi pawilonu rozwarły się na oścież i cały orszak znalazł się w ogromnej hali, gdzie kilkadziesiąt kobiet zajętych było rozlewaniem do buteleczek różnokolorowych specyfików, wywarów i mikstur.

Wszystkie te kobiety były w jednakowym wieku, miały na sobie białe kitle i wyglądały tak samo jak mężczyźni. Różniły się od nich jedynie tym, że nie miały zarostu.

Podczas gdy goście zwiedzali pawilon i oglądali najnowsze urządzenia, młodsza służba

farmaceutyczna roznosiła na tacach napoje ziołowe. Bajdoci krzywili się nieprzyzwoicie. Tylko pan Kleks dla ratowania sytuacji wychylał jedną szklankę po drugiej i udawał ukontentowanie. Nagle w oczach jego pojawił się czerwony błysk, co wskazywało na wielkie wzburzenie uczonego. Roztrącił otaczających go Bajdotów, podbiegł do jednej z tac i porwał stojącą na niej szklankę.

– Mam... Mam to, czego szukałem! – krzyknął głośno.

Szklanka wypełniona była po brzegi granatowoczarnym płynem.

– Atrament! – wołał pan Kleks. – Prawdziwy atrament! Podajcie mi papier i pióro!

– Niestety – rzekł Pierwszy Admirał Floty. – Jest to wywar z korzenia siedmioróżdżki.

Wygląda jak atrament, ale brak mu trwałości. Posiada bowiem tę właściwość, że po ochłodzeniu ulatnia się i znika.

Mówiąc to, wziął szklankę z rąk pana Kleksa i całą jej zawartość wylał na kamienną posadzkę. Gorący płyn rozlał się czarną strugą, ale już po chwili uniosł się w górę w kształcie granatowej mgiełki, po czym zniknął nie pozostawiając najmniejszego śladu.

– Niech diabli porwą wszystkie siedmioróżdżki – jęknął pan Kleks. – A wy, farmaceutyczne mądrale, czym piszecie? Mlekiem? Czy może wodą?

Nikt nie spodziewał się takiego wybuchu gniewu. Zresztą pan Kleks natychmiast się zreflektował, stanął na jednej nodze i w tej skromnej pozycji prosił gospodarzy o przebaczenie.

– Powiedz, Alojzy, mój dawny uczniu, czym piszecie? – zapytał już całkiem spokojnie.

– W ogóle nie piszemy – odparł Pierwszy Admirał Floty. – Pisanie jest godne gryziopiórków, lecz nie farmaceutów. Po prostu każdy z nas w swoim dziale zna na pamięć tysiąc dwieście recept. I to nam wystarcza.

Pan Kleks błyskawicznie pomnożył 5555 przez tysiąc dwieście.

– Sześć milionów sześćset sześćdziesiąt sześć tysięcy – oświadczył z podziwem. – To rzeczywiście wystarczy.

– Ochmistrze – rzekł Pigularz II – proszę poczęstować naszych gości chininą i dać im do popicia nalewkę na agawie.

Podczas gdy roznoszono tace, Pierwszy Admirał nachylił się do ucha pana Kleksa i rzekł poufnie:

– Czcigodny profesorze... Jesteśmy genialnymi farmaceutami, ale brak nam doświadczonych

marynarzy. Chciałbym zwerbować pięciu Bajdotów do mojej floty. Proszę mi w tym dopomóc.

– Chyba zwariowałeś, Alojzy – zachnął się pan Kleks. – Spójrz na ich wykrzywione twarze i zapadnięte brzuchy... Pozdychaliby jak muchy na tych waszych ziólkach... Do takiego wiktu trzeba zaprawiać się od dziecka. Wybij to sobie z głowy, Alojzy.

I gniewnie prychając wielki uczony odwrócił się plecami do swego wychowanka na znak, że nie zamierza więcej na ten temat rozmawiać. Gdyby się nie był odwrócił, dostrzegłby na twarzy Pierwszego Admirała wyraz takiej złośliwości i szyderstwa, że na pewno miałby się od tej chwili na baczności.

Istotnie, trudno jest uwierzyć w to, co stało się potem.

Pod wieczór pan Kleks postanowił opuścić Przylądek Aptekarski i wyruszyć w dalszą drogę. Ale wtedy okazało się, że pięciu Bajdotów zniknęło jak kamfora. Długotrwałe poszukiwania nie dały rezultatu.

– Proszę mnie zaprowadzić do Udzielnego Prowizora – zażądał wreszcie pan Kleks.

– Udzielny Prowizor, Magister Pigularz II, nie chce być nadal niepokojony przez cudzoziemców, którzy nie potrafili ocenić jego gościnności – oświadczył Pierwszy Admirał z szyderczym uśmiechem.

– Co to wszystko znaczy? – krzyknął groźnie pan Kleks. – Proszę o natychmiastowe wyjaśnienie. Znów zaczynasz swoje dawne sztuczki, Alojzy!

– Tak, tak! Zaczynam! – zawołał zuchwale Alojzy Bąbel. – Chce pan zobaczyć swoich zaginionych Bajdotów? Zaraz ich panu pokażę.

Z tymi słowy pociągnął pana Kleksa gwałtownie za połę surduta i tłumiąc śmiech, zaprowadził do podziemnych pomieszczeń. Z głębi korytarza dobiegał płacz niemowlęcia.

Pierwszy Admirał Floty pchnął jedne z drzwi i oczom pana Kleksa przedstawił się niezwykle widok. Na szerokim łóżku leżało pięcioro niemowląt w powijakach. Cztery ssały smoczki, a piąte wydierało się wniebogłosy.

– Oto pańscy Bajdoci – rzekł z szatańskim chichotem Pierwszy Admirał. – Będą się zaprawiali od niemowlęctwa do naszego wikt. Zgodnie z pańskim życzeniem, cha–cha–cha! Dostali dobrą porcję odmładzających pastylek! Nie żałowałem im! Nieźle ich odmłodziłem, co?! Cha–cha–cha!...

Pan Kleks w osłupieniu przyglądał się niemowlętom. Rozpoznał w nich swoich towarzyszy, gdyż rysy twarzy zostały nie zmienione. Ten płaczący to był kapitan! Obok leżał bosman Terno, dalej Ambo i jeszcze dwaj marynarze.

– Słuchaj, Alojzy – rzekł pan Kleks zduszonym głosem, od którego można było dostać gęziej skórki. – Słuchaj, Alojzy, zawsze byłeś zakałą mojej Akademii. Teraz widzę, że stałeś się zakałą ludzkości! Tym razem udało ci się wystrychnąć mnie na dudka. Ale ja wymyślę taką sztuczkę, że zostaną z ciebie trociny! Rozumiesz?! Tro–ci–ny! Zapamiętaj to sobie, Alojzy Bąbel!

Po tych słowach pan Kleks odwrócił się, opuścił pokój i ruszył korytarzem w stronę wyjścia. Gonił go chichot Alojzego i urywane wykrzykniki:

– Stara purchawka!... Nadęta ropucha, cha–cha–cha!...

Nad miastem zapadła noc. Oszklone pawilony jaśniały światłami. Pan Kleks pobiegł na plac Obojga Farmacji, gdzie Bajdoci, zbici w gromadę, siedzieli na gołej ziemi. Prócz nich na placu nie było nikogo.

– Głowy do góry! – zawołał pan Kleks. – Opuszczamy ten zwariowany kraj! Ruszamy w głąb ładu! Przyszłość przed nami! Straciliśmy wprawdzie pięciu towarzyszy, ale jest nas jeszcze dwudziestu dwóch. Za mną!

Ten wielki człowiek nigdy nie tracił nadziei. Wysunął do przodu swoją rozłożystą brodę i pewnym krokiem pomaszerował w przepastne mroki nocy. Miał bowiem taki dar, że widział w ciemności. Za nim, po omacku, wlekli się wygłodniali i znękani marynarze.

Postać pana Kleksa olbrzymiała w migotliwym świetle gwiazd.

Tak, moi drodzy. To był człowiek naprawdę niezwykły.

KATASTROFA

Kawalkada maszerowała przez całą noc.

Celem rozweselenia Bajdotów pan Kleks bez przerwy opowiadał im swoje prawdziwe i zmyślane przygody, wspominał o historii z Alojzym, o doktorze Paj–Chi–Wo, a nawet o księciu przemienionym w szpaka Mateusza. Wszystkie te opowieści nie mogły jednak napęlić pustych żołądków marynarzy.

Z trudem posuwali się w głąb lądu. Gorący tropikalny wiatr wysuszał im wargi i potęgował pragnienie.

Pan Kleks nawet bez mapy orientował się w położeniu geograficznym. Polegał na przedziwnych właściwościach swojej brody, która nie tylko wskazywała kierunek marszu, ale nadto zapowiadała bliskość wody i jadła.

– Głowy do góry!–wykrzykiwał raz po raz pan Kleks. – Zbliżamy się do rzeki... Czuję zapach ananasów i daktyli... Skrzyżowanym spojrzeniem widzę nawet orzechy kokosowe... Przygotujcie się do śniadania!

Słowa pana Kleksa dodawały Bajdotom siły i otuchy. Przyspieszali kroku i łykali ślinkę na myśl o soczystych owocach.

Przejęcie nocy w poranek nastąpiło szybko i niepostrzeżenie. Przed oczami podróżników rozpościerał się krajobraz pełen bujnej zieleni, kolorowych ptaków i ogromnych motyli. W gąszczu zarośli niezliczone owady szumiały i pobrzękiwały jak srebrne monety. Opoдал piął się w górę bambusowy gaj.

Niewyczerpana wynalazczość pana Kleksa podsunęła mu szczególną myśl.

– Potrzebne mi są wasze siekierki i noże! – zawołał do Bajdotów. – Z tych bambusów zrobimy sobie szybkobieżne szczudła!

Marynarze z zapalem zabrali się do roboty. Po upływie pół godziny każdy z nich trzymał w rękach dwa wysokie bambusowe drągi. Z rzemiennych pasów skonstruowano uchwyty do stóp, na podobieństwo strzemion.

– Ruszamy! – zakomenderował pan Kleks. – Śmiało! Nie bać się! Wykorzystywać giętkość bambusu! Sprężynować! Sprężynować!

Istotnie wysokie szczudła dzięki swej elastyczności pozwalały odbijać się od ziemi. Bajdoci posuwali się więc w podskokach, długimi susami, ze zwinnością koników polnych. Tylko pan Kleks posługiwał się jednym bambusem i wykonywał gigantyczne skoki o tyczce, wyprzedzając marynarzy.

Wierzcie mi, moi drodzy, że lekkość, z jaką wielki uczony wylatywał w górę i opadał na ziemię o pół mili dalej, wzbudzała powszechny podziw. Odnosiło się wrażenie, że pan Kleks przeobraził się w kangura, a niektórym Bajdotom wydawało się nawet, że rozwiane poły surduta zastępują mu skrzydła.

Podróż na szybkobieżnych szczudłach odbywała się z taką szybkością, że pan Kleks co chwila wykrzykiwał ze szczytu swojej tyczki:

– Przebyliśmy dziesięć mil!... Hop!... Znowu przebyliśmy dziesięć mil!... Hop!... Jeszcze tylko sto mil i będziemy u celu... Lecimy dalej!... Sprężynować!... Hop!

Po godzinie w oddali ukazały się wreszcie palmy. Wyglodniali Bajdoci rzucili się chciwie na zwisające wśród gałęzi owoce. Łapczywie pożerali ananasy, rozbijali siekierkami orzechy kokosowe i duszkiem wypijali orzeźwiający mleko.

– Szanujcie się! – wołał pan Kleks. – Miarkujcie żarłoczność! Pochorujecie się z przejedzenia! Czy macie ochotę wracać do pigularzy po olej rycynowy?

Na wspomnienie Przylądka Aptekarskiego Bajdoci opanowali łakomstwo, zeszli ze szczudeł, pokładli się na ziemi i głośno sapiąc oddali się trawieniu. Dopiero wtedy pan Kleks przy pomocy tyczki zerwał pęk daktyli i spożył skromne śniadanie, bowiem jadał na ogół niewiele. Najchętniej żywił się przez sen potrawami, które mu się śniły.

Po dłuższym wypoczynku podróżnicy ruszyli ku rzece, wypatrzonej przed pana Kleksa w odległości pięćdziesięciu mil na południe.

– Widzę ją! – wołał wielki uczony dając potężne półmilowe susy o tyczce. – Będziemy mieli wspaniałą kąpiel, o ile nie schrupią nas krokodyle. Bardzo cenię te pocziwe stworzenia. One wcale nie zdają sobie sprawy, że ludzie nie lubią, aby ich pożerano. Ja im to wytłumaczę. Umieję przemawiać do zwierząt... Skończyłem w Salamance Instytut Języków Zwierzęcych... Znam także niektóre narzecza ptaków i owadów... Doktor Paj-Chi-Wo umiał porozumiewać się nawet z rybami. Ale do tego trzeba mieć trzecie ucho. Patrzcie. Oto jesteśmy na miejscu!

Niebawem podróżnicy znaleźli się nad brzegiem niezmiernie szerokiej rzeki. Leniwe fale barwy piwa toczyły się wolno i majestatycznie, tworząc gdzieniegdzie wiry pokryte pianą. Od wody niosło orzeźwiający chłodem. W przybrzeżnym rozlewisku wygrzewały się na słońcu krokodyle.

Pan Kleks zdjął trzewiki i skarpetki, podwinął do kolan nogawki spodni, po czym wszedł do wody. Krokodyle poruszyły się niespokojnie. Pan Kleks odważnie posuwał się w ich kierunku. Krokodyle rozwarły paszcze, a jeden z nich głośno kłapnął i groźnie zderzył ogonem o wodę. Pan Kleks nieustraszenie szedł dalej. Wreszcie zbliżył się do krokodyli i wygłosił do nich długie przemówienie, gestykulując przy tym obydwoma rękami. Bajdoci nie słyszeli tego, co mówił wielki uczony. Zobaczyli jedynie, jak krokodyle, potulnie kiwając łbami, cofnęły się do tyłu, a po chwili zanurzyły się w nurtach rzeki i odpłynęły daleko od brzegu.

Tak, tak, moi drodzy. Pan Kleks był naprawdę człowiekiem niezwykłym.

Kiedy wrócił do swoich towarzyszy, zdawało się, że kończy jeszcze rozmowę z krokodylami, wypowiadał bowiem jakieś niezrozumiałe słowa, które brzmiały mniej więcej tak:

– Kra–ba–ba kru... kru–kra–bu... bukra–kru kra...

Trudno jednak uwierzyć, aby tak właśnie brzmiał krokodyli język.

Podróżnicy szybko rozebrali się i wskoczyli do wody. Zażywali kąpieli, pływali, nurkowali i wrzeszczeli z rozkoszy jak banda dzikusów. Pan Kleks pluskał się przy brzegu w koszuli i w długich kalesonach. Miał bowiem na ciele magiczny tatuaż, który otaczał wielką tajemnicą. Może był tam słownik wyrazów zwierzęcych? A może chińskie formułki mądrości doktora Paj–Chi–Wo? Nikt nie potrafiłby tego odgadnąć, tak jak nikt nie zdołałby zgłębić niezwykłego umysłu pana Kleksa.

Po kąpieli podróżnicy jeszcze raz się posilili, po czym na rozkaz wielkiego uczonego zabrali się do budowania tratwy. Powiązali pasami bambusowe szczudła, pokryli je warstwą palmowych liści, dokoła zaś umocowali pływaki z drzewa korkowego.

Pan Kleks przyglądał się pracy Bajdotów i z właściwym mu znanstwem kierował budową tratwy.

Tak, tak, moi drodzy. Pomysłowość pana Kleksa była naprawdę niewyczerpana.

O godzinie piątej czasu podwieczorkowego wielki uczoney zarządził zbiórkę i przemówił do Bajdotów:

– Nie traćmy z oczu głównego celu naszej wyprawy. Bajdocja czeka na atrament i musimy jej tego atramentu dostarczyć! Niech nazywam się Alojzy Bąbel, jeśli nie dotrzymam obietnicy danej Wielkiemu Bajarzowi! Bosman Kwaterno! Wystąp! Mianuję cię kapitanem. Zarządzam zaokrętowanie załogi! Spocznij!

Wkrótce tratwa odbiła od brzegu. Pan Kleks stał na przodzie na jednej nodze i patrząc w dal, rozczesywał palcami swoją rozłożystą brodę. Na ramieniu jego usiadła kolorowa papuga i dziobała go w ucho. Ale pan Kleks nie zwracał na to uwagi. Obliczał w myślach odległość do nieznanego kraju i niebawem ustalił, że leży on na prawym brzegu, za dwudziestym siódmym zakrętem rzeki.

– Nie traćmy nadziei – powiedział wreszcie półgłosem. – Niech nazywam się Alojzy Bąbel, jeśli wrócę do Bajdocji z pustymi rękami.

Kapitan Kwaterno dzielnie prowadził tratwę. Przy sterze czuwał doświadczony sternik Limpo. Nadzy do pasa marynarze po kilku dniach opalili się na brąz. Jedynie pan Kleks nie sprzeniewierzał się swoim zwyczajom. Trwał na posterunku w surducie i kamizelce, w sztywnym kołnierzyku, z

fantazyjnie zawiązanym krawacie. Był to człowiek nie tylko wielkiego umysłu, ale również niezłomnych zasad.

Po dwóch tygodniach spokojnej żeglugi nastąpił okres tropikalnych burz. Deszcz lał strumieniami, błyskawice rozdzierały czarny pułap chmur, a pioruny jak opętane biły w przybrzeżne drzewa.

Tu i ówdzie wybuchały pożary wywołując popłoch wśród ptaków. Hipopotamy i krokodyle kotłowały się w wodzie i nurkowały po każdym uderzeniu pioruna.

Zdawało się, że natura sprzysięgła się przeciwko podróżnikom. Tratwa ślizgała się z fali na falę, przybierając chwilami pozycję niemal pionową, pogrążała się w spienionym nurcie i wypływała znów na powierzchnię. Załoga kurczowo trzymała się skórzanych spojeń, ratując równocześnie marynarzy, których zmywała wzburzona fala.

Na prawym brzegu rzeki płonęły lasy. Lewego w ogóle nie można było dosięgnąć wzrokiem.

Burze morskie mogły uchodzić za niewinną igraszkę wobec tego rozszalałego nurtu, pełnego wirów, obalonych przed wiekami pni drzewnych, oszalałych zwierząt i płazów.

Nieustraszony pan Kleks, balansując to na jednej nodze, to na drugiej nodze, stał z rozwianą brodą na przodzie tratwy.

– Głowy do góry! – wołał do leżących na brzuchach Bajdotów. – Płyniemy zgodnie z planem! Zostało nam tylko osiemnaście zakrętów! Zbliżamy się do celu! Nie bać się! Jestem z wami!

Dla dodania otuchy marynarzom pan Kleks igrał z niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu wskakiwał na grzbiet przepływającego obok hipopotama, klepał go po łbie i wykrzykiwał donośnie:

– Hip–hip! Hi–po! Hi–po–po! Tam–tam! Wišta!

Po odpłynięciu na znaczną odległość pan Kleks odbijał się od zadu hipopotama i dawał susa z powrotem na tratwę. Wykonywał przy tym w powietrzu ruchy rękami jak zawodowy pływak.

Po każdej takiej przejażdżce na hipopotamie wyciągał z kieszeni kilka tuzinów latających ryb, które złowił po drodze, i rzucał je zgłodniałym marynarzom. Bajdoci tarli jedną rybę o drugą tak długo, aż pod wpływem wytworzonego ciepła traciły smak surowizny. Po tym zabiegu patroszyli je i zjadali z wielkim apetytem.

Pewnej nocy, gdy burza jeszcze szalała, pan Kleks oświadczył:

– Kapitanie, chciałbym zdrzemnąć się godzinę. Niech pan liczy do dziesięciu tysięcy, a potem proszę mnie obudzić.

Po tych słowach przywiązał się dla bezpieczeństwa brodą do krawędzi tratwy i zapadł w głęboki sen. Jego chrapanie zagłuszało huk grzmotów.

W chwili gdy kapitan doliczył już do siedmiu tysięcy dwustu dwudziestu czterech, nastąpiło owo straszliwe wydarzenie, które wielu kronikarzy zanotowało jako największą katastrofę tamtych czasów.

Otóż wyobraźcie sobie, że nagle – kiedy już wiatr nieco ucichł, a burza miała się ku końcowi – jeden z ostatnich piorunów uderzył w tratwę, przetoczył się w poprzek i odciął jak nożem tę część, na której spał pan Kleks.

Był to wąski skrawek, szerokości półtora łokcia. Oderwany od tratwy i porwany przez prąd, pomknął w zawrotnym pędzie w dół rzeki, unosząc na sobie śpiącego pana Kleksa.

Kapitan Kwaterno usiłował dogonić wpław uciekający odcinek tratwy, ale krokodyłe zastąpiły mu drogę. Bajdoci z trudem zdołali wyratować kapitana z opresji. W dodatku trafili na wir, który kołował ich tak długo, że całkiem stracili z oczu pana Kleksa, aczkolwiek płonący las oświetlił rzekę.

Oderwana trawka płynęła coraz szybciej. Wielki uczony spał chrapiąc i pogwizdując. Obudził się dopiero koło południa, gdy burza już całkiem ustała. Leniwe fale znowu toczyły się spokojnie i majestatycznie. Poprzez rzednące chmury przezierały promienie słońca.

Pan Kleks przeciągnął się, rozsuptał brodę, ziewnął i zawołał wesoło:

– Kapitanie! Wypogodziło się! Głowa do góry!

Ale ani kapitan, ani żaden z marynarzy nie podniósł głowy do góry. Byli zbyt daleko, aby słyszeć głos uczonego. Przy dwudziestym pierwszym zakręcie rzeka się rozwidlała i tratwa Bajdotów popłynęła w niewłaściwym kierunku, do zupełnie innego kraju, którego nikt jeszcze nie odkrył i dlatego do niedawna nie było go na żadnej mapie świata. Dopiero po piętnastu latach pewien znakomity podróżnik odnalazł rozbitków. Żyli sobie wśród tubylców, w otoczeniu żon i dzieci, hodowali drób, a kapitan Kwaterno obwołany został królem i panował jako Kwaternoster I.

Ale to już całkiem inna historia, którą być może napiszę w przyszłości albo nawet jeszcze później.

Na razie jednak wróćmy do pana Kleksa.

Otóż w chwili, kiedy nasz wielki uczony zawołał: "Głowa do góry!", spostrzegł, że jest zupełnie sam. Wtedy szybko zrobił zeza do środka, skrzyżował spojrzenia i zdwoił siłę wzroku, co pozwoliło mu dojrzeć w odległości pięćdziesięciu mil tratwę Bajdotów. Ale było już za późno. Zamiast w prawą odnogę rzeki tratwa popłynęła w lewą i zniknęła z pola widzenia.

Sławna i dzielna załoga bajdockiego statku "Apolinary Mrk" odłączyła się na zawsze od pana Kleksa, a zdradliwe fale uniosły ją w nieznane.

Wielki uczony został sam. On, który umiał poskramiać rekiny i krokodyle, który potrafił okiełznać hipopotama, stał teraz na jednej nodze, z rozpostartymi rękami i rozwianą brodą, rozmyślając nad losem towarzyszy wyprawy.

Po chwili zaczął głośno mówić do siebie, jako że lubił rozmawiać z mądrymi ludźmi:

– No tak... Oczywiście... Wszystko możemy przewidzieć, mój Ambroży... Bajdoci popłynęli na południowy zachód... Za jedenaście dni dopłyną do nieznanego kraju... Wiemy, że ten kraj istnieje... Oznaczyliśmy go swego czasu na naszej mapie nazwą Alamakota... W porządku... Dalej wszystko wiadomo... Głowa do góry, Ambroży! Wyprawa trwa!...

Po tych słowach, pełnych otuchy i nadziei, pan Kleks obliczył przebyte zakręty rzeki:

– Zgadza się – powiedział obciągając surdut i poprawiając krawat. – Za pół godziny zawiniemy do portu.

Położył się na brzuchu i zaczął rękami sterować w kierunku brzegu. W oddali na wyniosłości widniały jakieś zabudowania.

Kraj, w którym wylądował nasz uczonek, zamieszkiwały istoty ludzkie, ale po raz pierwszy zdarzyło się, że pan Kleks kroczył nie zauważony, nie budząc zainteresowania ani swoją niezwykle postacią, ani osobliwym ubiorem.

Mieszkańcy miasta chodzili parami i uśmiechali się filuternie. Mieli na sobie barwne chitony tak lekkie i połyskujące, że ciała ich wydawały się przejrzyste. Również twarze tych dziwnych istot odznaczały się nieuchwytnością rysów i chwilami sprawiały wrażenie, jakby nie było w ich nic oprócz uśmiechów.

Domy stały wzdłuż ulic, ale składały się wyłącznie z okien i balkonów.

Na balkonach rosło mnóstwo kolorowych kwiatów. Pan Kleks zerwał jeden z nich, od razu jednak spostrzegł, że kwiat stracił barwę i zapach, a nawet trudno było wyczuć go dotykiem palców.

Uśmiechnięte istoty snuły się po ulicach. Niektóre pracowały. Ale wykonywane przez nie czynności były nieuchwytnie dla oka. Wbijały niewidzialne gwoździe, piłowały drzewo, chociaż ani piły, ani drzewa nie można było zauważyć. W pewnej chwili ulicą przemknął jakiś mężczyzna w postawie jeźdźca, rozległ się nawet tętent kopyt, ale koń był zgoła niedostrzegalny.

Pan Kleks przez dłuższy czas przyglądał się ciekawie tym wszystkim zjawiskom. Wreszcie stracił cierpliwość i zbliżył się do jednego z przechodniów.

– Proszę mi wyjaśnić, gdzie właściwie jestem? Jak się ten kraj nazywa?

Zagadnięty obdarzył go filuternym uśmiechem i przez chwilę poruszał ustami, jakby mówił, ale głos jego pozbawiony był dźwięku, a zdania składały się ze słów bezkształtnych jak oddech.

Pan Kleks, który nigdy nie tracił przytomności umysłu, szybkim ruchem wyłuskał jeden włos ze swojej brody i owinał go dokoła ucha. Niedostłyszalne dźwięki uderzały we włos jak w antenę i wzmożone w ten sposób, docierały do bębenków pana Kleksa.

Teraz rozmowa potoczyła się składnie, a opowiadanie przechodnia stało się zrozumiałe.

– Czcigodny cudzoziemcze – mówił z filuternym uśmiechem. – Kraj nasz nazywa się Nibycja. Chyba zauważyłeś, że u nas wszystko odbywa się na niby? Wywodzimy się z bajki, której nikt dotąd nie napisał. Dlatego też na niby są nasze ulice, domy i kwiaty. My również jesteśmy na niby. Właściwie jeszcze nie istniejemy. Dopiero w przyszłości jakiś bajkopisarz nas wymyśli. Jesteśmy zawsze uśmiechnięci, ponieważ nasze troski i zmartwienia są też tylko na niby. Nie znamy ani prawdziwych smutków, ani prawdziwych radości. Nie odczuwamy prawdziwego bólu. Można nas drapać, kłuć, szczypać, a my będziemy się uśmiechali. Taka jest Nibycja i tacy są Nibyci. Wszystko tylko na niby.

– Przepraszam – przerwał pan Kleks, któremu już od dawna dokuczał głód. – A w jaki sposób się odżywiacie?

– To bardzo proste – odparł Nibyta i dał znak przechodzącej w pobliżu kobiecie. Kobieta weszła do jednego z domów i po chwili wróciła z półmiskiem, na którym dymił apetycznie befsztyk obłożony smażonymi kartofelkami i jarzynką.

– Befszyk z polędwicy to nasze ulubione danie – ciągnął Nibyta. – Posił się, czcigodny cudzoziemcze.

Pan Kleks ochoczo zabrał się do jedzenia, spałaszował wszystko, co było na półmisku, ale w żołądku nadal odczuwał pustkę. Miał wrażenie, że połknął powietrze i tylko w ustach pozostał mu smak wybornej potrawy. Befszyk na niby nie zawierał w sobie nic prócz smaku. To jeszcze bardziej podrażniło głód pana Kleksa, ale opanował się i udawał najedzonego.

Nagle w oddali dostrzegł inną kobietę, niosącą pękatą butlę czarnego płynu.

– Co niesie ta kobieta? – zawołał nie panując nad wzruszeniem. – Błagam cię powiedz, co ona niesie?

– Ech, to po prostu atrament – odrzekł Nibyta. – Czyżby interesował cię atrament, czcigodny cudzoziemcze?

Pan Kleks, jak wyrzucony z procy, dał susa ponad głowami przechodniów, porwał z rąk kobiety butlę i zanurzył palec w czarnym płynie. Na placu nie został nawet ślad atramentu. Wtedy pan Kleks przechylił butlę i polał sobie dłoń czarną cieczą. Ręka pozostała czysta i sucha.

– Do diabła z takim atramentem! – ryknął pan Kleks i grzotnął butlę o ziemię. Atrament rozprysnął się na wszystkie strony, ale śladów nie było ani na ziemi, ani na odzieży przechodniów. Nawet szkło z potłuczonej butli ulotniło się i zginęło.

Nibyta zbliżył się do pana Kleksa.

– Zapomniałeś, że jesteś w Nibycji – rzekł z filuternym uśmiechem. – Przecież atrament mamy także na niby.

Wielki uczony milczał. Dokoła parami snuli się przechodnie nie zwracając na niego uwagi. Nawet nie dostrzegli wybuchu jego gniewu ani przykrego zajścia z atramentem. Wszyscy uśmiechali się filuternie, jakby chcieli powiedzieć: "Przecież to wszystko jest tylko na niby".

Gdy po pewnym czasie pan Kleks ocknął się z odrętwienia, znajomy Nibyta już odszedł, a raczej rozpląnął się w tłumie. Zresztą i tłum rozplątywał się w niebieskiej mgle zmierzchu, a tylko tu i ówdzie widniały jeszcze filuterne uśmiechy.

Pan Kleks szybkim krokiem ruszył przed siebie, pragnąc opuścić ten nie istniejący kraj. Skręcił w prawo, ale okazało się, że idzie w lewo. Gdy postanowił iść w lewo, okazało się, że skręca w prawo. Błądził po ulicach, które nie były równoległe, ani poprzeczne. Krążył po placach zawieszonych w powietrzu jak mosty, wracał raz po raz na to samo miejsce, z którego rozpoczął wędrówkę, ale znajome ulice przybierały co chwila inny wygląd.

Broda pana Kleksa poruszała się niespokojnie, myląc kierunek. W zapadającym zmierzchu snuły się tu i ówdzie cienie niewidzialnych dla oka postaci. Lampy, zapalone w oknach, połyskiwały nie dając światła.

Pan Kleks coraz szybszym krokiem przebiegał kręte ulice, mijał tajemnicze przejścia, przemykał się pod arkadami nie istniejących domów i nie mógł znaleźć wyjścia z tego dziwnego miasta. Sapał ze zmęczenia, ale nie tracił nadziei, że w końcu uda mu się przedostać do jakiegoś rzeczywistego kraju.

W pewnej chwili, kiedy stał na jednej nodze głęboko zamyślony, z pobliskiego zaułka wybiegł pies, który właściwie nie był psem, a tylko zarysem psiego kształtu. Przypominał tyleż pudła, co jamnika, a równocześnie mógł uchodzić za szpica, chociaż ogon miał krótki jak foksterier.

Pies podszedł do pana Kleksa, przez chwilę obwąchiwał go pilnie ze wszystkich stron, po czym przyjaźnie merdając ogonem, zaczął ocierać się o nogi. Nasz uczony przemówił kilka słów w psim języku, a nawet szczeknął przymilnie, jak to czynią zazwyczaj kundle, gdy spotykają kogoś obcego.

Pies, który nie był właściwie psem, odpowiedział dwukrotnym bezdźwięcznym szczeknięciem.

Było to całkiem oczywiste, że zgodnie z psim charakterem nie może oprzeć się przyjaznym dla człowieka uczuciom. Podskakiwał radośnie, obiegał i wracał, węszył, merdał ogonem i wszelkimi sposobami pragnął wyrazić swoje zadowolenie. Tem nibycki pies, istniejący tylko na niby, krył w sobie widoczne miejsce na prawdziwe psie serce, bowiem łąsił się do pana Kleksa, świadcząc mu przywiązanie i okazując właściwą psiej naturze wierność, której nie miał komu okazać.

Pana Kleks przykucnął i pozwolił lizać się po twarzy, chociaż liźnięcia te były niewyczuwalne. Głaskał psi łeb, domyślając się jedynie pod palcami miękkiej sierści i wilgotnego nosa.

Po wymianie wzajemnych serdeczności niby pies, który był psem tylko na niby, dał panu Kleksowi do zrozumienia, żeby szedł za nim. Droga prowadziła przez labirynt uliczek, to w jednym, to znów w przeciwnym kierunku, z góry i pod górę, tędy i owędy.

Pan Kleks ufnie kroczył za swoim przewodnikiem, aż wreszcie znalazł się w starym, zapuszczonym parku. Osobliwa roślinność i rzadkie gatunki drzew robiły jednak wrażenie całkiem prawdziwych. Przedzierając się przez gąszcz bujnego zielska, nasz uczony z radością parzył sobie ręce o pokrzywy i upewniał się w ten sposób, że opuścił już granice Nibycji i wrócił znowu do

rzeczywistego świata. Równocześnie zauważył, że jego czworonożny przewodnik znikł. Tylko w oddali słychać było szum wiatru podobny do żalosego psiego skomlenia.

– Żegnaj, piesku – szepnął ze smutkiem pan Kleks, gdyż przypominał sobie pudła, którego stracił przed dwoma laty. Gotów był nawet przypuszczać, że to cień wiernego psa przybiegł z tamtego świata, aby wyprowadzić swego dawnego pana z Nibycji.

W parku dwa gadające szpaki prowadziły ze sobą rozmowę, która zainteresowała pana Kleksa.

– Poznajesz tego brodacza? – spytał jeden.

– Poznaje – odparł drugi. – Pamiętam, jak przed rokiem wsiadał na statek, żeby udać po atrament.

– Tra–tra–trament! – zawołała sroka i poleciała w kierunku wysokiego muru, którego wieżyczki rysowały się w oddali.

"Tam będzie wyjście" – pomyślał pan Kleks i przyspieszył kroku, zaczepiając brodą o krzaki berberysu i głogu.

Istotnie, w murze, który ciągnął się na całą szerokość parku, widniały jedna przy drugiej niezliczone furtki okute żelaznymi listwami. Na każdej furtce umieszczona była zmurszała tablica z napisem pokrytym liszajem rdzy.

Pan Kleks, wyteżając wzrok, przystąpił do odczytywania napisów. Zawierały one dobrze mu znane nazwy geograficzne. Niektóre z nich wymawiał głośno i dobitnie:

Bajdocja Abecja Patentonia Wyspy Gramatyczne Kraj Metalofagów Parzybrocja Przylądek Aptekarski

"Wszystko to jest już poza mną" – pomyślał i szybko zaczął przeszukiwać przepastne kieszenie swoich spodni.

– Mam! – zawołał wesóło, wyciągając z nich srebrny, uniwersalny kluczyk.

Podbiegł do furtki z napisem "Bajdocja". Kluczyk pasował. Zardzewiały zamek zgrzytnął, zaskrzypiały zawiasy, posypał się mur i furtka ustąpiła. Pan Kleks pchnął ją z całej siły. Oczom jego ukazało się znajome miasto, a pośrodku wysoka góra Bajkacz.

Pan Kleks odetchnął z ulgą, zatrzasnął za sobą furtkę i ruszył w kierunku marmurowych schodów. Przeskakując po kilka stopni, wbiegł na sam szczyt góry i stanął u bram pałacu Wielkiego Bajarza. Z tarasu rozpościerał się widok na tonącą w kwiatkach Klechdawę. Z oddali dolatywał chóralny śpiew bajdockich dziewcząt i dźwięki bajdolin.

Ale pan Kleks nie widział nic i nic nie słyszał. Wszedł do pałacu i minął dwadzieścia siedem sal, w których zasiadali Bajdalowie tudzież inni dostojnicy państwowi. Nikogo jednak nie dostrzegając ani nie odpowiadał na pozdrowienia. Jego twarz wyrażała niezwykle napięcie, a w mózgu leżały się czarne myśli, które spływały do serca, przenikały do krwi, ogarniały całe jestestwo.

W Sali Herbowej stanął nieruchomo, wysiłkiem woli wstrzymał oddech i zastosował słynną metodę doktora Paj-Chi-Wo, zwaną "Spiralnym kręćkiem pępka". Dzięki temu skomplikowanemu ćwiczeniu doprowadził wewnętrzności do całkowitej przemiany, a jednocześnie przeobraził odpowiednio swój kształt zewnętrzny. Podobny zabieg wolno stosować wyłącznie w wypadkach skrajnej ostateczności.

Tak, tak, moi drodzy! Ten wielki człowiek zdolny był do wielkich poświęceń, zwłaszcza jeżeli w grę wchodził honor i poczucie obowiązku.

Toteż kiedy pan Kleks wszedł wreszcie do ostatniej sali i na przeciwległej ścianie zobaczył zwierciadło, zbliżył się do niego, stanął na jednej nodze i zaczął się przyglądać własnemu odbiciu.

Oto w lustrze odbijała się pękata butla płynu, zamknięta kryształowym korkiem w kształcie główki. Główka ta była jak dwie krople wody podobna do głowy pana Kleksa. Przemknęła przez nią jedna tylko myśl:

"A więc spełniłem obietnicę! Nie będę nazywał się Alojzy Bąbel!"

Inne myśli okazały się już niepotrzebne, gdyż właśnie w tym momencie Wielki Bajarz sięgnął po butlę, pióro w atramencie i z wielkim ukontentowaniem zaczął kaligrafować na pięknym czerpanym papierze tytuł swojej najnowszej bajki:

Podróże pana...

Nie dokończył jednak, gdyż z pióra spadł ogromny czarny kleks i rozpląnął się po papierze.

Trzeba było sięgnąć po następny arkusz i zacząć pisać na nowo.

TRYUMF PANA KLEKSA

PTASIA HISTORIA

Akademii pana Kleksa ukończyło w tym roku trzech Aleksandrów, dwóch Anastazych, czterech Albinów, dwóch Agenorów, trzech Aleksych, jeden Apolinary i ja. Razem było nas siedemnastu.

Wręczając nam dyplomy, pan Kleks na każdym z nich kładł swój podpis, ozdobiony wszelkimi możliwymi zakrętami i zawijasami, jakie tylko zdołała wymyślić kaligrafia na przestrzeni wieków.

Po wspólnym uroczystym obiedzie odśpiewaliśmy chórem hymn Akademii, po czym pan Kleks, stojąc swoim zwyczajem na jednej nodze, wygłosił do nas pożegnalne przemówienie. Wryło się ono w moją pamięć na całe życie.

– Moi drodzy – powiedział pan Kleks – po latach ogromnych wysiłków nappełniłem wasze puste głowy mądrością, o której w innych uczelniach nikomu nawet się nie śni. Wiecie, że wynalazłem własną metodę wlewania oleju do głowy. Dzięki temu wam, którzy przybyliście do mojej Akademii jako kapuściane głowy, zdołałem zaszczepić wiele rzadkich umiejętności i z nieuków uczyniłem młodych uczonych. Wzmocniłem też waszą pamięć przy pomocy soku malinowego i nalewki na piegach. Mam więc nadzieję, że potrafiacie przekazać zdobytą wiedzę następnym pokoleniom i rozsławić moją Akademię na cały świat. Każdy z was pójdzie odtąd własną drogą, a ja... Ja muszę udać się do krainy, która na mojej mapie figuruje jako Alamakota. O ile pamiętacie, utknęli tam przed laty bajdoccy żeglarze. Obowiązek nakazuje mi ich odszukać. Żegnam was, moi drodzy! Pa–ram–pam–pam! Pa–ram–pam–pam!

Po tych słowach pan Kleks wydał policzki i na połach surduta uniósł się w powietrze, jak to czynił zwykle, gdy zamierzał wyruszyć w podróż. Przez chwilę krążył jeszcze ponad naszymi głowami, po czym wymknął się przez okno, wzbił w górę i odpłynął w kierunku południowo-wschodnim. Jego rozwiana broda pozostawiała za sobą jasną smugę, a okulary posyłały nam pożegnalne migotliwe "zajaczki". Długo jeszcze widzieliśmy w oddali ulatującą postać ukochanego profesora, która z minuty na minutę stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła nam z oczu.

Pożegnałem kolegów, spakowałem zeszyty, galowe lampasy do spodni oraz kilka drobnych sekretów, które wygrałem od pana Kleksa w "trzy wiewiórki", i radośnie pomknąłem do domu na ulicę Korsarza Palemona.

Mieszkanie rodziców zastałem jednak zamknięte.

Stary dozorca Weronik dostał na mój widok długotrwałej czkawkki. Niegdyś nazywał się po prostu Franciszek, ale kilka lat temu przyjął imię po swojej zmarłej żonie Weronice. Tak bardzo ją kochał, iż pragnął w ten sposób utrwalić jej pamięć wśród lokatorów.

Czekałem jakiś czas, aż minie mu atak czkawkki, w końcu zniecierpliwiony uderzyłem go kilkakrotnie w plecy tobołkiem z książkami. Weronik parsknął, wykonał parę przysiadów i oświadczył tajemniczo:

– Pan Niezgódka, czyli pański ojciec, na wiosnę tego roku zmienił się w szpaka i wyfrunął z domu. Nawet nie zatrzepotał na pożegnanie. Wyfrunął i tyleśmy go widzieli. A pani starsza włożyła kapelusz z kwiatkami, wzięła pod pachę elektroluks i poszła do lasu robić porządki. Wszystko to stało się z powodu paczki, którą przyniósł listonosz. Bo jak tylko listonosz wsiadł na rower i odjechał, pan Niezgódka zaraz wyfrunął.

Wiedziałem, że Weronik jest dziwak i że po śmierci żony zdziwaczał jeszcze bardziej, toteż nie

wdawałem się z nim w dalsze rozmowy, lecz wziąłem klucz i wszedłem do mieszkania. Zostałem w nim straszliwy nieład. Wszędzie pełno było damskich kapeluszy, wstążek i sztucznych kwiatów. W kuchni piętrzyły się nie zmyte naczynia, a w jadalni z żyrandola zwisały wianki suszonych grzybów, przeważnie muchomorów. Pod nogami chrzęściły rozsypane ziarna, używane do karmienia kanarków. W gabinecie ojca na biurku, na szafach, na etażerkach poustawiane były rozmaite wypchane ptaki. Ptasie pióra walały się po podłodze, a kolorowy puch unosił się w powietrzu.

Zauważyłem już w dzieciństwie, że ojciec miał w twarzy coś ptasiego. Teraz mogłem stwierdzić, że głowy wypachanych ptaków dziwnie przypominają mi twarz ojca. Kiedy zaś wziąłem się do sprzątanía i całą tą ptasią kolekcję wyniosłem na balkon, zielona papuga, którą nieostroźnie przydepnąłem, wydała skrzeczący dźwięk, do złudzenia przypominający głos mego kochanego ojca.

Uwijałem się do późnego wieczora, żeby mieszkanie jako tako doprowadzić do porządku. Następnie wszystkie pokoje pozamykałem na klucz, zachowując dla siebie jedynie gabinet. Przemeblowałem go, wyniosłem zbędne sprzęty, a także wszystkie książki, jako że ojciec zbierał wyłącznie oprawy, usuwając z nich przy pomocy brzytwy zadrukowane stronice. Za to wszystkie tytuły wyciśnięte na grzbietach umiał na pamięć. Treść książek wymyślał i pisał sobie sam, według własnego upodobania, a po skończonej pracy stosy zapisanych kartek wrzucał do pieca. Kiedy zaś później zachodziła potrzeba, pisał książkę na nowo, za każdym razem inaczej.

Na szafie postawiłem wypchanego sokoła i włożyłem mu na dziób okulary, żeby mi przypominał mego ukochanego ojca. Nakręciłem też wszystkie zegary i każdy nastawiłem na inną godzinę. Po prostu nie chciałem przeszkadzać sobie w pracy obserwowaniem czasu. Wreszcie na drzwiach przytwierdziłem tabliczkę, na której widniał napis:

ADAM NIEZGÓDKA Absolwent Akademii Ambrożego Kleksa Doktor Filologii Zwierzęcej

Tak, tak, moi drodzy! Był to pracowity dzień, pełen przeżyć i niespodzianek.

Gdy jeden z zegarów wskazywał północ i wypachana kukulka, naśladowując głos mego ojca, zakukała dwanaście razy, położyłem się spać. Ojciec w latach mego dzieciństwa zawsze wieczorem otulał mnie kołdrą i kukał na dobranoc. Tej nocy śnił mi się Weronik fruujący na uskrzydłonym elektroluksie, ale do snu tego nie przywiązywałem większej wagi.

Nazajutrz, nie tracąc czasu, zabrałem się do moich zajęć. Od kilku lat prowadziłem studia nad żabim językiem i miałem na ukończeniu słownik porównawczy żabich gwar w jeziorach i w stawach. Nadto na zamówienie Instytutu Spraw Zmyślonych podjąłem się opracowania odmiennych zasad wymowy psiego "hau" i kociego "miau" w dwudziestu sześciu językach i narzeczach Dalekiego Wschodu. Nie będę również tań, że od dawna już głowiłem się nad transkrypcją bzykania komarów na chór i orkiestrę dętą, gdyż bardzo kocham muzykę, zwłaszcza różne pa-ram-pam-pam oraz pi-lim-pim-pim znane mi z Akademii pana Kleksa.

W chwili gdy byłem pogrążony w rozmyślaniach, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Pobiegłem do przedpokoju w nadziei, że to może rodzice. Tymczasem na progu ukazał się listonosz, a za nim Weronik. Musiał być bardzo przejęty, gdyż znowu miał atak czkawki.

Listonosz urzędowym ruchem podał mi paczkę i powiedział tylko jedno słowo:

– Pokwitować.

Pokwitowałem. A ponieważ nie miałem drobnych, ofiarowałem mu wypchanego drozda.

Listonosz na chwilę się ożywił i rzekł:

– A nie ma pan przypadkiem szpaka?

I nie czekając na odpowiedź, zbiegł beztrąsko po schodach. Ale Weronik został. Minął mu już atak czkawki, więc idąc za mną do gabinetu, mówił tajemniczym szpetem:

– Taką samą paczkę dostał pan starszy. I zaraz potem wyfrunął. Widziałem to własne oczy! Trzeba uważać. Radzę zamknąć balkon, bo i panu może się to przytrafić. Ostrożność przede wszystkim. Pan Chryzantemski upuścił pewnego razu z balkonu trzeciego piętra złotą rybkę. Wszyscy okropnie się przejęli, musiałem sprowadzić weterynarza. Weterynarz ją odratował, owszem, ale biedaczka stracił kolor. Nie jest już złotą rybką, za przeproszeniem. O, nie!

Słuchałem tej paplaniny z roztargnieniem, a równocześnie rozwijałem paczkę. Była okręcona kilka razy w papier i za każdym razem osobno przewiązana sznurkiem. Przecinałem sznurki, zdierałem papier, aż wreszcie pozostało mi w rękach małe drewniane pudełeczko.

Weronik przylgnął twarzą do mego ramienia. Z ciekawości zaniemówił i w milczeniu chuchał na mnie piwem.

Ostrożnie otworzyłem pudełeczko. Wewnątrz leżał guzik. Duży czarny guzik. Natychmiast odżyła mi w pamięci opowieść szpaka Mateusza o guziku od cudownej czapki bogdychanów. Pamiętacie chyba tę osobliwą historię przemiany księcia w szpaka, historię, która przed dziesięciu laty obiegła cały świat. A więc wszystko stało się teraz jasne i rozumiałe, zwłaszcza gdy odczytałem włożoną do pudełeczka kartkę. Wypisane były na niej słowa następujące: "Zwracam tę błahostkę, którą znalazłem w basenie fontanny. Alojzy B".

No tak! Oczywiście! Ojciec niebacznie przekręcił podeślany mu podstępnie guzik i zamienił się w szpaka. A potem wyfrunął i niechcący upuścił guzik do fontanny. Dlatego nie mógł już odzyskać swej normalnej postaci. Matka zaś poszła do lasu na poszukiwanie ojca i zabrała z sobą elektroluks, żeby bronić go przed drapieżnikami. Pamiętała, że nasz kot Hieronim na widok elektroluksu z przerażenia prychnął i uciekał na dach.

Kochana matka! Zawsze była kobietą dzielną i nieustraszoną. Podczas burzy, na przykład, nad

głową ojca trzymała na kształt piorunochronu szpilkę od kapelusza. A kiedy było ślisko, sypała przed nim kaszę jaglaną, żeby się nie przewrócił. Zresztą do niczego innego kasza ta się nie nadaje, gdyż nikt z nas w domu jej nie jada. Także i tym razem matka poszła za ojcem uzbrojona w elektroluks. Wprawdzie w lesie na ogół trudno znaleźć źródło prądu do elektroluksu, ale znając matkę wiedziałem, że raczej sama zamieni się w akumulator, niż miałyby opuścić ojca w niebezpieczeństwie.

– Taki sam guzik dostał pan starszy w poprzedniej paczce – powiedział Weronik. – A ten to jest pewno do pary. Trzeba uważać. W guziku może być trucizna albo dynamit.

Mówiąc te słowa, Weronik nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy. Gdy bowiem raz jeszcze spojrzałem na kartkę i zobaczyłem podpis "Alojzy B", od razu rozjaśniło mi się w głowie. Oczywiście, Alojzy B. – to Alojzy Bąbel, nadzwyczajny twór pana Kleksa, sztuczny, zmechanizowany człowiek, który wymknął się spod władzy swego konstruktora i stał się nieobliczalny. A teraz mści się na mnie i na mojej rodzinie za to, że go kilkakrotnie zdemaskowałem. Alojzy Bąbel posiadał bowiem zdumiewającą zdolność podszywania się pod innych ludzi i tylko ja jeden umiałem go z miejsca rozpoznać.

Podobnie i teraz zjawił się jako fałszywy listonosz. Naprzód przyniósł guzik od czapki bogdychanów memu ojcu i ściągnął na niego fatalną przemianę w ptaka, a obecnie podsunął guzik mnie, aby ze mną stało się to samo. Wybiegłem na balkon i rzeczywiście w oddali, na końcu ulicy, dostrzegłem Alojzego zmykającego na rowerze, który, o ile zdołałem rozpoznać, przerobiony był z okularów mego ojca.

– Panie Weroniku – zawołałem z rozpaczą – musimy zacząć działać! Ojciec ma taką krótką pamięć, że nawet kiedy był jeszcze sobą, zapominał często, gdzie mieszka, i matka musiała wysłać po niego kota Hieronima. A teraz, odkąd obudziły się w nim ptasie instynkty, nie wróci już z całą pewnością.

– Może by znowu wysłać Hieronima po pana starszego? – powiedział niepewnie Weronik.

– Co za pomysł! – obruszyłem się na starego dozorcę. – Kota wysłać po ptaka? Nie panie Weroniku! Musimy sami udać się na poszukiwania.

Weronik uśmiechnął się z politowaniem i rzekł:

– Na świecie jest ptaków 175834449537. Na to, żeby odnaleźć wśród nich pana starszego, trzeba byłoby szukać 17537 lat. Trochę za dużo. Odpada.

Po tych słowach Weronik wyszedł na balkon. W namyśleniu zaczął z wolna obskubywać wypchane ptaki i rzucać pióra na wiatr.

Zastanawiałem się przez chwilę czy nie pójść w ślady ojca i nie zamienić się przy pomocy

guzika w ptaka, co ułatwiłoby mi poszukiwanie rodziców.

Zachodziła jednak obawa, że mogę przemienić się, dajmy na to, w indyka albo koguta, które także należą do gatunku ptaków, ale nie umieją fruwać, jak należy. Z takiej przemiany nie odniósłbym oczywiście żadnego pożytku. A co gorsza, nie miałem pewności, czy zdołam później odzyskać swój obecny kształt. Natomiast pozostawanie przez resztę życia wśród kur i indyczek, pomimo że studiowałem ich gwary, nie wydawało mi się karierą godną uczonego.

Po rozważeniu tych wątpliwości zamknąłem guzik w szufladzie biurka, klucz zaś wyrzuciłem przez okno, żeby nie mieć pokusy i nie móc przypadkiem przez sen sięgnąć do szuflady, gdyż jak wiadomo, w snach dzieją się nieraz różne dziwne rzeczy niezależnie od naszej woli.

Przez ten czas Weronik zdążył już oskubać większość wypchanych ptaków i nad ulicą unosiła się chmura kolorowych piórek. Ludzie powychodzili na balkony i spoglądali w niebo, sądząc, że to pada pierzasty deszcz, a niektórzy wystawili wiadra żeby nałapać tej kolorowej deszczówki do mycia głowy.

– Panie Weroniku! – zawołałem zniecierpliwiony. – Dostyc tej zabawy! Oskubał pan wszystkie ulubione ptaki mego ojca, a na domiar złego narobił pan takiego deszczu z piór, że nawet najmądrzejszy ptak musi stracić orientację. Nie tylko moi rodzice, ale nikt w mieście nie potrafi już rozpoznać ulicy Korsarza Palemona.

Weronik zaczerwienił się i zagryzł wargę, żeby powstrzymać czkawkę. Jego łysą głowę okalał puch siwych włosów. Gdyby zapuścił brodę, stałby się podobny do świętego Mikołaja. Miał na sobie wytarty serdak, płócienne błękitne spodnie i stare żołnierskie kamasze zasznurowane drutem telefonicznym.

– Panie Weroniku – ciągnąłem po chwili złamanym głosem – jest tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby pomóc. Tym człowiekiem jest profesor Ambroży Kleks.

– No to leć pan do niego! – zawołał stary dozorca i zatrzepotał rękami.

– Niestety! – odrzekłem z westchnieniem. – Pan Ambroży Kleks właśnie wczoraj wyprawił się do Alakoty. Muszę natychmiast wyruszyć w podróż. Muszę gonić pana Kleksa. Szkoda, że Hieronim gdzieś się zapodział, bo mógłby mi towarzyszyć. Przykra to rzecz podróżować samotnie.

– E tam! – zauważył Weronik. – Z kota pożytek niewielki. Lepszy byłby pies albo koń.

– Panie Weroniku – powiedziałem nieśmiało – a może by tak pan... Co?... Na stare lata przydałoby się panu przewietrzyć. Mam trochę oszczędności, wystarczy na dwóch.

Weronikowi zaświeciły się oczy, ale po chwili zgasły.

– Jestem dozorcą z dziada pradziada – oświadczył z godnością. – Nie zostawię domu bez opieki.

– A czy nie mógłby ktoś pana zastąpić?

– Mnie? Zastąpić? – obruszył się Weronik. – Ja, panie, pięćdziesiąt lat wytrzymałem na stanowisku. Znam każdą szparę w tym domu! Każdą mysz! Każdą stonogę! Mnie – zastąpić! Coś podobnego! Zaraz... Zaraz... Chwileczkę... Gdyby pan Chryzantemski się zgodził, jemu jednemu mógłbym zaufać. Tak! To jest myśl! Pan Chryzantemski!

Po tych słowach Weronik pokiwał do mnie porozumiewawczo kciukiem prawej ręki i wybiegł z mieszkania.

Zrozumiałem, że poczciwy, szlachetny dozorca nie opuści mnie w nieszczęściu. Przyniosłem z komórki kufer i zabrałem się do pakowania. Kolejno układałem w kuferku: nieprzemakalny kombinezon trochę bielizny, wysokogórskie buty, tropikalny hełm, płetwy do nurkowania, harpun myśliwski, niezbędne narzędzia, a nadto globus, kompas, latarkę elektryczną, cukier w kostkach i na koniec – wypchanego sokoła. ""

W chwili gdy kończyłem pakowanie, ktoś zadzwonił do drzwi. Był to ten sam listonosz, który rano przyniósł paczkę. Wręczył mi klucz ze słowami:

– To od biurka szanownego pana. Wypadł panu przez okno na ulicę...

Złapałem go za klapę marynarki i zawołałem:

– Alojzy, to ty! Poznaję cię! Teraz rozprawię się z tobą, nicponiu!

Zanim jednak zdążyłem dokończyć zdanie, Alojzy szarpnął się zostawiając w mojej zaciśniętej dłoni odprutą klapę i błyskawicznie zjechał po poręczy schodów na dół.

– Ręka za krótka, panie Niezgódka! – krzyknął znikając w kolorowej zamieci piór.

Weronik słysząc wrzawę na schodach zjawił się natychmiast, ale nie był sam. Był w towarzystwie pana Chryzantemskiego.

– Załatwione! – powiedział. – Jadę z panem!

Zauważyłem, że pan Chryzantemski miał już na sobie serdak Weronika, stanowiący widocznie oznakę dozorcowskiej władzy.

– Ruszamy! – rzekłem zdławionym głosem. – Ale musimy na każdym kroku wystrzegać się Alojzego Bąbla. Pan go jeszcze nie zna. Niech pan jednak zapamięta to imię: Alojzy Bąbel!

– Alojzy Bąbel – powtórzył posłusznie Weronik.

Niebawem szliśmy w kierunku portu. Pan Chryzantemski postanowił nas odprowadzić i teraz pchał wózek, na którym znajdował się mój kuferek, plecak Weronika oraz obie nasze teczki, jako że bez teczek ludzie przyzwoici nie podróżują.

W porcie oczekiwało mnóstwo rozmaitych statków, a ich kapitanowie głośnym nawoływaniem zapraszali pasażerów:

– Panie! Panowie! Kto do Wschodniej Rododyndii? Kto do Wybrzeża Kabanosów? Dzisiaj ostatni rejs do Północnej Kalafonii!

– Kto do Zachodnich Rajstopów? Proszę wsiadać!

– Za godzinę odjazd do Południowych Bryndz!

– Kto na wyspy Remamentów? Tylko u mnie tanio i bezpiecznie!

– Kto chce polować na krokodyle? Mam jeszcze jedną kajutę do Przylądka Kości Szpikowej! Tanio i wygodnie! Dzieci płacą połowę!

Wybraliśmy statek, który płynął na południowy wschód, gdyż ten właśnie kierunek obrał pan Kleks wyruszając do Alamakoty.

Statek nazywał się "Płetwa Rekina" i służył do przewożenia rozmaitych ładunków, ale w trzech kajutach mógł pomieścić siedmiu pasażerów. Kapitan, stary wilk morski, nic nie słyszał o Alamakocie. Zresztą nie mógł słyszeć, gdyż był głuchy jak pień.

Mieliśmy kajutę przytulną, chociaż ciasną. Weronik, wierny powołaniu wytrawnego dozorca, przystąpił natychmiast do pucowania wszystkich części metalowych oraz szyby okrągłego okienka. Dwie pozostałe kajuty zajmował pewien hodowca róż, pan Lewkonik, z pięcioma córkami. Wybrał się z nimi w podróż, gdyż każdą z nich postanowił wydać za mąż za ogrodnika innego kraju. Pan Lewkonik był bardzo gruby i miał tak wielki brzuch, że gdy siadał do stołu, nie mógł dosięgnąć talerza i dlatego nigdy nie najadał się do syta. Córki pana Lewkonika nie odznaczały się urodą, ale ich ojciec twierdził, że ogrodnicy nie muszą szukać u żon piękności, albowiem mają jej pod dostatkiem w kwiatkach.

Całe dni spędzaliśmy na pokładzie, korzystając ze słońca i pogody. Morze było spokojne, niebo bezchmurne. Marynarze grali w kości albo spali na swoich kojach, czuwał tylko sternik. Natomiast kapitan, siedząc na zwoju lin, rozwiązywał krzyżówki i raz po raz wołał do nas rozkazującym głosem:

– Rzeka na siedem liter! Hej tam... Wódz Indian, zaczyna się na "M"!... Miasto w Azji: "o" w

środku, "o" na końcu! Hej!... Używa się do latania, dziewięć liter wspak! Hej!

Żadna jednak z naszych odpowiedzi nie docierała do kapitana, gdyż jak wspominałem, był on kompletnie głuchy. Dlatego też po pewnym czasie zorganizowaliśmy pocztę łańcuszkową. Przekazywaliśmy kartki z rąk do rąk i przesyłaliśmy kapitanowi odpowiedzi na piśmie.

Pan Lewkonik zakasał rękawy, włożył na głowę niebieski melonik, który miał go chronić od słońca, i zabrał się do sadzenia róż na pokładzie. Pomimo że był bardzo groby, poraszał się z lekkością balonika. Ułożyłem nawet o nim piosenkę, a śpiewaliśmy ją wszyscy chórem:

Nasz pan Lewkonik Włożył melonik I wyhodował róże, Nasz pan Lewkonik Tak jak balonik Unosi się ku górze. Kto ma wazonik, Dostanie róży kwiat, A pan Lewkonik W daleki ruszy świat.

I rzeczywiście już po paru dniach w skrzyniach ustawionych wzdłuż burty rozkwitły różne odmiany róż. Córki pana Lewkonika podlewały je stale specjalnym przyspieszającym płynem, dzięki czemu rozwijały się niezwykle szybko.

Róże zwabiły na pokład mnóstwo przelotnych ptaków. Ponieważ znam kilkadziesiąt ptasich gwar i narzeczy, mogłem prowadzić z nimi rozmowy w nadziei zdobycia jakichś wiadomości o moim ojcu. Pewien gołąb pocztowy obiecał mi rozgłosić odpowiedni apel do wszystkich ptaków. Na próżno jednak czekałem na upragnioną wiadomość.

Pod wieczór trzeciego dnia przybiegł do mnie zdyszany Weronik wołając z daleka:

– Jest! Jest! Panie Adasiu, jest pan Niezgódka!

Z biciem serca pomknąłem we wskazanym kierunku. Na dziobie statku istotnie siedział szpak. Gadający szpak. Od razu jednak zorientowałem się, że nie jest to mój ojciec. Szpak mówił bowiem po francusku, a ojciec żywił zawsze niechęć do języków obcych. Cóż, Weronik miał rację. Wśród miliardów ptaków trudno trafić na właściwego.

W końcu jednak udało mi się od pewnego kolibra uzyskać bezcenną wiadomość. Okazało się bowiem, że był on już poprzednio w Alamakocie i może nam wskazać drogę do tego kraju. Wtajemniczyłem przeto pana Lewkonika w moje kłopoty oraz wyjawilem cel podróży. Po naradzie postanowiliśmy wspólnymi siłami nakłonić kapitana, aby zboczył z wytkniętego kursu i zawinął do Alamakoty. Panu Lewkonikowi opisałem Alamakotańczyków w nader zachęcających barwach i zapewniłem go, że jest to naród zakochany w kwiatach. Powiedziałem też mimochodem:

– Alamakotańscy ogrodnicy mają tylko jedną słabość: żenią się najchętniej z cudzoziemkami.

Ta uwaga podziałała na pana Lewkonika jak prąd elektryczny. Podskoczył kilkakrotnie do góry, nacisnął brodawkę na nosie jak guzik dzwonka i z lekkością balonika potoczył się do kapitana.

Wspomniałem już, że pan Lewkonik miał pięć niezbyt ładnych córek. Aczkolwiek był hodowcą róż, tylko najstarsza córka miała na imię Róża. Cztery pozostałe nosiły imiona: Dalia, Hortensja, Rezeda i Piwonia. Polubiłem te dziewczęta, a nawet wkrótce przyzwyczałem się do ich brzydoty. Powiem więcej: z dnia na dzień podobały mi się coraz bardziej. Zwłaszcza Rezeda.

Ale myśli moje zajęte były głównie losem biednych rodziców. Nie schodziłem z pokładu, żeby nie stracić kontaktu z kolibrem, który obiecał służyć nam za przewodnika. Chcąc pozyskać jego względy, śpiewałem mu piosenki drożdów, rudzików, kosów i sikorek, a pewnego razu zaświergotałem jak strzyżyk–wole oczko. Dopiero wtedy koliber nabrał do mnie takiego zaufania, że gotów był uwierzyć, iż jestem ptakiem.

Gdy tak sobie ćwierkałem, na pokładzie ukazał się Weronik. Zalatywało od niego sidolem i amoniakiem, gdyż z zamięłowania do porządku polerował okrętowe poręcze oraz wszystkie części metalowe. Zbliżył się do mnie i powiedział tajemniczo:

– Załatwione. Pan Lewkonik urobił kapitana. Płyniemy do Alamakoty.

W tej samej chwili rozległ się tubalny głos kapitana:

– Wszyscy na stanowiska! Kurs na południowy wschód!

Spojrzałem na dziobek kolibra i podałem kapitanowi dokładny kierunek.

– Pełna szybkość! – wrzasnął kapitan. – Przeciąć zwrotnik Raka! Ster w lewo! – "Płetwa Rekina" zwinnie pomknęła naprzód, prując fale i roztrącając delfiny. Koliber odlatywał co pewien czas na rekonesans, po czym wracał na swoje miejsce, aby cienkim, ostrym dziobkiem jak igłą kompasu wskazywać drogę. Podzwrotnikowe słońce prażyło niemiłosiernie.

Po pięciu dniach w oddali ukazały się zamglone zarysy lądu.

Zbliżyliśmy się do Alamakoty.

ALAMAKOTA

Dziwi was pewno, że w poprzednim rozdziale pan Kleks pojawił się tylko przez krótką chwilę, na samym początku, a potem cały czas był nieobecny. Zdziwienie wasze jest całkiem uzasadnione, gdyż pan Kleks, jako główny bohater tej książki, powinien być, prawdę mówiąc, stale na miejscu. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że uczony udał się do Alamakoty, która leży bardzo daleko, musieliśmy więc odbyć długą podróż po to, żeby nawiązać z nim kontakt.

Szliśmy z portu całą gromadą i spotkaliśmy pana. Kleksa zupełnie przypadkowo, kiedy zjeżdżał na hulajnodze z Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Niebawem wrócę do tego momentu, a na razie chciałbym opowiedzieć wam o Alamakocie.

Jest to jeden z tych ciepłych krajów, dokąd na okres chłódów odlatują niektóre nasze ptaki. Pomyślałem więc od razu, że kiedy u nas nastąpi zima, to kto wie, czy mój ojciec nie przyleci do Alamakoty.

Alamakotańczycy należą do pięknej rasy, kolor skóry mają jasnokawowy, włosy ciemne, a od innych ludzi różnią się tylko tym, że posiadają trzecią nogę. Poruszają się z szybkością antylop, a przy tym w biegu jedna noga zawsze może odpoczywać. Bez trudu więc rozpoznawaliśmy Bajdotów, którzy wprawdzie opaleni byli na brąz, jednak nie potrafili wyhodować sobie trzeciej nogi. Za to dzieci, które mieli z Alamakotankami, zamiast trzeciej nogi posiadały trzecią rękę i tym różniły się od dzieci tubylców.

Z pewnością pamiętacie, że przed laty dzielną załogę bajdockiego statku "Apolinary Mrk" porwały na tratwie zdradliwe fale i uniosły do Alamakoty gdzie kapitan Kwaterno, po obwołaniu go królem, panował jako Kwaternoster I.

Od tego czasu Bajdoci tak się rozmnożyli, że wszędzie spotykało się dziewczęta i chłopców o trzech rękach. Nastąpiło też pomieszanie języków alamakotańskiego z bajdockim i powstał nowy – alambajski, podobny do naszego. Różnica polega na tym, że po alambajsku zamiast "u" mówi się "or", a zamiast "o" mówi się "ur".

Tak więc "ucho" po alambajsku brzmi "orchur", a "noga" – "nurga". Wyraz "kolega" wymawia się jako "kurlęga", "but" jako "bort", a "kogut" jako "kurgort".

Dla mnie, który znałem języki i narzecza zwierzęce o wiele trudniejsze, mówić po alambajsku to była po prostu mucha, czyli morcha.

Alamakotę budowano spiralnie, a więc główna ulica wiła się w kształcie ślimaka od portu aż do centrum miasta, gdzie Bajdoci, po objęciu panowania nad tubylcami, wzniesli pomnik ku czci Wielkiego Bajarza Apolinarego Mruka. Nazywał się on po alambajsku Apurlinary Mrork. Zresztą Alamakotańczycy przyjęli Bajdotów od razu bardzo serdecznie, chętnie uznali wyższość ich bajek nad własnymi, ofiarowali im swoje córki za żony i żyli z nimi w największej zgodzie pod berłem

Kwaternostra I, który okazał się władcą mądrym, a przy tym nadzwyczaj łagodnym.

Wróćmy jednak do pana Kleksa. Spotkanie nasze odbyło się w sposób bardzo osobliwy. Pan Kleks na mój widok nie zdradził najmniejszego zdziwienia, lecz zapytał po prostu:

– Jadłeś już obiad?

– Panie profesorze – odrzekłem – przecież dopiero wylądowaliśmy w Alamakocie.

– Jak to? – obruszył się pan Kleks. – Przed godziną grałeś ze mną w "trzy wiewiórki" i wygrałeś samogrający guzik...

– Ja? – zawołałem zdumiony. – Panie profesorze, to jakieś nieporozumienie!

– Pan profesor na pewno żartuje – wtrącił Weronik.

Pan Kleks stanął znacząco na jednej nodze, a córki pana Lewkonika otoczyły go kołem i spoglądały z zaciekawieniem na ruchy jego brody.

– Zaraz... zaraz... – wymamrotał pan Kleks. – Czyżby to był twój sobowtór? No tak, zaczynam coś niecoś miarkować...

– Alojzy Bąbel! – zawołałem przerażony.

– Tak, Adasiu, Alojzy Bąbel... Już od kilku dni podszywa się pod ciebie, a ja go nie rozpoznałem. Cóż to za szelma!

Pan Lewkonik, którego wtajemniczyłem we wszystkie moje sprawy, zbliżył się do pana Kleksa i gdy obaj zderzyli się brzuchami, powiedział:

– Damy sobie z nim radę. Mam zagraniczny płyn owadobójczy. Środek niezawodny.

– Alojzy Bąbel to nie owad, panie łaskawy! Nie owad! Mógłby pan o tym wiedzieć, panie... panie...

– Anemon Lewkonik – pośpieszył przedstawić się hodowca róż. – A oto moje córki: Róża, Dalia, Hortensja, Rezeda i Piwonia. Wszystkie panny na wydaniu.

– Ciekawe... – rzekł z figlarnym uśmiechem pan Kleks. – Istny ogród botaniczny.

– Pan profesor nie pamięta, ale widywaliśmy się już nieraz – wtrącił nieśmiało pan Lewkonik.

– Ja? Nie pamiętam? – obruszył się wielki uczonec. – Może widywał mnie pan w snach. A

ludzie rozsądni nie wierzą w sny. Nie mówmy o tym więcej.

Tu wmieszał się stary dozorca:

– Panie profesorze ja również chciałbym złożyć panu moje uszanowanie. Nazywam się Weronik Czyścioch, ulica Korsarza Palemona 7, wejście z bramy, dyplomowany dozorca z dziada pradziada.

– Fiu–fiu! – gwizdnął pan Kleks. – Takich ludzi będzie mi potrzeba. Oby tylko siły panu dopisywały.

– Czcigodny profesorze, mam dopiero siedemdziesiąt lat – rzekł Weronik – W zeszłym roku w skoku o tyczce zająłem pierwsze miejsce przed Kielboniem, Fojdrą i Okiełźniukiem. Mógłbym jeszcze, za przeproszeniem, stanąć do biegu maratońskiego.

Z tymi słowy chwycił pana Kleksa wpół i trzykrotnie podrzucił go do góry.

– Hip–hip–hura! Hip–hip–hura! – zawołała zgodnym chórem rodzina Lewkoników.

Po tej wymianie wzajemnych grzeczności postanowiliśmy udać się do pałacu, aby przedstawić się królowi Kwaternostrowi I.

Na ulicach był wielki ruch, gdyż właśnie obchodzono uroczyście rocznicę lądowania Bajdotów i dziewczęta znosiły zewsząd naręcza kwiatów pod pomnik Apolinarego Mruka. Udaliśmy się wraz z tłumem w kierunku placu Przyjaźni Alamakotańsko–Bajdockiej, który nazwano w skrócie placem A–B.

Pan Kleks kroczył wielce zakłopotany, tarmosząc w zamyśleniu brodę.

Nagle przystanął, owinał wąż dokoła palca i zawołał z tryumfem:

– Eureka! Mam! W Alamakocie przebywa trzynastu Bajdotów, wliczając w to króla Kwaternostrę. Nas jest tu trzech. Dochodzą jeszcze córki pana Lewkonika. Razem dwadzieścia dwie osoby z gatunku dwunożnych. Trzeba sporządzić dokładny wykaz. Kto znajdzie się poza tą liczbą, kto nie będzie figurował w spisie, a okaże się dwunożnym, tego zdemaskujemy jako Alojzego Bąbla. Poznamy go po nogach. Oto mój plan, proszę państwa.

Słowa pana Kleksa wzbudziły ogólny podziw, a Weronik raz jeszcze podrzucił go do góry. W tym momencie znaleźliśmy się właśnie przy pałacowej bramie.

O, tak! Pan Kleks był naprawdę genialny.

Mieliśmy właśnie wejść do pałacu i warta sprezentowała broń, gdy nagle nadleciał mój

znajomy koliberek i usiadł mi na ramieniu. Wyznał mi, że bardzo się do mnie przywiązał i że będzie mi odtąd towarzyszył aż do pierwszych jesiennych deszczów. Koliber porozumiewał się ze mną w narzeczu tri–tri, używanym przez ptaki południowoafrykańskie, toteż dla uproszczenia przezwalałem go Tri–Tri, co nawet pan Kleks uznał za bardzo trafne.

Pałac królewski zbudowany był z dużych muszli, zestrojonych w tak misterny sposób, że gdy wchodziło się do sali tronowej, ich szum rozbrzmiewał dźwiękami hymnu narodowego Alamakoty. Ponieważ muszle nanizane były na wysokie stalowe pręty, które obracały się dokoła swej osi, nadworny muzyk odpowiednio wprawiając je w ruch, mógł zmieniać melodie i wygrywać na muszlach stosownie do okoliczności różne alamakotańskie marsze.

Przy dźwiękach hymnu narodowego zbliżyliśmy się do królewskiego tronu, który wykonany był w kształcie fregaty wyposażonej w żagle, ster i mostek kapitański. Z tego mostku król wygłaszał orędzia do narodu. Trzeba bowiem pamiętać, że Kwaternoster I był starym marynarzem i zasłynął niegdyś jako kapitan Kwaterno.

– Witam, cię królu – powiedział poufale pan Kleks. – Pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół. Oto pan Lajkonik...

– Lewkonik – poprawił hodowca róż.

– Tak tak... Przepraszam... Pan Lewkonik... A to są jego kwiatuszki, czyli pięć córek... A, to pan Wazonik...

– Weronik panie profesorze – przerwał mu stary dozorca.

– Wybacz, drogi przyjacielu, ale nie przywiązuję wagi do nazwisk – rzekł wielki uczyony. – Ważny jest nie człowiek, lecz jego dzieło. O Ambrożym Kleksie ludzkość może zapomnieć, ale mój twór, Alojzy Bąbel przejdzie do historii. Tak jak do historii przejdą czyny sławnych bajdockingich żeglarzy z królem Kwaternostrem I na czele. Niech żyje król!

– Niech żyje! – zawołaliśmy chórem, a muszle powtórzyły nasze głosy wielokrotnym echem. Dworzanie uderzali przy tym zegarkami o podłogę, wskutek czego powstał taki zgiełk, że Tri–Tri przerażony uciekł przez okno.

– Jeszcze nie skończyłem! – zawołał pan Kleks uciszając Alamakotańczyków. – To jest właśnie mój uczeń, Adam Niezgódka, o którym ci, królu, opowiadałem.

Przez cały ten czas król zajęty był gorączkowym poszukiwaniem okularów, bez których nic nie widział, ale nie mógł ich rzecz prosta znaleźć, ponieważ nic nie widział bez okularów.

Sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Dla wszystkich było jasne, że słowa pana Kleksa nie docierają do króla, pochłoniętego całkowicie sprawą okularów. Natomiast nikt z dworzan

nie pośpieszył mu z pomocą, gdyż oni z kolei zajęci byli wyłącznie swoimi zegarkami.

Pan Kleks przerwał przemówienie, a Róża i Dalia zaczęły chichotać, co mogło króla urazić. Na szczęście pan Ludwik dostrzegł okulary wystające z królewskiego buta, przyskoczył z lekkością balonika i dwornym gestem podał je Kwaternostrowi I. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Wtedy król wszedł na mostek kapitański i raczył tak do nas przemówić po alambajsku, co przytaczam tu w przekładzie na nasz język: – Piękne panie, panie profesorze, panowie!

Przypuszczam, że zwrot "piękne panie" król przygotował sobie wcześniej, zanim jeszcze znalazł okulary, przez które miał możliwość przyjrzeć się pannom Lewkonikównom.

– Na ziemi alamakotańskiej – ciągnął Kwaternoster I – możecie się czuć jak u siebie w domu. Ludność kraju zajmuje się hodowlą kur. Co roku wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków. Jak mieliście okazję zauważyć, moi wierni poddani zgodnie z wiekową tradycją uderzają zegarkami o ziemię. Nie sprzyja to niestety ich mechanizmom. Dlatego też Alamakotańczycy cały wolny czas zużywają na rozbieranie zegarków, ale nikt nie potrafi złożyć ich z powrotem. Co z tego wynika dowiecie się, gdy zwiedzicie nasz słynny Rezerwat Zepsutych Zegarków. Stanowi on największą osobliwość naszego kraju...

Na podstawie słów Kwaternostera I wszyscy zebrani na sali Alamakotańczycy uderzyli parokrotnie zegarkami o posadzkę.

Pan Kleks poprzednio słyszał już królewskie przemówienie, przerwał więc królowi i rzekł roztropnie:

– Pozwolisz, najjaśniejszy panie, że wezmę na siebie przyjemność poinformowania moich przyjaciół o zwyczajach tego kraju. Jeśli zaś chodzi o nas, to mamy tylko jedno życzenie: chcielibyśmy spotkać się na twoim dworze ze wszystkimi Bajdotami, którzy osiedlili się w Alamakocie. Mamy z nimi bardzo ważne sprawy do załatwienia.

– Świetnie! – zawołał Kwaternoster I, uradowany, że nie musi dłużej przemawiać, gdyż jak wiadomo, prawdziwi marynarze nie lubią gadać bez potrzeby. – Zapraszam was na wieczurne przyjęcie; które urdbędzie się dziś z urkazji święta narurdurwegur.

Wobec zakończenia części oficjalnej król zeskoczył z kapitańskiego mostku, a minister dworu kazał zwinąć żagle fregaty i opuścić flagę.

Kwaternoster I był to postawny, krzepki mężczyzna w sile wieku, o rudawym zaroście i ryżej bródce w szpic. Alamakotańskim zwyczajem był obnażony do pasa, a na piersi i na ramionach miał wytatuowaną zwycięską bitwę morską, w której rzekomo dowodził, a nawet bohaterko zginął, co przecież było zmyślane od początku do końca.

– A zatem dur zurbaczenia wieczurrem – rzekł uprzejmie Kwaternoster I i wachlując się palmowym liściem, opuścił salę tronową.

– Adasiu – szepnął do ucha pan Kleks – wszyscy Bajdoci, jako byli marynarze, są wytatuowani. To ułatwi nam rozpoznanie Alojzego. Uważaj, bądź czujny!

Ponieważ mieliśmy przed sobą cały dzień, udaliśmy się na zwiedzanie miasta.

Alamakotanki wydały się nam bardzo ładne. Używają one do mycia twarzy, jak poinformował nas pan Kleks, soku owocu gungo, który zawiera w sobie składniki upiększające. Z racji podzwrotnikowych upałów krajowcy chodzą obnażeni do pasa, nie mają więc do czego przypinać orderów i malują je sobie wprost na piersi. A wszelkich odznaczeń w Alamakocie jest bardzo wiele. Za szczególnie zaszczytny uważa się Order Wielkiej Kury, następnie Krzyż Alambajskiego Współistnienia, Order Grającej Muszli przyznawany wybitnym muzykom, Order Trzeciej Nogi za strzelenie piłki do bramki, Krzyż Trzeciej Ręki za usmażenie najsmaczniejszej jajecznicy, a nadto medale "Za łapanie komarów", "Za jazdę na hulajnodze", "Za puszczenie bąbelków" oraz wiele innych.

Weronik zaglądał do bram domów, gdzie doraźnie udzielał dozorcóm cennych rad i wskazówek, a nawet dawał pokazy wzorowego sprzątnia. Natomiast pan Lewkonik wypytywał przechodniów o miejscowych ogrodników i notował ich adresy. Pan Kleks pogrążony był w zadumie, na próżno więc usiłowałbym opowiedzieć mu o moich rodzinnych kłopotach. Musiałem odłożyć rozmowę z nim do bardziej stosownej chwili, a na razie pomagałem Lewkonikównom zrywać owoce gungo, z których wyciskały sok i nacierały sobie nim twarze.

Alamakotańczycy chętnie z nami rozmawiali, uśmiechali się życzliwie, a jeden z nich, imieniem Zyzik, służył nam za przewodnika. Był to trzyręki młodzieniec, po czym poznaliśmy że jest synem Bajdoty.

Zyzik potwierdził fakt, że w Alamakocie osiedliło się dwunastu Bajdotów nie licząc króla i że sześciu spośród nich zajmuje stanowiska ministrów.

– Czy wszyscy Bajdoci są tatuowani? – zapytał od niechcienia pan Kleks.

– Wszyscy oprócz jednego – odrzekł młodzieniec.

– To on! – szepnął do mnie pan Kleks. – Ale w takim razie musi ich być o jednego więcej. Wieczorem sprawdzimy. Liczę na ciebie!

– Pozostali – ciągnął młodzieniec – piastują również wysokie godności państwowe. Mój ojciec na przykład jest Dyrektorem Królewskich Ogrodów i ma pod sobą pięćdziesięciu uczonych ogrodników.

– Słyszycie, dziewczęta? – zawołał pan Lewkonik. – Pięćdziesięciu ogrodników! To coś dla was! Niech żyje Alamakota!

Przechodnie obejrżeli się za nimi ze zdziwieniem, a Rezeda rzekła niepewnie:

- Zapominasz, ojcze, że oni są trzynożni. Która z nas potrafi dotrzymać kroku takiemu mężowi?
- Istotnie – westchnęła Dalia – takiego szybkobiegacza trudno dogonić. Łatwo może umknąć.

Biedna Dalia! Wiedziała zapewne, że nie może liczyć na swoją urodę. Spojrzeliśmy na nią ze współczuciem wszyscy równocześnie. Spojrzeliśmy i, o dziwo, własnym oczom nie mogliśmy uwierzyć. Sok owocowy gungo zaczął już działać. Nie tylko Dalia, ale wszystkie siostry były zupełnie odmienione. Właściwe rysy, kształt nosa, usta, oczy pozostały te same. Ustąpiły jedynie cechy brzydoty. Mieliśmy przed sobą pięć ślicznych, pełnych wdzięku panien.

Pan Lewkonik trzykrotnie nacisnął brodawkę na nosie, żeby przekonać się czy nie śni. Weronik przyglądał się Piwonii z takim zachwytem, jakby zapomniał już całkiem o swojej nieboszczce żonie i o swoich siedemdziesięciu latach. Tylko pan Kleks powiedział rezolutnie:

- Uważajcie jednak, moje drogie, żeby nie przefajnować. Żona nie powinna być za ładna.

Chciał jeszcze coś dodać, ale w brodzie zaplątał mu się jakiś ptaszek i żałośnie kwilił. Zabrałem się ostrożnie do rozbierania jedwabistych gąszczów słynnej samoczynnej brody. Po żmudnych zabiegach, przy pomocy Hortensji udało mi się wreszcie uwolnić uwikłanego ptaszka. Oczywiście byt to Tri–Tri. Usiadł mu na ramieniu, wesoło pogwizdując, i ruszyliśmy w dalszą drogę za naszym przewodnikiem.

Jak już wspomniałem, główna ulica wiła się spiralnie od placu A–B w kierunku portu. Przecinało ją mnóstwo poprzecznych uliczek. Trzypiętrowe kolorowe domki tonęły w kwiatach. Pan Lewkonik z wielką znajomością rzeczy wymieniał ich łacińskie nazwy, ale nas zachwycaly przede wszystkim barwy i zapachy.

– Papaver orientale! – wołał pan Lewkonik. – Co za piękny okaz! A to – rosa multiflora! Moja specjalność. O, proszę spojrzeć, panie profesorze, to jest dracaena fragrans! Należy ją podlewać umiarkowanie, a za to często spryskiwać.

Nikt nie słuchał hodowcy róż, gdyż byliśmy zmęczeni, zgrzani i głodni. Wstąpiliśmy przeto do pobliskiej zajezdni, alamakotańskim zwyczajem wypożyczyliśmy sobie motorowe hulajnogi i ruszyliśmy jedną z bocznych uliczek w kierunku zamiejskich kopulastych budowli.

Były to kurze farmy – chluba Alamakoty. Rozpościerały się one dokoła miasta na wielkich przestrzeniach i rozbrzmiewały nieustającym paniem kogutów. Trzynożne i trzyrękie postacie Alamakotańczyków uwijały się pomiędzy kurami, podbierając jajka. Kury te należą do nader

osobliwej, małomównej rasy i posługują się bardzo pierwotną gwara, ograniczoną właściwie do wyrażania tylko trzech pojęć. Jedno z nich to "chcę jeść i pić", drugie – "za chwilę zniosę jajko", wreszcie trzecie – "proszę mi nie zawracać głowy". Natomiast koguty zdradzają znacznie szersze zainteresowania, trafnie przepowiadają pogodę, wskazują czas, a nadto umieją pisać na głosy różne wojskowe marsze, co jest o tyle dziwne, że w Alamakocie nie ma ani wojska, ani wojskowej orkiestry.

Opowiadał nam o tym przy innej okazji minister Pokoju, pulchny i wesoły Fajatron. Otóż Alamakotańscy nie posiadają armii, gdyż wzorując się na legendarnych przodkach, wolą uciekać przed wrogiem niż ginąć w obronie swoich kur. W tym celu właśnie, przy pomocy odpowiednich zabiegów i zastrzyków wyhodowali sobie trzecią, szybkobieżną nogę.

Weronik, którego pradziad służył w słynnej brygadzie repelentów i zginął pod Białą Muszką w walce o wyzwolenie zielonoskórych Cytrusów, powiedział z niesmakiem:

– Wolałbym nie mieć ani jednej nogi, ale maszerować naprzód, niż uciekać na trzech nogach.

Uwaga ta pozbawiona była sensu, gdyż Alamakota nie figuruje na żadnej mapie świata. Dlatego też nie posiada wrogów, a więc nie potrzebuje wojska ani do maszerowania naprzód, ani do uciekania. Natomiast minister Pokoju prowadzi doroczne walki kogutów, organizuje obozy szkoleniowe dla zawodników oraz przyznaje właścicielowi zwycięskiego koguta Przechodni Kieliszek do Jajek. Zdobywca takiej nagrody ma prawo przez cały rok w każdą niedzielę zjadać po jednym jajku. Jest to wielkie wyróżnienie, gdyż pozostali obywatele pozbawieni są tego przysmaku. Jajka sprzedawane są wyłącznie za granicę, a do ich transportu służą specjalne jajostatki i poduszkowce, które żeglują pod obcą banderą, żeby państwa ościenne nie mogły się zorientować, gdzie leży Alamakota.

Alamakotańskie jajka różnią się od naszych tylko tym, że są różnokolorowe jak Wielkanocne kraszanki.

Gdy wkroczyliśmy na tereny hodowlane, oczom naszym przedstawił się imponujący widok. Po rozległych błoniach spacerowały tysiące kur, natomiast koguty w obrózkach siedziały na werandach swoich kopulastych domków i uwiązane były do nich cienkimi łańcuszkami. O świcie i o zmierzchu spuszczano je z łańcuszków na spotkanie z rodzinami. Wtedy właśnie miały zwyczaj pisać Marsza Ołowianych Żołnierzy i w ten sposób regulowały życie w Alamakocie, gdyż zegarki, jak wiadomo, służyły tam do zgoła innego celu.

Olbrzymie przestrzenie jak okiem sięgnąć, zasłane były kolorowymi jajkami, które swymi barwami zwabiały mnóstwo motyli i ptaków. Tri-Tri; fruwał i szybował wśród nich bez opamiętania i co chwila przynosił mi wieści o świeżo zniesionych jajkach. Nie mógł jednakże nadążyć z rachunkami, zachłystywał się własnym szczebiotem i dalsze liczby wystukiwał mi dziobkiem na nosie, co nie należało do przyjemności. W końcu dałem mu takiego prztyczka, że zostawił mnie w spokoju.

Pan Kleks wtajemniczył nas w dzieje kurzego jajka na przestrzeni wieków i opowiedział historię następującą:

– W państwie Kukurycji w trzecim wieku przed naszą erą król Bambosz Koślawy zażądał od kur, aby znosiły jajka z płaskim denkiem, jako że kieliszki od jaj w tych odległych czasach nie były jeszcze znane. Kury się zbuntowały i zamiast kurcząt wysiedziały z jajek szarańczę, która odtąd bezlitośnie pustoszyła kraj.

Kukuryci Postanowili szukać schronienia w Kudkudacji. Ale gdy przedzierali się przez moczary i błota, padli pastwą pijawek. Ocalało ich tylko siedmioro. Zabłąkani w nieznanym terenie zbiegowie wędrowali przez wiele miesięcy, aż dotarli do krainy zamieszkałej przez całkiem inne kury. Tu więc osiedli i stali się w ten sposób założycielami Alamakoty. Tak głosi legenda.

– Ciekawe! – powiedział Weronik. – Gęsi uratowały Rzym, a kury spowodowały zagładę Kukurycji. Teraz rozumiem, dlaczego zawsze wolałem pieczoną gęś niż jakąś tam kurę z rosółu.

– Zapamiętajcie, dziewczęta! – zwrócił się pan Lewkonik do swoich córek. – Mężowie lubią pieczone gęsi. To bardzo ważny punkt w małżeństwie.

Pan Kleks oblizał się i zawołał:

Dość tego! Jestem głodny a wy swoimi rozmowami zaostzacie mi apetyt. Zyziku, mógłbyś pomyśleć o jakimś posiłku dla nas.

Zyzik, który jedną ręką prowadził Rezedę, a drugą Dalię, uderzył się trzecią ręką w czoło i rzekł zawstydzony:

– Drurdzy curdzurziemcy, prurszę orprzejmie, zaraz dustaniemy purdwieczurrek!

Po czym zaprowadził nas do dużego okrągłego budynku, skąd wyszedł bardzo wytworny siwy Alamakotańczyk.

– Jestem wielce zaszczycony tą niecodzienną wizytą – rzekł drepcząc dokoła nas na swoich trzech nogach. – Odwiedziny cudzoziemców są u nas rzadkością. Alamakota nie figuruje na żadnej mapie świata i to uchroniło nas przed zachłannością kolonizatorów. Nie sądzę, abym kogokolwiek tymi słowami uraził, gdyż – o ile mi wiadomo – mam przed sobą nie polityka, lecz słynnego uczonego. Czy tak?

Pan Kleks stanął na jednej nodze, rozczesywał sobie brodę palcami prawej ręki i rzekł uroczyście:

– Jam jest Ambroży Kleks, doktor wszechwiedzy, magister spraw zmyślonych, założyciel i profesor Akademii mego imienia, asystent słynnego doktora Paj–Chi–Wo. To wszystko. A czy

mógłbym wiedzieć, z kim mam przyjemność?

– O, ja jestem tylko ministrem Hodowli Kur w rządzie Jego Królewskiej Mości – rzekł skromnie siwy Alamakotańczyk. – Nazywam się Paramontron. Końcówka "tron" wskazuje na to, że jestem członkiem rządu, czyli podporą tronu. Należy to traktować jako dodatek ministerialny.

– Nazywam się Anemon Lewkonik – przedstawił się z godnością hodowca róż. – A oto moje córki.

Paramontron podskoczył na jednej z trzech nóg i dwukrotnie skłonił się przed dziewczętami.

– A ja jestem Weronik Czyścioch, dypl... – zaczął stary dozorca. ale pan Kleks mu przerwał:

– Dosyć, dosyć, panie Wazonik, nie mamy czasu na te wszystkie ceremonie

– Miło mi państwa powitać – podjął znów ministron – Znajdujecie się obecnie w Instytucie Smażenia Jajeczniczy. Zespół moichuczonych kuchmistrzów opracował sto szesnaście sposobów przyrządzania tej potrawy. Pozwólcie, państwo, na podwieczorek do naszej probierni.

– Nareszcie dostaniemy coś do zjedzenia! – zawołał pan Lewkonik. – umieram z głodu!

Paramontron uśmiechnął się wyrozumiale i wprowadził nas do sali, gdzie pośrodku stała olbrzymia patelnia.

– Oto patelnia–gigant – rzekł ministron. – Mogę stwierdzić z dumą, że jest to największa patelnia na świecie. Jednorazowo można usmażyć na niej jajecznicę z dwóch tysięcy jaj. Na dnie patelni widzicie kilkadziesiąt zagłębień. Daje to możliwość smażenia jajeczniczy według stu receptur jednocześnie.

– Coś podobnego! – zawołał olśniony Weronik. – To chyba największe osiągnięcie alamakotańskiej techniki!

– Koledzy – zwrócił się ministron Paramontron do swoich pomocników w białych kitlach – bądźcie łaskawi usmażyć dla naszych gości jajeczniczy według receptury nr 76.

Młodzi Alamakotańczycy, których większość należała do trzyrękich, włączyli prąd i z wprawą zonglerów cyrkowych zaczęli podrzucać w górę kilkadziesiąt kolorowych jajek naraz, po czym rozbijali je w locie i z małpią zręcznością odrzucali puste skoropki. Tymczasem na patelni skwierczało już masło, obracały się automatyczne mieszalniki, a z umieszczonych pod sufitem szczyptomierzy sypała się sól. Po pięciu minutach siedzieliśmy przy stolikach i zajadaliśmy jajecznicę w kilku smakach, a więc z pomidorami, z papryką, ze szczypiorkiem oraz z kielbasą, i popijaliśmy ją aromatycznym sokiem owocu gungo.

Panu Lewkonikowi jak zwykle przeszkadzał brzuch, ale poczciwa Hortensja podtrzymywała mu talerz pod samą brodą, dzięki czemu zgłodniały hodowca róz mógł najeść się tym razem do syta.

Podziękowaliśmy ministronowi za pyszny podwieczorek, a ponieważ zapadał już zmierzch, czas było wracać do miasta. Właśnie koguty spuszczone z łańcuszków zapiały Marsza Ołowianych Żołnierzy. Pożegnaliśmy uprzejmego gospodarza, uruchomiliśmy nasze hulajnogi i opuściliśmy kurzą farmę.

– Zdamy jeszcze zwiedzić Rezerwat Zepsutych Zegarków – rzekł Zyzik.

Tu jednak zabrał głos pan Lewkonik:

– Przepraszam... Co nas obchodzą zepsute zegarki?! Dla mnie i dla moich córek o wiele ważniejsze są królewskie ogrody.

– A zwłaszcza królewscy ogrodnicy – mruknął Weronik.

– Rozumiem – zmieszał się Zyzik – wolałbym jednak uprzedzić ojca o wizycie.

– Panie Anemonie – wtrącił rozsądny jak zwykle Weronik – przecież kwiaty ogląda się w dzień, a nie wieczorem. To samo w znacznie większym stopniu odnosi się do ogrodników. Po ciemku wszystkie koty są bure!

– Przepraszam – rzekłem tym razem ja – zapomnieliśmy o naszych bagażach. Trzeba je sprowadzić z portu. Panie Weroniku, pan musi się tym zająć.

– Bagaże to moja specjalność – powiedział ochoczo stary dozorca, który nieraz wnosił i znosił walizki moich rodziców. – Nie wiem tylko, dokąd je dostarczyć, Nie mamy w Alamakocie adresu, za przeproszeniem.

– Mieszkam w pałacu ministrona Limpotrona – rzekł pan Kleks. – Wystarczy tam miejsca dla wszystkich. Mój stary przyjaciel Limpo, sternik z wyprawy na tratwie, został tu ministronem Pogody i Czterech Wiatrów. To bardzo gościnny człowiek, tylko trochę lekkomyślny. Wydaje mu się, że umie przepowiadać pogodę, podczas gdy powszechnie wiadomo, że robią to za niego alamakotańskie koguty.

– Ja pana zaprowadzę. Znam ten pałac – powiedział Zyzik, po czym wraz z Weronikiem puścili się na hulajnogach w kierunku portu.

Zauważyliście zapewne, że w Alamakocie nie widać żadnych zwierząt pociągowych ani miejskich środków lokomocji. Wszyscy poruszają się pieszo bądź na hulajnogach jedno- albo dwubieżnych. I tylko wysocy dygnitarze mają do dyspozycji hulajnogi czterokolorowe, które przypominają nieco kolejowe drezyny. Zresztą wspomniałem już przedtem, że trzynożni

Alamakotańczycy pokonują przestrzeń pieszo z szybkością antylop. Natomiast Kwaternoster I w czasie podróży służbowych używa fregaty na kółkach popychanej wiatrem albo holowanej przez nadwornych hulajnożników.

Wróćmy jednak do naszych spraw gdyż właśnie pod przewodem Pana Kleksa wkroczyliśmy do Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Odgrywa on równocześnie rolę muzeum narodowego, zabytku historycznego oraz parku kultury.

Otacza go mur zbudowany z cyferblatów o fosforyzujących cyfrach. Sączą one łagodne zielonkawe światło i teraz, chociaż zapadł już wieczór, w rezerwacie było całkiem widno jak podczas pełni księżyca.

Wzdłuż ścieżek ubitych z metalowych sztyficików wznoszą się piramidy poszczególnych części zegarkowych mechanizmów.

W czterech rogach rezerwatu górną ponad innymi piramidami równo ułożone stosy kopert niklowych, oksydowanych, srebrnych i złotych.

Jedna piramida składa się z samych wahadełek, następna ze sprężyn, jeszcze inna – z zębatych kółek. Po bokach połyskują w zielonkawym świetle ułożone w kształcie stożków szkiełka od zegarków. Pomędzy nimi widać pryzmy ze wskazówkami, przy czym wskazówki sekundników przypominają kolczastą roślinę w rodzaju ostu.

Rubiny, używane w zegarkach jako łożyska, stanowią Piramidę centralną. Na jej szczycie umieszczony jest portret Kwaternostera I, skomponowany misternie z guziczków do nakręcania zegarków, inkrustowany łebkami stalowych śrubek.

Portret nieustannie obraca się na swojej osi, tak że z każdej strony można podziwiać dobrotliwą twarz monarchy.

W rezerwacie krzątało się kilkunastu dozorców, którzy miotełkami z kogucich piór na długich prętach bez przerwy odkurzali lśniące piramidy, a zwłaszcza królewski portret. Przy stosie rubinów czuwał specjalny urzędnik z pancerną skrzynią, do której na noc przesypywano drogocenne kamienie, a dwaj rachmistrze obliczali je i wpisywali do wielkiej księgi.

Na ścieżkach rezerwatu tłoczyły się liczne wycieczki szkolne, gdyż dzieci na całym świecie ogromnie interesują się tym, co zegarki mają w środku.

Pan Kleks, który nieomylnie umie formułować złote myśli, zawołał:

– Z ludźmi jest tak jak z zegarkami! Najważniejsze jest to, co mają w środku. – Po czym stanął na jednej nodze, zamyślił się i rzekł z niekłamanym zachwytem: – Spójrzcie! Czy widok ten nie jest piękniejszy niż wszystkie zegarki razem wzięte? Czy to niesłuszne, że lśniące kółka, sprężynki i

wahadełka, więzione we wnętrzach zegarków, znalazły się na wolności? Na to, by podziwiać perłę, trzeba ją wyjąć z muszli. Podobnie jest z zegarkami. Jeśli się chce podziwiać piękno ich mechanizmu, trzeba zegarki wypatroszyć. A do wskazywania pory dnia wystarczą koguty! Zresztą prawdziwy mędrzec ma poczucie czasu w końcach palców i nie potrzebuje spoglądać na zegarek. Ja na przykład wiem, że zapadł wieczór i że czas już iść na przyjęcie do króla. Panie i panowie, ruszamy!

W tej samej chwili rozległ się gong na znak, że należy opuścić rezerwat, a odźwierny nawoływał do wyjścia. Za bramą czekała nas jednak przykra niespodzianka. Gdy chcieliśmy uruchomić nasze hulajnogi, okazało się, że wszystkie zostały pozbawione kół. Wtedy dopiero przypomniałem sobie, iż jeden z dozorców wydał mi się dziwnie znajomy.

– Panie profesorze – zawołałem – to znów sprawka Alojzego! Widziałem go! To był na pewno on!

Z oddali doleciał nas charakterystyczny chichot. Teraz nie mieliśmy już wątpliwości.

– Szelma! – westchnął pan Kleks. – Trudno. Pójdziemy piechotą. Musimy się śpieszyć, bo to kawał drogi, a nie posiadamy szybkobieżnych alamakotańskich nóg.

Ale w tym właśnie momencie z ciemności wyłonił się zdyszany pan Lewkonik wołając przerażonym głosem:

– Nie ma Rezedy! Rezeda zginęła! Hortensja jest... Dalia jest... Piwonia Róża... Wszystkie są! Tylko Rezedy nie ma! Szukaliśmy jej wszędzie... Ona zawsze się nas trzymała. Moja córka! Moje dziecko! Moja Rezeda! O, ja nieszczęśliwy! Panie profesorze, co się z nią mogło stać?

– Niech pan zachowa spokój godny hodowcy róż – odrzekł pan Kleks. – Jestem i czuwam. Moja broda także czuwa. Pańska Rezeda została porwana. Tak! Porwał ją stworzony przeze mnie mechaniczny człowiek, Alojzy Bąbel. To jego sprawka.

I podczas gdy pan Lewkonik wydawał rozmaite rozpaczliwe okrzyki pan Kleks stanął na jednej nodze, rozpostarł brodę i zamyślił się tak głęboko, jak chyba nigdy dotąd.

OPOWIEŚĆ ANEMONA LEWKONIKA

Nie przeszkadzajmy panu Kleksowi. Niech sobie myśli w spokoju i skupieniu. A ja skorzystam z okazji i przez ten czas opowiem wam o rodzinie Lewkoników. Myślałem, że będziemy mogli bez tego się obejść, ale wobec zniknięcia Rezedy muszę podzielić się z wami pewnymi wiadomościami z dziejów tej osobliwej rodziny.

W drodze do Alamakoty, na pokładzie "Płetwy Rekina", siadywałem wieczorami z panem Lewkonikiem na rufie statku. Szukaliśmy tam powiewu i ochłody po upalnym dniu. Podczas gdy pozostali pasażerowie szli do swoich kajut, my dwaj siedzieliśmy na zwojach lin i prowadziliśmy długie rozmowy, które przeciągały się nieraz do późnej nocy.

Wtedy właśnie opowiedziałem panu Lewkonikowi o panu Kleksie, o Alojzym i o tym, co przydarzyło się moim rodzicom.

Z kolei pan Lewkonik wtajemniczył mnie we wszystkie sprawy dotyczące jego rodziny. A nic tak ludzi nie zbliża, jak wzajemne powierzanie sobie sekretów. Toteż w krótkim czasie zawiązała się pomiędzy nami przyjaźń i mówiliśmy o wszystkim z całą otwartością.

A oto opowieść hodowcy róż, którą zapamiętałem bardzo dokładnie:

"Nazywam się Anemon Lewkonik. Rodziców straciłem we wczesnym dzieciństwie. Wychowywałem się u dziadka, który był słynnym hodowcą kaktusów. Od najmłodszych lat interesowałem się botaniką, zbierałem zioła i kwiaty, uczyłem się ich łacińskich nazw. W siódmym roku życia ułożyłem rymowany słownik roślin kompasowych, czyli takich, które wskazują cztery strony świata. Pracowałem chętnie w ogrodach i cieplarniach dziadka, a nawet pomogłem mu wyhodować kaktus, który o zachodzie słońca gwizdże jak kos.

Z biegiem czasu zdobyłem tak rozległą wiedzę, że sam poczyniłem wiele ciekawych prób krzyżowania kwiatów z owadami i ptakami. Zacząłem też stosować rozmaite substancje, które nadawały kwiatom szczególne własności. Wyhodowałem jadalny anemon o smaku chałwy. Udało mi się również uzyskać astry fruujące jak motyle. Nie będę zresztą opowiadał o mniej ważnych osiągnięciach. Przejdę od razu do sprawy, która zaważyła na całym moim życiu.

Otóż pewnego dnia, a miałem wtedy lat dziewiętnaście, po wielu nieudanych próbach zdołałem wreszcie doprowadzić do pomyślnego końca najtrudniejsze z moich zamierzeń. Przy zastosowaniu specjalnej energii, odkrytej swego czasu przez profesora Kleksa, a znanej powszechnie pod nazwą energii kleksycznej, udało mi się wyhodować całkiem nowy gatunek lewkonii o właściwościach wręcz niezwykłych..."

W tym momencie rozległ się tubalny głos kapitana, który był zajęty rozwiązywaniem nowej krzyżówki:

– Roślina z siedmiu liter, "u" w środku, hej?!

– Bluszcz – zawołał pan Lewkonik, po czym snuł dalej swoją opowieść:

Otóż kwiat, który wyhodowałem z takim trudem, nosi nazwę Lewkonii Podróżniczej. Wystarczy ją powąchać, żeby zapasć w sen podróżniczy i przenosić się do obcych krajów, jakby to było na jawie. Człowiek pogrążony w takim śnie zwiedza nieznane miasta, a wszystko, co widzi albo słyszy, jest najzupełniej zgodne z rzeczywistością i pozostaje na zawsze w jego pamięci.

Jestem pierwszym człowiekiem, któremu udało się zrealizować ten śmiały zamysł. Postanowiłem nie dopuszczać nikogo do mojej tajemnicy i w tym celu ukryłem cudowny kwiat w niedostępnych gąszczach ogrodu, gdzie nigdy dotąd nie postąpiła noga ludzka. Odtąd co noc potajemnie wykradałem się z domu, wachałem moją lewkonię, zapadałem w sen i odbywałem dalekie podróże. A kiedy nazajutrz sprawdzałem w atlasach i podręcznikach geografii moje podróżnicze sny, wszystko zgadzało się co do joty z istotnym stanem rzeczy.

W ten sposób zdołałem zwiedzić wiele ciekawych krajów, a więc Palemonię, Abecję, Parzybrocję, Wyspy Gramatyczne, Patentonię, a także Nibycję. Sen podróżniczy kończył się zwykle o świcie i wtedy niepostrzeżenie wracałem przez okno do mego pokoju, zanim dziadek mógł zauważyć moją nieobecność. Dziwiło go tylko, że jestem stale przesiąknięty zapachem lewkonii. Często więc powtarzał:

– Człowiek zawsze ma w sobie coś ze swego nazwiska.

Pewnej nocy, gdy powąchałem moją lewkonię i pogrążyłem się znowu we śnie podróżniczym, przeniosłem się do kraju, którego później nie zdołałem znaleźć na żadnym globusie świata ani żadnej encyklopedii. Była to mała wysepka, leżąca samotnie na oceanie. Nazywała się Wyspą Sobowtórów. Opowiem o niej tylko rzeczy najistotniejsze.

Wiadomo, że istnieją kraje zamieszkałe przez kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt plemion i szczepów posługujących się odrębnymi językami.

Na Wyspie Sobowtórów zjawisko to występowało w postaci zgoła niespotykanej. Każdy mieszkaniec mówił tam swoim własnym językiem. Ludność wyspy liczyła dwadzieścia siedem tysięcy osób, nietrudno więc obliczyć, że tyleż rozmaitych języków używano w tym kraju równocześnie. Wobec tego ludzie mogli porozumiewać się z sobą jedynie dzięki wspólnym samogłoskom natomiast korespondencję prowadzili przy pomocy alfabetu Morse'a, który, tak jak u nas, znały nawet dzieci.

Można się domyślić z samej nazwy wyspy, że zamieszkiwały ją wyłącznie sobowtóry. Były to jakby zapasowe egzemplarze różnych znakomitych ludzi, prawdopodobnie na wypadek, gdyby dla któregoś z nich czas jego życia okazał się za krótki.

Sobowtórów obierano drogą losowania spośród wybitnych uczonych, wynalazców, artystów i podróżników. Spostrzegłem wśród nich pana Kleksa oraz sobowtóry innych osobistości.

Przyznaję, że byłem mile zdziwiony, gdy przemierzając wyspę ujrzałem przed jednym z domów postać podobną do mnie jak dwie krople wody. A zdziwiłem się dlatego, że byłem jeszcze mało znanym, młodym hodowcą kwiatów i nie sądziłem, aby sława moja dotarła aż do tego dalekiego kraju.

Mój sobowtór zaprosił mnie do swego domu. Jak można przewidzieć, mówiliśmy wspólnym językiem. Dowiedziałem się więc bez trudu, że mam przed sobą hodowcę kwiatów, równie osobliwych jak moje, a jego największym osiągnięciem była, ni mniej, ni więcej tylko dokładnie taka sama Lewkonia podróżnicza. Nadto okazało się, że wskutek szczególnego zbiegu okoliczności człowiek ten nazywa się Anemon Lewkonik. Nie miałem tedy żadnej wątpliwości, że spotkałem własnego sobowtóra, co na tej wyspie można było uważać za rzecz całkiem naturalną.

Podobieństwo między nami było wprost uderzające. Patrząc na tego drugiego Lewkonika, odniosłem wrażenie, że przeglądam się w lustrze. Miał identyczną brodawkę na nosie, złoty ząb z prawej strony i nawet taki sam krawat w groszki. Uradziliśmy, że dla odróżnienia on będzie cesał się na jeża, a ja z przedziałkiem. Nadto, aby ułatwić sobie obcowanie z innymi mieszkańcami wyspy, postanowiłem nazwać go Anemon–Lusterko, co miało wskazywać, który z nas dwóch jest sobowtorem.

Od pierwszej chwili pokochaliśmy się jak bracia i bez trudu odgadywaliśmy swoje myśli, nawet najskrytsze.

Ale była jedna rzecz, którą różniliśmy się od siebie. Anemon–Lusterko miał siostrę.

Gotów byłem przysiąc, że na całym świecie nie ma dziewczyny równie pięknej, i wobec tego nie wierzyłem, aby mogła być czyimkolwiek sobowtorem. Miała płeć delikatną jak płatki dalii, oczy złociste jak rezeda, usta pąsowe jak piwonia, głowę trzymała dumnie jak hortensja, a wokół niej unosił się zapach róż. I trudno byłoby wybrać dla niej odpowiedniejsze imię niż to, które nosiła. Nazywała się Multiflora.

Dotąd ze snów podróżniczych budziłem się zazwyczaj o świcie i wracałem niepostrzeżenie do domu mego dziadka.

Tym razem pobyt na Wyspie Sobowtórów przeciągał się. Przypuszczam, że obecność Lewkonii Podróżniczej Anemna–Lusterko równoważyła działanie powrotne lewkonii wyhodowanej przeze mnie. Możliwe, że gdybym powąchał sobowtóra mojego kwiatu, zapadłbym w kolejny sen podróżniczy i w ten sposób wróciłbym do domu. Wcale jednak tego nie pragnąłem. Nie chciałem nawet myśleć o możliwości rozstania z Multiflorą.

Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a ona również darzyła mnie podobnym

uczuciem. Najdziwniejsze w jej stosunku do mnie było to, że wcale nie dostrzegała podobieństwa pomiędzy mną a moim sobowtórem i nieraz powtarzała:

– Całą tę bajkę o naszej wyspie wymyślił pan Kleks. Nic innego nie robi, tylko stoi na jednej nodze i zmyśla różne nieprawdopodobne historie. Opowiada o krajach, które nie istnieją, o mechanicznych ludziach, o jakimś Alojzym Bąblu, którego ściga po całym świecie, o sobowtórach. Nam się wydaje, że wszystkie jaskółki są jednakowe, a one wiedzą, że to nieprawda i doskonale się rozróżniają... Tak samo wy dwaj. Wmówiliście w siebie, że jesteście sobowtórami. A ja nie dostrzegam w was żadnego podobieństwa. Ostatecznie tysiące ludzi mają brodawki na nosach, złote zęby czy krawaty w groszki.

Cieszyły mnie te słowa Multiflory, gdyż wcale nie czułem się jej bratem, jak mój sobowtór. Przeciwnie. Byłem zakochany i pragnąłem ją pojąć za żonę. Anemon–Lusterko szybko mnie przejrzał i powiedział pewnego dnia przy śniadaniu:

– Sny mogą się prześnić, a czas ucieka. Nie wiem, Multifloro, czy słusznie przypisujesz pewne niezrozumiałe zjawiska fantazji pana Kleksa. Skoro jednak nie wierzysz w istnienie sobowtórów, czemu byś nie miała poślubić Anemona? Przecież widzę, że się kochacie. A nie sądzę, abyś mogła znaleźć lepszego dla siebie męża.

Zamiast odpowiedzi Multiflora rzuciła mi się na szyję, wołając:

– Tak! Tak! Chcę być twoją żoną! Chcę się wyrwać z niewoli urojeń. Ty możesz mi stworzyć prawdziwe życie, bo ty mnie kochasz, wiem o tym!

Taka była Multiflora!"

W tym momencie pan Lewkonik przerwał swoją opowieść. Z lekkością balonika zbiegł do kajuty, a po chwili wrócił z polewaczką i szybko wziął się do podlewania swoich kwiatów, które rozkwitały w skrzynkach przy burtach statku:

– Rosa multiflora wymaga wielkiej dbałości. To bardzo delikatna roślina – rzekł po chwili, po czym znów usiadł przy mnie i dalej snuł swoje opowiadanie: "W miarę jak zbliżała się data naszego ślubu, Anemon–Lusterko stawał się coraz bledszy, a raczej coraz bardziej przezroczysty, coraz bardziej niedostrzegalny. Wprawdzie krzątał się jeszcze beztrosko po domu i po ogrodzie, ale go wciąż ubywało jak ubywa księżyc od pełni do nowiu. Już nie dość, że był moim sobowtórem, ale nadto stopniowo utożsamiał się ze mną, aż w końcu przestaliśmy go w ogóle dostrzegać. Przyłgął do mnie jak cień i odtąd ukazywał się już tylko w postaci mego cienia.

Stało się to ostatecznie w dniu, kiedy wracałem z Multiflorą od ślubu.

Małżeństwo nasze było bardzo szczęśliwe. Prowadziliśmy życie spokojne, z dala od miejskiego zgiełku, oddając się z zapalem hodowli roślin. Córkom naszym, które kolejno

przychodziły na świat, daliśmy imiona ulubionych kwiatów. Są to właśnie: Róża, Hortensja, Dalia, Piwonia i Rezeda. Ale – rzecz dziwna. Z matki tak pięknej urodziły się dziewczynki, niestety, brzydkie.

Córki chowały się zdrowo, rosły, uczyły się u najlepszych nauczycieli i darzyły nas gorącą miłością.

Żyliśmy w dobrobycie, gdyż wraz z Multiflorą otrzymaliśmy przy pomocy krzyżowań wiele nieznanych kwiatów o różnych magicznych zapachach. Wynaleźliśmy także pobudzacz wzrostu, czyli specjalny odżywczy płyn, który znakomicie przyspiesza rozwój roślin oraz ich kwitnienie. Dzięki temu nasza hodowla zyskała sobie powszechną sławę na wyspie i z trudem mogliśmy nadażyć licznym zamówieniom.

Dziewczynki, w miarę jak dorastały, pomagały nam w pracy. Moja kochana Multiflora wyjawiała, że jej pragnieniem jest wydać córki za ogrodników, gdyż obcowanie ze światem roślinnym kształtuje w ludziach najszlachetniejsze skłonności. A po namyśle dodała:

– Pisarze myślą tylko o postaciach, które sami stworzyli, inżynierowie zajęci są wyłącznie maszynami, podróżnicy chętnie wyjeżdżają i zostawiają swoje żony, lekarze bardziej interesują się chorymi niż zdrowymi. Jedynie miłośnicy roślin i kwiatów potrafią ocenić piękno ludzkiej duszy!

Przy tych słowach Multiflora westchnęła rozsiewając dokoła aromat róż. Z czasem stwierdziłem, że jej nieodrodne córki pachniały kwiatami, które odpowiadały ich imionom. I tylko ja, choć mam na imię Anemon, a na nazwisko Lewkonik, niczym nie przypominam kwiatu, raczej dynię, odkąd zaokrągliły się moje kształty.

Ale to już nie należy do rzeczy.

Pewnego dnia, pod koniec czerwca, jak zwykle na Wyspie Sobowtórów nastął okres deszczów i burz. Lało przez wiele dni. Siedzieliśmy więc w domu, nie zaglądając nawet do naszych kwiatów. Dęły huraganowe wiatry, huczały grzmoty, w wielu miejscach od piorunów wybuchały pożary. Podczas jednej z takich burzliwych nocy rozległo się energiczne pukanie do naszych drzwi.

Ubrałem się szybko i poszedłem wpuścić niespodziewanego gościa. Był to profesor Ambroży Kleks. Postawił w kącie ociekający deszczem parasol, otrząsnął krople z brody i rzekł uroczyście:

– Sprawa jest bardzo ważna. Niezmiernie ważna.

Gdy siedzieliśmy już w wygodnych fotelach i Multiflora przyniosła nam kieliszki napełnione różanym winem, pan Kleks od razu przystąpił do rzeczy:

– O ile mi wiadomo, wyhodował pan Lewkonię Podroźniczą przy pomocy energii kleksycznej, którą odkryłem przed laty. Muszę pana ostrzec, że działanie tej energii jest ograniczone w czasie, a

nie wymyśliłem dotąd nic, co mogłoby ją zasilić lub odnowić. Zajęty byłem innymi wynalazkami. O świecie pańska Lewkonia Podróżnicza przestanie istnieć. Dla nas trojga, którzy nie jesteśmy sobowtórami, to bardzo ważne. Radzę w porę opuścić wyspę, bo później nie będzie już powrotu do rzeczywistego świata. Dla siebie przygotowałem porcję odpowiedniego przebieralnika i dziś jeszcze wracam do mojej Akademii. Oto wszystko, co miałem do powiedzenia. Aha, jeszcze jedno. Pani Multiflora nie była siostrą pańskiego sobowtóra. Chodziło mi po prostu o pewien eksperyment, który, jak widzimy udał się znakomicie. To ja wymyśliłem wasze małżeństwo i przypuszczam, że oboje jesteście mi wdzięczni. Życzę powodzenia.

Tu pan Kleks wstał, pożegnał się z nami, ale gdy sięgał po swój parasol, z przepaścistych kieszeni jego surduta wypadł dziwny przedmiot w kształcie cylindra, pokryty mnóstwem strzałek, wskazówek i guziczków, a nadto z jednej strony zakończony miotełką z cienkich platynowych drucików.

Pan Kleks szybko podniósł ów przedmiot, obrócił go parokrotnie w palcach i rzekł z uśmiechem:

– Dziwny aparat, prawda? Otóż jest to jeden z najdonioślejszych moich wynalazków. Nazwałem go skarbonką pamięci. Notuje on wszystko, cokolwiek przepływa przez mój mózg, a więc każdą myśl, każdy obraz, każde wrażenie. Pojemność jego wystarcza na całe życie. Przy odpowiednim nastawieniu mechanizmu potrafię w zwojach mózgowych odtworzyć z całą dokładnością dowolny moment zarejestrowany w skarbonce pamięci. Może kiedyś, w przyszłości, zapragnę przypomnieć sobie wydarzenia dzisiejszej nocy. Kto wie, kto wie...

Mówiąc to pan Kleks znacząco podniósł palec po czym wyszedł, a raczej wypłynął z naszego domu i zniknął w ciemnościach.

Po wyjściu pana Kleksa długo naradzaliśmy się z Multiflorą, co robić. Żal nam było rozstawać się z naszymi kwiatami, żal było opuszczać dom, w którym spędziliśmy tyle szczęśliwych lat. Uznaliśmy jednak, że pozostanie na zawsze w krainie sobowtórów zamyka naszym córkom drogę do normalnego życia. Postanowiliśmy więc wrócić do rzeczywistego świata. Multiflora obudziła dziewczynki, kazała im się ubrać i pod ulewnym deszczem udaliśmy się wszyscy do oddalonego klombu, gdzie Anemon–Lusterko wyhodował swoją Lewkonie Podróżniczą. Pochyliliśmy się nad nią i zaczęliśmy energicznie wdychać jej oszałamiający zapach. Po chwili, gdy ogarnęła nas senność, pokładliśmy się na dywanie, który zabrałem z domu. Dziewczynki oddychały miarowo, tylko Multiflora zakasłała raz i drugi. Ale kaszel jej brzmiał jakby z wielkiego oddalenia. Tak mi się w każdym razie zdawało..." .

Tu pan Lewkonik przerwał swoją opowieść. Zaczynało już świtać i trzeba było udać się na spoczynek. Przez następne dwa dni hodowca róż cierpiał na silną migrenę i większość czasu spędzał w kajucie. Hortensja zagadywała mnie parokrotnie o czym rozmawiałem z jej ojcem. Powiedziała też mimochodem:

– Woń kwiatów działa na niektórych ludzi odurzająco. Róże z gatunku rosa multiflora wywołują niekiedy męczące sny i przywidzenia. To jest ulubiony kwiat mego ojca. Niech pan spojrzy, jak się pięknie rozwija. Cały pokład przepojony jest zapachem naszych róż.

Po dwóch dniach pan Lewkonik znowu zaprosił mnie na rozmowę. Wyglądał tak, jakby cierpiał na chorobę morską, chociaż morze było niezmiennie spokojne i "Płetwa Rekina" ledwo–ledwo kołysała się na fali.

"Zaraz... Na czym to wtedy stanąłem?... – odezwał się po dłuższym namyśle – Aha! Noc, ulewa, leżymy wszyscy obok siebie na dywanie w pobliżu klombu. Zapadam w głęboki sen podróżniczy... A o świcie budzę się. Lecz nie w ogrodzie mego dziadka, jak to bywało dotąd. Ogrodu nie ma ani śladu. Nade mną szumi zboże. Zrywam się na równe nogi, rozglądam się i widzę moje córki pogrążone w śnie. Widzę Hortensję, Różę, Piwonię, Dalię, Rezedę. I tylko Multiflory nie ma.

– Multifloro! – wołam rozpaczliwie. – Multifloro! Gdzie jesteś? Odezwij się!

Przebiegam polne miedze, roztrącam i depczę wysokie kłosa. Córki wołają:

– Mamo! Mamo!

Krzyczymy coraz głośniejsze, echo powtarza w oddali:

– Multifloro! Multifloro!

Przeszukaliśmy cały teren, każdy krzak, wszystkie zakątki. Na próżno. Multiflory nie było.

Z domu mego dziadka wyszedł wysoki mężczyzna w kapeluszu z piórkiem, z psem myśliwskim i z dubeltówką w ręce. Wściekłość rysowała się na jego twarzy.

– Cóż to za wrzaski, do licha! – zaskrzeczał starym głosem. – Jakim prawem zakłóacie mi spokój? Kto pozwolił tym dziewczuchom niszczyć moje zasiewy? Proszę wynosić się stąd, bo dalibóg wystrzelam jak kuropatwy.

– Jestem Anemon Lewkonik – odrzekłem starając się panować nad sobą. – Znajdujemy się w posiadłości mego dziadka, ten dom był moim domem.

– Nie ma żadnych Lewkoników! – zawołał starzec tupiąc nogą. – Ani Lewkoników, ani lewkonii, ani tych wszystkich przebrzydłych kwiatów. Nie znoszę ich! Skończyło się panowanie anemonów i tym podobnych wiechci. Wymiotłem to całe paskudztwo! Ziemia moja rodzi pszenicę i żyto. A ja chodzę na polowania. Strzelam i nie chybiam, panie Lewkonik. Fora ze dwora, bo już tracę cierpliwość. – Mówiąc to odwiódł kurki dubeltówki i wziął nas na cel.

– Chodźmy – rzekłem do córek. – Ten człowiek jest szalony. Nie ma tu miejsca dla nas.

Wystraszone dziewczęta z najwyższym zdumieniem przyglądały się tej gorszącej scenie. Po raz pierwszy zetknęły się z rzeczywistym światem i nigdy dotąd nie słyszały podobnie gwałtownych, napastliwych słów.

Ruszyliśmy pieszo do pobliskiego miasteczka, gdzie wśród miejscowych ogrodników miałem niegdyś sporo przyjaciół. Ludność miasteczka składała się głównie z hodowców kwiatów, owoców i warzyw, które były ozdobą królewskich stołów nawet w krajach bardzo odległych.

Postanowiłem udać się do starego Kamila Pergamuta, którego sad spadał tarasami do samej rzeki. Zasłynął on jako hodowca kleksów. Była to rzadka odmiana gruszek, szczepionych metodą profesora Kleksa. Od niego też pochodziła ich nazwa. Kleksy były nadzwyczaj soczyste i aromatyczne, a w środku zamiast pestek miały owoc czereśni.

Przyjęła nas siwa, ale krzepka staruszka. Poznałem w niej panią Pepę Pergamut. Ucieszyła się na mój widok, uściskała serdecznie mnie i moje córki, a gdy dowiedziała się o naszym nieszczęściu, oświadczyła stanowczo:

– Drogi Anemonie, owdowiałam przed trzema laty, jestem stara i samotna. Już was stąd nie wypuszczę. Znałam cię jako małego chłopca. Gdzież, jak nie u mnie, córki twoje znajdą należytą opiekę? Niechaj wszystko, co moje, stanie się również wasze. Dobry los zesłał mi was na stare lata. Spełniły się moje najgorętsze pragnienia. Teraz przynajmniej będę miała dla kogo żyć.

Taka to była kobieta, pani Pepa.

Zostaliśmy u niej. Wydzieliła mi znaczną część swoich gruntów, toteż niezwłocznie zabrałem się wraz z córkami do pracy i założyłem hodowlę róż. Nie interesowały mnie odtąd żadne inne kwiaty poza gatunkiem rosa multiflora. Przypominały mi bowiem ukochaną małżonkę.

Pewnego dnia pani Pepa wezwała mnie do siebie i rzekła:

– Nic dziwnego, Anemonie, że Multiflora nie znalazła się razem z wami. Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że skoro dostała kaszlu i miała wskutek tego zamknięte drogi oddechowe, nie mogła w porę należycie powąchać kwiatu lewkonii. A potem było już za późno. Wcale to jednak nie oznacza, aby Multiflora odgrywała tylko rolę sobowtóra! Możesz pod tym względem zaufać człowiekowi tak mądrymu, jak profesor Ambroży Kleks. Jestem przekonana, że odnajdziesz swoją żonę.

Zacna staruszka dodawała mi otuchy. Z czasem wstąpiła we mnie nadzieja, a gdy na statku dowiedziałem się od pana, że mamy płynąć do Alamakoty i że tam znajdę profesora Kleksa, zacząłem wierzyć w szybkie spełnienie mych pragnień. Liczę na pana, panie Niezgodka. Pan mi chyba pomoże pozyskać przychylność profesora."

Zapewniłem pana Lewkonika, że wieki uczone niewątpliwie ułatwi mu odzyskanie Multiflory.

Przez jakiś czas trwaliśmy w milczeniu. Po dłuższej chwili hodowca róz westchnął, pocisnął brodawkę na nosie, ożywił się i opowiadał dalej:

"Pani Pepa przez wiele lat słynęła jako pogromczyni dzikich zwierząt i popisując się w wędrownych cyrkach zgromadziła znaczny majątek. A kiedy się postarzała, rzuciła arenę, osiadła w naszym miasteczku i poświęciła się z zapalem hodowli gruszek. Z czasem pojęła za męża swego ogrodnika, Kamila Pergamuta, który przed kilku laty zmarł z przejedzenia kleksami.

Pani Pepa była kobietą nadzwyczaj łagodną, a jak nieraz podkreślała, nauczyła się łagodności przez obcowanie z dzikimi zwierzętami. Natomiast ludzi unikała w obawie przed ich drapieżnością.

– Mam chyba słuszość, drogi Anemonie. Poznałeś owego myśliwego, który zagarnął dom twego dziadka, a was wypędził grożąc dubeltówką. Jesteś poczciwego serca i nie tracisz wiary w ludzką dobroć. Może to i dobrze.

Taka była pani Pepa.

W wolnych chwilach uczyła moje córki tresury zwierząt. Po pewnym czasie mieliśmy w domu wiewiórkę, która umiała zapalać lampy, psa, który podlewał co rano kwiaty, jeża, który nauczył się czyścić obuwie. Kot Walery szybko i zręcznie przyszywał guziki, a białe myszki odkurzały sprzęty albo peły grządki w ogrodzie. Rezeda rozmiłowała się szczególnie w tresurze ptaków. Jej szpak po miesiącu nauczył się mówić i nawet sam wymyślił kilka dwuwierszy. Oto niektóre z nich:

Anemon Lewkonik Pęknie jak balonik.

Albo:

Nasz Anemon – pusta głowa Pięc nieładnych córek chowa.

I jeszcze jeden:

Pepa, chociaż ślepa, Krzepka jest jak rzepa.

Piwonia pod wpływem tego szpaka nabrała ogromnego zapału do rymowania. Odtąd mówi wyłącznie wierszem. Chociaż jednak posiada niewątpliwy talent poetycki, jej wiersze trudno zrozumieć.

Wczoraj powiedziała na przykład tak:

Talia Dalia mydło balia Lustro szustro bęc sypialnia Kodra mołdra woda chlup Kapitana zmiana rób.

Miało to znaczyć, że Dalia, myjąc się przed snem, zagapiła się w lustro i oblała wodą

niebieską kołdrę, wobec czego mam prosić kapitana, żeby kazał zmienić jej pościel.

Jak widać na tym przykładzie, Piwonia pięknie rymuje, natomiast Rezeda jest niezrównana w tresurze ptaków. Robaki zwane płazieńcami nauczyła tabliczki mnożenia i teraz każdy ptak, który zje takiego płazieńca, umie mnożyć od jednego do stu.

Zresztą właśnie Rezeda wytresowała pańskiego koliberka i nauczyła go wskazywać kierunek na południowy wschód, dzięki czemu płyniemy teraz do Alamakoty.

Pani Pepa otoczyła moje córki troskliwą opieką, starała się im we wszystkim dogadzać, przyrządzała dla nich codziennie rozmaite przysmaki, jak na przykład kleksy w czekoladzie albo z kremem. Mimo to jednak dziewczynki chudły, marniały, powiedziałbym – więdły jak kwiaty. Nie pomagały żadne leki i zioła, żadne nacierania maściami, natryski z różanej wody ani wreszcie nalewka na liściach anemonu. Każdy dzień przynosił pogorszenie. Widocznie po nieco sztucznym klimacie Wyspy Sobowtórów trudno było dziewczętom przystawować się do nowych warunków.

Na szczęście pani Pepa, studiując dzieło pana Kleksa o jego podróży, trafiła na opis Przylądka Aptekarskiego i Obojga Farmacji. Dowiedzieliśmy się, że tylko tam można dostać niezbędne leki.

Nie zastanawiałem się długo. Spakowaliśmy walizki i ruszyliśmy w drogę, zaopatrzeni przez panią Pepę w dwa kosze dojrzałych kleksów.

Podróż mieliśmy pomyślną i po tygodniu zawinęliśmy do portu w krainie aptekarzy. Panował tam udzielny Prowizor Pigularz II.

Już sam klimat Przylądka Aptekarskiego okazał się dla córek zbawienny. Wybitni miejscowi farmaceuci zajęli się nimi bardzo troskliwie. Z prywatnych zbiorów Pigularza II otrzymaliśmy cenne eliksiry, które w krótkim czasie przywróciły zdrowie moim kochanym córkom. Niech pan nie myśli, że nie próbowałem zdobyć dla nich jakiegoś środka na upiększenie rysów twarzy, ale właściwości tych nie posiadała żadna maść ani żaden krem wytwarzany w krainie Obojga Farmacji.

Podczas przyjęcia, wydanego na naszą cześć przez udzielnego Prowizora, ten dobrotliwy władca rzekł do mnie poufnie:

– O ile mi wiadomo, w kraju zwanym Alamakotą dojrzewa owoc gungo. Sok tego owocu to jedyny prawdziwie skuteczny środek na usunięcie brzydoty. Radzę zapamiętać: owoc gungo w Alamakocie."

Tu pan Lewkonik pociągnął mnie za rękaw, a upewniwszy się że nie śpię, zawołał:

– Rozumie pan, panie Niezgódka, ile zawdzięczam naszemu spotkaniu?! Rozumie pan, jakie znaczenie ma dla mnie i dla moich córek ta podróż do Alamakoty? Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wreszcie dobijemy do jej brzegów. Ale na razie wróćmy do przyjęcia u Pigularza II.

Wśród licznie zgromadzonych dostojników państwowych i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa znajdował się również Pierwszy Admirał Floty.

Był to mężczyzna niezbyt piękny, powiedziałbym nawet, trochę kanciasty, a w zachowaniu bardzo dziwny. Nazywał się... niech pan uważa, panie Niezgódka... nazywał się – Alojzy Bąbel."

Te słowa pana Lewkonika zelektryzowały mnie. Słuchałem chciwie dalszych jego wynurzeń. Przekażę je wam nieco później. Teraz jednak muszę zakończyć niniejszy rozdział i wrócić do miejsca, w którym rozstaliśmy się z panem Kleksem.

GDZIE JEST REZEDA?

W drugim rozdziale zostawiliśmy pana Kleksa przed Rezerwatem Zepsutych Zegarków, w pozycji, którą przybierał zazwyczaj gdy sytuacja wymagała głębokiego namysłu. Tym razem uczony mąż zamyślił się głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Chodziło przecież o sprawę porwania Rezedy przez Alojzego.

Stojąc na jednej nodze, pan Kleks myślał dostatecznie długo, abym zdążył przez ten czas opowiedzieć wam o Wyspie Sobowtórów oraz dzieje rodziny Lewkoników.

Teraz z oczu i z miny uczonego można było wywnioskować, że wszystko już dokładnie przemyślał i że za chwilę zacznie działać. Istotnie, pan Kleks wyprostował się, obciągnął surdut, a następnie wyjął z kieszeni skarbonkę pamięci. Przesunął na niej kilka wskazówek, naregulował aparat, nacisnął odpowiedni guzik, po czym miotełkę z platynowych drucików przytknął sobie do czoła.

– Oczywiście, panie Anemonie – rzekł po chwili – miał pan rację twierdząc, że spotkaliśmy się już dawniej. Teraz przypominam sobie doskonale naszą ostatnią rozmowę na Wyspie Sobowtórów. Multiflora! Tak. Nie, zdążyła należycie powąchać Lewkonii Podróżniczej. Została na wyspie. Odnajdziemy ją, drogi panie Lajkonik...

– Lewkonik – poprawił hodowca róż.

– Przepraszam pana, nie mam pamięci do nazwisk – zreflektował się pan Kleks. – Oczywiście: lewkonia – Lewkonik. To takie proste. Odnajdziemy pańską żonę! Głowa do góry! Dziś mamy jednak przed sobą coś pilniejszego. Chodzi o zdemaskowanie Alojzego Bąbla i odzyskanie Rezedy. Opracowałem już cały plan. Musimy szybko się przebrać, żeby zdążyć na przyjęcie u króla. Pozostało niewiele czasu. W drogę, moi państwo! Broda czuwa!

Ruszyliśmy w kierunku pałacu ministrona Pogody i Czterech Wiatrów, gdzie mieliśmy zamieszkać. Tam już pewno czekał na nas Weronik, który o ile pamiętacie, poszedł po nasze bagaże do portu,

Przez całą drogę hodowca róż krążył dokoła pana Kleksa, obijał się brzuchem o jego brzuch i zasypywał go pytaniami:

– Panie profesorze... moja żona... moja Multiflora... Gdzie mam jej szukać? Błagam pana... Co zrobić? Dokąd jechać? W jaki sposób można dotrzeć do Wyspy Sobowtórów?

Panny Lewkonikówny wtórowały ojcu, zastępowały drogę panu Kleksowi, Dalia i Róża czepiały się jego ramion, a Hortensja wołała szlochając:

– Niech pan odpowie, panie profesorze!

– Dlaczego pan milczy? Dlaczego? – powtarzała Róża ciągnąc uczonego za połę surduta.

Ale pan Kleks miał na to wszystko jedną odpowiedź:

– Pośpiech jest wrogiem rozsądku! Zapamiętajcie to sobie. Rozwaga jest podporą mądrości. Wiem, co należy czynić i kiedy. Broda czuwa! A wy, dziewczuszki, nie przeszkadzajcie mi kroczyć do wytkniętego celu.

Po tych stanowczych słowach rodzina Lewkoników nie nagabywała już więcej pana Kleksa. Szliśmy w milczeniu, a on maszerował na przodzie, z rozwianymi połami surduta, z brodą wskazującą nieomylnie właściwy kierunek.

Minęliśmy ulicę Wesołych Piskląt, a następnie szeroką Aleję Laktusową, rzęsiście oświetloną kolorowymi lampionami. Aleja ta wysadzona jest drzewami laktusowymi, które rosną wyłącznie w Alamakocie. Z ich konarów zwisają rurkowate gałęzie, przez które sączy się sok laktusowy. Alamakotańczycy używają go jako krzepiącego napoju. Ogrodnicy miejscy specjalnymi młoteczkami obstukują pnie drzew, co znacznie przyspiesza wyciekanie cennego soku, który barwą i smakiem przypomina do złudzenia zwykle krowie mleko. Dojenie drzew laktusowych odbywa się każdego dnia po zachodzie słońca. Idąc aleją, widzieliśmy mnóstwo kobiet, które z wiaderkami w rękę ustawiały się w kolejce po świeży sok. Niektóre miały z sobą nawet sitka, prawdopodobnie do precedzania kozuchów.

Pan Kleks coraz bardziej wydłużał krok, tak że musieliśmy biec truchcikiem, aby za nim nadążyć. Z daleka widać było już plac A–B skąd wystrzelały ku niebu wspaniałe sztuczne ognie. Nigdy dotąd nie widziałem równie pomysłowych kombinacji pirotechnicznych. Wielobarwne strumienie fajerwerków układały się w pióropusze kogucich ogonów, w postaci walczących smoków, a chwilami przedstawiały całe obrazy, jak na przykład królewską fregatę a na niej Kwaternostrą I w aureoli z kolorowych jajek. Widowisko było wręcz fantastyczne. Tłumy wiwatowały na cześć łaskawego monarchy, zwłaszcza że tego dnia, z okazji święta narodowego, na wszystkich placach smażyła się dla ludu państwowa jajecznica. Jak nas poinformowano, Kwaternoster I przeznaczył na ten cel dwieście tysięcy jaj eksportowych.

Na placu A–B z trudem precyzyjnie się przez tłum oblegający patelnię gigant i dotarliśmy do pałacu Limpotrona. Przy wejściu czekał na nas Weronik.

– Walizki rozpakowałem, suknie kazałem wyprasować – oznajmił z godnością. – Za pół godziny musimy być w pałacu królewskim.

Pokoje oddane do dyspozycji pana Kleksa znajdowały się na pierwszym piętrze. Rozwieszane tam były okrętowe koje do spania, a umeblowanie składało się z różnego typu kompasów, barometrów, termometrów, aparatów do mierzenia ilości opadów oraz siły wiatrów. Na ścianach wisiały mapy pogody, a na stołach leżały oznaczone chorągiewkami wykresy wyżów i niżów. Była to najwidoczniej ministronalna pracownia, przeznaczona czasowo na pokoje gościnne.

W jednym z nich stało rozkładane lustro wyszczuplające, z którym pan Kleks nigdy się nie rozstawał, gdyż bardzo dbał o swój wygląd. Teraz pokój ten zajęły panny Lewkonikówny, pan Lewkonik zamieszkał razem z Weronikiem, a ja z panem Kleksem.

– Moi państwo – rzekł uczony – mamy piętnaście minut na doprowadzenie się do porządku. Proszę, aby wszyscy ubrali się po galowemu.

Kiedy zostaliśmy sami, pan Kleks wesoło pogwizdując odwrócił swój surdut na lewą stronę, pokrytą niebieskim atłasem w złote gwiazdki, przypiął do spodni galowe lampasy, a na szyi zawiązał uroczysty krawat w żółte grochy. Wyglądał w tym stroju niezwykle wytwornie.

– Dwustronny surdut to mój wynalazek – rzekł przeglądając się z ukontentowaniem w lustrze. – Posiada osiem kieszeni i cztery skrytki. Tak samo zresztą jak kamizelka. Dla człowieka, który często podróżuje, ważny jest taki uniwersalny ubiór, nadający się na wszelkie okazje. Ale najważniejsze są kieszenie. W surducie mam dwanaście, w kamizelce dwanaście, w spodniach sześć, ogółem więc trzydzieści. A do tego dochodzą jeszcze dwie kieszenie zapasowe w kalesonach. Oto strój godny uczonego!

Przebrałem się w mój najlepszy garnitur i przypiąłem do spodni lampasy. Wydawało mi się, że nadeszła odpowiednia chwila, aby wyjawić panu Kleksowi powód mego przybycia do Alamakoty. Zanim jednak zacząłem mówić, pan Kleks oświadczył:

– Wiem, wiem, Adasiu! Twoje myśli widać jak na talerzu. Znam cię przecież na wylot. Skoro przyjechałeś za mną aż tutaj, znaczy to, że masz jakieś wielkie kłopoty. Z Akademii po wręczeniu dyplomów powinieneś być udać się do domu. A więc kłopoty związane są z domem, z rodzicami. Gdyby któreś z nich zachorowało, szukałbyś pomocy nie u mnie, lecz u lekarzy. Nie zadawałbyś się z kolibrem, gdyby nie chodziło o jakieś ptasie sprawy, i to w dodatku bardzo poważne. Reszta jest jasna. Nie potrzebujemy na ten temat rozmawiać. Bądź pewny, że pomogę ci w poszukaniu ojca. Mówię: ojca, gdyż o twoją matkę jestem spokojny. Takim kobietom nie zdarzają się ptasie przygody. Adasiu, głowa do góry!. Broda czuwa!

Powiedzcie sami, czy to nie genialny człowiek?

Panny Lewkonikówny wystąpiły w sukniach w kolorach kwiatów, których imiona nosiły, i wyglądały jak prawdziwy bukiet.

Pan Lewkonik ubrał się we frak, a że wieczór był upalny, pot strużkami spływał mu po twarzy.

Jedynie Weronik zachował swój zwykły strój, tyle tylko, że tym razem zasznurował buty cienkim zielonym drutem od dzwonek.

Nie mieliśmy sposobności poznać naszego gospodarza, gdyż jako ministron pogody i Czterech Wiatrów zajęty był przygotowaniem pogody na zbliżające się święto.

Weronik troskliwie pozamykał pokoje, klucze wręczył służbie, po czym udaliśmy się na przyjęcie. Do sali tronowej wkroczyliśmy akurat w chwili, gdy odgrywano hymn narodowy na muszlach.

Kwaternoster I stał na mostku kapitańskim swojej fregaty. Poniżej, obok króla, ustawił się rząd oraz dostojnicy państwowi. Premier miał imię zaopatrzone w dodatek ministerialny nie tylko na końcu, ale i na początku. Nazywał się mianowicie Trondodentron. Zaproszeni goście zgromadzili się pod ścianami, gdyż po środku sali stały patelnie, na których nadworni kuchmistrze smażyli jajecnicę w barwach narodowych, a więc w kolorze żółto–czerwono–zielonym, na co składały się jajka, pomidory i szczypiorek.

Podczas gdy król wygłaszał przemówienie, któreśmy już słyszeli poprzednio, i doszedł do słów "każdego roku wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków" – odłączyłem się ukradkiem od naszej grupy i usiłowałem wśród gości rozpoznać Alojzego.

Pamiętacie, że wszyscy Bajdoci jako dawni marynarze byli tatuowani i pan Kleks słusznie przypuszczał, że brak tatuażu u Alojzego ułatwi nam jego zdemaskowanie. Tymczasem spotkał nas zawód. Alamakotańscy goście, aczkolwiek obnażeni do pasa tego wieczoru, z okazji święta narodowego, posypani byli galowym srebrnym proszkiem, który całkowicie pokrywał ich ciała.

Nie mogłem też rozpoznać Alojzego po twarzy, bowiem, jak wiecie, ten szelma umiał bajecznie maskować się i podszywać pod inne postacie.

Pozostawały więc tylko nogi. Bajdotów ogółem było trzynastu. Reszta składała się z rodowitych trzynożnych Alamakotańczyków. Nie mówię o młodzieży, gdyż dzieci z mieszanych małżeństw miały wprawdzie po dwie nogi, ale jako trzyrękie łatwe były do odróżnienia.

Przeciskałem się przez tłum ze wzrokiem utkwionym w dół i notowałem w pamięci dwunożnych Bajdotów.

Pierwszym z nich był król Kwaternoster I, następnie premier Trondodentron, dalej ministron Pogody i Czterech Wiatrów – Limpotron, ministron Pokoju – Fajatron, wreszcie czterech pomniejszych ministronów oraz pięciu dostojników z otoczenia króla.

Sprawdziłem jeszcze raz moje obliczenia. Wszystko się zgadzało. Dwunożnych Bajdotów było trzynastu. Nasza grupa składała się z dziewięciu osób. Pozostali mieli po trzy nogi, a więc należeli do społeczeństwa ściśle alamakotańskiego.

Weronik prowadził obserwacje na własną rękę. Początkowo pomylił się w rachunku, gdyż nie wziął pod uwagę osoby króla, ale w ostatecznym obliczeniu byliśmy zgodni.

– Na arytymetyce nie można polegać – szepnął mi do ucha stary dozorca. – Czasami pięć razy

dziesięć jest pięćdziesiąt, a czasami pół złotego. Tyle, ile pan Chryzantemski daje mi za otwarcie bramy.

Tymczasem goście posilili się jajecznicą i służba uprzątnęła patelnie. Nadworny muzyk odegrał na muszlach Marsz Walecznych Kogutów, po czym rozpoczęła się część koncertowa.

Trzyrękie dziewczęta wykonały na podwójnych skrzypcach uroczysty Hymn do Jajka. Każda z nich dwiema rękami trzymała dwoje skrzypiec, a trzecią prowadziła smyczek. Muzyka ta była tak wspaniała, że chciałbym ją wam powtórzyć. Posłuchajcie:

"Pi-pi-wzzzz-fff-ff-dli-dli-dli-mg-mg-rs-rs-tfff..."

Oczywiście jest to tylko krótki fragment, ale mam nadzieję, że z tej małej próbki potrafiacie odtworzyć sobie całą kompozycję. Jeśli zaś chodzi o wykonanie, to mogę was zapewnić, że dzięki zwinności rąk i palców skrzypaczek smyczka w ogóle nie było widać, natomiast struny od szybkiego tarcia rozgrzewały się do czerwoności.

Goście w takt muzyki potrząsali rytmicznie zegarkami, co w połączeniu z melodią wywierało tak potężne wrażenie, że Kwaternoster I o mało się nie rozplakał.

Następnie odśpiewano alambajkę o kokoszce do słów ministra Spraw Artystycznych, który nazywał się Tubatron.

Ten znakomity alambajkopisarz pracował nad tekstem pieśni dwa lata, toteż warto, abym go przetłumaczył i przytoczył tutaj w całości:

Ko-ko-kokoszko, wysił się troszkę, Ko-ko-kokoszko, jajko nam daj,

Wszak my kochamy każdą kokoszkę Bo ko-ko-kokoszka wzbogaca kraj.

Ko-ko-kokoszko, nie żal się gorzko, Alamakocie potrzeba jaj,

Pracuj wydajnie, ko-ko-kokoszko, Ko-ko-kokoszko, jajko nam daj.

Po odśpiewaniu tej pieśni wystąpił zespół tancerzy i wykonał brawurowy taniec akrobatyczny, zwany alamaczyczą: Polegał on na szybkim przebieraniu trzema nogami z potrójnym przytupem oraz na podwójnych przysiadach z równoczesnym wyrzuceniem środkowej nogi do przodu.

Musze obracały się szybko, łącząc poszczególne marsze w jedną skoczną melodię. Kwaternoster I z nadzwyczajnym wyczuciem rytmu bił w dzwon pokładowy swojej fregaty. Sala grzmiała i huczała, a tubylecy uderzali zegarkami o podłogę w takt alamaczyczy.

Panny Lewkonikówny, nie przyzwyczajone do takiego zgiełku, pozatykały sobie uszy, natomiast

pan Kleks przyglądał się z zaciekawieniem popisowi tancerzy i nawet dyrygował jednym palcem jak wytrawny kapelmistrz.

W pewnym momencie, gdy tancerze znowu ruszyli w przysiady i wyrzucili środkowe nogi do przodu, jednemu z nich noga nagle się urwała, przeleciała ponad głowami zebranych przez całą salę i z impetem ugodziła w nos Kwaternostra I. Król ogłuszony uderzeniem, osunął się na pokład fregaty. Muzyka natychmiast zamilkła i wszyscy zamarli z przerażenia. Jeden tylko pan Kleks nie stracił przytomności umysłu i zawołał:

– Adasiu! Czy rozumiesz co to znaczy? Ta noga była przyprawiona! W ten sposób Alojzy udawał Alamakotańczyka! O, patrz.,. Tam! Ucieka! Panowie – za mną!

Przeciskając się przez tłum oniemiałych gości, rzuciliśmy się ku wyjściu. Pan Kleks z rozwianą brodą pruł naprzód jak czołg, ja za nim, za mną Weronik, a na końcu, podskakując jak piłka, mknął hodowca róż.

Po wydostaniu się z sali zbiegliśmy szybko po schodach i ruszyliśmy w pogoń.

Gdyby Alojzy nie był uciekał, nie rozpoznalibyśmy go w ulicznym tłumie. Ale obawiał się może nie tyle nas, co królewskiej straży i grożącej mu kary za obrazę majestatu. Umykał więc nie oglądając się za siebie, jak ścigany zając. Przebiegł Aleję Laktusową, potem plac Żółtka, ulicę Białka, aż w końcu wpadł w jeden z bocznych zaułków. Tu zawahał się przez chwilę i dał nura na klatkę schodową pobliskiego domu. Wpadliśmy tam za nim i ścigaliśmy go z piętra na piętro przeskakując po kilka stopni. Wreszcie, w momencie gdy Alojzy usiłował przedostać się ze strychu na dach, pan Kleks chwycił go za nogi.

– Mam cię! Zawołał zdyszany. – Mam cię, Alojzy! Nie bój się, nie zrobię ci nic złego! Nie wrywaj się! Alojzy, kochany, to przecież ja, Ambroży.

Ściągnęliśmy Alojzego z dachu. Weronik trzymał go mocno za ręce, a ja za głowę. Pan Kleks wydobyl z przepastnych kieszeni surduta śrubokręt i zręcznie nim manipulując wykręcił zza ucha Alojzego niewielką śrubę.

– Rozregulowałem jego mechanizm ruchu – rzekł ze smutkiem. – Teraz już nie ucieknie.

Alojzy stał sztywno jak lalka i tylko mamrotał monotonnym głosem:

– Nie ucieknie... Nie ucieknie... Ambroży fuszer... Ambroży nadęta purchawka... Ambroży patałach... Ambroży brakorób...

– Uspokój się, Alojzy – rzekłem. – Tu są obcy ludzie... Co sobie pomyślą? Doprawdy nie wypada....

– Uwaga, bo kopnę! – syknął przez zęby Alojzy. Na szczęście jednak nogi miał nieruchome. Pan Kleks przyglądał mu się z powagą, wreszcie skinął na nas.

– Panowie, musimy go zanieść do domu. Czeka nas trudne zadanie.

Weronik bez słowa wziął Alojzego pod pachę i ruszył po schodach na dół.

Wyszliśmy na ulicę. Była głęboka noc. Światła w oknach pogasły, gdzieś tam tylko snuli się jeszcze spóźnieni przechodnie. Jednym z nich okazał się Zyzik. Spojrzał zdziwiony na Alojzego.

– Ciekawe... Przez cały czas chodził na trzech nogach, a teraz ma tylko dwie... Poznaje go. Opowiadał mi, że jego ojciec zamienił się w ptaka... A dzisiaj mówił, że przyjechała jego narzeczona...

– I co dalej? – zawołał pan Lewkonik.

– Co dalej? Prosił mnie, żebym dał mu klucze od Królewskich Ogrodów.

– No i co, i co? – dopytywał się natarczywie pan Lewkonik.

– Podarował mi złoty zegarek, więc dałem mu ten klucz... Obiecał zwrócić go rano.

– Rezeda! Moja Rezeda! – zawołał pan Lewkonik. – Ukrył ją w ogrodach... Panie Adasiu, musimy tam iść! Natychmiast!

Weronik położył Alojzego na trawniku i systematycznie przetrząsnął jego kieszenie. W jednej znalazł mosiężny klucz i podwójną platynową sprężynę. W drugiej wielki okrągły guzik.

– Rozumiem – powiedział Kleks. – Wypadła mu sprężyna prawidłowego myślenia... A może sam ją sobie przez nieostrożność wydlubał... Teraz wszystko jest dla mnie jasne. Adasiu, idź z panem Lewkonikiem do Królewskich Ogrodów szukać Rezedy. Zyzik was zaprowadzi. A my, panie Weroniku, ruszamy do domu.

Weronik podniósł Alojzego, przerzucił go sobie przez ramię i rzekł znacząco:

– Ten guzik już dwa razy widziałem. Ciekawe!

Pan Kleks bez słowa odebrał mu guzik i schował do kieszonki kamizelki.

– Wracajcie z Rezedą! Panie Weroniku, w drogę. Broda czuwa.

Po tych słowach oddalił się wraz ze starym dozorcą, pogwizdując Marsz Ołowianych Żołnierzy, co oznaczało, że przysła mu do głowy jakaś bardzo mądra myśl.

A my trzej, ponaglani przez pana Lewkonika, szybkim krokiem ruszyliśmy w kierunku Królewskich Ogrodów, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa Alojzy ukrył Rezedę.

Wypożyczalnie hulajnóg były już o tej porze nieczynne, a Królewskie Ogrody leżały daleko za miastem. Szliśmy więc bardzo długo i mieliśmy dość czasu, żeby porozmawiać o różnych sprawach.

Zyzik, który tak jak my brał udział w przyjęciu u Kwaternostrza I, poinformował nas, że wprawdzie królowi nic się nie stało, jednak straż królewska poszukuje zamachowca.

– Widziałem tę nogę na własne oczy – mówił Zyzik. – Była wypchana trocinami i kurzym pierzem. I mimo że winowajca posłużył się sztuczną nogą, odpowiada za kopnięcie króla. U nas króla kopać nie wolno. Grozi za to surowa kara.

Przez chwilę maszerowaliśmy w milczeniu. Niepokoił mnie los Alojzego, aczkolwiek Zyzik najwidoczniej nie skojarzył go z osobą zamachowca.

Pan Lewkonik co chwila wybiegał naprzód, ale natychmiast wracał w obawie, żeby nie stracić z nami łączności. Przypomniał mi znajomego pudła, który zachowywał się tak samo, gdy wychodził ze swym panem na spacer.

Księżyc w pełni oświetlał nam drogę i mrugał porozumiewawczo jednym okiem, zupełnie jak pan Kleks, kiedy miał coś mądrego do powiedzenia. Szliśmy szeroką aleją eukaliptusową, a po obu jej stronach ciągnęły się małe farmy kurzy hodowców–chałupników. Tu i ówdzie rozlegało się już pianie kogutów, gdyż jak wiadomo, niektóre z nich cierpią na bezsenność i przystępują do pracy wcześniej, niż należy. Zyzika wprawiło to w stan takiego podniecenia, że raz po raz trzepotał łokciami, bił się rękami po udach i odpowiadał donośnym pianiem jak prawdziwy kogut.

Korzystając z kogucich upodobań Zyzika, pan Lewkonik ujął mnie pod ramię i rzekł poufnie:

– Opowiadałem panu o pobycie na Przylądku Aptekarskim. Teraz muszę do tego powrócić. Otóż poznaliśmy tam Alojzego Bąbla, który w państwie Obojga Farmacji piastował godność Pierwszego Admirała Floty. Na tym stanowisku cieszył się powszechnym uznaniem i uchodził za znakomitego żeglarza. Zresztą profesor Kleks pisał o tym obszernie w swoich dziełach. Admirał okazywał mnie i moim córkom wyjątkowe względy. Oddał do naszej dyspozycji

połowach leczniczych wodorostów, a dziewczętom ofiarował po garści pięknych pereł.

Pewnego dnia wydał na pokładzie okrętu flagowego "Pigularia" wspaniały bal na naszą cześć.

Udzielny Prowizor Pigularz II tańczył w pierwszej parze z moją Hortensją, a w drugiej – pierwszy Admirał Floty z Rezedą. Cóż to był za taniec! Orkiestra morska grała na trąbkach, a Rezeda fruwała w tańcu z lekkością naszego kolibra. Marynarze wdrapali się na maszty, żeby podziwiać moje córki. Jeden z nich tak się zagapił, że spadł z bocianiego gniazda, runął prosto na bęben i odbił

się od niego siedemnaście razy co zabrzmiało jak uroczysty tusz.

Właśnie wtedy, podczas walca pigularnego, Admirał oświadczył się Rezedzie. I proszę sobie wyobrazić, Rezeda zgodziła się zostać żoną Alojzego Bąbla. Kiedy jednak dowiedziałem się, że nie jest on stuprocentowym człowiekiem, postanowiłem zerwać zaręczyny. Rzekłem mu wprost, że Multiflora życzyła sobie, aby córki nasze wyszły za mąż za ogrodników. Tu dopiero Admirał odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Zagroził, że każe mnie wrzucić do morza rekinom na pożarcie, kiedy zaś Rezeda zaczęła płakać powiedział:

– A więc dobrze. Nie zrobię tego. Żal mi rekinów. Ale niech pan pamięta: Rezeda jest moją narzeczoną i nie mam zamiaru jej się wyrzec. Wiem, że jutro odpływa pan z córkami do kraju. Trudno, nie chcę narażać dostojnego Pigularza II na przykrości. Cokolwiek się jednak stanie, odnajdę Rezedę nawet na końcu świata. Nie cierpię, kiedy mi się ktoś sprzeciwia.

Rezeda jest bardzo posłusznym dzieckiem, ale tym razem, wbrew mojej woli, rzuciła się Admirałowi na szyję, wołając jak niegdyś jej matka:

– Tak! Tak! Chcę być twoją żoną! Będę na ciebie czekała. Tylko nie unosz się, nie groź, przeproś ojca! Zrób to, jeśli mnie kochasz!

Wtedy Pierwszy Admirał Floty, ten największy dostojnik Obojga Farmacji, kawaler wielkiej wstęgi Piramidonu z gwiazdą, przyklęknął na jedno kolano i powiedział z pokorą, nie wiem, czy szczerą, czy udaną:

– Kocham Rezedę i niech to będzie poczytane za dowód moich uczuć, że proszę pana o przebaczenie.

Po tych słowach zerwał się jak oparzony, wybiegł z sali i odtąd nie widziałem go aż do dnia dzisiejszego. A teraz? Co teraz się stanie, panie Adasiu? Ten zepsuty automat ma być mężem Rezedy? Co prawda, ludzie również miewają wady i usterki, bywają źli i uparci, nie można polegać na ich uczuciach. Ale są bądź co bądź ludźmi. A ten Alojzy? Tu śrubki, tam sprężynki. Nie, panie Adasiu! To nie jest materiał na zięcia!

– Drogi panie Anemonie – uspokajałem pana Lewkonika – wiem, że pan Kleks dokonał szeregu nowych wynalazków, które uczynią z Alojzego twór doskonały. Dotychczasowe usterki pewnych części mechanizmu umożliwiły Alojzemu wymknięcie się na parę lat spod władzy pana Kleksa. I wtedy stał się rzeczywiście nieobliczalny. Przypuszczam, że podsunął Rezedzie pigułki kochalginy, które sztucznie wzbudziły jej uczucie. Ale jestem przekonany, że sprawa ta przyjmie ostatecznie zupełnie inny obrót.

Pan Lewkonik słuchał z niedowierzaniem, trochę jednak poweselał i chyba na równi ze mną zaniepokoił się o los Alojzego, którego poszukiwali strażnicy, szepnął mi bowiem do ucha:

– Musimy zachować tajemnicę... Na razie nikt nie powinien wiedzieć całej prawdy o Alojzym... Postaram się zaszachować Zyzika tak, żeby trzymał język za zębami.

Po tych słowach przywołał do siebie młodzieńca i rzekł jak gdyby nigdy nic:

– Słuchaj, chłopcze... Nie wiem, czy miałaś prawo dać klucz od Królewskich Ogrodów obcemu człowiekowi... Możesz mieć z tego powodu poważne nieprzyjemności.

Mówiąc to, przyglądał się bacznie Zyzikowi. Chłopiec ogromnie się stropił i wyjąkał po alambajsku:

– Purpełniłem głorpstwur... Nie purmyślałem ur tym... Murgę durstać pur nursie urd urjca.

– Nie martw się – pocieszył go pan Lewkonik. – Nie powiemy o tym nikomu. Ale pod warunkiem, że i ty się nie wygadasz. Głowa do góry. Wszystko, co się tu dziś wydarzyło zachowamy w sekrecie. I zapewniamy cię, że obcy człowiek, któremu dałeś klucz, także nie piśnie o tym ani słowa. Ręka?

– Ręka! – zawołał Zyzik ściskając dłoń pana Lewkonika trzema swymi dłońmi naraz, po czym z radości zapał donośnie.

Przemierzyliśmy już ogromny szmat drogi. Wczesny świt rozjaśnił niebo. Minęliśmy przetwórnię kurzego puchu, stację obsługi hulajnóg, fabrykę ostróg dla kogutów, składnicę grających muszli oraz wytwórnę sztucznych i prawdziwych ogni. W oddali na widnokręgu srebrzyła się wypukła linia morza. Wreszcie ujrzelśmy lśniące w promieniach wschodzącego słońca szklane budowle Królewskich Ogrodów. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, a żyzne pagórki pokryte były gęstwiną traw i osobliwych zwierzokrzewów, jak na przykład muchołapki, kocie łapki i samostrzały, które wyrzucały ostre kolce w przelatujące owady.

Dozorca Ogrodów, który dobrze znał Zyzika, otworzył nam bramę. Zyzik wolał nie korzystać z posiadanego klucza. Dozorcy oświadczył, że jesteśmy gośćmi jego ojca, toteż bez przeszkód mogliśmy przystąpić do poszukiwania Rezedy.

Ogrody ciągnęły się na wielkiej przestrzeni. Rosły tam różne gatunki drzew od pospolitych do najrzadszych, a więc olbrzymie eukaliptusy, sekwoje i baobaby, araukarie i sandaфуły, tulipanowce i korbikundy. Jedno z drzew figowych liczyło ponad pięć tysięcy lat, a było tak rozłożyste, że w jego cieniu, podczas Święta Królewskiego Koguta, mogło schronić się jednocześnie osiem tysięcy osób. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się klomby, kwietniki, i krzewy obsypane kwiatami. Zgromadzone tu były rośliny ze wszystkich stron świata. W oszklonych chłodniach mieściły się północne kwiaty i owoce, a w cieplarniach – najdelikatniejsze rośliny podzwrotnikowe, wrażliwe na lekki nawet podmuch wiatru.

Zagląдалиśmy kolejno do wszystkich pomieszczeń, do każdej oranżerii, szklarni, chłodni, a

także do przetwórnii owocu gungo:

Pan Lewkonik przeskakiwał jak piłka przez klomby i rowy nawadniające. Jednak wszystkie nasze poszukiwania były nadaremne.

Nagle na moim ramieniu usiadł Tri–Tri, który odnalazł mnie nawet tutaj. Ogromnie się ucieszył i z radości czyścił zapamiętałe dziobek o moje ucho. Ćwierknął przy tym, że obleciał cały ogród i widział coś bardzo ciekawego, ale już zapomniał, co to było.

Postanowiłem tedy z większą jeszcze uwagą rozejrzeć się dokoła. I właśnie wtedy spostrzegłem niewielką szklaną kopułę, ukrytą między krzakami oleandrów.

Skinąłem na pana Lewkonika i razem podążyliśmy w kierunku kopuły. Zanim zdążyłem zajrzeć do wnętrza, hodowca róż wykrzyknął z tryumfem:

– Jest! Jest moja córeczka! Niech pan spojrzy!

Tym okrzykiem można było obudzić umarłego, ale Rezeda nawet nie drgnęła. Spała spokojnie w oszklonej chłodni na posłaniu z płatków róż, oddychała miarowo, a na jej twarzy błąkał się łagodny uśmiech.

Zamierzałem nacisnąć dźwignię, żeby unieść kopułę, ale pan Lewkonik powstrzymał moją rękę:

– Zostawmy ją... Niech śpi. Nie trzeba jej budzić. Ona nie lubi wstawać tak wcześnie.

Staliśmy więc pewien czas, przyglądając się śpiącej Rezedzie. Była tak ślicznie zaróżowiona, że na jej widok serce załomotało mi w piersi. Zyzik oświadczył, że musi wracać do domu, aby niepostrzeżenie położyć na miejsce klucz, który zabrał bez wiedzy ojca i w podskokach pobiegł ku wyjściu. Wobec tego zaproponowałem panu Lewkonikowi przechadzkę po ogrodach.

Postanowiliśmy wrócić po Rezedę za godzinę.

Tri–Tri w chmarze innych ptaków uganiał się za muszkami i nawet jedną z nich, na dowód szczególnej sympatii, próbował wsunąć mi do ust.

Teraz dopiero pan Lewkonik ze znanstwem wytrawnego hodowcy kwiatów zajął się zwiedzaniem ogrodów. Nieomylnie rozpoznawał najrzadsze rośliny, nawet takie, które właściwie nie istnieją i znane są tylko z bajek. Głaskał pnie drzew, spryskiwał kwiaty odżywczym płynem, żeby wywołać ich natychmiastowe kwitnienie, a w chłodniach delektował się zapachem róż i lewkonii, co zapewne przypominało mu Multiflorę.

Tymczasem słońce zaczęło przygrzewać i w Ogrodach zjawili się królewscy ogrodnicy. Byli to ludzie niezwykle wykształceni. Pan Lewkonik ogromnie się ożywił. Chodziło mu niby to o wymianę

wzajemnych doświadczeń, o ustalenie nazw niektórych roślin, ale w gruncie rzeczy interesowali go ogrodnicy jako przyszli zięciowie. Przyglądał im się uważnie, mierzył od stóp do głów okiem znawcy. Ostatecznie wytypował pięciu i zaprosił ich na wieczór do pałacu Limpotrona.

Orodnicy istotnie byli piękni i postawni, a przy tym pełni prostoty i godności. Multiflora miała rację, gdy twierdziła, że obcowanie ze światem roślinnym uszlachetnia ludzi.

Pan Lewkonik opowiadał ogrodnikom o swoich córkach, skorzystał też z okazji, żeby stosownie do okoliczności zacytować wiersz Piwonii:

Drzewo pniewo bryzg podlewo
Siedem owoc słońce w lewo
Orodnicy woda ciec Gruszki
uszki zima jedz.

Hodowca róż nie omieszkał opowiedzieć treści wiersza własnymi słowami. Oto jego sens: pień drzewa, gdy pojawi się na nim owoc, należy podlewać o siódmej po zachodzie słońca. Orodnicy, którzy nie żałują wody, jedzą w zimie gruszki, aż im się uszy trzęsą.

Wśród ogrodników szczególnie piękni i rośli byli dwaj bracia bliźniacy: Bulpo i Pulbo. Po alamakotańsku imiona te brzmią oczywiście Bolpur i Polbur. Otóż po wysłuchaniu utworu Piwonii Bulpo stanął na środkowej nodze, zamachnął się nogami zewnętrznymi i zaczął wirować z szybkością centryfugi. Przez chwilę widać było tylko przejrzyste kołujące kręgi i pasma. Myślałem początkowo, że Bulpo zwariował. Nie było jednak tak źle. Po prostu oszołomiony treścią wierszyka, Bulpo dostał zawrotu głowy, co pan Lewkonik przyjął za dowód uznania dla talentu Piwonii.

Po rozmowie z ogrodnikami zwiedziliśmy plantację jadalnych motyli oraz szkółkę drzew laktusowych, gdzie wypiliśmy po szklance orzeźwiającego soku. Następnie pan Lewkonik poszedł jeszcze obejrzeć podziemną przechowalnię nasion.

Gdy wrócił, rzekł spojrzawszy na zegarek:

– Czas już zbudzić Rezedę. Jest siódma. Zdążymy do domu na śniadanie. Chodźmy, panie Adasiu.

Czułem ogromne zmęczenie po nie przespanej nocy, ale mimo to raźnie ruszyłem za panem Lewkonikiem.

Szliśmy szybkim krokiem i po kwadransie ujrzeliśmy krzaki oleandrów, a wśród nich ukrytą szklaną kopułę.

Zbliżyliśmy się do chłodni. Pan Lewkonik zajrzał przez szybę do środka i z jękiem chwycił się za głowę.

Chłodnia była pusta.

PAN KLEKS DZIAŁA

"Sprawa Rezedy. Multiflora. Alojzy Bąbel. Repatriacja Bajdotów. Wszystko to wymaga jeszcze załatwienia. Na razie więc pan Kleks nie będzie chciał opuścić Alamakoty. Trzeba czekać. Bez pana Kleksa wyjechać nie mogę, gdyż tylko on potrafi dopomóc mi w odnalezieniu rodziców. Czas ucieka. Mój biedny ojciec fruwa gdzieś po borach, lasach, narażony na nieustanne niebezpieczeństwo, a ja muszę beczynn timer siedzieć w Alamakocie i czekać na pana Kleksa."

Tak sobie. rozmyślałem, gdy po opuszczeniu Królewskich Ogrodów na wypożyczonych hulajnogach pędziliśmy w kierunku miasta. Pan Lewkonik mknął jak rakieta i tylko od czasu do czasu wołał nie oglądając się:

– Gazu! Nie zwalniać! Prawa wolna! Resorować w kolanie! Uwaga, zakręt!

Motorki hulajnóg jęczały i wyły, a przydrożne drzewa migwały jak w przyspieszonym filmie. Tri-Tri szybował nad nami, co jakiś czas siadał mi na ramieniu i podawał w kilometrach pozostałą jeszcze do przebycia odległość. Był jednak z natury bardzo roztrzepany, toteż informacje jego wyglądały mniej więcej tak:

– Siedem... Trzy... Pięć... Siedem... Dwa... Cztery...

A pan Lewkonik zdyszczanym głosem:

– Nie zwalniać! Jesteśmy na prostej! Pełny gaz!

Po godzinie tej szalonej jazdy dotarliśmy wreszcie na miejsce. Trzy córki pana Lewkonika jeszcze spały, Tylko Hortensja krzątała się po pracowni hydrometeorologicznej. Weronik pióropuszem z kogucich ogonów odkurzał barometry i termometry, drugą zaś ręką przecierał szyby okienne oraz meble, a równocześnie posuwając się na suknach, froterował podłogę. Tak się zapamiętał w swojej pracy, że gdy stanęliśmy w drzwiach, omiółł nam kilkakrotnie twarze kogucią miotełką. Dopiero po chwili spostrzegł się, że nie jesteśmy sprzętami, położył palec do ust i rzekł tajemniczym szeptem:

– Pssst... Pan profesor zamknął się na klucz... Nie wpuszcza nikogo... Zaraz podam śniadanie.

Byliśmy zmęczeni i głodni, więc z apetytem wypiliśmy po szklance gorącego soku laktusowego i zjedliśmy jajka na twardo, które przydzielano wysokim dygnitarzom oraz zagranicznym gościom.

Rozmawialiśmy między sobą szeptem, żeby nie przeszkadzać panu Kleksowi. Jedyne Hortensja głośno szczebiotała nie zwracając uwagi na psykanie Weronika. Hortensja w istocie rzeczy rozmawiała sama z sobą, a raczej głośno myślała. Właśnie teraz wygłaszała swój monolog wewnętrzny:

– Wrócili bez Rezedy... Widocznie jej nie znaleźli. Ojciec się nie odzywa, a pan Niezgódka zagląda przez dziurkę od klucza do pokoju profesora. Wszyscy ludzie są bardzo dziwni. Ojciec twierdzi, że gdy ktoś chce ukryć swoją głupotę, to powinien jak najmniej mówić. A ja nie mam nic do ukrywania. Mówię to, co myślę, a myślę to, co mówię.

Nikt z nas nie zwracał uwagi na paplaninę Hortensji, a ja również słuchałem jej tylko jednym uchem, ponieważ drogim łowiłem odgłosy dochodzące z pokoju pana Kleksa. Hortensja miała nadto osobliwy zwyczaj zadawania pytań, nie interesując się w najmniejszym stopniu odpowiedzią, gdyż natychmiast odpowiadała sobie sama.

Tym razem zwróciła się do Weronika:

– Proszę pana, dlaczego pan, zajmując zaszczytne stanowisko dozorca domowego, opuścił kraj i przyjechał do Alamakoty? Powie pan, że należy korzystać z doświadczeń innych narodów. Słusznie.

Z tym wszystkim Hortensja była dosyć męcząca. Miała jednak tyle wdzięku, że traktowaliśmy jej gadatliwość z wielką wyrozumiałością.

Zabierała się właśnie do wygłoszenia nowego monologu wewnętrznego, gdy rozległo się pukanie do drzwi i zjawił się nasz gospodarz, ministron Limpotron. Jako były sternik bajdockiego statku zachował krzepki wygląd i tubalny głos.

– Rany koguta! – zawołał spojrzawszy na Weronika. – Coś podobnego! Mój pióropusz, moje trofeum służy do odkurzania mebli! Skandal! Ten ogon zdobyłem przed trzema laty w walkach kogutów. Na dwunastu zawodników mój kogut zwyciężył. A pan robi z trofeum miotełkę do kurzu?!

Weronik stał z miną sztubaka przychwyconego ze ściągaczką w ręce. Usiłował schować za siebie pióropusz, a równocześnie bełkotał bez sensu:

– Panie ministronie... Tu nie ma żadnego koguta!.... To jakieś nieporozumienie... Panna Hortensja chciała zobaczyć, czy jej w tym do twarzy... Czyżbym śmiał okurzać pannę Hortensję?... Dobra pogoda, panie ministronie! Barometr idzie na niż... Koguty nisko latają... Któż by odważył się ruszać kogucie ogony...

Limpotron, udobruchany nieco, zawołał marynarskim basem:

– Dobrze już, dobrze! Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, a gościowi na rękę. Mądra sentencja! I w dodatku sam ją niechcący wymyśliłem. Żebym tylko nie zapomniał wpisać jej do księgi złotych myśli. Każdy ministron prowadzi taką księgę, a na Nowy Rok odbywa się publiczne czytanie na posiedzeniu Rady Tronowej. Bez złotych myśli nie ma dobrych rządów, moi państwo!

Te ostatnie słowa Limpotron wypowiedział tak głośno, że nagle z trzaskiem tworzyły się drzwi od pokoju pana Kleksa i ukazał się w nich nasz uczonec, w długich kalesonach i w surducie

zarzuconym na jedno ramię. Brodę miał rozczochraną, oczy zaczerwienione. Powiódł wzrokiem po sali i rzekł z wymówką:

– Prosiłem, prawda? Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Muszę skupić myśli do stanu najwyższego napięcia. Hortensja gada monotonnie, ale nie za głośno. To nawet pomaga w pracy. O, Limpo! Co powiesz, przyjacielu?

Ministron nieznacznie się skrzywił, gdyż ludzie na jego stanowisku nie lubią poufałości, ale zanadto szanował pana Kleksa, żeby dać to po sobie poznać. Rzekł więc uprzejmie:

– Jego Królewska Mość Kwaternoster I zaprasza całe towarzystwo na lody laktusowe z daktylami. Przyjęcie odbędzie się w pałacowym ogrodzie o godzinie dwunastej trzydzieści.

– Brawo! – zawołał pan Kleks. – przepadam za lodami! Zamawiam dla siebie trzy porcje!

Mówiąc to pomachał przyjaźnie ręką Limpotronowi, po czym wrócił do swego pokoju. Po chwili jednak uchylił drzwi.

– Adasiu – powiedział – chodź do mnie... Jesteś mi potrzebny!

Na to tylko czekałem. Skoczyłem do pokoju pana Kleksa, a on zamknął drzwi na klucz, stanął na jednej nodze i oświadczył uroczyście:

– Dzisiejszy dzień przejdzie do historii ludzkości. Zapamiętaj dobrze tę datę. Doprowadziłem moje wiekopomne dzieło do stanu doskonałości. Alojzy Bąbel nie różni się już niczym od prawdziwego człowieka. O, proszę!

Alojzy siedział na parapecie okna i pałaszował jajecznicę ze szczypiorkiem, a jego kanciasta i martwa zazwyczaj twarz nabrała rumieńców i wyrazu. Na mój widok Alojzy przyjaźnie uśmiechnął się, cmoknął ustami w moim kierunku, jakby mi posyłał całusa, i powiedział filuternie:

– Wieki nie widzieliśmy się, Adasiu, co? Trzy lata za karę przeleżałem rozmontowany w walizce pana Kleksa, trzy lata podróżowałem po świecie, wcielając się w różne postacie, trzy lata byłem Pierwszym Admiralem Floty na służbie u Pigularza II, od roku płatałem figle panu Kleksowi. Ale od dziś rozpoczynam normalne życie. Mam nadzieję, że więcej nie zrobię wam wstydu. Szare komórki, które są sprężyną prawidłowego myślenia, działają z idealną sprawnością. No, co tak patrzysz? Pierwszy raz widzisz prawdziwego człowieka?

– Brawo, Alojzy! – zawołał z aprobatą pan Kleks. – Muszę ci, Adasiu, powiedzieć, że kiedy mu wsączyłem do głowy olej Poczciwości i Posłuszeństwa, czyli olej P+P, uważałem dzieło za ukończone. Nie wziąłem jednak pod uwagę, że poszczególne elementy mechanizmu nie są dostatecznie zabezpieczone w rezultacie Alojzy pogubił kilka detali i stał się zdezelowanym automatem. Ale w ciągu ostatnich lat udało mi się dokonać wynalazku niezwykłej wagi. Przy pomocy

nader skomplikowanych zabiegów chemicznych uzyskałem tworzywo całkowicie zbliżone do ludzkiej skóry, a następnie poddałem je działaniu promieni omega. Skóra się przyjęła i powlokła całą postać Alojzego. Osłona mechanizmu jest teraz niezawodna. Żadna sprężyna, żadna śrubka nie może wypaść!

Słuchałem słów pana Kleksa pełen podziwu dla jego genialnego umysłu. Na stole, gdzie przedtem leżała mapa z wykresami pogody, piętrzyły się skomplikowane instrumenty, retorty, miniaturowe aparaty promieniotwórcze, Całe naukowe laboratorium pana Kleksa, które nosił przy sobie w swoich przepaścistych kieszeniach. Był to nie lada bagaż, skoro nawet z zapasowych kieszeni w kalesonach wystawały metalowe części przyrządów do skrawania i łączenia skóry oraz szpryce napełnione cielistym barwnikiem.

Na życzenie pana Kleksa Alojzy popisywał się przede mną sprawnością umysłu i mięśni. Posiadał nieprzebrane zasoby wiadomości i śmiało mógł uchodzić za żywą encyklopedię. Omawiając szczegóły swojej konstrukcji powiedział:

– Wiesz, Adasiu, skóra ludzka jest najwspanialszym tworzywem. Nic nie może się z nią równać. Reaguje na dotyk, posiada elastyczność, jest nieprzemakalna, odporna na wahania temperatury, miękka, gładka. Ostatecznie sztuczne serce czy sztuczne płuca potrafi zмайstrować pierwszy lepszy student medycyny. To żadna filozofia. Ale na to, by z pospolitych składników uzyskać żywą skórę ludzką, trzeba być Ambrożym Kleksem, wielkim Ambrożym Kleksem.

Uczony, słysząc te pochwały, spuścił skromnie oczy i ruchem pełnym godności podciągnął kalesony, po czym zabrał się do wkładania spodni.

– Słuchaj, Alojzy – rzekł po chwili namysłu. – Cieszę się, że król zaprosił nas do siebie. Mam z nim parę spraw do omówienia. Przede wszystkim jednak pragnę zaprezentować cię. Nie przez małostkową próżność, możesz być pewny. Byłoby to niegodne uczonego. Muszę jednak prosić króla, aby ci wybaczył twoje nedorzeczne zachowanie z przyprawioną nogą, W przeciwnym bowiem razie królewska straż schwyta cię i uwięzi.

– Mnie? Cha–cha–cha! – roześmiał się Alojzy. – Mogę jedną ręką podrzucić sześciu mężczyzn na wysokość drzewa. Ale ma pan rację, panie profesorze. Prawdziwi ludzie nie powinni załatwiać spraw przy użyciu siły.

Pan Kleks tymczasem zapiął guziki kamizelki, włożył surdut, wreszcie palcami obu dłoni rozczesał sobie brodę. Następnie wyjął z kieszeni srebrne puzderko, w którym przechowywał swoje słynne wzmacniające pigułki. Jedną dał mnie, a drugą zażył sam. Poczuliśmy się od razu rześcy i wypoczęci.

– Jesteśmy gotowi – rzekł pan Kleks do Alojzego. – Wróćmy teraz do reszty towarzystwa. Mam nadzieję, że nie potrzebuję ci udzielać żadnych wskazówek. Wsączyłem do twego mózgu całą zawartość mojej skarbonki pamięci. Wiesz tyle samo co ja. Idziemy. Proszę za mną.

W sąsiedniej sali zastaliśmy Weronika i hodowcę róż oraz jego cztery córki. Na nasz widok pan Lewkonik z przejęcia pocisnął brodawkę na nosie, Weronik dostał czkawki, a cztery panny grzecznie dygnęły na powitanie.

Pan Kleks lewą rękę oparł na biodrze, drugą wyciągnął przed siebie i rzekł:

– Moi państwo, pozwólcie, że wam przedstawię: pan Alojzy Bąbel, mój uczeń i wychowanek, absolwent Instytutu Spraw Zmyślonych.

– Panie profesorze – wtrącił hodowca róż – przecież myśmy się już z panem Bąblem poznali w krainie Obojga Farmacji. Któż by nie pamiętał Pierwszego Admirala Floty, kawalera wielkiej wstęgi piramidonu z gwiazdą. Moja córka Rezeda...

– Drogi panie Anemonie – przerwał pan Kleks – ludzie nauki wiedzą, że przeszłość każdego człowieka zmienia się w miarę potrzeby, a nieraz ulega nawet zapomnieniu. Pan Alojzy Bąbel stał się zupełnie kim innym i liczy się tylko to, co przed chwilą o nim powiedziałem.

– O, ja się nie zgadzam – zaprotestował Weronik. – Pracuję uczciwie pięćdziesiąt lat jako dozorca dyplomowany, lokatorzy obiecali wyprawić mi jubileusz i nie chcę zamienić mojej przeszłości na inną.

– A co będzie z Rezedą? – zawołała Dalia i kichnęła siedem razy z rzędu. Zapomniałem bowiem powiedzieć, że Dalia cierpiała na katar dzienny, który zaczynał się o świcie, a ustawał tuż po zachodzie słońca.

– O ile mi wiadomo – wtrącił się Alojzy – panna Rezeda przebywała ostatnio w Królewskich Ogrodach.

– Nie ma jej tam – rzekł ze smutkiem hodowca róż. – Ktoś porwał mi ją sprzed nosa i uprowadził nie wiadomo dokąd. Niegodziwi ludzie bawią się moim dzieckiem jak piłką.

– Jeden–jeden – zauważył znacząco Alojzy. Natomiast pan Kleks podniósł palec do góry i rzekł:

– Panną Rezedą zajmę się we właściwym czasie. Przecież już mówiłem, że pośpiech to wróg rozsądku.

– Muszę wiedzieć gdzie jest Rezeda! – zniecierpliwił się pan Lewkonik. – Dostyc mam tej niepewności.

Sytuacja stawała się naprężona, Alojzy jednak szybko ją rozładował.

– Przecież jesteśmy zaproszeni do króla na lody! Niech żyje król! – zawołał wesoło.

– Masz rację Alojzy – stwierdził pan Kleks. – Minęło już południe. Najwyższy czas przerwać jałowe rozmowy, no i bezustanne kichanie. Król czeka. Ja pójde przodem, a wy parami za mną. Panna Rezeda się znajdzie, możecie być spokojni. Broda czuwa. Proszę, ruszamy. Pan Lewkonik podaje ramię panie Róży, pan Weronik prowadzi pannę Dalię, Adaś pannę Hortensję. Tak, dobrze. A na końcu – Alojzy z panną Piwonią.

Domyślacie się zapewne, że Piwonia nie omieszkała przy okazji ułożyć krótkiego wierszyka:

Broda loda dobra chłoda Bąbel wrąbel zdrów nie szkoda.

Nauczyłem się już rozwiązywać te rymowane łamigłówki, zrozumiałem więc od razu, co Piwonia chciała powiedzieć w swoim dwuwierszu. Chodziło jej o to, że człowiekowi z brodą, czyli panu Kleksowi, zjedzenie dodatkowej porcji lodów grozi przeziębieniem, natomiast Alojzy może ich "wrąbać" bardzo dużo bez szkody dla zdrowia.

Zająłem się tutaj wierszykiem Piwonii, a tymczasem po wyjściu z domu czekała nas przykra niespodzianka. Na placu A–B zebrała się grupka Alamakotańczyków, wśród których rozpoznałem kilku dozorców z Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Byli bardzo wzburzeni, rozprawiali między sobą, a gdy ujrzeli Alojzego, jeden z nich zawołał:

– To ten!

– O co chodzi? – zapytał pan Kleks.

Najstarszy z dozorców zbliżył się do nas i oświadczył wskazując na Alojzego:

– Poznaję go! Pracował w Rezerwacie. Wczoraj nagle się ulotnił. A dzisiaj rano stwierdziliśmy kradzież dwustu siedemnastu rubinów. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

– Panowie! – rzekł spokojnie Alojzy. – Niesłusznie mnie posądzacie. Proszę, sami możecie się przekonać.

Mówiąc to wywrócił jedną po drugiej wszystkie swoje kieszenie. Nic w nich oczywiście nie miał, nawet chustki do nosa, gdyż doskonałość jego konstrukcji wykluczała możliwość kataru.

Dozorca przyglądał się Alojzemu ze zdumieniem, jako że nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, którego kieszenie byłyby całkowicie próżne. Nawet dzieci trzymają w nich mnóstwo rozmaitych cennych drobiazgów, jak notesiki, scyzoryki, pudełeczka, znaczki pocztowe, stalówki, sznurki, kamyki, muszelki czy kostki cukru. Natomiast Alojzy nie posiadał dosłownie nic, ponieważ dopiero od kilku godzin stał się prawdziwym człowiekiem.

Dozorca przestał więc interesować się jego osobą, za to z większą jeszcze podejrzliwością spojrział na Weronika, a potem na pana Lewkonika i na mnie. Pan Kleks wyglądał tak dostojnie, że

był poza wszelkimi podejrzeniami, chociaż miał trzydzieści kieszeni, nie licząc dwóch zapasowych w kalesonach.

Grupa Alamakotańczyków przez ten czas znacznie się powiększyła i otoczyła nas ze wszystkich stron.

– Proszę nas puścić – rzekł pan Kleks. – Jesteśmy gośćmi króla i właśnie idziemy do niego na lody.

Ale Weronik przez zawodową solidarność wystąpił w obronie dozorców:

– Panie profesorze, ja na ich miejscu zrobiłbym to samo. Złodziej kradnie, a dozorca odpowiada.

Po tych słowach wyrócił kolejno kieszenie i pokazał ich zawartość. Pan Lewkonik ociągał się przez chwilę, w końcu jednak machnął ręką i rzekł:

– Trzeba prędzej z tym skończyć. Szkoda czasu. Proszę, patrzcie!. Jedna kieszeń... druga... trzecia... czwarta... I tu jeszcze piąta... To są nasiona kwiatów, to płyn odżywczy, a to fotografie rodzinne... W porządku?

Z niesmakiem przyglądałem się tej scenie, ale wobec zachowania Weronika i hodowcy nie pozostało mi nic innego jak pójść w ich ślady. Zacząłem więc od zewnętrznej kieszeni marynarki. Zagłębiłem w niej rękę i pod palcami poczułem coś sykiego, w rodzaju kaszy. Wyciągnąłem kieszeń na zewnątrz i osłupiałem. Na ziemię, posypały się rubiny.

Możecie sobie wyobrazić zarówno moje zmieszanie, jak i wzburzenie tłumu. Dwaj dozorczy chwycili mnie za ręce, pozostali zaś rozbiegli się po placu, wzywając strażników miejskich. Doleciały mnie okrzyki Alamakotańczyków. Jeden z nich zawołał:

– Złurdziej! Na patelnię złurdzieja!

Ktoś inny mu wtórował:

– Rzorcić draba kurgorturm na pordziurbanie!

Pan Kleks mówił coś wymachując rękami, ale nikt go nie słyszał.

W tym momencie z dachu sfrunął nagle Tri-Tri, usiadł mi na ramieniu i z jego przepelnionego dziobka na oczach wszystkich posypały się do mojej kieszeni rubiny. Sytuacja od razu stała się jasna.

Poczułem żal do kolibra. Dałem mu prztyczka w dziób, opróżniłem kieszeń z nowej porcji rubinów i oświadczyłem dozorcóm z godnością:

– Jak widzicie, nie mam z tym nic wspólnego. Nie potrzebuję waszych rubinów i nie lękam się waszych kogutów. Idę na lody do króla. To wszystko.

Pan Kleks, wzruszony moimi słowami, otarł łzę, dumnie wysunął brodę do przodu i rzekł:

– Oto postawa godna uczonego!

Dalia kichnęła jedenaście razy, co w znacznym stopniu złagodziło rozdrażnienie dozorców. Jeszcze półgłosem szemrali i naradzali się między sobą, ale na szczęście nadbiegł zdyszany ministron Pogody i Czterech Wiatrów, wołając już z daleka:

– Panie, panowie! To nie wypada! Król czeka już od pół godziny, ministron Dworu szaleje. Tak nie można!

Pan Kleks w kilku słowach opowiedział Limpotronowi o naszej przygodzie.

– Nie uszanowaliście królewskich gości – skarcił Limpotron dozorców. – Za niewłaściwe podejście do sprawy każę wam zmniejszyć premię. Zamiast pięciu jajek na głowę dostaniecie po trzy. To oduczy was bezduszności.

ALOJZY BĄBEL

Dzień był wyjątkowo upalny. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ludzie, że użyję tu określenia Alamakotańczyków, smażyli się jak jajka na patelni. Owoce gungo wskutek skwaru pękały na drzewach z głośnym trzaskiem niczym petardy. Z pana Lewkonika pot spływał ciurkiem, pozostawiając na chodniku przy każdym stąpieniu mokre plamy. Wszystkie okna zasłonięte były żaluzjami, ulice opustoszały i tylko dzieci bawiły się na golasa w "jajko do dołka" i w "alamberka".

Pan Kleks nie odczuwał upału, chociaż miał na sobie jak zwykle ciepłą bieliznę, kamizelkę, surdut i sztywny kołnierzyk. Pewnego dnia wyznał mi poufnie:

– Kto ma olej w głowie, ten się nie poci. Panuję nad moimi gruczołami. Wytwarzam w sobie własną klimatyzację. Posiadam samoczynny regulator temperatury. A wszystko mieści się tu!

Przy tych słowach uderzył się dłonią w czoło.

Tak, to był wspaniały umysł!

Zresztą o geniuszu pana Kleksa mógł naocznie przekonać się każdy, kto kiedykolwiek miał okazję zetknąć się z Alojzym Bąblem.

Dzieło to było wykonane z taką precyzją, że w ten upalny dzień, kiedy szliśmy na lody do króla, z czoła Alojzego spływały strużki prawdziwego potu. Pan Kleks nie zapomniał o najdrobniejszym szczególe. Wystarczy powiedzieć, że Alojzy, chociaż jego sztuczny organizm nie wymagał snu, sypiał jak każdy śmiertelnik, z zamkniętymi oczami, i w dodatku głośno chrapał.

Wróćmy jednak do naszej opowieści, gdyż Limpotron czeka i bardzo się niecierpliwi.

Z półgodzinnym spóźnieniem zjawiliśmy się w pałacowym ogrodzie. Przy wejściu powitał nas ministron Dworu, Trąbatron.

Nie potrafiłbym opisać tego ogrodu. Jeśli czytaliście o czymś podobnym w bajkach z Tysiąca i Jednej Nocy, możecie mieć zaledwie nikłe wyobrażenie o przepychu, jaki ukazał się naszym oczom, o feeri barw, o fantastycznej architekturze kwietników i klombów, o aromacie, którego nie sposób wyrazić słowami. Poprzedniego dnia oglądaliśmy z panem Lewkonikiem dzieło uczonych ogrodników, ale ten ogród był dziełem artysty.

Pośrodku znajdowało się nieduże jezioro, w którym pluskały się ryby–fontanny strzelające w górę strugami złota i srebra. Na powierzchni jeziora kołysał się model bajdockiego statku "Apolinary Mrk", wykonany z samogrających pozytywek. Wśród drzew stały cieniste altany, po których pięły się nieznane kwiaty o płatkach trzepoczących jak motyle. Co godzina zmieniały one kolory, wydając przy tym dźwięk szklanych dzwoneczków. Nawet pan Lewkonik czegoś podobnego dotychczas nie widział.

Król Kwaternoster I przyjął nas w altanie rządowej, oplecionej kwiatami w barwach narodowych. Dwie smagłe służebnice wachlowały go palmowymi liśćmi. Obok króla stał pusty fotel, przeznaczony dla przyszłej królowej. Kwaternoster I jak dotąd, nie znalazł odpowiedniej dla siebie żony i wskutek tego nie miał następcy tronu co bardzo martwiło jego poddanych.

Król trzymał na kolanach Królewskiego Koguta, którego pieszczotliwie głaskał, tak jak u nas głaszczę się ulubionego kota. Był to okaz niezwykły. Miał podwójny grzebień i ogon wyjątkowej piękności. Tytuł Królewskiego Koguta nadawano zwycięzcy w dorocznych konkursach piania. Ten, którego król trzymał na kolanach, zapał trzydzieści siedem razy z rzędu, pobił wszystkie dotychczasowe rekordy i zdobył nagrodę państwową pierwszego stopnia.

Przyjęcie u króla miało charakter prywatny, a więc prócz nas było tylko jeszcze kilku ministronów z żonami.

Pan Kleks przeprosił króla za spóźnienie, my natomiast złożyliśmy głęboki ukłon, przy czym panny Lewkonikówny wytwornie dygnęły. Pan Kleks przedstawił Alojzego jako swojego ucznia i dodał:

– Jest to młodzieniec nader osobliwy. Pozwolisz, królu, że ci o nim później opowiem.

Kwaternoster I przyglądał się Alojzemu z wielką uwagą, jak gdyby usiłował coś sobie przypomnieć. Wreszcie rzekł:

– Przysięgnę, że już go gdzieś widziałem... Zresztą mniejsza o to... Trąbatronie – zawołał zwracając się do ministra Dworu – zajmij się gośćmi i każ podać lody!

Podczas tej krótkiej rozmowy Weronik wyciągnął z kieszeni flanelową szmatkę i dyskretnie wytarł z kurzu fotel przyszłej królowej.

Z pałacu wybiegło dwunastu paziów niosąc na srebrnych tacach lody i napoje.

Minstronowie zaprosili panny Lewkonikówny do altanek, gdyż słońce przypiekało coraz mocniej. Pan Lewkonik z galanterią towarzyszył premierowej Tronodentronowej i ministronowej Fajatronowej, zaś Weronik zabawiał pozostałe panie opowiadaniem o własnej metodzie sprzątania klatek schodowych.

Pan Kleks poprosił króla o rozmowę, dając równocześnie znak mnie i Alojzemu, byśmy zostali przy nim.

– Królu – rzekł, gdy reszta towarzystwa rozproszyła się po ogrodzie – oto człowiek, który kopnął cię wczoraj swoją sztuczną nogą!

– Co? To on?! – zawołał król. – Natychmiast każę go aresztować i zamknąć w kurniku.

– Nie uczynisz tego. królu – powiedział spokojnie wielki uczonec. – Nie uczynisz tego, skoro dowiesz się, że Alojzy Bąbel to arcydzieło techniki stworzone przeze mnie, wiekopomny wynalazek naszych czasów, największe osiągnięcie ludzkiego umysłu. Alojzy, zbliż się do króla!

Alojzy posłusznie wykonał polecenie. Kwatermistrz I podejrzliwie oglądał go ze wszystkich stron, pociągnął go za nos, potem za ucho. Nagle zerwał się z fotela i zawołał:

– Teraz go poznaję! Na nic się nie zdadzą te opowiadki. Przecież to on wyłowił nas z morza, kiedy płynęliśmy w beczce, i wziął na pokład swego statku. A potem czterem naszym marynarzom dał pastylki odmładzające i sprowadził ich do stanu niemowlęctwa. Pamiętam tego Pierwszego Admirala Floty! Niemało zalał mi sadła za skórę! Ja go...

– Królu – przerwał pan Kleks – dopiero dzisiejszego ranka usunąłem drobne usterki konstrukcyjne mojego dzieła. Dotychczas Alojzy istotnie zachowywał się niesfornie. Ale od dzisiaj stał się doskonałością. Powtarzam: do-sko-na-łoś-cią! Wszystko funkcjonuje bezbłędnie.

Profesorze – odparł król siadając ponownie na swoim fotelu – nie mogę uwierzyć, że ten osobnik jest rzeczywiście automatem. To taki sam człowiek jak my dwaj!

Pan Kleks z tryumfującą miną pogłaskał się po brodzie, wziął Alojzego za rękę i podszedł z nim do Kwatermistrza I.

– Trudno w to uwierzyć, nie przeczę – powiedział z godnością. – Wykonanie Alojzego jest niezwykle precyzyjne, a poprzez skórę nie sposób wyrobić sobie wyobrażenia o jego wewnętrznej konstrukcji. Ale tędy można zajrzeć... O, proszę.

Mówiąc to wyjął z kieszeni elektronową, a właściwie elektronajnowszą mikrokosmiczną lupę i zbliżył ją do źrenicy Alojzego. Król nieufnie zmrużył jedno oko, podczas gdy drugie przytknął do okularu lupy i zaniemówił z wrażenia. Po chwili jednak, nie odrywając wzroku od obrazu, który zobaczył, zaczął wykrzykiwać:

– Nieprawdopodobne! Zdumiewające! Widzę srebrne punkciki... Tysiące srebrnych punkcików... Tak!... To kółka! Obracają się... Co za mechanizm!... Teraz przesuwiają się zadrukowane tasiemki... O, światełka!... Zapalają się i gasną... Cudowne!... A to co?... Ojej!... Widzę szare komórki!... Nie!... To miniaturowe ekraniki... Odbijają się w nich myśli Alojzego... Widzę tam siebie... Widocznie Alojzy pomyślał o mnie... Wprost nie do wiary... Co za ruch... Co za precyzja... Genialne!... Nareszcie wiem, jak wygląda mózg elektronowy!...

Pan Kleks przerwał pokaz i schował lupę do kieszeni.

W tym momencie zbliżył się Limpotron, za nim paż z tacą świeżych lodów. Król stosownie do ceremoniału skosztował z każdej porcji po łyżeczkę, a my spałaszowaliśmy resztę, gdyż było piekielnie gorąco. Limpotron w obawie, że mogą spotkać nas przykrości ze strony strażników

miejskich, opowiedział królowi historię z rubinami.

Kwaternostra I ubawiła nasza przygoda. Zapominając o swej monarszej godności, roześmiał się rubasznie, po marynarsku, i rzekł do mnie:

– A to pyszny kawał! Nieźle pana ten ptaszek urządził, niech go kura kopnie! Chciałbym mieć takiego kolibra w swoim ogrodzie!

Ledwo król wyrzekł te słowa, gdy z drzewa sandałowego sfrunął Tri–Tri, usiadł mu na głowie i kilkakrotnie stuknął dziobkiem w królewski nos.

– Co to? Nowy zamach! – krzyknął król. – Limpotronie, złap go natychmiast! – Trzymać! Łapać!

A tymczasem Tri–Tri szybował beztrąsko nad ich głowami, aż w końcu usiadł na stateczku "Apolinary Mrk" zakotwiczonym pośrodku jeziora. Ministronowie bezradnie stali na brzegu i wymachiwali rękami.

Kiedy już wszyscy zrezygnowali z pościgu, Tri–Tri dobrowolnie opuścił bezpiecznie schronienie, usiadł ponownie na ramieniu króla i pieszczotliwie pogłaskał go dziobkiem po policzku.

Minstronowie rzucili się z hurmem, aby złapać kolibra, ale Kwaternoster I, który już zdążył się udobruchać, powiedział: "amnestia" i pozwolił ptaszkowi krążyć swobodnie nad królewską głową.

Po tym zajściu towarzystwo wróciło do swoich altanek, natomiast król i pan Kleks ponownie zajęli się Alojzym, który stał spokojnie na uboczu.

– Tak – podjął król przerwana rozmowę – dokonał pan rzeczy niewiarygodnej. Ale wątpię, aby Alojzy potrafił myśleć samodzielnie. To jest chyba niemożliwe.

– Nie doceniasz, królu, mojego dzieła – oburzył się pan Kleks. – Proszę, porozmawiaj z nim, jeśli łaska.

Król wciąż jeszcze nie dowierzając zapewnieniom uczonego, posadził Alojzego obok siebie i zapytał:

– Powiedz mi, mój drogi, ile jest siedem razy dziewięć?

Alojzy uśmiechnął się pobłażliwie.

– Królu, nie jestem dzieckiem. Jeśli chcesz, mogę pomnożyć w pamięci liczbę mieszkańców tego kraju przez liczbę kur i podzielić iloczyn przez liczbę kogutów.

– Ho–ho! – rzekł z podziwem Kwaternoster I, po czym, zachęcony, zabrał się z zapalem do egzaminowania Alojzego. Padały więc kolejno pytania i odpowiedzi niczym w zgaduj–zgaduli:

– Jak daleko jest z Alamakoty do Patentonii?

– 763 kilometry, 126 metrów i 70 centymetrów.

– Kto panuje w Abecji?

– Królowa Aba.

– Jak nazywa się największa rzeka w Parzybrocji?

– Zalewajka.

– Ile mam włosów na głowie?

– 107493.

– Świetnie! Zgadza się co do jednego! A powiedz mi, ile jest wysp na Oceanie Niespokojnym?

– 1749.

– Alojzy, jesteś genialny! – zawołał król z takim zachwytem, że Królewski Kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał na całe gardło.

– Jestem zaledwie nikłym odbiciem profesora Kleksa – powiedział skromnie Alojzy. – On użyczył mi odrobinę swojej wiedzy i zasobów pamięci.

Po tej rozmowie króla z Alojzym pan Hleks stanął dumnie na jednej nodze, lewą rękę przyłożył do kamizelki, prawą wyciągnął przed siebie i rzekł:

– Królu! Dokonałem w nauce przewrotu. Obaliłem błędne poglądy chemików, fizyków, biologów; odkryłem kleksyczne prawa przyrody, kleksyczne zasady budowy komórek, osiągnąłem nieznane dotąd wyżyny wiedzy, opracowałem własne teorie, dzięki którym udało mi się, pierwszemu w świecie, stworzyć sztucznego człowieka. Automaty mózgowe Patentonczyków mogą wykonywać dwieście tysięcy działań na sekundę. Mój Alojzy działa z szybkością myśli. Dlatego stał się niemal równy człowiekowi. Powiadam "niemal", gdyż brak mu tylko jednej rzeczy: fantazji.

Król oszołomiony słowami pana Kleksa strącił z kolan Królewskiego Koguta, wybiegł z altanki i zawołał:

– Ministronowie, panie, panowie, proszę do mnie! Pragnę obwieścić wam rzecz niezwykłą! .

Pierwszy nadbiegł Trondodentron, przerażony, że nastąpił nowy zamach na króla. Tuż za nim, podskakując z właściwą sobie lekkością zjawił się Lewkonik. Niebawem też nadciągnęła reszta towarzystwa, a na końcu, zgodnie z głoszoną przez siebie dewizą, że prawdziwy dozorca nigdy się nie spieszy, kroczył Weronik.

– Czy mam wezwać straż? – zapytał premier z niepokojem.

– Masz słuchać! – rzekł uroczyście król wypinając klatkę piersiową, na której były wytatuowane jego zmyślane bohaterskie czyny. – Profesor Kleks zaprezentował mi swoje niezrównane arcydzieło. Chcę, aby każdy z was mógł je podziwiać. Oto Alojzy Bąbel, sztuczny, mechaniczny, uniwersalny człowiek, wykonany własnoręcznie przez naszego wielkiego uczonego. Alojzy, przedstaw się!

Alojzy ukłonił się z galanterią. Ministronowie obmacywali go ze wszystkich stron, wydając okrzyki zdumienia.

– Widziałem sztuczne ręce, sztuczne nogi – zauważył Fajatron – ale cały człowiek? Chciałbym usłyszeć go mówiącego.

– Panie ministronie – powiedział uprzejmie Alojzy – mogę wygłosić przemówienie trwające dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, ale obawiam się, że znużyłbym obecne tutaj damy.

– Niezwykły okaz – rzekł Trąbatron. – Co za mechanizm!

– Fenomenalny! Rewelacyjny! – stwierdził Trondodentron.

– Ciekaw jestem, czy zna się również na hodowli kur – powiedział Paramontron.

– Znam 79 zasad wylęgu kurcząt oraz 43 sposoby krzyżowania kurzych ras i gatunków – rzekł skromnie Alojzy.

Wszyscy byli tak poruszeni i oszołomieni, że Hortensja przerwała swoje monologi, Piwonia przestała mówić wiersze, a nawet Dalia tym razem powstrzymała się od kichania. Jeden tylko Weronik nie mógł opanować czkawki, ale w przerwie zdołał wykrztusić:

– Żal mi go... Nie miał matki... Sierota...

Alojzy, gdy usłyszał te słowa, nagle posmutniał i zamrugał powiekami, jak gdyby był bliski płaczu.

– Nie martw się, Alojzy! – zawołał wesoło pan Kleks. – Ja jestem twoim ojcem i twoją matką. Wymyślę dla ciebie taki rodowód, jakiego nie powstydziliby się nawet król Kwaternoster I. Głowa do góry!

Królewski Kogut po raz drugi zatrzepotał skrzydłami i zapiał pięknym, donośnym głosem. Odpowiedziało mu pianie jeszcze wspanialsze i głośniejsze. Rozejrzeliśmy się dokoła, gdyż w pobliżu nie było żadnego innego koguta. I cóż myślicie? To Alojzy zabłysnął jedną ze swoich umiejętności.

Alamakotańczycy spojrzeli na niego z największym podziwem, natomiast pan Kleks wysoko zadarł głowę i rzekł uroczyście:

Królu, panie, panowie! Pokazałem wam moje dzieło, a teraz ujawnię wam moje zamysły. Patrzę w przyszłość. Gdybym miał odpowiednie warunki, w ciągu roku wykonałbym dokumentację wielkiej bąblowni. Za trzy lata mogłaby ruszyć seryjna produkcja Bąbli. Dzisiejszy dzień to przełom w dziejach ludzkości. Widzę oczami duszy tę świetlaną erę, kiedy każdy ministron, każdy księgowy, inżynier czy lekarz, ba każdy uczeń w szkole będzie miał do pomocy własnego Bąbla. Świat wkroczy w bąbloepokę. W roku dwutysięcznym już nie my, ale Bąble będą produkowali samych siebie. Zbliżuję życie ludzkie od podstaw. Oto moja idea!

Pan Kleks mówił głosem natchnionym, oczy mu płonęły, a w brodzie rozlegał się trzask elektrycznych iskier.

Król wybiegł z altanki, objął wielkiego uczonego i zawołał:

– Profesorze, ja panu stworzę warunki do urzeczywistnienia pańskiego genialnego planu! Oddam do pana dyspozycji wszystkie kury i koguty, wszystkie jajka i zegarki, całe bogactwo Alamakoty. Od jutra możemy przystąpić do bąbłobudowy.

Wszystkie oczy zwrócone były na Alojzego, Weronik otrzepywał mu z kurzu trzewiki, panny Lewkonikówny spoglądały jak urzeczone, gdy oto rozległ się tubalny głos premiera:

– Królu, pragnę zauważyć, że produkcja Bąbli stanie się dla nas posunięciem antyimportowym. Obejdziemy się bez zagranicznych specjalistów. Bąble nam ich zastąpią. Alamakota wysunie się na pierwsze miejsce wśród potęg świata. Musimy stworzyć gigantyczny bąbłokombinat. Rada Ministronów przystąpi natychmiast do opracowania zasad zbąblowania gospodarki narodowej.

– Dziękuję. O to mi właśnie chodziło! – rzekł pan Kleks rozczesując palcami brodę. – Przyjechałem do Alamakoty, żeby zabrać Bajdotów z powrotem do ojczyzny, a tymczasem sam gotów jestem tutaj zostać.

– Nas stąd zabrać? – zdziwił się król. – A cóż by Alamakotańczycy zrobili bez nas? Piastujemy tu najwyższe godności i żaden Bajdota nie będzie chciał się tego wyrzec. A zresztą staliśmy się tutaj ludźmi czynu, nie potrafilibyśmy już żyć bajkami. Sprzykrzyło nam się nudne bajkopisarstwo. Tu zostaniemy i pan zostanie z nami.

Pan Kleks myślał chwilę, po czym rzekł:

– Nie lekceważcie bajek. Nie lekceważcie fantazji. Bez fantazji nie może powstać nic wielkiego. Alojzy pozbawiony jest wyobraźni. Dlatego właśnie może służyć ludziom, ale nigdy nad ludźmi nie zapanuje. Wszystko przewidziałem. Prawdziwy uczonek nie stworzy nic przeciwko człowiekowi.

– Niech żyje pan Kleks! – zawołała chórem rodzina Lewkoników.

– A więc dobrze – oświadczył wreszcie wielki uczonek. – Przyjmuję twą propozycję, królu. Za dwa tygodnie mogę przystąpić do pracy. Przedtem jednak muszę zakończyć pewne ważne sprawy. To długo nie potrwa.

– Przepraszam – wtrącił nieśmiało Alojzy – a co się stanie ze mną?

– Użyczyłem ci pełnej samodzielności – odrzekł pan Kleks. – Możesz robić, co chcesz. Jesteś wolny tak jak każdy z nas.

– Panie profesorze – zauważył rezolutnie Alojzy – przecież ja jestem prototypem. Beze mnie seryjna produkcja nie ruszy z miejsca.

– Kochany! – zawołał pan Kleks. – Ależ oczywiście, masz rację. Królu, musimy Alojzego za wszelką cenę zatrzymać. Jest on dla nas niezbędny!

– O, nic prostszego – odparł Kwaternoster I. – Mogę ofiarować Alojzemu wysoki urząd w Alamakocie. Potrzebujemy mądrych administratorów.

– Królu – oświadczył Alojzy – profesor Kleks uczynił mnie zdolnym do wykonywania wszelkich funkcji i do pełnienia wszelkich urzędów. Mogę być ogrodnikiem, marynarzem, inżynierem, aptekarzem, generałem, dyrektorem, ministronem. Jestem wprost stworzony do tego, żeby służyć każdemu, kto tego potrzebuje.

– Widzisz, królu – wtrącił pan Kleks – Alojzy Bąbel jest mądry, bystry, układny, poprawny, nienaganny, niezawodny, opanowany, spokojny, rzetelny, godny zaufania. Brak mu tylko fantazji. Posiada więc wszystkie zalety, których wymaga się od dobrego urzędnika.

Król zastanawiał się przez kilka minut. Zapanowało ogólne milczenie, przerywane tylko kichaniem Dalii. Wreszcie, zwracając się do premiera Trondodentrona, Kwaternoster I przemówił:

– Mój przyjacielu, powołuję pana Alojzego Bąbla na stanowisko ministrona w rządzie Alamakoty. Który jest dzisiaj? Trzydziesty czerwiec? Otóż od pierwszego lipca obejmie on urząd ministrona Dalekiej Żeglugi. No i oczywiście otrzyma tytuł Pierwszego Admirala Floty. Proszę przygotować odpowiednie dekry nominacyjne. Należy też załatwić dla niego ministronalne mieszkanie i przydział rządowych jajek. Z chwilą gdy nastąpi nominacja, pan Bąbel nazywać się będzie Alojzytron. To wszystko.

Królewski Kogut zapał po raz trzeci.

– Aordiencja Skurńczurna! – oświadczył ministron Dworu.

Skloniliśmy się królowi, pożegnaliśmy członków rządu i po wymianie wzajemnych grzeczności udaliśmy się na zaproszenie ministrona Paramontrona na obiad do Instytutu Smażenia Jajeczniczy.

Muszę wyznać, że przyjęcie u Kwaternostrą I, pomimo że zjadłem kilka porcji lodów, porządnie mnie znudziło. Uczestniczyłem w pracach pana Kleksa nad konstrukcją Alojzego od samego początku, jeszcze w Akademii. Znałem teorie naukowe wielkiego uczonego, obecnie więc nie dowiedziałem się nic nowego. Zresztą, prawdę mówiąc, wołałem dawnego Alojzego z jego wadami technicznymi, kiedy wymykał się spod władzy pana Kleksa, był niesforny i płał przeróżne nieobliczalne figle. Na moje oko bardziej wtedy przypominał prawdziwego człowieka niż teraz, odkąd mechanizm jego zaczął działać z doskonałą precyzją. Usunięcie błędów konstrukcyjnych pozbawiło Alojzego fantazji, ale, ostatecznie, było zgodne z zamierzeniami pana Kleksa.

Szliśmy tym razem na przełaj, skrótem, obok boiska sportowego, gdzie właśnie odbywał się mecz piłki nożnej. Możecie sobie wyobrazić, z jaką szybkością toczyła się gra, skoro obie drużyny składały się z trzynożnych piłkarzy, a bramkarzami byli alambajscy chłopcy o trzech rękach. Osobliwość gry polegała na tym, że liczyły się wyłącznie gole strzelone środkową nogą, a ponieważ sędzia nigdy nie mógł tego ustalić w sposób całkiem pewny, przeto mecze kończyły się zawsze remisem.

Przyglądaliśmy się z zainteresowaniem tej ciekawej grze, gdy nagle piłka wybita na aut potoczyła się w naszą stronę. Wtedy Alojzy błyskawicznym kopnięciem wystrzelił ją w górę z taką siłą, że po dziesięciu minutach jeszcze nie spadła z powrotem na ziemię. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę, pozostawiając graczy i kibiców sportowych z rozdziawionymi ustami i wzrokiem utkwionym w niebo.

Panny Lewkonikówny mogły teraz pofolgować swoim przyzwyczajeniom.

Hortensja mówiła:

– Niech mi pan wytłumaczy, panie Adasiu, dlaczego król Kwaternoster I dotąd się nie ożenił? Pewnie dlatego, że żadna cudzoziemska księżniczka nie zgodziłaby się żyć samą jajecznicą. .

Dalia kichała bez przerwy, płosząc motyle, a Piwonia ułożyła długi wiersz o Alojzym, zakończony słowami:

Oj–zły Alojzy flota plusk A wielorybka szybka mózg.

Naszej miłej poetce chodziło prawdopodobnie o to, że Alojzy zatopi flotę, a jego mózg stanie się pastwą wieloryba. Nie jestem przekonany, czy dobrze objaśniłem sens tego dwuwiersza, gdyż nie

znam się niestety na poezji. Pan Lewkonik zrobiłby to na pewno dużo lepiej ode mnie.

Róża nie interesowała się literaturą. Tak jak rodzice kochała kwiaty. Była najstarszą córką pana Lewkonika i sądząc z jego słów, odznaczała się uderzającym podobieństwem do swojej matki Multiflory. Sam zresztą stwierdziłem, że gdziekolwiek się pojawiła, bił od niej naturalny aromat róż. Miała ślicznie zadarty noseć, była małowówna, ale za to lubiła nucić wesole piosenki. Pan Kleks chętnie jej wtórował przebierając palcami na wargach i podśpiewując swoje "pa-ram-pa-ram".

Ta urocza dziewczyna miała tylko jedną wadę, wadę wymowy: "r" wymawiała jako "k". Siebie nazywała więc Kózą zamiast Różą, Weronika – Wekonikiem. Rosa w jej ustach brzmiała jak kosa, ręka jak kęka, rura jak kuka. O królu mówiła kkuł Kwateknostek Piekwszy, a imię mojego koliberka wymawiała Tki-Tki.

Podobnie i teraz, w chwili gdy wchodziła na teren Instytutu Smażenia Jajecznicy, zawołała:

– O, Tki-Tki! Wkócił.

Istotnie koliberek usiadł mi na ramieniu i szepnął do ucha pewne ważne wiadomości. Zaraz też dałem mu kilka poleceń i odesłałem z powrotem do miasta.

Niebawem w sali probierczej zasiedliśmy do obiadu. Podano nam jajecznicę o różnych smakach: z orzechami, z bananami, z makiem, z groszkiem, z kapustą morską, z rybią wątróbką i z krewetkami.

Siedziałem pomiędzy Alojzym i panem Kleksem, ale nie brałem udziału w rozmowie, gdyż znów zaczął mnie nurtować niepokój o los rodziców. Pan Kleks dostrzegł troskę na mojej twarzy. Wyjął z kieszeni skarbonkę pamięci, przyłożył ją do czoła i po chwili zastanowienia oświadczył:

– Drodzy przyjaciele! Mamy już załatwioną sprawę Alojzego. Sprawa repatriacji Bajdotów odpada. O Rezedę możecie być spokojni. Jestem na jej tropie. Pozostaje nam jeszcze sprowadzenie małżonki pana Lewkonika – Multiflory oraz odnalezienie rodziców Adasia Niezgódki. A na koniec – powzięcie decyzji co do dalszych losów mojej Akademii. Zatrzymajmy się przy punkcie drugim. Ty, Alojzy, od jutra obejmiesz urząd ministra Dalekiej Żeglugi i Pierwszego Admirala Floty. Bądź łaskaw zarządzić, abyśmy pojutrze otrzymali do dyspozycji odpowiedni okręt. Obejmiesz nad nim dowództwo. Wyruszamy do Wyspy Sobowótów: ja, Adaś i pan Weronik. Pan, panie Anemonie, musi zostać tutaj i zaopiekować się córkami. A więc postanowione! Drugiego lipca w południe odbijamy od brzegów Alamakoty!

Przemówienie pana Kleksa wywołało nieopisaną radość w rodzinie Lewkoników. Hodowca róż podbiegł do wielkiego uczonego i ucałował go w ucho, rozpromienione dziewczęta klaskały w dłonie, Dalia kichała jak najęta, a Róża wołała:

– Bkawo, bkawo! Niech żyje pan pkofesok!

– Idźcie teraz wszyscy do ogrodu – powiedział pan Kleks. – Muszę odbyć z Alojzym i Adasiem naradę nawigacyjną. Proszę nam nie przeszkadzać.

Gdy zostaliśmy sami, uczoney wyjął z kieszeni swoją samoczynną sprężoną mapę, rozłożył ją na stole i rzekł:

– Spójrz, Alojzy... To jedyna mapa na świecie, na której uwidoczniła jest Alamakota oraz inne kraje, uważane przez różnych nieuków za nie istniejące. Tu, na północny zachód od Alamakoty, leży archipelag Wysp Kaktusowych, dalej Cieśnina Świętego Pantalęyka... Tędy wychodzimy na Ocean Niespokojny, omijamy Przylądek Wiecznego Pióra i wypływamy wprost na Wyspę Sobowótów. Jak widzisz, odległość jest stosunkowo niewielka. Jeśli weźmiemy kurs nieco bardziej na północ, będziemy mieli do przebycia w linii prostej około trzystu alamakotańskich mil morskich. A więc podróż nasza nie powinna trwać dłużej niż osiem godzin.

– Tak, tak, słusznie – powiedział ze znanstwem Alojzy. – Podejmuję się nawet rozwinąć większą szybkość, niż pozwalają przepisy nawigacyjne w tym rejonie Oceanu Niespokojnego. Gdy pływałem na "Pigularii", nauczyłem się różnych korsarskich sztuczek.

– Żebyś tylko nie przeholował – upominał go Kleks.

W tym momencie Alojzy rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, i powiedział szeptem:

– Panie profesorze... Od jutra będę ministronem... Jeśli pan sobie życzy, mogę obalić Kwaternostrę I i obwołać pana królem Alamakoty.

Pan Kleks wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Chyba oszalałeś, Alojzy! – zawołał. – Też pomysł! To tak, jakbyś zaproponował lwu, żeby został karaluchem! Ja – wolny, niezawisły umysł, miałbym włożyć na głowę ten garnek zwany koroną? Ja – Ambroży Kleks?!

Po chwili zaś dodał surowo:

– Proszę cię, Alojzy, tylko bez takich wybryków. Ofiarowałem ci samodzielność, ale wiesz chyba, że mam cię na fali ultrakrótkiej 0,000001 metra i mogę w każdej chwili uruchomić aparaturę zdalnego kierowania. Wtedy skończy się twoja samodzielność. Zrozumiałeś? Miej się na baczności!

Mówiąc to pan Kleks pogroził mu kciukiem prawej ręki, co oznaczało bardzo poważne ostrzeżenie.

Alojzy zaczerwienił się, bo nawet i o tym drobnym szczególe konstrukcyjnym nie zapomniał nasz wielki uczoney.

Chciałem panu dogodzić, panie profesorze – powiedział ze skruchą, po czym, zmieniając szybko temat, dorzucił: – W oznaczonym terminie mój okręt flagowy będzie gotów do wyjścia w morze.

Skończyliśmy naszą rozmowę. Pan Kleks nasłuchując zbliżył się do otwartego okna, gdyż z ogrodu dolatywał śpiew Róży. Była to ulubiona piosenka profesora.

Na gałęzi siedzi ptak, Chcę go złapać, ale jak? Po gałęzi wleź na szczyt, Nie złapałeś? A to wstyd!

Brzegiem rzeczki pełźnie rak, Chcę go złapać, ale jak? Nic się nie bój, łap za kleszcz, Gdy ugryzie cię, to wrzeszcz.

Pośród kłosów rośnie mak, Chcę go zerwać, ale jak? Zerwij ręką! Brak ci sił? To nie mak, to motyl był.

Chociaż Róża zamiast "rak" mówiła "kak", a zamiast "rośnie" – "kośnie", pan Kleks przysłuchiwał się piosence z błogim uśmiechem, palcami bębnił w takt o parapet okna i przyśpiewywał:

– Pa–ram–pam–pam, pa–ram–pam–pam!

W tym momencie poczułem, że coś otarło się pod stołem o moje nogi. Nie mógł to być pies, gdyż psów nie znano w Alamakocie. A więc chyba kogut? Wsunąłem rękę pod stół, złapałem kogoś za nos i wyciągnąłem Zyzika.

– To ty? – zawołałem. – Podśluchiwałaś, nicponiu!

– Podśluchiwałem – odparł Zyzik bezczelnie. – Ale nic nikomu nie powiem. Daję alambajskie słowo honoru. Tylko zabierzcie mnie z sobą na Wyspę Sobowtórów. Mogę się przydać. A to, co ten pan mówił o królu, wcale mnie nie obchodzi. Umiem trzymać język za zębami.

Alojzy chwycił Zyzika za ramię tak mocno, że o mało mu nie pogruchotał kości. Chłopiec wrzasnął z bólu, ale tu wdał się w sprawę pan Kleks.

– Puść go, Alojzy – powiedział spokojnie. – Za to, że podśluchiwał, mógłbym go zamienić w muchę. Posiadam taki przebieralnik! Ale mam lepszy pomysł. Trzeba wlać mu oleju do głowy. Zabierzemy go z sobą. Jest ciekawy, a ciekawość to droga do wiedzy. Potrafię zrobić z niego dzielnego chłopca. Zyzik, jedziesz z nami!

Taki to był człowiek pan Kleks.

Tymczasem zrobiło się dosyć późno. Z oddali dobiegało chóralne pianie kogutów, gdyż była to

pora spuszczenia ich z łańcuszków.

Podziękowaliśmy Paramontronowi za wyborny poczęstunek, po czym na użyczonych nam hulajnogach wróciliśmy do domu.

Bulpo i Pulbo, dwaj uczeni ogrodnicy spośród pięciu, których pan Lewkonik zaprosił na wieczór, czekali już z bukietami kwiatów dla panien Lewkonikówn. Pozostali trzej mieli tego dnia nocny dyżur.

Hodowca róż znalazł w królewskich ogrodnikach bratnie dusze i od razu przystąpił do rozmów na temat alamakotańskiej botaniki, opisaney w najnowszej pracy pana Kleksa pt. "Alamakotanika". Dzieło to ukazało się w przeddzień naszego przyjazdu do Alamakoty.

Weronik przerwał im ciekawą dyskusję:

– Panie Anemonie, myślę, że ci młodzi panowie woleliby zabawić się w jakąś grę towarzyską z pańskimi córkami. Powiedzmy, w "wesołego dozorcę". Albo w "myjmy schody". Albo w "zamiatanego".

– Proponuję w "zamiatanego"! – zawołał pan Kleks.

Wobec tego Weronik przyniósł miotłę i zaczął nas gonić po wszystkich pokojach. Ten, kto dał mu się "zamieść", przejmował miotłę i z kolei gonił innych. Najzręczniejszy okazał się pan Lewkonik, który odbijał się od podłogi i unosił nad naszymi głowami jak balonik. Zdobył największą ilość punktów i dlatego wolno mu było wybrać następną grę.

– Świetnie! – zawołał rozbawiony pan Kleks. – Może zagramy w "trzy wiewiórki"?

Pan Lewkonik stanął na środku pokoju, pocisnął brodawkę na nosie i rzekł dumnie wypinając brzuch:

– Mam propozycję. Zabawmy się teraz w "oświadczyńny". Panowie wybierają.

– O, z takimi rzeczami to nie ma żartów – zauważył Weronik.

– Kto chce, ten żartuje, a kto chce, oświadcza się na serio! – rzekł wesoło pan Kleks, pociesznie głaszcząc brodę z góry na dół i z dołu do góry.

Alojzy nie ruszył się z miejsca. Zapewne wciąż jeszcze uważał się za narzeczonego Rezedy, chociaż, ku memu zdziwieniu, nie wykazywał żadnego zainteresowania jej zniknięciem.

Weronik nie odstawił miotły, lecz kucając zabrał się z przyzwyczajenia do wymiatania kurzu z kątów pokoju.

Pan Kleks nucił beztrudno jakąś piosenkę. Tylko pan Lewkonik wykazywał wielkie podniecenie i nawoływał:

– Panowie! Bawimy się! Panie czekają na oświadczyńy!

Wtedy Bulpo i Pulbo, uczeni ogrodnicy, stanęli na wysokości zadania. Jeden podszedł do Hortensji, drugi do Dalii, skłonili się przed nimi szarmancko i powiedzieli równocześnie:

– Piękna pani, mam zaszczyt prursić ur twurją rękę.

Jako bliźniacy, byli do siebie bliźniaczo podobni, toteż obie siostry nie miały trudności z wyborem. Grzecznie dygnęły i zgodnie z ich życzeniem podały im prawe rączki.

– Brawo! – zawołał pan Kleks. – Mamy już dwie pary. A co dalej, panie Anemonie?

– Przepraszam – wmieszał się Weronik – musimy wiedzieć, czy oświadczyńy odbyły się na żarty, czy na serio?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Panno Hortensjo! – rzekł wreszcie Bulpo – Pokochałem panią od pierwszego wejrzenia... To może śmieszne, ale my, wychowani wśród kwiatów, mówimy to, co czujemy.

– A ja mówię to, co myślę – odrzekła Hortensja. – Siostry śmieją się ze mnie, że myślę głośno. Teraz też zastanawiam się, dlaczego pan wybrał właśnie mnie? Może dlatego, że żona, która rozmawia sama z sobą, nie nudzi męża nadmierną gadatliwością. Zapytałam, odpowiedziałam i wszystko jest jasne.

– Kolej na pana – zwrócił się do Pulba Weronik, jako że miał wrodzone zamiłowanie do porządku i nie lubił niewyraźnych sytuacji.

Pulbo zmieszał się i tłumiąc wstydlivy chichot, powiedział:

– Panna Dalia... chi–chi... przepraszam... tak ślicznie kicha, że naprawdę... chi–chi–chi... jestem oczarowany... Marzyłem o takiej żonie... chi–chi... przepraszam... Daję słowo.

Chichot jego był tak zaraźliwy, że pan Kleks śmiał się do rozpuku. Nawet Alojzy uśmiechał się półgębkiem. A Weronik na dowód zadowolenia złapał obu braci naraz i podrzucił ich w górę jak parę szczeniaków.

Jedynie pan Lewkonik zachował należytą powagę. Uściskał bliźniaków, przytulił do serca Hortensję i Dalie, po czym rzekł drżącym głosem:

– Spełni się marzenie mojej kochanej Multiflory. Co najmniej dwie nasze córki wyjdą za mąż za ogrodników.

– Pa–ram–pam–pam! Pa–ram–pam–pam! – zawołał pan Kleks, porwał pana Lewkonika za ręce i przez kilka minut kręcił się z nim w "drobną kaszkę".

Był to naprawdę widok niezapomniany.

Postanowiono, że oficjalne zaręczyny odbędą się po przybyciu Multiflory.

Nazajutrz z kancelarii Kwaternostrą I nadeszły nominacje dla Alojzego. Przydzielono mu również ministronalny apartament w Instytucie Urojonych Odkryć i Wynalazków. Była to stara uczelnia, założona niegdyś przez jednego z alamakotańskich podróżników, który przypadkowo odkrył Amerykę, zanim jeszcze została odkryta naprawdę.

Wraz z panem Kleksem odprowadziliśmy Alojzego do jego nowych apartamentów. Składały się one z ośmiu pokoi, troskliwie wyposażonych we wszystkie sprzęty i urządzenia niezbędne dla ministrona Dalekiej Żeglugi. W szafach wisiały mundury Pierwszego Admirala Floty, a w oszklonej gablocie leżały jego ordery i odznaczenia, które król Kwaternoster I przyznał mu zawczasu.

Resztę dnia zajęły nam przygotowania do podróży. W tym samym czasie mieszkańcy Alamakoty szykowali się do następnego święta narodowego, do Święta Królewskiego Koguta. Na marginesie muszę wyjaśnić, że podobne obchody odbywały się w tym kraju co trzeci dzień, gdyż Alamakotańczycy ogromnie lubili świętować. Obchodzono więc uroczystości Dzień Przyjaźni Alambajskiej, Dzień Hodowcy Kur, Dzień Orodnika, Dzień Kucharza, Dzień Dojarza Drzew Laktusowych, a nadto Rocznice Lądowania Bajdotów, Święto Hulajnogi, Święto Zepsutych Zegarków, Święto Jajecznicy i różne inne.

Święto Królewskiego Koguta połączone było z wielkim festynem ludowym w Ogrodach Królewskich. Podczas festynu Kwaternoster I nagradzał najwybitniejszych hodowców kogutów zegarkami. Ale najważniejszym punktem programu był konkurs piania i wybór Królewskiego Koguta na rok następny.

Jak już wspomniałem, całe popołudnie zajęci byliśmy pakowaniem naszych bagaży. Panny Lekonikówny wróżyły sobie z płatków róż oraz innych kwiatów, które dostały poprzedniego dnia od braci–bliźniaków. Pan Kleks napełniał swoje trzydzieści kieszeni częściami różnych narzędzi, przyrządów i aparatów, stanowiących jego podróżne laboratorium. Weronik czyścił i pucował wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, a ja pakowałem do kufra mój bagaż, który poza tropikalnym hełmem okazał się całkiem zbyteczny. Zresztą płetwy do nurkowania i wypchanego sokoła ofiarowałem w prezencie Zyzikowi.

Ściemniało się już na dobre, gdy nagle przez okno wleciał Tri–Tri bardzo zakłopotany, a równocześnie zjawił się pan Lewkonik wołając:

– Ministron Limpotron prosi wszystkich na dół do salonu. Delegacja przyszła!

Pan Kleks burknął coś z niezadowoleniem, ale szybko się ubrał, przyczesał brodę, wpadł do pokoju dziewcząt, żeby przejrzeć się w składanym lustrze, po czym godnie ruszył w kierunku schodów. Rodzina Lewkoników, Weronik i ja szliśmy parami za nim.

W salonie zastaliśmy sześć najznakomitszych alamakotańskich dam oraz ministrona Limpotrona i ministrona Dworu.

Złożyliśmy sobie ceremonialne ukłony.

Wśród dam rozpoznałem żony ministronów, które były obecne na przyjęciu w ogrodzie u króla.

Ministron Trąbatron, posypany galowym proszkiem, z piórem kogucim za uchem na znak pełnionego urzędu, wystąpił naprzód i zagaił:

– Nasz król...

– Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster – powiedziały chórem damy stosownie do przyjętej etykiety i trzykrotnie powtarzały to imię za każdym razem, ilekroć Trąbatron wymawiał słowa "nasz król".

– ...poleciał nam – ciągnął ministron – zwrócić się do czcigodnego cudzoziemca, pana Anemona Lewkonika, i przedstawić mu jego królewską prośbę. Nasz król...

– Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster...

– ...postanowił porzucić stan kawalerski i wstąpić w związek małżeński, aby uszczęśliwić naród Alamakoty następcą tronu. Nasz król...

– Kwaternoster, Kwaternoster, Kwaternoster...

– ...przysłała nas w uroczystej delegacji, abyśmy w jego imieniu prosili o rękę obecnej tu panny Róży. Nasz król...

– ...pragnie pojąć ją za żonę i uczynić królową Alamakoty. Skończyłem.

Zapadło milczenie, a pan Lewkonik osunął się w ramiona pana Kleksa i z wrażenia zemdlął na jego szerokiej piersi.

WYPRAWA PO MULTIFLORE

Wyszedłem z domu bardzo wcześnie, gdy wszyscy jeszcze spali, i pobiegłem do portu. Stał tam już gotowy do drogi okręt flagowy Pierwszego Admirała Floty "Kwaternoster Pierwszy". Na maszcie powiewała trójbarwna bandera Alamakoty ze złotym kogutem pośrodku.

Kapitan Tykwot pomimo wczesnej pory był już na stanowisku, zaglądał do wszystkich kątów, pokrzykiwał na marynarzy, sprawdzał zaopatrzenie. Był to stary wilk morski, który przemierzył w swoim życiu wszystkie morza i oceany. Miał siwą czuprynę, siwe wąsy i siwą kozią bródkę, ale czerstwa czerwona twarz tryskała zdrowiem. Spodziewacie się zapewne, że pykał fajeczkę? Nic podobnego. Kapitan Tykwot, zgodnie ze zwyczajem panującym wśród wilków morskich w tej strefie Oceanu Niepokojnego palił grube cygaro. A ponieważ cygar nie cierpiał, co chwila spluwał z obrzydzeniem. Ale to już jego prywatna sprawa.

Omówiłem z nim pewne szczegóły dotyczące naszej podróży, wspomniałem mimochodem, że udajemy się po matkę przyszej królowej, ofiarowałem mu moje dziełko pt. "Ambroży Kleks, uczony i wynalazca", żeby wiedział, z kim będzie miał do czynienia, po czym ruszyłem w drogę powrotną.

Zapowiadał się dzień mniej upalny niż zazwyczaj, a nawet na niebie pojawiły się chmurki, co w tym kraju należało do rzadkości.

"Zbiera się na burzę" – pomyślałem zbliżając się do pałacu Limpotrona.

Towarzystwo już wstało, pan Kleks przed składanym lustrem szczotkował brodę, dziewczęta, jak to dziewczęta, coś między sobą szeptały, a Weronik robił pożegnalne porządki i przekomarzał się z panem Lewkonikiem:

– Tak, panie Anemonie, człowiek nie zna dnia ani godziny. Życie składa się z samych niespodzianek. Nie jest pan już hodowcą róż, tylko hodowcą córek na wydaniu. Róża róży nierówna, co? Zapuści pan korzenie w Alamakocie, jak baobab. Zostanie pan teściem króla i dziadkiem następcy tronu, będzie się pan mógł kąpać w jajecznicy. Życ – nie umierać!

– A panu zazdrościć – odciął się pan Lewkonik. – Zresztą mogę pana zaangażować jako dozorcę pałacu królewskiego. Taki człowiek przyda się na dworze.

Weronik przerwał froterowanie podłogi, wziął się pod boki i oznajmił z godnością:

– Od pięćdziesięciu lat pracuję na jednym miejscu. Przyjechałem tu z panem Niezgódką, gdyż odpowiedzialny dozorca powinien opiekować się lokatorami. Znam swój obowiązek. I żeby mi pan nawet obiecał tron i koronę, ja mojego stanowiska nie opuszczę! Cenniejsza mi jest miotła w domu niż berło w Alamakocie. Mówi to panu Weronik Czyścioch, dyplomowany dozorca z dziada pradziada.

– Dosyć, dosyć, panowie! – zawołał pan Kleks. – Ród Lewkoników ma prawo piąć się w górę, a ród Czyściochów może przestrzegać rodzinnych tradycji. Co człowiek, to widzimi się. Tylko Bąble będą jednakowi. Panie Weroniku, Adasiu, ruszamy. Admirał czeka.

Limpotron i pan Lewkonik odprowadził nas do portu. Na pokładzie "Kwaternostra Pierwszego" przy trapie stał Alojzy. Miał na sobie wspaniały biały mundur, przepasany wielką wstęgą Koguta z gwiazdą, na jego piersi widniały liczne ordery i odznaczenia. Zasalutował przykładając dłoń do admirałskiego kapelusza, a kapitan Tykwot zdał raport panu Kleksowi. Honorowa kompania marynarzy sprezentowała broń.

W chwili kiedy nadleciał Tri-Tri i usiadł mi na ramieniu, okręt flagowy majestatycznie odbił od brzegu. Limpotron machał chusteczką, czego nie mógł uczynić pan Lewkonik, musiał bowiem wycierać łzy obficie spływające mu po twarzy. Wyruszyliśmy przecież po Multiflorę.

Oddalaliśmy się szybko od wybrzeży Alamakoty. Bandera furkotała na wietrze, samosterujące motory pracowały niemal bezgłośnie.

Rozlokowaliśmy się wygodnie na leżakach, tylko Weronik zabrał się od razu do pucowania i tak już wypolerowanych na najwyższy połysk poręczy przy burtach.

Stewardzi roznosili chłodzące napoje i owoce.

Kapitan Tykwot z mostku kapitańskiego wydawał rozkazy podwładnym oficerom.

– Słuchaj, Alojzy – rzekłem do Admirała, gdy nadeszła stosowna chwila. – Chciałbym cię prosić o pewne wyjaśnienie...

Alojzy wstał z leżaka i oświadczył chłodno:

– Wypraszam sobie tego rodzaju poufałości. Mam swój tytuł i proszę, aby zwracano się do mnie w odpowiedni sposób.

Pan Kleks grzotnął dłonią o poręcz leżaka.

– Patrzcie państwo! Sprężyna prawidłowego myślenia działa! Zachowuje się jak typowy człowiek. Wystarczyło, że wdział urzędowy mundur, a już mu się w głowie przewróciło! Hola, Alojzy, hola! Nie z nami te sztuczki. Olej, którego ci nalałem do głowy, to nie była woda sodowa! Adaś nie jest twoim podwładnym. To po pierwsze mój uczeń, a po drugie twój szkolny kolega! Siadaj i słuchaj!

Strapiony Alojzy zasalutował i usiadł na brzeżku leżaka.

– Przepraszam... zagalopowałem się – rzekł potulnie.

Aby jednak zadokumentować powagę swego stanowiska, zawołał:

– Hej! Kapitanie! Cóż tam, do stu par kogutów! Dlaczego wlecemy się jak senny ślimak? Czy tak was uczono prowadzić okręt flagowy Pierwszego Admirała Floty? Może mam osobiście stanąć na mostku i podać załogę ostrym sosem?

– Rozkaz, panie Admirale! – odkrzyknął kapitan. – Wachtowy! Pełne obroty! Ster dwa rumbly w prawo! Ruszać się, do stu par pieczonych kurcząt!

Po wydaniu tych rozkazów Alojzy rozparł się dumnie w leżaku, po czym zwrócił się do mnie:

– Chciałeś o coś zapytać. Proszę, słucham, mów.

– Powiedz mi, Alojzy, szczerze i otwarcie – rzekłem przezwyciężając niepokój – jak wyglądają twoje sprawy z Rezedą? Czy wciąż jeszcze uważasz ją za swoją narzeczoną? Powiedz, to bardzo dla mnie ważne.

Pan Kleks nastroszył się, poprawił na nosie okulary i utkwiał wzrok w Alojzym.

Alojzy uśmiechnął się filuternie. Przez chwilę bawił się orderami, strzepnął pyłek z munduru, wreszcie powiedział od niechcienia:

– Co, Rezeda? Cha–cha–cha... Czy nie rozumiesz, że gdy zgubiłem sprężynę prawidłowego myślenia, robiłem różne figle na złość panu Kleksowi? Rezeda? Nie, mój drogi, Rezeda zupełnie mnie nie interesuje. Jestem przeznaczony do wyższych celów. Alojzytron, ministron, Pierwszy Admirał Floty, Bąbel–prototyp. Oto moje powołanie!

– Więc dlaczego ją porwałeś? – zapytał pan Kleks.

– O, pan, panie profesorze, powinien wiedzieć najlepiej, że przeszłość zmienia się, a nieraz nawet ulega zapomnieniu i liczy się tylko to, co przed chwilą powiedziałem.

Na te słowa zerwałem się z leżaka, uściskałem Alojzego i zbiegłem na dół do kajut. Po chwili wróciłem ciągnąc za rękę... Rezedę.

– Panowie! – zawołałem drżącym głosem. – Panie Weroniku, niech pan tu przyjdzie! Posłuchajcie! Pokochaliśmy się z Rezedą jeszcze w drodze do Alamakoty, na pokładzie "Płetwy Rekina". Opowiedziała mi o swoich niefortunnych zaręczynach z Alojzym, który użył podstępów i dał jej pigułki kochalginy. Gdy oprzytomniała, było już za późno. Nie wiedziała, jak się z tego wycofać. Postanowiłem więc uwolnić ją od Alojzego. To ja wyniosłem ją spod szklanego klosza. Bulpo i Pulbo na moją prośbę zaopiekowali się Rezedą i ukryli ją w bezpiecznym miejscu. Porozumiewałem się z nią stale za pośrednictwem Tri–Tri, którego Rezeda odpowiednio wytresowała. Dzisiaj rano wtajemniczyłem w nasze sprawy kapitana Tykwota i przyprowadziłem ją na okręt. Teraz nic już nas

nie rozłączy. Rezedo, powiedz, czy tak?

Rezeda stała oszołomiona. Potem wzięła mnie pod ramię i tuląc się do mnie, potakiwała tylko głową. Wreszcie wyjąkała ledwie dosłyszalnym głosem:

– Tak... To wszystko prawda...

– Panie Adasiu – rzekł z wyrzutem Weronik. – Przede mną pan robił tajemnicę? Przed swoim dozorcą? Nieładnie. Ale już niech tam... Zameldujemy pannę Rezedę. Za przeproszeniem, będzie pani trzydziestą lokatorką w naszym domu. Ładna, okrągła liczba.

Alojzy z galanterią podsunął Rezedzie leżak.

– Widzieliśmy się z panią ostatnio w Rezerwacie Zepsutych Zegarków – powiedział mrużąc filuternie oko. – Zdaje się, że nawet stamtąd przenieśliśmy panią do Królewskich Ogrodów? Proszę nie patrzeć na mnie z takim przerażeniem. Dawny Alojzy Bąbel przestał istnieć. Od dziś zaczynamy nowe życie. Trzy siostry pani już się zaręczyły. Teraz kolej na panią. Jeśli chodzi o mnie, jest pani zupełnie, ale to zupełnie wolna!

Mówiąc to klasnął w ręce i kazał stewardowi przynieść butelkę laktusowego wina.

Pan Kleks przyglądał się tej scenie z uśmiechem, głaskał swą rozłożystą brodę i wesoło pogwizdywał. Wreszcie rzekł:

– Zapewniłem pana Lewkonika, że jestem na tropie panny Rezedy. A ja nie mam zwyczaju mówić na wiatr. Cały czas wiedziałem o niej wszystko, wiedziałem również, że została sprowadzona na statek i ukryta w kajucie. Nie sądzicie, że jestem jasnowidzem. Nie używałbym energii kleksycznej do spraw tak mało mających wspólnego z nauką. Po prostu Tri–Tri wszystko mi wypaplał. Tresując go, Rezeda nie przewidziała ptasiej gadatliwości. Winszuję ci Adasiu. Pochwalam twój wybór. I cieszę się, że już czwarta siostra znalazła kandydata do swojej ręki.

Strzeliły korki, w kielichach zamusowało wino. Weronik, jako najstarszy wiekiem, zaimprovizował rymowany toast na naszą cześć:

Pan Niezgódka pannę Lewkonikównę serdecznie kocha
To prawdziwa radość dla Weronika
Czyściocha. Dobrali się jak dwa ziarnka maku z korca,
A więc życzy im szczęścia stary dozorca.

Wychyliliśmy kielichy. W jednym z nich nawet Tri–Tri zanurzył swój dziobek i zaczął pić tak łapczywie, że nie można go było odpędzić, a potem przez dłuższy czas zataczał się w powietrzu.

Po tej małej uroczystości poszedłem z Rezedą na rufę, żeby swobodnie porozmawiać. Przez ostatnie dni Rezeda mieszkała u rodziców Pulba i Bulpa, gdzie znalazła troskliwą opiekę. Byli to bardzo poczciwi i pracowici ludzie. Prowadzili wytwórnictwo puchowych jaśków. Odwiedzałem tam

Rezedę potajemnie, ale wpadałem tylko na krótko, kiedy udawało mi się wymknąć niepostrzeżenie z domu. Teraz mieliśmy sobie dużo do powiedzenia i musieliśmy ułożyć nasze plany na przyszłość.

– Smutno mi będzie rozstać się z rodziną – rzekła Rezeda – ale kocham cię i chcę być przy tobie. Mamy przecież tyle wspólnych zainteresowań. Założmy hodowlę ptaków, udoskonalę moją tresurę, będę ci pomagała w pracy nad słownikami ptasich języków...

Objąłem ją ramieniem i staliśmy tak przez chwilę przytuleni do siebie, gdy nagle z wieży strażniczej rozległo się wołanie:

– Uwaga, uwaga! Cyklon w polu widzenia!

Spojrzałem w górę i dostrzegłem znajomą postać z lunetą przy oku. Był to Zyzik. Pan Kleks dotrzymał obietnicy i polecił Alojzemu, aby zatrudnił go na okręcie.

Wróciliśmy szybko do reszty towarzystwa. Pierwszy Admirał Floty bystrym spojrzeniem, bez pomocy lunety, wpatrywał się w oko cyklonu.

– Zawsze tak jest, kiedy na okręcie wojennym przemyca się baby – powiedział zgryźliwie, gdyż wszedł już całkiem w rolę marynarza, a marynarze, jak wiadomo, są bardzo przesądni.

Mruczał coś jeszcze pod nosem, po czym oznajmił:

– Tak... Oczywiście... Zbliża się ku nam cyklon "Rezeda". Z naszego okrętu mogą zostać wióry.

– Słuchaj, Alojzy, sam zajmę się tą sprawą. Moja broda znaczy więcej niż wszystkie wasze przyrządy nawigacyjne – oświadczył pan Kleks.

Mówiąc to stanął na jednej nodze i pozwolił brodzie na swobodne manewrowanie. Naładowana elektrycznością z atmosfery broda ułożyła się w szpic i odchyliła w kierunku południowo-zachodnim.

– Skręt o dwie minuty kątowne w prawo. Maszyny zastopować. Wszystkie działa na prawą burtę – zakomenderował pan Kleks.

– Skręt o dwie minuty kątowne w prawo! Maszyny zastopować! Działa na prawą burtę – zawołał Admirał do kapitana.

– Tak jest! – odkrzyknął kapitan wypluwając cygaro, po czym wydał odpowiednie rozkazy załodze.

– Cyklon "Rezeda" to największy postrach Oceanu Niespokojnego – poinformował nas Alojzy. – Swego czasu głośna była historia zatonięcia floty Porcelanii, kiedy to wszystkie statki, nie

wyłączając wodoodpornych sosjerek, poszły na dno.

– Diabli mi nadali opuszczać dom na stare lata – mruknął Weronik.

– Głowa do góry! Jestem z wami! – zawołał pan Kleks. – Cyklony to moja specjalność.

"Kwateroster Pierwszy" ustawił się prawą burtą do kierunku, skąd nadciągał cyklon, po czym zatrzymał się w miejscu, wstrząsany zgrzytem hamulców.

– Celowniczo, do dział! Obsługa wyrzutni, na stanowiska! – zakomenderował kapitan Tykwot.

– Ognia! – rozkazał pan Kleks.

Gruchnęła salwa. Samosterujące pociski rakietowe z błyskiem i świstem uderzyły w oko cyklonu.

– Jeszcze raz – ognia!

– Dobrze, wystarczy – rzekł pan Kleks, podniósł koniec brody do ust i serdecznie ją ucałował.
– Dobra broda! Kochana broda!

– Klawo! – krzyknął z góry Zyzik, gdy rozwiął się dym. – Cyklon rozbity w drobny mak!

Pożyczyłem od kapitana lunetę, żeby obejrzeć skutki bombardowania. Szczątki cyklonu rozsypały się po powierzchni oceanu jak odłamki rozbitego lustra. Oko cyklonu, podziurawione pociskami, przypominało teraz sitko do herbaty, przez które sączyły się czerwone promienie słońca.

– A więc jesteśmy uratowani – powiedział pan Kleks do Alojzego. – Pomimo że na okręcie wojennym znalazła się "baba".

Z tymi słowy szarmancko skłonił się przed Rezedą i pocałował ją w rękę, co sprawiło mi ogromną satysfakcję. Rezeda naprzód grzecznie dygnęła, a następnie rzuciła się panu Kleksowi na szyję, dziękując mu w ten sposób za wzięcie jej w obronę przed Alojzym.

Pierwszy Admirał Floty pokiwał tylko ironicznie głową, po czym rzekł patrząc na barometr:

– Tak, uwolniliśmy się od cyklonu, ale jak poradzimy sobie z burzą, która właśnie nadciąga? Trzeba bowiem pamiętać, że wkraczamy w sferę podzwrotnikowych niżów.

Spodziewałem się tego już rankiem, gdy spostrzegłem na niebie niewielkie chmurki zwiastujące burzę.

Teraz właśnie, gdy "Kwaternoster Pierwszy" znów płynął na pełnych obrotach, z nieba wystrzeliły ogniste zygzaki błyskawic, huknęły grzmoty, pioruny z sykiem posypały się w morze, tworząc gęste obłoki pary. Woda zawrzała. Na powierzchnię zaczęły wypływać ławice ugotowanych ryb, które marynarze szybko wyławiali siatkami na motyle. Po chwili lunął deszcz i rozszalała się letnia nawałnica. Nastąpiło to tak szybko, że zanim zdążyliśmy opuścić pokład, byliśmy przemoczeni do nitki.

Pan Kleks miał na sobie strój wykonany z hermetycznych, nieprzemakalnych tworzyw, toteż wystarczyło mu otrząsnąć krople deszczu, żeby zachować swój zwykły wygląd. Również broda, natłuszczona meteokleksyczną pomadą, nie ucierpiała od nawałnicy. Weronik w łazience wyjął swoje ubranie, przywdział je znowu i powiedział z dziarską brawurą:

– Twarde życie dozorca uodporniło mnie na wiele rzeczy. Ja kataru nie miewam. Jestem zahartowany jak gwóźdź!

Mówiąc to naprężył bicepsy, stanął na rękach, wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych i dodał z dumą:

– Niech się nie nazywam Weronik Czyścioch, jeśli zełgałem. Mam siedemdziesiąt lat, ale potrafię jeszcze zakasować niejednego młodzieniaszka.

Było to pite głównie do mnie, gdyż ja i Rezeda skorzystaliśmy z uprzejmości pierwszego oficera, który zaproponował nam przebranie się w marynarskie mundury, dopóki nasze ubrania nie wyschną. Trzeba przyznać, że Rezeda jako marynarz wyglądała prześlicznie.

Tymczasem dokoła nas szalała burza. Wystraszone latające ryby raz po raz uderzały o szyby okrętowych okienek. "Kwaternoster Pierwszy" przewalał się z boku na bok, stawał dęba i pod uderzeniami bałwanów wydawał z siebie głuche odgłosy.

Admirał stał na stanowisku. W głośnikach grzmiał zachrypnięty głos kapitana Tykwota. Po pewnym czasie w admirałskim salonie, gdzie popijaliśmy gorący sok laktusowy, zjawił się Zyzik. Słaniał się na nogach z przemęczenia, ciężko sapał, ale rozpierała go duma.

– Panie profesorze... – mówił chwytając powietrze – nie sprawiłem panu zawodu, prawda?... Niech pan poprosi Admirala, żeby mnie przyjął do marynarki... Profesoruniu kochany, niech pan zrobi to dla mnie.

– Siadaj tu i odpocznij – rzekł Kleks. – Jesteś dzielnym chłopcem! Widzę, że potrafisz wypić morze jednym łykiem. Za pięć lat będziesz sławnym kapitanem. Przynrzekam ci. Masz to u mnie jak w banku. A ja nigdy nie mówię na wiatr.

Gdy tylko pan Kleks wypowiedział to słowo, siła wiatru wzmogła się o pięć stopni w skali Brzechworta i okręt zaczął podskakiwać po oceanie jak pingpongowa piłka.

Stewardzi przywiązali nas pasami do foteli, żebyśmy nie porozbijali sobie głów o sufit salonu.

Zapadła noc. O podaniu posiłku nie mogło być nawet mowy. Dzban z sokiem laktusowym i szklanki dawno już potłukły się na drobny pył. Gryźliśmy w milczeniu suchary, spoglądając wyczekująco na pana Kleksa.

Wielki uczyony zagłębiony był w samoczynnej mapie, po której wodził palcem, podśpiewując beztrosko swoje "pa-ram-pam-pam".

Gdy zegar wybił północ, pan Kleks kazał stewardowi poprosić do salonu Admirala.

Alojzy zjawiał się spokojny jak zwykle. Nie znać było na nim żadnego zmęczenia. Na tym polegała jego mechaniczna wyższość nad zwykłymi admirałami.

– Zbliżamy się do celu – rzekł pan Kleks. – Od Wyspy Sobowtórów dzieli nas nie więcej niż piętnaście mil w linii prostej. Kierunek wskaże moja broda. Wracamy na pokład.

– Zaraz wydam odpowiednie rozkazy – odrzekł salutując Alojzy i wbiegł po schodach na górę.

Ruszyliśmy za nim ubezpieczeni liną, jak na wspinacze wysokogórskiej, żeby wicher nie zwał nas do wody. Szedłem na samym końcu, a ponieważ byłem w mundurze marynarskim, co chwila jakiś bosman sztorcował mnie przygadując:

– Nie obijaj się tutaj, kulfonie! Rusz się, amebo! Do roboty, nicponiu!

Rezeda współczująco ścisnęła moją rękę, ale milczała, gdyż i ona była w mundurze marynarza.

Na pokładzie wicher szalał, zapierał dech, ale deszcz jakby ustał. Kapitan Tykwot, krztusząc się cygarowym dymem i spluwając z obrzydzeniem, niestrudzenie wydawał rozkazy. Przeszliśmy na dziób okrętu. Pan Kleks wysunął brodę do przodu, oparł lunetę na ramieniu Alojzego i bacznie patrzył w dal. Naprzód mruczał coś w sposób niezrozumiały, a po chwili zaczął wyrzucać z siebie krótkie, urwane zdania:

– Ciekawe... Nic nie rozumiem... Nie ma Wyspy Sobowtórów. Po prostu nie ma jej. A przecież moja mapa jest nieomylna. Musiało stać się coś niezwykłego. Zaraz, zaraz... Nie do wiary! Tam pływa wierzchołek wyspy. Sam wierzchołek! Widocznie cyklon rozłupał wyspę w linii poziomej. Wierzchołek wraz z domem ocalał i pływa po powierzchni jak spodek. Alojzy, każ wzmocnić reflektory... O! Widzę! Widzę! Dom z ogrodem! Trzeba wypuścić rakiety! Prędszej, prędszej!

Alojzy wysłał Zyzika z rozkazem do kapitana i po chwili wzbiły się do nieba trzy oślepiające rakiety w narodowych barwach Alamakoty: żółta, czerwona i zielona.

Pan Kleks przetarł szkło lunety i jeszcze baczniej wpatrywał się w dal.

– Jest! Jest! – zawołał radośnie. – Przed domem stoi kobieta. To Multiflora! A obok niej dwa czarne psy. Słowo daję! To są pudle!

Alojzy nie słuchał dalszych relacji pana Kleksa, tylko pobiegł długimi susami do kapitana.

Przybliżyliśmy się do pływającego wierzchołka wyspy tak, że na skrzyżowaniu światła i reflektorów można było gołym okiem dojrzeć czworograniasty zarys domu.

Okręt obrócił się lewą burtą, zatrzęsł się, zadygotał i stanął w miejscu, walcząc dzielnie z wichurą i nawałą rozwścieczonych bałwanów.

W przeciągu paru minut spuszczone łódź, w której dwunastu marynarzy wraz z Zyzikiem wyprawilo się po Multiflorę. Ale pomimo nadludzkich wysiłków walka z żywiołem okazała się bezowocna. Z huczącej kipieli wystrzelały w górę olbrzymie wodospady, zwały się na łódź istnym potopem i usiłowały unicestwić ją razem z dzielną załogą.

Kapitan wydał rozkaz powrotu i wtedy właśnie nagły poryw wichru potężnym uderzeniem roztrzaskał łódź o kadłub okrętu.

Rozległ się alarmowy sygnał "człowiek za burtą". Posypały się do morza koła ratunkowe. Marynarze uwijali się jak osy, niosąc pomoc tonącym towarzyszom. Ale oto zwabione łatwym żerem nadpłynęły rekiny. Sytuacja stawała się z każdą chwilą groźniejsza. Załoga zdwoiła wysiłki. Wreszcie udało się wyłowić wszystkich marynarzy. Tylko jednego Zyzika fala odrzuciła daleko od okrętu.

– On zginie! – wołała rozpaczliwie Rezeda. – Ratujcie go! Przecież te rekiny pożrą biedaka!

Nawet pan Kleks stał bezradny, z przerażeniem w oczach.

Żaden z marynarzy nie odważył się pośpieszyć Zyzikowi na ratunek. I właśnie wtedy Pierwszy Admirał Floty, tak jak stał, w swoim białym mundurze przepasanym wielką wstęgą Koguta z gwiazdą, jednym susem przesadził poręcz burty i skoczył w spienione odmęty. Jego mechaniczne członki działały z błyskawiczną szybkością i nieomylną precyzją. Po kilku zamachach ramion Alojzy dosięgnął Zyzika, kilkoma uderzeniami pięści jak żelazną maczugą ogłuszył napastujące go rekiny i zanim zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, wniósł nieprzytomnego chłopca po sznurowej drabince na pokład.

Urządziliśmy Admirałowi huczną owację, a pan Kleks uściskał go ze łzami w oczach, mówiąc:

– Kochany Alojzy! Jesteś prawdziwym dziełem moich rąk. Panie, panowie, nie żyje ministron Alojzytron, Pierwszy Admirał Floty!

– Niech żyje! – krzyknęła wraz z nami cała załoga okrętu, a Weronik najgłośniejszemu ze wszystkich.

Zyzik szybko odzyskał przytomność.

– Panie Admirale – zwrócił się do Alojzego – zawdzięczam panu życie, toteż może pan nim rozporządzać wszędzie i zawsze.

Alojzy spojrział na niego z aprobatą, po czym przypiął mu na piersi jeden z własnych orderów.

Zasłużyłeś na wyróżnienie, chłopcze – powiedział. – Wysoko zajdziesz. Mianuję cię bosman-matem w marynarce Jego Królewskiej Mości.

Zyzik zaczerwienił się po uszy i nie mógł wykrztusić słowa. Powinszowałem mu nominacji, a pan Kleks mrugnął do niego porozumiewawczo i szepnął ponad moją głową:

– A nie mówiłem? Pa-ram-pam-pam!

Opisałem tę scenę nieco rozwlekłe, w istocie jednak trwała ona minutę albo mniej. Przez cały ten czas Rezeda nie odstępowała pana Kleksa, wołając rozpaczliwie:

– Panie profesorze, błagam pana! Róbcie coś! Ratujcie mamę! Każda chwila jest droga! Boże, mój Boże, co za ludzie! Czy pan nie rozumie? Tam jest moja mama!

Wichura ustała, niebezpieczeństwo minęło – rzekł pan Kleks. – Musimy zachować spokój. Proszę pozwolić mi się zastanowić.

Po tych słowach stanął na jednej nodze, wypuścił brodę na wiatr i przy pomocy swego wszechwidzącego oka raz jeszcze zbadał sytuację.

– Admirale! – rzekł po chwili, bowiem w obecności załogi zawsze tytułował Alojzego wedle jego rangi. – Admirale, przewidywania moje były słuszne. Nie możemy zbliżyć się do wyspy, gdyż Multiflora musiałaby zejść na jej krawędzi, co wywołałoby zachwianie równowagi, a wystarczy najmniejszy przechył, żeby ten pływający pagórek wywrócił się do góry dnem. To jedno. Po wtóre nie zapominajmy, że dom, który tam widzimy, stanowi cały dobytek pana Lewkonika. Otóż mam myśl. Musimy ocalać cypel wyspy wraz ze wszystkim, co się na nim znajduje, wziąć na hol i w ten sposób przetransportować go do Alamakoty.

Alojzy, który już przedtem znalazł odpowiedni moment, żeby przebrać się w świeży mundur, zasalutował i po krótkim namyśle oświadczył:

– Panie profesorze, mój mózg rozważył zadany mu program. Zaraz go zrealizujemy. Kapitanie, zarządzam przeniesienie wszystkich lin okrętowych na lewą burtę. Załoga połączy je podwójnymi supłami w jedną całość. Podczas manewru brania na hol ogniomistrze wystrzelą kolejno piętnaście rakiet. Wykonać!

– Tak jest, panie Admirale! – krzyknął kapitan Tykwot, po czym przekazał rozkaz pierwszemu oficerowi.

– Linę trzeba będzie wystrzelić z wyrzutni, inaczej nie doleci – zauważył rezolutnie Zyzik.

Przenieśliśmy się wszyscy na dziób okrętu, żeby nie przeszkadzać marynarzom w pracy. Stos lin powiększał się z każdą chwilą, mechanicy wiązali ich końce w supły i zabezpieczali na stykach stalowymi uchwytami. Długość lin wynosiła łącznie ponad tysiąc metrów.

Ponieważ siła wiatru osłabła i fala stała się mniej groźna, kapitan przybliżył okręt do pływającej wyspy na odległość odpowiadającą długości liny.

Gdy praca była już skończona, Alojzy własnoręcznie zrobił na końcu liny olbrzymią pętlę. Marynarze, którzy mu pomagali – a było ich kilkunastu – ledwo uporali się z ciężarem tego konopnego węża.

I tu Alojzy dał olśniewający popis kleksycznej siły swych mięśni. Wystrzeliły w górę rakiety, a on chwycił pętlę w łuk prawego ramienia, zamachnął się ruchem dyskobola i wyrzucił linę jak łąso w kierunku widniejącego w oddali ciemnego wierzchołka wyspy.

Wyrwałem z rąk pierwszego oficera pryzmatyczną lunetę, spojrzałem w ślad za lecącą pętlą i wydałem okrzyk zdumienia. Zwoje lin na pokładzie rozwijały się z szaloną szybkością, puszczone w ruch gigantyczną, nadludzką siłą rzutu, a tam w oddali dojrzałem pętlę, która z niewiarygodną precyzją opasała czworobok domu.

Pan Kleks z rozrzewnieniem spoglądał na Pierwszego Admirała Floty, na wiekopomne dzieło swego umysłu. To, czego dokonał Alojzy, przekroczyło najśmielsze przewidywania jego twórcy.

Załoga osłupiała z podziwu. W oczach marynarzy można było wyczytać uwielbienie dla Admirała.

Weronik, który nieraz przecież sam popisował się swoją niezwykłą siłą fizyczną, teraz był całkowicie olśniony wyczynem Alojzego. Nie tracąc jednak poczucia rzeczywistości, splunął w dłonie, potarł je, chwycił Admirała i trzykrotnie podrzucił go w górę. Załoga przyłączyła się do owacji i niewiele brakowało, żeby z admiralskiego munduru pozostały strzępy. W każdym razie trzeba było potem przez dłuższy czas zbierać pozrywane i rozsypane po całym pokładzie ordery Alojzego.

Rezeda z niepokojem spoglądała w kierunku wyspy, posłała bowiem Tri–Tri z listem do Multiflory.

Kapitan podał sternikowi kierunek. Okręt wolno popłynął w drogę powrotną. Ze względu na holowany wierzchołek Wyspy Sobowtórów nakazana była szczególna ostrożność.

Wypłynęliśmy ze strefy burz i deszczów. Wiatr ustał, niebo się wypogodziło, zajaśniała pełnia Księżyca.

Część załogi, która nie miała służby, opuściła pokład. Kapitan Tykwot z obrzydzeniem wypluł cygaro do morza i również udał się na spoczynek. Alojzy osobiście stanął przy sterze. Zresztą zawsze trwał w pozycji stojącej, gdyż jego sztuczna konstrukcja doskonale obydwała się bez snu i odpoczynku. Właściwość ta godna była pozazdroszczenia, bo nasza czwórka musiała nieustannie zażywać wzmacniające pigułki pana Kleksa, żeby nie ulec zmęczeniu.

Weronik przystąpił z zapalem do polerowania przyrządów nawigacyjnych, usiłując po deszczu wydobyć z nich dawny połysk. Ubawiło to bosmana, który rzekł po alambajsku:

– Pan Werurnik ma takie zamiłowanie do czysturści, że purwinien nazywać się Czyściurch.

– Panie bosmanie – odparł Weronik z godnością – ten żart jest nie na miejscu. Proszę nie zapominać, że kiedy pańskich przodków zjadały pijawki, mój pradziad walczył pod Białą Muszką o wyzwolenie zielonoskórych Cytrusów. Dbam o czystość, to prawda, ale nie zajmuję się skubaniem kurzego pierza.

Bosman nie zrozumiał tej aluzji, mruknął więc tylko pod nosem:

– Szczur lądowy – szkoda mowy!

Pan Kleks wszedł na mostek kapitański. Domyśliłem się od razu, że posłał w kosmos swoje wszechwiedzące oko, stał bowiem ze spuszczoną głową, w postawie wyczekującej, nie zwracając uwagi na pierwszego oficera, który zastąpił kapitana Tykwota.

Widzialność była teraz doskonała, toteż Rezeda mogła bez trudu obserwować swój dom rodzinny.

– Nie widzę tam żadnego ruchu – powiedziała zatroskana. – Tri-Tri nie wraca... Światła w oknach pogasły. Biedna mama...

Starałem się pocieszyć Rezedę i rozproszyć jej smutne myśli. Z pomocą przyszedł mi pan Kleks, który właśnie w tej chwili zwinnie zbiegł na pokład.

– Obejrzałem z bliska powierzchnię Księżyca. Moje wszechwiedzące oko wróciło właśnie z wyprawy. Kosmiczna stacja przeładunkowa działa bezbłędnie. Ale oświadczam uroczyście: ja w tym udziału brać nie będę. Nie będę na razie penetrował przestrzeni międzyplanetarnych, gdyż za dużo jest jeszcze spraw do załatwienia na Ziemi. Dopóki tu panują choroby, nieszczęścia i niedostatek, moim obowiązkiem jest myśleć o ludziach. Tak, moi drodzy! Ludzie na Ziemi to dla mnie rzecz najważniejsza.

Po tych słowach spojrział na Rezedę, odgadł jej niepokój i dodał głosem pełnym ciepła, jak to on tylko potrafił:

– Nie trzeba się martwić, panno Rezedo. Wszystko jest w zupełnym porządku, broda czuwa. Może mi pani zaufać.

Ledwie to wyrzekł, nadleciał Tri–Tri niosąc w dziobku List od Multiflory. Rezeda odczytała go na głos, a my słuchaliśmy w największym skupieniu.

"Dziecko moje drogie – pisała matka Rezedy – ratunek przyszedł w samą porę. Teraz, kiedy ustała burza, cypel, na którym ocalał nasz dom, płynie za okrętem spokojnie jak tratwa. Katastrofa wydarzyła się w nocy przed dwoma dniami. Słyszałam podziemne huki, grunt pod nogami pękał wśród groźnych wstrząsów. Rano poznałam rozmiary klęski. Cała wyspa, prócz skrawka ziemi z naszym domem, zapadła się w otchłań. Potem krowa obsunęła się do morza i utonęła. Kozę porwał kondor. Zostały mi się dwa nasze pudle. Żywimy się owocami i wodą deszczową. Przed tygodniem odwiedził mnie profesor Kleks..."

– Co? – zawołał uczony unosząc brwi ze zdumienia. – Ja odwiedziłem Multiflorę? To niesłychane! Znowu jakaś sztuczka nieponia! Admirale! Admirale, proszę tu do mnie!

Alojzy zbliżył się sprężystym krokiem i uprzejmie zsalutował.

– Słuchaj, Alojzy – rzekł surowo pan Kleks – znowu wyszły na jaw twoje bezeceństwa. Nic mi nie mówiłeś, że byłeś na Wyspie Sobowtórów, a w dodatku bezczelnie wystąpiłeś w mojej postaci! Jak mam rozumieć to zuchwalstwo, co?

– Panie profesorze – odparł potulnie Alojzy – istotnie podsłuchałem rozmowę o Multiflorze i postanowiłem ją odwiedzić...

– Jak mogłeś podsłuchać będąc gdzie indziej? – zawołałem zdziwiony.

– Wykazujesz, Adasiu, zupełny brak pamięci – odparł Alojzy z politowaniem. – Pan Kleks w moim prawym uchu zainstalował dalekosiężny bębenek podsłuchowy. Sam pomagałeś mu przykręcać platynowe blaszki. Dzięki temu urządzeniu potrafię chwycić z odległości pięćuset metrów najcichszy nawet szept. Nic się przede mną nie ukryje. Otóż kiedy dowiedziałem się wszystkiego o pani Multiflorze, wsiadłem na statek, który szedł kursem na Archipelag Rabarbarski omijając o pół stopnia Wyspę Sobowtórów. Resztę drogi odbyłem wplaw, gdyż jak panu wiadomo, panie profesorze, jestem nieprzemakalny, w wodzie nie tonę i nie odczuwam zmęczenia mięśni. Ale proszę wziąć pod uwagę, że wszystko to stało się, zanim odzyskałem sprężynę prawidłowego myślenia. Teraz, odkąd jestem doskonale wykończony, nie uczyniłbym oczywiście nic podobnego.

Wyznanie Alojzego rozbroiło pana Kleksa. Poklepał go po ramieniu i pokiwał wyrozumiale głową.

– Powiedz mi jednak – zapytał – co tam nawyprawiałeś na mój rachunek?

– O, nic wielkiego – odrzekł Alojzy. – Powiedziałem pani Multiflorze, że pan Lewkonik z tęsknoty wysechł jak tyczka, i... obiecałem jej, że będzie królową Alamakoty.

– Ach, ty kawalarzu! – zawołał pan Kleks. – Niewiele jednak odbiegłeś od prawdy. Multiflora nie zostanie z twojej łaski królową, będzie jednak matką królowej. Też nieźle. Co zaś do pana Lewkonika, to całe szczęście, że nie schudł, bo straciłby swój największy wdzięk. Przecież on jest rozkoszny z tym swoim brzuszkiem.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Alojzy. – Powiedziałem też pani Multiflorze, że wynalazłem kleksyczny pobudzacz wzrostu roślin i że dzięki niemu pan Lewkonik wyhodował w Alamakocie krzaki róż wielkości palmy. I to właśnie zainteresowało ją najbardziej. Teraz będzie klops.

Pan Kleks roześmiał się i rzekł ironicznie:

– Mogłeś również dobrze powiedzieć, aby mnie do reszty skompromitować, że pan Lewkonik urósł jak baobab i zrobił się rozłożysty jak drzewo figowe albo że panny Lewkonikówny zamieniły się w żyrafy. Ale twoja fanfaronada już się skończyła, mój Alojzytronie. Dawne czasy nie wrócą.

– Do usług, panie profesorze – powiedział z uśmiechem Alojzy. – Może pan na mnie polegać jak na własnej brodzie!

– A teraz idziemy spać – oświadczył pan Kleks i dziarsko pomaszerował wzdłuż pokładu. Rezeda, spokojna już o los matki, zgodziła się również zejść do kajuty.

– Czeka nas pięć godzin snu – zauważył Weronik. – Dozorca, który musi w nocy otwierać bramę, nigdy nie sypia więcej.

Na posterunku został tylko niez mordowany Pierwszy Admirał Floty.

Tak, dzieło pana Kleksa było naprawdę największym osiągnięciem ludzkiego umysłu.

ŚWIĘTO KRÓLEWSKIEGO KOGUTA

Alamakota prowadziła politykę pokojową, nie utrzymywała armii lądowej ani floty powietrznej, posiadała jednak potężną marynarkę, na którą składały się: okręt flagowy "Kwaternoster Pierwszy", dwanaście alambajów o napędzie alamakotowym, dwadzieścia cztery szybkooguty dalekiego zasięgu, sześć kuromiotaczy i trzydzieści pancernych bajkajaków. Jednostki te, z wyjątkiem okrętu flagowego, pływały pod zmyślonymi banderami, co miało zmylić państwa żądne podbojów i uchronić Alamakotę przed zaborcami.

Flota nie podlegała ministronowi Pokoju, gdyż mógłby on w przystępnie złego humoru wdać się w niepożądany zatarg międzynarodowy. Do zadań floty oceanicznej należało wyłącznie konwojowanie flotylli poduszkowców i jajostatków służących wymianie handlowej.

Alamakotańskie poduszkowce nazywały się tak dlatego, że były wypchane kurzym pierzem jak poduszki. W czasie trwania transportu w ich ciepłe wylęgały się z jajek kurczęta. Poduszkowiec mógł zabrać w swoich ładowniach sto tysięcy jaj, a do portu przeznaczenia przywoził sto tysięcy żółtych piszczących kurczątek. Jakiż to musiał być zachwycający widok!

Kiedy "Kwaternoster Pierwszy" wczesnym rankiem zbliżał się do macierzystego wybrzeża wszystkie jednostki floty wciągnęły flagi na maszt, a kuromiotacze oddały salwę honorową. Na wybrzeżu zgromadziły się tłumy wiwatujące na cześć Admirala, pana Kleksa, a zwłaszcza Multiflory, matki przyszej królowej. Okazało się bowiem, że wieść o małżeńskich zamiarach króla rozeszła się lotem kolibra po całym kraju.

Na redzie dostrzegłem "Płetwę Rekina", która przybyła właśnie do Alamakoty z ładunkiem oksydowanych zegarków. Zdążyłem szepnąć Zyzikowi, aby skoczył do znajomego kapitana statku i poprosił go o zarezerwowanie czterech kajut na rejs powrotny.

W porcie czekał na nas ministron Dworu Trąbatron, nasz przyjaciel Limpotron, pan Lewkonik z czterema córkami, Bulpo, Pulbo oraz wyżsi urzędnicy Admiralicji.

Był piękny bezchmurny dzień lipcowy.

Po krótkim powitaniu Alojzy wydał zarządzenia dotyczące pływającej wysepki, która w oddali kołysała się na spokojnych falach.

Marynarze zarzucili koniec liny na obrotowy bęben i mozolnie jęli ją nawijać przyciągając wysepkę do nabrzeża.

Gdy ten maleńki skrawek Wyspy Sobowtórów przycumował wreszcie do wyznaczonego miejsca, mechanicy zabezpieczyli krawędzie wysepki żelazną listwą, wmontowali kotwicę i rzucili ją na dno według wszelkich zasad sztuki marynarskiej.

Dopiero teraz mogliśmy po trapie wstąpić na tę ziemię, którą nazwano "Anemonową Piętką", gdyż przypominała kształtem piętkę uciętą z okrągłego bochenka chleba.

Dom państwa Lewkoników zachował się znakomicie. Nie bez zdziwienia stwierdziłem, że podczas katastrofy nie zarysowały się mury ani nawet z okien nie wypadły szyby. Drzewa w sadzie uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców, a w powietrzu unosił się odurzający aromat róż.

Jak widzicie, rozmyślnie zwlekam z opisem czułego powitania rodziny Lewkoników z Multiflorą, gdyż nie posiadam poetyckiego daru Piwonii i brak mi po prostu słów na odtworzenie tej wzruszającej sceny. Wystarczy jeśli powiem, że Weronik szlochał jak bóbr, wspominając zapewne nieboszczkę Weronikę, a pan Kleks siąkał nosem i z trudem powstrzymywał łzy.

Hodowca róż rzeczywiście nie przesadził, gdy mówił o niezwykłej urodzie Multiflory. Przy swoich córkach wyglądała jak ich starsza siostra. Pomimo rozłąki z rodziną i wielu ciężkich przejść z ostatnich dni pełna była promiennej pogody i ujmującego wdzięku, jak gdyby ta chwila szczęścia starła z jej twarzy wszelkie ślady trosk i zmęczenia.

"Anemonowa Piętka" była umeblowana z dużym smakiem i posiadała wszelkie nowoczesne urządzenia, mające służyć wygodzie jej mieszkańców.

Tak więc pan Lewkonik wraz z córkami mógł od razu przenieść się do własnego domu. Weronik zgodził się zamieszkać tam na czas krótki celem zaprowadzenia porządku i załatwienia różnych formalności administracyjnych, jak założenie księgi meldunkowej, umocowanie tabliczki z nazwą ulicy, przyłączenie do sieci oświetleniowej i kanalizacyjnej, uzyskanie zezwolenia na przerzucenie trwałego mostku, wyrobienie prawa do własnej kotwicy, zarejestrowanie prywatnej hodowli kwiatów, uporządkowanie numeracji domu, przydział państwowych jajek itd.

Stary dozorca ochoczo zabrał się natychmiast do pracy, był to bowiem jego żywioł.

Skoro cała rodzina Lewkoników, a wraz z nią Weronik, opuściła gościnne apartamenty Limpotrona, zostałem tam sam z panem Kleksem. I chociaż uczony dzięki swej niezwykłej przenikliwości był już mniej więcej zorientowany w moich kłopotach rodzinnych, skorzystałem ze sposobności, żeby opowiedzieć mu dokładnie przebieg znanych wam wydarzeń.

Pan Kleks wysłuchał mnie uważnie, pomyślał chwilę, po czym rzekł z wyrzutem:

– Drogi Adasiu, tyle pracy włożyłem w twoją edukację, wlałem beczkę oleju do twojej głowy, nauczyłem cię prawidłowego myślenia, z niemałym trudem oświeciłem zakamarki twojego umysłu, a ty opowiadasz mi takie niestworzone brednie. Jak ty, człowiek wykształcony, mogłeś uwierzyć w przemianę twego ojca w ptaka? Czy coś podobnego zdarza się kiedykolwiek na świecie? Weronik wszystko to wyssał z palca, a ty dałeś się nabrać na taką piramidalną bujdę. Jak ci nie wstyd?! A co do Alojzego, to wiadomo, że przez cały czas poprzedzający twój przyjazd był tu w Alamakocie, udawał ciebie i grywał ze mną w "trzy wiewiórki". Nie mógł więc występować w roli listonosza.

Cenię fantazję, owszem, ale nawet fantazja musi być sensowna.

Słowa pana Kleksa spadły na mnie jak nagłe olśnienie. Zrozumiałem całą niedorzeczność bajki o przemianie mego ojca w ptaka. Że też mogłem ulec podobnemu zamroczeniu umysłu! Stałem przed ukochanym profesorem czerwony jak rak i miałem ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Ale równocześnie ogarnęła mnie radość na myśl, że rodzicom nie przytrafiło się nic złego i że nie grozi im niebezpieczeństwo.

Z zakłopotania wybawił mnie Zyzik, który wpadł zdyszany, wołając od progu:

– Proszę pana... Proszę pana... Wszystko załatwiłem... "Płetwa Rekina" odpływa pojutrze o ósmej rano. Kapitan bardzo się ucieszył. A cztery kajuty będą przygotowane!

– Nie ma to jak dzielny bosman–mat – rzekł pan Kleks ujawszy się pod boki. – Nie cofam tego, co w nocy powiedziałem. Za pięć lat będziesz sławnym kapitanem.

Do odjazdu mieliśmy więc jeszcze dwa dni, z czego byłem nawet zadowolony, gdyż Święto Królewskiego Koguta połączone z zaręczynami króla zapowiadało się niezwykle interesująco. Zresztą i moje zaręczyny z Rezedą wymagały omówienia z jej rodzicami. Opuściłem więc pana Kleksa i udałem się na "Anemonową Piętkę".

Zastanawia was pewno, dlaczego w kraju tak cywilizowanym jak Alamakota nie było telefonów i każdą sprawę musiało się załatwiać osobiście. Otóż przed laty istniały tam odpowiednie instalacje i urządzenia, ale telefony nieustannie się psuły i ludzie tracili połowę czasu na daremne zabiegi w celu uzyskania połączenia. Doszło do tego, że praca w biurach i urzędach niemal całkiem ustała. Wszyscy bowiem bez przerwy zajęci byli bezskutecznym nakręcaniem numerów. Toteż w końcu ministrów Pogody i Czterech Wiatrów, któremu sprawy te podlegały, postanowił dla dobra państwa zlikwidować raz na zawsze telefony, a zamiast nich wprowadzić hulajnogi, aby obywatele mogli się ze sobą szybko porozumiewać.

Tak więc bez telefonicznej zapowiedzi zjawiłem się na "Anemonowej Piętkie". Przed domem tłumnie zgromadziła się młodzież, zaciekawiona nie tyle osobliwą posiadłością rodziny Lewkoników, co dwoma ich psami, jako że w Alamakocie zwierzęta te pojawiły się po raz pierwszy. "Anemonowa Piętko" odegrała w danym wypadku rolę Arki Noego, na której uratowała się jedna para psiego gatunku. Jak już wspomniałem, były to dwa czarne pudle, matka i syn, o dźwięcznych imionach Negri i Negrifon. Oba pieski stały na parapecie otwartego okna, wesoło merdały ogonkami i od czasu do czasu krótko poszczekiwały z właściwą pudlom zyczliwością.

Rezeda już zdążyła zawiadomić rodziców o swojej decyzji. Pan Lewkonik, który w ciągu tych dni dostatecznie mnie poznał i cenił jako ulubionego ucznia słynnego profesora Kleksa, zgodził się oddać mi za żonę swoją córkę pod warunkiem, że wszystkie wakacje będziemy spędzali w Alamakocie. Natomiast Multiflora była wyraźnie zawiedziona, że nie jestem ogrodnikiem.

– Zawsze pragnęłam, aby moje córki poświęciły się hodowli kwiatów, ale tylko Dalia i Hortensja spełnią pokładane w nich nadzieje. Pan specjalizuje się w ptasich gwarach i narzeczach. Czy to odpowiednie zajęcie dla uczonego? Dla zięcia hodowcy róż? Ale skoro Rezeda pana kocha, to i w moim sercu znajdzie się dla pana ciepły kącik.

Mówiąc to ucałowała mnie w oba policzki, a pan Lewkonik zawołał z radością:

– Musimy uczcić te zaręczyny! Piwonio, wymyśl na cześć młodej pary jakiś wierszyk.

Piwonia stanęła pomiędzy mną a Rezedą i zadeklamowała dźwięcznym głosem:

Lewkocórek sznurek pięć
Do Rezedy kiedy pędź
Adam radam ojciec chęć
Mama sama ćwir-
ćwir zięć

Pan Lewkonik aż podskoczył z zachwytu i natychmiast wytłumaczył nam sens tego wierszyka. Chodziło mianowicie o to, że spośród pięciu córek państwa Lewkoników o Rezedę stara się Adam, czyli ja. Ojciec bardzo jest temu rad i nawet mama zgadza się mieć za zięcia specjalistę od ptasich świergotów.

Wszyscy byli wzruszeni subtelnością tego utworu, szkoda tylko, że Dalia serią kochnięć zagłuszyła zakończenie wiersza. Nagrodziliśmy autorkę hucznymi oklaskami, a Rezeda serdecznie uściskała Piwonię, która zaczerwieniła się i rzekła:

– Czuję, że jestem stworzona do poezji. Dlatego też nie chcę wychodzić za męża. Ani za ogrodnika, ani za króla! Prawdziwy poeta musi być wolny, aby móc całkowicie poświęcić się twórczości.

Pan Lewkonik popatrzył na nią z dumą, a Multiflora ze smutkiem. Bliższe jej były róże niż poezja.

W tym momencie zjawili się Bulpo i Pulbo. Wprawdzie serce matki na pewno bardziej radował widok dwóch ogrodników jako przyszłych zięciów, jednak pani Lewkonikowa nie okazywała im większych względów niż mnie, chociaż byłem tylko skromnym kleksykologiem, badaczem ptasich języków. Zapewniam was, że potrafiłem ocenić tę jej delikatność i takt.

Zaręczyny dwóch następnych par odbyły się w równie uroczysty sposób, to znaczy, że Piwonia zaimprovizowała na ich cześć zawily, ale pięknie brzmiący poemacik. Tym razem Dalia powstrzymała się od kichania, a Hortensja poruszając wargami prowadziła sama z sobą bezgłosny dialog, co jednak wyglądało tak, jakby powtarzała po cichu wiersz Piwonii.

Pan Lewkonik zaprosił całe towarzystwo do sadu i poczęstował nas rzadkimi gatunkami owoców, wyhodowanymi przez Multiflorę.

Skorzystałem z dogodnego momentu, żeby się urwać i pójść na rozmowę do Weronika. Zastałem go na drabinie, w chwili gdy przytwierdzał do muru tabliczkę z napisem "Anemonowa Piętka". Zszedł do mnie i mrużąc jedno oko, przyglądał się jeszcze przez chwilę swemu dziełu. Wreszcie rzekł:

– Wyjeżdżamy, panie Niezgódka. Czas wracać do domu! Ciekaw jestem, co tam zaszło nowego.

– Panie Weroniku – powiedziałem oschle – przychodzę do pana po pewne wyjaśnienia. Co panu strzeliło do głowy, żeby wmówić we mnie, jakoby mój ojciec przemienił się w ptaka? A w dodatku twierdzić, że widział pan to na własne oczy? Dlaczego mnie pan otumanił? I na co była ta komedia z listonoszem. Czy tak postępuje szanujący się dozorca? Czy w tej sytuacji lokatorzy mogą mieć do pana zaufanie? Do takiego świszczypały? Właśnie teraz, kiedy zbliża się pański jubileusz, przekreślił pan swoim postępowaniem dorobek pięćdziesięciu lat życia! Wstyd, hańba, panie Czyścioch!

Nigdy dotąd nie wygłaszałem tak długich przemówień, toteż pot spływał mi z twarzy grubymi kroplami.

Weronik do tego stopnia przejął się stawianymi mu zarzutami, a zwłaszcza moim wzburzonym tonem, że dostał długotrwałego ataku czkawki. Uderzyłem go kilkakrotnie w plecy. Zabieg ten w końcu poskutkował.

– To straszne – powiedział blady jak płótno stary dozorca. – To okropne! Pan Chryzantemski wystrychnął mnie na dudka. To jego robota! Przysięgam panu na pamięć nieboszczki Weroniki, że to jego robota! Nigdy bym czegoś podobnego sam nie wymyślił. Uwierzyłem temu oczajduszy! Więc to wszystko była nieprawda? Wszystko? Więc mój honor dozorczy leży w błocie?

– Tak, panie Weroniku – odrzekłem ze złością – ładnie mnie pan urządził. Niech się pan nie zasłania jakimś panem Chryzantemskim. Widziałem go raz w życiu. Nie wiem nawet, co to za jeden?

– Jak to? – zawołał zdumiony Weronik. – Pan nie wie? Pan nie słyszał o Modeście Chryzantemskim? O sławnym Modeście Chryzantemskim? To przecież pierwszy mąż Pepy Pergamut, która znana była pod pseudonimem Pepda–Papda. Razem występowali we wszystkich cyrkach świata. Ona popisywała się tresurą zwierząt, a on zasłynął jako niezrównany iluzjonista i sztukmistrz. Niektórzy uważali go nawet za magika. Prześcignął go za przeproszeniem tylko jeden człowiek: Ambroży Kleks. Teraz pan Chryzantemski jest stary, dawno już przeszedł na emeryturę, ale czasami jeszcze, dla wprawy, pokazuje różne sztuki. Potrafi na przykład z pustego kapelusza wyciągnąć piętnaście żywych królików albo wypuścić z ucha makolągwę, skowronka lub szpaka. Taką właśnie sztukę pokazał mi, kiedyśmy byli w mieszkaniu pana Niezgódki. A ja dałem się nabrać! Zgłupiałem na stare lata. Dać się tak zaczarować! Teraz nie będę mógł lokatorom spojrzeć w oczy. Zwłaszcza pańskim rodzicom, panie Adasiu. Nie pozostaje mi nic innego, jak ustąpić ze stanowiska i pójść na zamiatacza ulic.

Żał mi się zrobiło starego dozorcę. Zresztą, czy wolno mi było mieć do niego pretensję o to, że uległ wzrokowemu złudzeniu, skoro ja, człowiek o rozległej wiedzy, okazałem się mniej łatwowierny? Musiałem go długo pocieszać, a nawet zapewniać, że właściwie dobrze się stało, jak się stało, gdyż dzięki całej tej historii zwiedziłem Alamakotę, a co najważniejsze – poznałem moją ukochaną Rezedę.

Ten argument trafił mu do przekonania. Uspokoił się nieco, westchnął raz i drugi, po czym wrócił do przerwanej pracy, którą chciał przed odjazdem doprowadzić do końca.

Resztę dnia spędziłem z Rezedą. Spacerowaliśmy po ulicach i przyglądaliśmy się, jak robotnicy rozwieszają transparenty, flagi i lampiony. Cała ludność Alamakoty przygotowywała się do Święta Królewskiego Koguta.

Wieczorem, gdy wróciłem do domu, pan Kleks już spał poświstując i pochrapując. Śniły mu się widocznie jakieś bardzo poważne sprawy. Ten wielki uczyony umiał nawet we śnie dokonywać wiekopomnych wynalazków.

Na stole znalazłem zaproszenie treści następującej:

"Ministron Dworu Trąbatron ma zaszczyt zaprosić pana doktora Adama Niezgódkę do orszaku królewskiego, który wyruszy na uroczystość królewskich zaręczyn w dniu Święta Królewskiego Koguta o godzinie osiemnastej. Zbiórka na placu przed pałacem. Uprasza się o ścisłe przestrzeganie ceremoniału. Obowiązuje strój galowy."

Nazajutrz rano obudził mnie Tri-Tri. Przyniósł liścik od Rezedy. Pan Kleks już nie spał. Siedział na podłodze i w grubym zeszycie szkicował plany przyszłej bąblobudowy. Dawniej robił to zawsze unosząc się w powietrzu, ale ostatnio poniechał tego zwyczaju, gdyż twierdził, że nadwerżył sobie pęcherzyk powietrzny.

– Zresztą – oświadczył pewnego dnia – mam teraz inne sposoby. Dawniej umiałem przybierać tylko postać przedmiotów martwych, jak guzik od czapki bogdychanów albo flaszka atramentu. Odkąd jednak odkryłem energię kleksyczną i udoskonaliłem moje przebieralniki, posiadam o wiele większe możliwości. Ale to mój sekret, którego nie zamierzam ujawniać, gdyż ludzie swoim zwyczajem obróciliby zaraz mój wynalazek na własną szkodę.

Rezeda w imieniu swoim i państwa Lewkoników prosiła w liście, abym wraz z panem Kleksem przyszedł do nich na obiad.

Korzystając z wolnego przedpołudnia, udałem się do miasta. Chciałem obejrzyć alamakotańskie osobliwości i zwiedzić muzea, których dotąd nie udało mi się jeszcze poznać. Szczególnie zainteresowało mnie Muzeum Historyczne. Wystawiona tam była kolekcja pijawek z epoki bagiennej, wypchane Królewskie Koguty z poprzednich lat, pierwszy zepsuty zegarek, starożytne kieliszki do jajek, tratwa, na której Bajdoci przybyli do Alamakoty, modele hulajnóg

używanych na przestrzeni wieków, gipsowy odlew trzeciej nogi nieznanego sportowca, portrety dawnych królów od Bambosza Koślawego aż do Kwaternostrza I oraz wiele innych nader ciekawych eksponatów.

Zwiedziłem również Pracownię Akustyczną Grających Muszli, Fabrykę Galowego Proszku, Nadymalnię Rybich Pęcherzy, Wytwórnię Transparentów Państwowych, Zakład Przecierania Królewskich Okularów, Alamakotekę, gdzie były wystawione obrazy z życia drobiu malowane przez wybitnych ptaszystów, a nadto kilka zakładów naukowych, w tej liczbie Szkołę Pedalów Fortepianowych na trzy nogi oraz Instytut Znaków Przystankowych.

Pełen niezapomnianych wrażeń wróciłem do pana Kleksa i razem udaliśmy się do państwa Lewkoników. Ulica, do której przylegała "Anemonowa Piętka", dzięki zabiegom Weronika otrzymała swoją nazwę. Z jednego końca nazywała się Staroprojektowana, z drugiego Nowoprojektowana, a pośrodku – Środkowoprojektowana.

W mieszkaniu zastaliśmy całą rodzinę oprócz Róży, którą wezwano do sekretariatu ministrona Dworu celem złożenia życiorysu, wypełnienia ankiety i formularza małżeńskiego oraz zapoznania się z obowiązkami przyszłej królowej. Na razie wiedzieliśmy tylko tyle, że będzie musiała przybrać historyczne imię Kwakwanostry.

Całe mieszkanie ozdobione było buketami róż, gdyż pan Lewkonik od razu zabrał się do pracy w ogrodzie i przy pomocy płynu odżywczego szybko udoskonalił hodowlę Multiflory.

– Gdy ma się w domu poetkę – powiedział nam zaraz na wstępie – trzeba dbać o róże. Pobudzają one natchnienie. Czy słusznie mówię, Piwonio?

Piwonia spojrzała rozmarzonym wzrokiem i jakby na potwierdzenie słów ojca rzekła melancholijnie:

– Róża, burza, kurza, nurza, duża, stróża...

– Przepraszam – wtrącił się Weronik – czy nie można by zamiast "stróż" powiedzieć "dozorca"?

– Nie będzie rymu – odparła Piwonia patrząc na ojca, bowiem on jeden znał się na poezji.

Rezeda także nie zmarnowała czasu spędzonego w domu. Poświęciła go tresurze psów i oto podczas obiadu oba pudle, ubrane w różowe fartuszki, podawały do stołu, chodząc na tylnych łapkach.

Pan Kleks miał wyborny apetyt, nabierał sobie na talerz ogromne porcje i przy każdym daniu wesoło wykrzykiwał:

– Jak długo żyję, nie jadłem jeszcze tak pysznego obiadu! Te pulpety są wprost niezrównane!

– To jest ryba faszerowana – zauważyła nieśmiało Multiflora.

– Oczywiście, że ryba! Ryba pulpetowa! Tak właśnie chciałem powiedzieć. Muszę opracować nową książkę kucharską, opartą na zasadach gastronomii kleksycznej. Że też o tym dotąd nie pomyślałem. Pani Multifloro, daję słowo, napiszę taką książkę i zadedykuję ją pani.

Piliśmy właśnie kawę, gdy Negrifon trzykrotnym szcęknięciem zaanonsował przybycie nowych gości. W tej samej chwili istotnie zjawił się Alojzy w admiralskim mundurze, przy orderach, które tylko w znikomej części przypięte były do piersi. Pozostałe niósł osobno na atlasowej poduszce adiutant Admirala. Trzecim gościem był kapitan Tykwot, pragnął bowiem zobaczyć, jak wygląda "Anemonowa Piętka", którą przyholował z tak daleka.

Multiflora serdecznie podziękowała dzielnym marynarzom za ich trudy, a pan Lewkonik nie mógł się powstrzymać i szepnął Piwonii przez stół:

– Powiedz wierszyk... Obowiązkowo...

Piwonia wstała, oparła ręce o poręcz krzesła i zadeklamowała swój nowy utwór:

Admirala cała dość Kawa trawa sława gość Kwaternostrą siostra cześć Anemona żona teść.

Tym razem wiersz Piwonii nie wymaga wyjaśnień, gdyż jest dla wszystkich całkowicie zrozumiały.

Alojzy nie pozostał dłużny poetce. Bez namysłu odpowiedział do rymu, używając niemal tych samych słów:

Gdyś mej sławie brawa dała, Przyjmij wdzięczność Admirala, Boś ty siostry godna siostra, Przyszłej żony Kwaternostrą.

– Jesteś niezrównany! – zawołał pan Kleks. – Będziesz chlubą Alamakoty! Admirale, moje gratulacje!

Kapitan Tykwot nie znał się na wierszach, nie rozumiał, o co chodzi, popijał więc w milczeniu kawę i jak zwykle z obrzydzeniem palił tradycyjne cygaro.

Rozmowa przy stole toczyła się głównie na temat przyszłych losów panien Lewkonikównien.

– Przykro mi, że nie będę na ślubie Rezedy – powiedziała Multiflora – ale rozumiem, że pan Adaś musi ją uprzednio przedstawić swoim rodzicom. Byłoby nietaktownie, gdybyśmy postąpili inaczej.

Weronik, aby wynagrodzić wyrządzoną mi krzywdę, zaczął przesadnie wychwalać moją rodzinę:

– Co to za ludzie, proszę państwa! Znam ich od czasu, jak wprowadzili się do naszej kamienicy. Nigdy nie zalegają z komornym, nie śmiecą na schodach, nie brudzą, nie hałasują. Tacy lokatorzy to skarb! Starszy pan Niezgódka sam sobie pisze książki. Zajmuje się także wypychaniem ptaków. Ale żeby kiedykolwiek osobiście zamienić się w ptaka – proszę nie wierzyć! Pani Niezgódkowa nigdy by do tego nie dopuściła! Tacy to są ludzie!

– A czy lubią kwiaty? – spytała znienacka Multiflora.

– Jeszcze jak! Pani Niezgódkowa co dzień przypina sobie do kapelusza inny bukiet. Choć to i sztuczne, ale zawsze kwiaty. Raz bławatki, raz fiołki, a w niedzielę i święta wyłącznie róże. Słowo daję! Ładniejsze niż prawdziwe!

Słyszając to Dalia rozkichała się na dobre. Kapitan Tykwot powiedział "na zdrowie", Weronik przerwał swoje wynurzenia, natomiast Alojzy usłużnie oznajmił:

– Opuszczając krainę Obojga Farmacji, wziąłem z sobą próbki niezawodnych leków. Mam tutaj tubkę "Antykichaliny". Po jej zażyciu najuporczywszy katar ustaje natychmiast.

Dalia już wyciągnęła rękę po lek, lecz nagle powstrzymała się i rzekła cicho:

– Nie... Nie... Co by powiedział mój narzeczony, gdybym przestała kichać? Jemu przecież to się we mnie najbardziej podobało. Nie, Admirale, przepraszam, ale nie skorzystam.

Po skończonym obiedzie pan Kleks i ja podziękowaliśmy gospodarzom, pogłaskaliśmy pieski i ruszyliśmy ku domowi. Towarzyszył nam Weronik, który zakończył już swoje prace na "Anemonowej Piętce", posprzątał, a także pomyśl szyby, jak przystało na wzorowego dozorcę.

W pracowni meteorologicznej zastaliśmy Limpotrona. Ustalał właśnie siłę wiatru i regulował pogodę na czas królewskich uroczystości zaręczynowych. Zatrzymał nas, gdyśmy szli do naszych apartamentów.

– Mam tu coś dla panów – powiedział. – Oto odznaczenia, które król raczył panom dzisiaj przyznać. Dla pana profesora Krzyż Komandorski Złotego Koguta z gwiazdą, dla pana Niezgódki order Kurzego Pióra, dla pana Czyściocha Medal Eksportowego Jajka. Zechcą panowie dzisiaj wystąpić w tych odznaczeniach. Przyniosłem także trzy puszki galowego proszku. Trzeba się nim posypać zgodnie z ceremoniałem. A tu są trzy złote chronometry, wprawdzie popsute, ale za to najwyższej marki. Pochodzą one z królewskich zbiorów i posiadają szczególną pamiątkową wartość, popsuł je własnoręcznie król Kwaternoster I.

Podziękowaliśmy ministrowi za tak zaszczytne wyróżnienie i udaliśmy się do siebie.

– Czasu nam zostało niewiele – rzekł pan Kleks. – Trzeba się wystroić na dzisiejszą uroczystość.

– Czy musimy wystąpić tak jak Alamakotańczycy, nadzy do pasa i posypani srebrnym proszkiem? – zapytał z niepokojem Weronik.

– Załatwimy to kompromisowo – odrzekł pan Kleks. – Koegzystencja trwa. Posypimy się srebrnym proszkiem, a na wierzch włożymy ubrania. W ten sposób wilk będzie syty i owca zadowolona.

Z radością i pełni podziwu dla pomysłowości pana Kleksa przyjęliśmy to rozwiązanie. Przebraliśmy się szybko w odświętne stroje oraz przypięliśmy do nich ordery. Profesor właśnie przyglądał przed lustrem brodę, włosy i brwi, gdy nagle ujrzał w nim odbicie Weronika i zawołał:

– Panie Weroniku! Co to znaczy? Czy pan ma zamiar pokazać się w tym roboczym kombinezonie?

– Nie mam innego ubrania, panie profesorze – odparł Weronik. – Ale na dzisiejszą uroczystość zasnurowałem sobie buty galowym czerwonym kablem. Proszę spojrzeć.

Z tymi słowy zadarł nogę i zademonstrował but panu Kleksowi.

– Fiu–fiu – mruknął profesor – Skąd pan wytrzasnął taki nowiutki kabel? Coś zabójczego! Alamakotanki oszaleją z zachwytu na widok pańskich butów. Trudno. Każdy Weronik ma swój konik.

– Chciał pan powiedzieć "swego konika" – wyrwałem się.

– Czy nie rozumiesz, Adasiu, że dla rymu poświęca się często składnię? – skarcił mnie Kleks. – Jeśli robi tak poetka tej miary co Piwonia, to wolno i mnie. Chodźmy, panowie. Proszę za mną!

Na placu stała już królewska fregata w całej swej okazałości. Kordon straży powstrzymywał napierający tłum. Punktualnie o godzinie szóstej dostojnicy Alamakoty wkroczyli na pokład fregaty. Premier Trondosentron zajął miejsce na dziobie. Za nim ustawili się w szeregu ministrowie Trąbatron, Limpotron, Tubatron, Paramontron i Fajatron. Przy sterze stanął ministron Alojzytron, Pierwszy Admirał Floty, w galowym mundurze szamerowanym złotem. W odróżnieniu od innych ministronów Alojzy nie był obnażony do pasa, tylko epolety miał grubo posypane galowym srebrnym proszkiem. Przy prawej burcie zasiadła rodzina państwa Lewkoników, przy lewej – żony ministronów.

Na końcu zjawił się witany owacyjnie król Kwaternoster I prowadząc pod rękę zarumienioną Różę. Majestatycznie wstąpił na mostek kapitański, a Róża zajęła złożony fotel u jego stóp.

– Nie wypolerowali oparcia, pataluchy – mruknął Weronik.

Król miał na głowie małą koronę podróżną, w dłoni trzymał berło sporządzone ze złotych zegarków, z ramion aż do ziemi spływał mu płaszcz obrzeżony kolorowymi jajkami, prawdopodobnie ugotowanymi na twardo, żeby się nie potłukły. Ryża bródka króla złociła się w słońcu, wydatny nos węszył nastroje ludu, a dobrotliwe spojrzenie sięgało ponad głowami poddanych w daleką przyszłość. Można śmiało powiedzieć, że był to mężczyzna bardzo przystojny, krzepki i postawny. Pomimo swoich lat czterdziestu wyglądał nadzwyczaj młodo.

Ale oczy wszystkich skierowane były na przyszłą królową. Omawiano jej urodę, powtarzano sobie szeptem ciekawostki o rodzinie Lewkoników, plotkowano na zabój, jak to zwykle przy tego rodzaju okazjach.

Róża uśmiechem i ruchem dłoni pozdrawiała wiwatujące tłumy. Twarzyczka jej promieniała szczęściem i życzliwością. O takiej właśnie królowej marzyli Alamakotańczycy, nic więc dziwnego, że od pierwszego dnia stała się ich ulubienicą.

Ubrana była w piękną złocistą suknię, a na ramionach, podobnie jak pozostałe damy, miała pelerynkę z kogucich piór.

Królewska fregata na ogumionych kółkach gotowa była do odjazdu.

Na dany przez Admirala znak Zyzik, ukryty dotąd pod pokładem, uderzył w dzwon pokładowy i kawalkada z wolna ruszyła z miejsca. Fregatę ciągnęło stu królewskich hulajnożników. Ponieważ dzień był bezwietrzny, na rufie ustawiono mechaniczne wiatraczki, które dmuchały w żagle i wydymały je nie gorzej niż morska wieja. Zaproszeni goście podążali za fregatą na państwowych hulajnogach pomalowanych w prążki w barwach narodowych.

Orszak posuwał się ulicami miasta wzdłuż szpaleru wiwatujących Alamakotańczyków. Był to widok naprawdę wspaniały. Na maszcie fregaty powiewała bandera królewska, na linach furkotały chorągiewki, ulice tonęły w trójkolorowych flagach. Z balkonów i z okien zwisały girlandy kwiatów. Niezliczone transparenty przerzucone nad ulicami zawierały rymowane patriotyczne hasła. Oto kilka z nich, które mi utkwily w pamięci:

Niech donośnie brzmi nasz chór: Więcej kur i więcej piór.

Każdy aktywista sportu
Dba o kury dla eksportu.

Czy to styczeń, czy to maj,
Niech się zwiększa eksport jaj.

Będiesz zdrowy cały rok
Laktusowy pijąc sok.

Nic bez z pracy się nie wskóra:
Jakie jajko, taka kura.

Ministron Trąbatron co jakiś czas wznosił okrzyki, które ludność ochoczo podchwytowała:

– Niech żyje trzecia nurga!

– Niech żyje!

– Niech żyje jajecznicza!

– Niech żyje!

– Niech żyje tabliczka mnurzenia!

– Niech żyje!

Do pochodu przyłączały się wciąż nowe tłumy, gdyż trzynożni Alamakotańczycy nawet bez hulajnóg mogli z łatwością nadążyć z fregatą.

Na jasnym jeszcze niebie zabłyśły pierwsze fajerwerki, a młodzież nieustannie strzelała na wiwat z nadymanych rybich pęcherzy, co leżało w odwiecznej tradycji tego kraju.

Po dwugodzinnej jeździe przez miasto orszak przekroczył bramy Królewskich Ogrodników. Na rozległym terenie zgromadziły się tysiączne rzesze Alamakotańczyków, którzy przybyli tu całymi rodzinami, z dziećmi w wieku szkolnym, a nawet z niemowlętami w wózkach i powijakach.

Wszystkich zwabiła uroczystość królewskich zaręczyn, turniej kogutów, zabawa ludowa i obfity poczęstunek.

Na trawnikach widniały barwne karuzele, zjeżdżalnie, placyki gier, kiermasze jajek, tor kurzych wyścigów oraz wiele innych urządzeń służących do uświetnienia festynu.

Pod drzewami ciągnęły się długie zastawione dzbanami laktusowego wina, tacami owoców, łakoci i jajek na twardo.

Królewskie towarzystwo opuściło fregatę, udając się w kierunku drzewa figowego. Stały tam dwa złożone fotele dla króla i przyszłej królowej, z tyłu zaś wygodne ławy, posrebrzone galowym proszkiem, dla zaproszonych gości.

Kwaternoster I zmienił koronę podrózną na świąteczną. Pokrywały ją misternie cyzelowane sceny z bohaterskiej przeszłości Alamakoty. Następnie król odłożył swoje zegarkowe berło, natomiast z rąk Trąbatrona wziął okazałe liczydła, do których zamiast zwykłych drewnianych krążków wprawione były kurze jajka pokryte złotem i srebrem.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu z widokiem drzewa figowego. Uchodziło ono za najstarsze drzewo na świecie. Liczyło 5789 lat i pamiętało zamierzchnie dzieje, które uczeni archeolodzy usiłują zbadać grzebiąc mozolnie w wykopaliskach i wyszukując nikłe ślady po nie

istniejących już od dawna miastach oraz ludach.

– Mam pewien pomysł – odezwał się do mnie półgłosem pan Kleks. – Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy! Odtworzę historię świata na przestrzeni pięćdziesięciu wieków. Zmuszę drzewo do mówienia. Rozumiesz? Prześwietlę je promieniami kleksycznymi i uzyskam tą drogą drewniany alfabet. Opracuję kleksykon wyrazów figowych i wszystko będę miał jak na dłoni. Drzewo opowie mi dzieje ludzkości. Zapoczątkuję nową dziedzinę wiedzy – archeologię kleksyczną. Za rok nauka wzbogaci się o nowe wiekopomne dzieło. Tak! Zmuszę to drzewo do mówienia! Zmuszę nieodwołalnie!

Tymczasem w niebo wystrzeliły sztuczne ognie, zagrzmiały ukryte w krzakach grające muszle, rozległy się dźwięki hymnu narodowego. Następnie król dał ręką znak i ministron Trąbatron oznajmił gwizdkiem rozpoczęcie koguciego turnieju.

Na dwunastu tysiącach konarów figowego drzewa siedziało dwanaście tysięcy kogutów uwiązanych na łańcuszkach, bez tego bowiem natychmiast wszczyłyby między sobą bijatykę.

Koguty były przez cały rok odpowiednio tresowane, a ostatnio, na prośbę Bulpa i Pulba, brała w tym udział także Rezeda, która dzięki pani Pepie Pergamut posiadała trudną sztukę tresury zbiorowej.

Nad przebiegiem turnieju czuwał Paramontron, który był nie tylko ministronem Hodowli Kur, ale nadto światowej sławy kogutologiem.

Wiele kogutów zrezygnowało z udziału w zawodach z powodu chrypki albo innych niedyspozycji gardła. Znaczna część odpadła już na wstępie wskutek braku wymaganych kwalifikacji, niedotrzymania warunków konkursu czy też złego stanu pióropuszy. Te zaś, które były w należytej kondycji, przystąpiły do turnieju, zachowując wylosowaną przez ich właścicieli kolejność. Król, wspomagany przez ministrona Tubatrona, własnoręcznie rejestrował wyniki na liczydłach.

Zawody, jak domyślicie się, trwały bardzo długo. Nie będę opisywał ich szczegółowo. Wystarczy, jeśli powiem, że koguty wydzierały się wniebogłosy, a od ich przeraźliwego piania głowa mi o mało nie pękła.

Pan Lewkonik ciężko sapał, Hortensja mruzczała pod nosem swoje monologi, Dalia kichała, Weronik przecierał szmatką poręczę ławek i tylko pan Kleks, który w miarę potrzeby umiał się wyłączyć, beztruosko drzemał pogwizdując nosem Marsz Atramentowych Kleksów.

Wyniki turnieju w tym roku były imponujące. Koguty wykazały doskonałe przygotowanie, większość była w świetnej formie i miała znakomicie postawione głosy. Stu siedemdziesięciu zawodników pobiło rekordy mistrzostw z lat ubiegłych, dwudziestu czterech zapało z przepisowymi pięciosekundowymi przerwami ponad trzydzieści razy z rzędu. Ale zwycięzcą turnieju został w rezultacie ten sam kogut, którego poznaliśmy na przyjęciu u Kwaternostra I. Zapał czterdzieści jeden

razy, zapędził w kozi róg wszystkich swoich rywali i utrzymał dotychczasowy zaszczytny tytuł.

Wielotysięczny tłum kibiców przez długi czas oklaskiwał zwycięzcę i wiwatował na jego cześć, a król zgodnie z tradycją zdjął z głowy koronę i przepchnął tryumfatora przez jej obręcz, nadając mu w ten sposób godność Królewskiego Koguta.

Na ciemniejącym już niebie rozbłysły pióropusze fajerwerków, które oślepiły kogucich zawodników, a gdy zgasły, siłą kontrastu powiększyły wrażenie ciemności. Koguty uległy temu wrażeniu, ucichły i posnęły. Tylko królewski pomazaniec zajął miejsce na poręczy królewskiego fotela i dumnie potrząsnął grzebieniem.

Spoza drzew ukazał się rożek wczesnego księżycy. Był to sygnał do rozpoczęcia uroczystości zaręczynowych.

Ministron Trąbatron wdrapał się po drabinie na konar figowego drzewa. Jego tubalny głos, pomnożony przez setki głośników, obwieścił tłumom, że król Alamakoty Kwaternoster I postanowił wstąpić w związek małżeński, na potwierdzenie czego odbędą się wobec zgromadzonego ludu królewskie zaręczyny z obecną tu panną Różą Lewkonik, córką Anemona i Multiflory. W odpowiedzi na obwieszczenie z dziesiątek tysięcy płuc wydobył się ogłuszający okrzyk radości, który, powtórzony przez echo, wstrząsnął jak wichur wierzchołkami drzew.

– Brawomakota! Brawomakota – wrzeszczały na cały głos dzieci szkolne i oseski w wózkach.

Koguty przebudzone tą potężną wrzawą zapiały donośnym chórem, po czym znowu zapadły w sen. Niespodziewanie rozległo się jeszcze dodatkowe "kukuryku", wykonane przez mistrzowski duet złożony z Alojzego i pana Kleksa. A gdy nastąpiło ogólne uspokojenie, rozpoczęła się właściwa ceremonia zaręczyn.

Do pary dostojnych oblubieńców zbliżył się ministron Tubatron podając na srebrnym półmisku zaręczynowe jajko. Zniosła je specjalnie pasiona złotym prosem kura z rasy bramaputra, uszlachetnionej przez rasę bojowców alambajskich.

Następnie premier Trondodentron przedhistorycznym mieczem legendarnego króla Bambosza Koślawego przeciął jajko na dwoje. Zamiast żółtka wypadły zeń złote pierścienie, które ministron Trąbatron włożył na palce króla i Róży, wygłaszając po alambajsku zaręczynową formułę:

Urba lursy w jeden wiąż, Durbra żurna, durbry mąż.

I znowu wystrzeliły fajerwerki rysując na tle nieba wizerunki oblubieńców, znowu przebudzone koguty zapiały chórem, a zespół zestrojonych muszli odegrał hymn narodowy.

Po zakończeniu części oficjalnej w świetle lampionów i ogni sztucznych rozpoczęła się zabawa ludowa. Natomiast król z narzeczoną oraz dostojnicy i zaproszeni goście ruszyli w drogę powrotną.

Fregata potoczyła się szybko po opustoszałych ulicach, my zaś gazowaliśmy na naszych hulajnogach.

– Możemy jutro spokojnie odpłynąć! – zawołał wyprzedzając mnie pan Kleks. – Pchnęliśmy Alamakotę na nowe tory! Otworzyliśmy przed nią olśniewające perspektywy. Jeszcze dzisiejszej nocy napiszę na ten temat dwutomowe dzieło pod tytułem "Kleksomakota".

Jak widać, w genialnej głowie uczonego nieustannie kłębiły się wielkie, twórcze myśli.

POŻEGNANIE Z PRZYGODĄ

"Płetwa Rekina" wypłynęła poza redę. W oddali powiewały ledwie dostrzegalne chusteczki, którymi żegnali nas dostojnicy Alamakoty, rodzina Lewkoników i nasi przyjaciele. Tylko Alojzy stał nieruchomo na pokładzie bajkajaku, z ręką przyłożoną do admiralskiego kapelusza. Odprowadzał nas do granicy wód terytorialnych. Ale i on wkrótce zniknął nam z oczu.

Chociaż Rezeda obiecała rodzicom, że najbliższe wakacje spędzimy wspólnie w Alamakocie, teraz markotnie spoglądała w dal, przejęta pierwszym rozstaniem z rodziną. Szybko jednak odzyskała zwykłą pogodę ducha. Usiadła obok kapitana statku i wraz z nim przystąpiła do rozwiązywania krzyżówek.

"Płetwa Rekina" była to staromodna motorowa łajba, która mogła rozwijać niewielką szybkość, a byle burza groziła jej zatopieniem. Na szczęście kapitan miał wyjątkowego nosa i potrafił tak lawirować, że przemykał się zręcznie pomiędzy nieprzychylnymi wiatrami. Wolał raczej nadłożyć drogi, niż wadzić się z nawałnicą. Czekala nas więc długa podróż i nikt nic mógł przewidzieć, kiedy dotrzemy do celu.

Z usposobienia kapitana wynikało też i to, że załoga była niemrawa i niedbała. Opanowany namiętnością rozwiązywania krzyżówek, kapitan mało czym się przejmował, a już najmniej troszczył się o porządek na statku. Nic więc dziwnego, że Weronik natychmiast podwinął nogawki, przyniósł kubły, szczotki, mydło i zabrał się energicznie do szorowania pokładu. Pan Kleks beztrósco pogwizdywał, a gdy Weronik zlewał deski wodą, ślizgał się po nich jak sztubak, twierdząc, że pomaga mu to w skupianiu myśli. Zresztą trzeba przyjmować, że wielki uczoney robił to z ogromną zręcznością i wprawą godną mistrza jazdy na lodzie.

Pogoda, tak jak poprzednio, sprzyjała nam przez cały czas. Niebo było bezchmurne, a fala łagodnie omywała kadłub statku.

Tri-Tri wiernie nam towarzyszył. Pragnąc przed nieuniknioną rozłąką dać dowód swej życzliwości, raz po raz podsuwał mi do ust różne tłuste muszki. Nie chciałem mu sprawiać przykrości, dopiero więc gdy odlatywał na dalsze łowy, ukradkiem wyrzucałem te ptasie przysmaki do morza.

Pan Kleks obserwując nas nie omieszkał mi dociąć:

– Patrę na twoją zażyłość z kolibrem i zachodzę w głowę, jak człowiek twojego pokroju mógł uwierzyć w podobną brednię. Ojciec przemieniony w ptaka! Śledź nie wymyśliłby nic głupszego. Nikomu o tym przynajmniej nie opowiadaj. Wyśmieje cię każdy, nawet dziecko! A może uważasz, że Tri-Tri to także jakoś osobistość przemieniona w ptaka?

Tu pan Kleks wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Trzęsła mu się głowa, broda i brzuch. Z nosa spadły okulary. Parskał i prychał, zachłystywał się własnym chichotem, którego nie mógł w

żaden sposób opanować, po prostu i dosłownie pokładał się ze śmiechu.

Załoga, zwabiona dziwnymi odgłosami, otoczyła uczonego, kapitan oderwał się od krzyżówki, Weronik przerwał swoją pracę, a pan Kleks śmiał się do rozpuku, trzymał się za brzuch i wołał wycierając łzy:

– Nie wytrzymam! Pęknę ze śmiechu! Czuję się, jakby mnie ktoś łaskotał... Nigdy się tak jeszcze nie uśmieiał... Adasiu, zejdź mi z oczu, nie rozśmieszaj mnie, bo mi się wszystkie guziki poobrywają...

Śmiech pana Kleksa był tak zaraźliwy, że całe towarzystwo zaczęło mu wtórować. Sternik ryczał tubalnym głosem, Weronik piszczał falsetem, Rezeda chichotała cienko jak komar. Tri–Tri w przekonaniu, żeśmy zwariowali, ofiarował mi na pożegnanie ostatnią muszkę, pogłaskał mnie dziobkiem po uchu i ruszył w drogę powrotną do Alamakoty. Widziałem go wtedy po raz ostatni.

Czułem się doszczętnie ośmieszony. Tak, strzeliłem nieprawdopodobne głupstwo. Ale poznanie Rezedy i pozyskanie jej serca wynagrodziło mi w pełni moją kompromitację.

Wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem na prawą burtę, gdzie kwitły krzaki róż, zasadzone tam przez pana Lewkonika.

– Twoja matka ma rację – rzekłem. – Lepiej obcować z kwiatami niż z ludźmi.

Powiedziałem to bez większego przekonania, ale byłem ogromnie rozżalony na pana Kleksa.

Nie pamiętam już dokładnie, jak długo trwała nasza podróż, ale chyba ze dwa tygodnie. Przez ten czas niestrudzony pan Kleks zdążył przeprowadzić wiele obserwacji i badań, z których powstało jego nowe dzieło o doskonaleniu umysłu ludzkiego za pomocą przeszczepiania mózgu delfinów.

A ja i Rezeda przysłuchiwaliśmy się pilnie narzeczemu mew i zdołaliśmy doprowadzić mewy do litery jot.

Tylko Weronik stawał się coraz bardziej zatroskany i mrucał pod nosem: "Oj, panie Chryzantemski, panie Chryzantemski!" Albo: "Nie, panie Modeście... O, nie!"

Piątego dnia naszej żeglugi wyłowiliśmy z morza łódź z trzema bajdockimi rozbitkami. Cyklon porwał ich statek i podrzucił w górę tak wysoko, że z całej załogi tylko oni trzej zdołali się uratować skacząc wraz z łodzią na spadochronach. Po spożyciu obfitego posiłku Bajdoci przystąpili swoim zwyczajem do opowiadania bajek. Opowiedzieli nam o dwóch braciach – bogatym i biednym, następnie o dwóch siostrach – dobrej i złej, wreszcie o sierotce Dorotce i niegodziwej macosze. Ale po przygodach w Alamakocie bajki te wydały nam się ckliwe i mdłe, wobec czego woleliśmy wrócić do naszych zajęć. Poszliśmy z Rezedą na rufę, skąd rzucaliśmy mewom kawałki chleba, żeby skłonić je do większej gadatliwości. Pracowaliśmy w skupieniu nad ptasim słownikiem i tylko od czasu do

czasu dobiegały nas westchnienia starego dozorczy: "Nie, panie Modeście... O, nie!"

Wreszcie pewnego słonecznego dnia jeden z majtków obwieścił: "Ziemia!", a po godzinie ukazały się naszym oczom wieże rodzinnego miasta. Serce zabiło mi mocniej.

"Płetwa Rekina", która wypłynęła z Alamakoty pod banderą zmyślnego państwa Landrynkonii, wywiesiła teraz właściwą flagę.

Wysiedliśmy na ląd z uczuciem ulgi i radości, jak każdy podróżnik, który po długiej nieobecności wraca do ojczyzny.

Pan Kleks pojechał wprost do Akademii, umawiając się ze mną na dzień następny, my zaś, to znaczy Rezeda, Weronik i ja, ruszyliśmy ku domowi. Byłem pełen wzruszenia, radości, ale i niepokoju zarazem. Zresztą, wszyscy troje przeżywaliśmy te same mieszane uczucia.

Nie macie pojęcia, co się ze mną działo, gdy z daleka ujrzałem rodziców stojących na balkonie. Pewnie stali tak od wielu dni w oczekiwaniu mojego powrotu.

Gnałem ulicą jak szalony, ciągnąc za sobą Rezedę, i po chwili byłem już w domu. Na pewno każdemu z was zdarzyło się wracać po długiej rozłące do swoich najbliższych, nie potrzebuję więc opisywać, jak wygląda wtedy powitanie.

Matka, płacząc z radości, ścisnęła mnie tak zapamiętale, że aż kapelusz, który zawsze wkładała wychodząc na balkon, spadł jej z głowy.

– Pan Chryzantemski powiedział nam, że wyjechałeś w podróż, ale nie wiedział, dokąd – rzekł ojciec głosem przypominającym ćwierkanie ptaka. – A kto jest ta miła panienska? – zapytał patrząc na Rezedę.

– To moja narzeczona, panna Rezeda Lewkonikówna... Argonauci jeździli po złote runo, konkwistadorzy po bogactwa, a ja wyruszyłem po największy skarb, po moją najdroższą Rezedę. Pragnę, abyście pokochali ją tak samo jak mnie.

– Piękne imię: Rezeda! – zawołała matka. – Właśnie mam nowy kapelusz, przybrany bukietem rezed. Witam cię, moje dziecko, w naszym domu. Zawsze marzyłam o takiej uroczej żonie dla mego Adasia. Wszystko to przeczułam i już nawet przygotowałam dla ciebie nakrycie. Chodźmy do stołu, bo zupa stygnie. Co dzień tak stygła, odkąd wyjechałeś.

Na obiad była zupa pomidorowa z ryżem, potem moje ulubione kurczęta z mizerią, a na deser lody o trzech smakach. Cytrynowe, malinowe i pistacjowe. Od razu przypomniały mi się barwy narodowe Alamakoty.

Na przemian z Rezedą opowiadaliśmy rodzicom o tym dziwnym i ciekawym kraju. Ojca

najbardziej zainteresowały szczególnie dotyczące konstrukcji Alojzego, zwłaszcza że w swojej bibliotece posiadał książkę pana Kleksa o energii kleksycznej. Był to właściwie tylko grzbiet, ale nie ulegało wątpliwości, że ojciec zaraz po obiedzie napisze nową wersję tego dzieła i ponownie je przeczyta.

Rodzice podziwiali osobliwości, które przywiozłem z Alamakoty. Matka natychmiast wypróbowała na sobie sok owocu gungo, ojciec zaś, chociaż bardzo nie lubił smaku mleka, napił się soku laktusowego, po czym z ogromną ciekawością oglądał zdjęcia Rezerwatu Zepsutych Zegarków, królewskiej fregaty, "Anemonowej Piętki", zwłaszcza zaś Kwaternostrą I, Alojzego oraz trzynogich i trzyrękich Alamakotańczyków.

Przez ten czas matka zajęła się Rezedą. Widziałem, że moi rodzice bardzo przypadli jej do serca, wesóło więc szczebiotała opowiadając o panu Lewkoniku, o Multiflorze, o przyszłej królowej Alamakoty.

W mieszkaniu pięknie posprzątanym przygotowany był dla mnie gabinet, a pracownię do wypychania ptaków ojciec przeznaczył dla Rezedy. Zresztą ptaki jak zwykle wietrzyły się na balkonie, matka więc przy mojej pomocy szybko pokój przemeblowała i nadała mu wygląd niezwykle przytulny.

Gdy Rezeda poszła rozpakowywać swoje rzeczy, a ja zostałem sam z rodzicami, rzuciłem od niechcena pytanie:

– Jak to się stało, że po powrocie z Akademii nie zastałem nikogo w domu i musiałem wyruszyć w podróż bez pożegnania? Bardzo mi było przykro...

To przez twoją matkę – rzekł ojciec. – Wynajęliśmy w Laskach Waniliowych nad rzeką Wkrbrdą lotnisko, żebyś mógł po skończeniu Akademii wypocząć. Matka postanowiła zrobić tam wielkie porządki. Zabrała elektroluks i pojechaliśmy wczesnym rankiem. A potem spóźniliśmy się na pociąg i wróciliśmy dopiero wieczorem.

– Nie zwalaj wszystkiego na mnie – zaprotestowała matka. – Przecież pan Chryzantemski miał Adasia uprzedzić. Prosiłam go o to. Nie pamiętasz? Weronik tego dnia musiał pojechać po ptaki do wypychania, a pan Chryzantemski wygrzewał się właśnie na ławeczce przed domem. Nic ci, Adasiu, nie powiedział? Może zapomniał?... Dawno już zauważyłam, że na starość traci pamięć.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem otworzyć i zobaczyłem Weronika. Miał na sobie znowu swój służbowy serdak i buty zasnurowane kablem od żelazka elektrycznego. Zza pleców starego dozorca wyglądał nieśmiało pan Chryzantemski.

– Panie Weroniku – szepnąłem – tylko ani słowa o żadnym guziku, o przemianie w ptaka, o listonoszu... Koniec, grób, mogiła. Ani mru–mru!

Stary dozorca kiwnął głową i poszedł przywitać się z rodzicami. Za nim dreptał niepewnie pan Chryzantemski.

– Panie Modeście – rzekła matka z wyrzutem – zapomniał pan wtedy powtórzyć synowi to, o co prosiłam.

– Już nawet nie pamiętam, co zapomniałem – odparł wzdychając pan Chryzantemski. Miał widocznie ciężką przeprawę z Weronikiem i porządnie musiał od niego oberwać.

– Nie, panie Modeście... O, nie! – mruknął gniewnie stary dozorca.

– Faktycznie, proszę szanownej pani – ciągnął emerytowany sztukmistrz – pamięć mi ostatnio nie dopisuje. A w dodatku dziwne rzeczy dzieją się z moją głową. O, proszę popatrzeć...

Mówiąc to, strzepnął palcami nad uchem i w tej samej chwili z tegoż ucha wyleciało mu kilka świergoczących jaskółek. Wyfrunęły przez okno, przysiadły na poręczy balkonu, po czym zerwały się z trzepotem i poszybowały w dal.

Zwabiony ptasim świergotem, wylazł spod kanapy zaspany kot Hieronim, miauknął, przeciągnął się i leniwym krokiem pomaszerował do pokoju Rezedy.

– A może ten kot także wyszedł z pańskiego ucha? – zapytał zjadliwie Weronik.

– Kot? – powtórzył ze zdziwieniem sztukmistrz. – Nie widziałem żadnego kota. Ale jak pan chce, proszę bardzo...

To mówiąc, z nogawki szerokich spodni wyciągnął za ogon wrzeszczącego przeraźliwie Hieronima.

Byłem olśniony popisem pana Chryzantemskiego.

– Rezedo! – zawołałem. – Chodź tu prędko. Zobaczysz coś ciekawego.

Rezeda przybiegła ze swego pokoju, a Weronik wziął się pod boki i powiedział z przekąsem:

– No, panie Modeście, może pan teraz przemieni pana Niezgódkę w ptaka!

– O, nie! – zawołałem. – Tylko nie to! Proszę bez takich żartów!

Pan Chryzantemski stanął na wprost Weronika i rzekł przymrużając jedno oko:

– Panie Czyścioch, zdaje się, że pan ma dzisiaj muchy w nosie. Warto by je wypuścić.

Z tymi słowami pociągnął Weronika za nos i w tej samej chwili z nosa Weronika zaczęły wyfruwać roje much. W pokoju zrobiło się od nich czarno. Ojciec uciekł na balkon, a matka, która prowadziła nieustanną walkę z muchami, podniosła nieopisany lament:

– Co pan wyprawia! Niech pan natychmiast zabierze te muchy! Czy mam wezwać straż pożarną?

Pan Chryzantemski błyskawicznie wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa, strzepnął ją i podrzucił w powietrze. Wtedy wszystkie muchy zbiły się w dużą czarną kulę, a on zręcznie zawinął ją w chusteczkę i wyrzucił przez okno.

Zanim zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia po tym niezwykłym popisie starego sztukmistrza, pan Chryzantemski uklonił się, powiedział "do widzenia" i szybko opuścił mieszkanie.

Po jego wyjściu Weronik rzekł z ciężkim westchnieniem:

– Sami państwo widzieli... Prosiłem go, żeby mnie zastąpił. Ale kto mógł przewidzieć... Wie pan, panie Adasiu, co on narobił? W nocy wyprowadził wszystkich lokatorów w czasie snu, bez ubrania, na ulicę i tak ich zaczarował, że pływali w fontannie jak złote rybki. I co teraz będzie? Jak ja się wytłumaczę przed ludźmi? Mój honor dozorczy leży w błocie.

– Niech pan się uspokoi – pocieszyłem Weronika. – Wszystko biorę na siebie. Może pan spać spokojnie. Załatwię to tak, że nikt nie będzie miał do pana pretensji. A potem wyprawimy panu jubileusz. Ja i panna Rezeda zajmiemy się tym osobiście.

Stary dozorca miał łzy w oczach. W milczeniu wytarł mimochodem z kredensu czarne kropki, które pozostawiły tam muchy pana Chryzantemskiego, po czym pożegnał się i wyszedł. Odprowadziłem go do drzwi.

– Może pan na mnie polegać – powiedziałem mu na odchodnym. – Nic tak ludzi nie zbliża jak wspólna podróż. A my, panie Weroniku, byliśmy przecież razem w Alamakocie.

Gdy wróciłem do pokoju, zauważyłem, że kot Hieronim leży u Rezedy na kolanach.

– Widzę, że zamierzasz go wytresować – rzekłem z uśmiechem.

– Tak. Postaram się zmienić jego charakter. Nauczę go psiej wierności. Zamiast siedzieć pod kanapą, będzie odtąd wybiegał na twoje spotkanie. A ja razem z nim. Dobrze?

– Słuchaj, Adasiu – odezwała się matka – o jubileuszu Weronika pamiętasz, a zapominasz o własnych sprawach. To bardzo ładna cecha, ale musimy przecież pomyśleć o waszym ślubie. A potem wyjedziemy razem w podróż poślubną.

– Tylko nie razem – wtrącił się ojciec – starzy nie powinni wlec się za młodymi. Ślub mógłby się odbyć, powiedzmy, za miesiąc. Ósmego sierpnia. Bardzo lubię okrągłe daty.

Mój ojciec był trochę dziwakiem i za okrągłe liczby uważał trójkę, siódemkę, ósemkę i trzynastkę.

– A teraz idziemy spać – oświadczyła matka. – Na pewno jesteście zmęczeni po podróży. Dobranoc.

Wczesnym rankiem obudził mnie kot Hieronim łasząc się do mnie jak pies. Odgadłem w tym rękę Rezedy.

Ubrałem się szybko i nie czekając na śniadanie, podążyłem na ulicę Czekoladową do Akademii pana Kleksa.

Hieronim wyprężony, z zadartym ogonem, kroczył wiernie przy mojej nodze.

Zastałem pana Kleksa w gabinecie. Na drzwiach wisiała wprawdzie tabliczka z napisem "Ludziom wstęp wzbroniony", ale zakaz ten dotyczył tylko uczniów Akademii, domokrażców, handlarzy i fryzjera Filipa, który był bardzo wścibski.

Gabinet profesora przypominał bardziej laboratorium czarnoksiężnika z bajki niż pracownię wielkiego uczonego. Pośrodku stała słynna platforma elepelemele telektryczna, na ścianach wisiały lampy, reflektory, radary oraz lasery; w rogach pokoju umieszczone były reaktory i mózgi elektroniczne, a na stołach pod ścianami leżały aparaty wynalezione i skonstruowane przez pana Kleksa. Zauważyłem wśród nich kombajn do leczenia chorych sprzętów, zapasowe bębny podsluchowe, senne lusterka, czyli podpatrywacze snów, zgadywacz myśli, kondensator energii kleksycznej, baterie przebieralników, skarbonki pamięci, retorty i wirówki do wytwarzania migdałów, orzechów oraz innych gruczołów, walcownię syntetycznej skóry ludzkiej i wiele innych.

Pan Kleks uściskał mnie na przywitanie, po czym stanął na jednej nodze i rzekł uroczyście:

– Doktorze Adamie Niezgódka! Dzisiaj wracam do Alamakoty, gdzie podejmę prace mające na celu uszczęśliwienie ludzkości. Tobie przekazuję moją Akademię! Mianuję cię jej dyrektorem. Będziesz moim następcą, czyli drugim Ambrozym Kleksem! Oddaję ci tę skarbnicę wiedzy i mądrości, a ty nie zawieź mego zaufania! Tu w szufladzie są wszystkie klucze. A więc złoty klucz do sąsiednich bajek, klucz do moich sekretów oraz klucz do biblioteki, gdzie znajdziesz wszystkie moje dzieła oraz dokładną dokumentację moich wynalazków. Chodź, zapoznaj się z zawartością tej szafy.

Z tymi słowami pan Kleks otworzył pancerne drzwi biblioteki. Stały w niej rzędem grube tomy oprawne w skórę. Na grzbietach odczytałem tytuły dzieł. Było to: "Kleksotomia", "Kleksopedia", "Kleksografia", "Kleksonautyka", "Kleksometria", "Kleksologia", "Kleksozofia", "Kleksomatyka",

"Kleksoznawstwo", "Kleksochemia", "Zasady energii kleksycznej", "Kleksyczna budowa materii", "Kleksotronika", "Kleksykologia", "Kleksofonia i kleksowizja" oraz inne.

– A oto moje najnowsze dzieła – rzekł z dumą pan Kleks. – Popatrz, tu jest "Alamakotanika", tu zaś maszynopis "Kleksomakoty". Oddasz tę pracę do druku. Znajdziesz w niej opis naszej podróży oraz kilka pochlebnych wzmianek o sobie. Na pewno przeczytasz je z zadowoleniem. Aha, prawda! Muszę ci również przekazać mój ostatni wynalazek.

Z tymi słowy pan Kleks wyjął z podręcznej szafki mały aparacik wielkości puszeki od konserw.

– No co? Domyślasz się, do czego to służy?

Oglądałem aparacik ze wszystkich stron, opukiwałem go, przyłożyłem do ucha, ale nie umiałem określić jego przeznaczenia.

– A więc powiem ci – ciągnął dalej profesor. – Jest to Kleksyczny Wsączalnik Domózgowy. Spójrz. Bierzemy jakikolwiek podręcznik i włączamy do niego tę oto rubinową soczewkę. Przewody z drugiego końca podłączamy do miedzianego pierścienia, który wkładamy w nocy na głowę ucznia. Naciskamy guziczek, po czym wiązki promieni przenoszą zawartość podręcznika wprost do mózgu uspiętej osoby. Jest to niezawodna metoda nauczania w czasie snu. Dzięki temu wsączalnikowi w ciągu dwudziestu nocy opanowałem dwadzieścia nowych języków. Strzeż tajemnicy tego wynalazku i stosuj go wyłącznie do nauczania w Akademii. Osiągniesz znakomite wyniki.

Kleksyczny Wsączalnik Domózgowy był zadziwiająco prostej konstrukcji i nadzwyczaj łatwy w użyciu. Postanowiłem więc wypróbować go zaraz na sobie.

Użyłem do tego celu podręcznika języka chińskiego. I rzeczywiście, już po piętnastu minutach mogłem porozumieć się z panem Kleksem po chińsku, ale tylko w połowie, gdyż w tak krótkim czasie zdążyłem opanować zaledwie połowę tego języka.

– To chyba byłoby wszystko – powiedział pan Kleks. – Możemy teraz przejść na taras. Przyrządzę wyborną kawę. Kawa to moja specjalność.

Wielki uczony popijał kawę małymi łydkami, głaskał brodę, od czasu do czasu przykładał jej koniec do ucha, jak gdyby nasłuchiwał.

Był widocznie roztargniony, mówił o kilku sprawach naraz, nad czymś dumał, wreszcie otrząsnął się z zamyślenia.

– Powiedz mi, Adasiu, jak znalazłeś rodziców? Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – odrzekłem. – Dziękuję za pamięć.

– No widzisz – ciągnął pan Kleks – a tak łatwo dałeś się nabrać. Człowiek nie może przemienić się w ptaka. Byłoby to przeciwne ustalonym prawom natury, tradycyjnym prawom natury, jeśli można się tak wyrazić. Czy mnie rozumiesz?

– Oczywiście, panie profesorze.

– Ale... jeśli chodzi o mnie, to jest to całkiem inna sprawa. Nie-po-rów-ny-wal-na. Ja posiadam kleksyczny przebieralnik. Udoskonalony kleksyczny przebieralnik. Odkryłem piąty stan materii. Odkryłem kleksoplazmę. Dlatego ja mogę przemienić się w ptaka. I zaraz to uczynię, gdyż muszę niezwłocznie odlecieć do Alamakoty.

Po tych słowach pan Kleks wyjął z kieszeni kamizelki małą flaszeczkę, przyłożył do ust i wychylił duszkiem całą jej zawartość.

Wkrótce nastąpiło coś bardzo dziwnego. Pan Kleks powoli zaczął się zmniejszać, kurczyć, zmieniać kształt. Nogi stawały się coraz krótsze i cieńsze. Broda niepostrzeżenie połączyła się z nosem i uformowała w zgrabny ptasi dziób. Ramiona stopniowo przeobraziły się w skrzydła, a poły surduta w ptasi ogon. Przemiana odbywała się tak szybko, że zanim zdążyłem się spostrzec, pan Kleks już przybrał postać szpaka, zwinnie podskakiwał na ptasich nóżkach i wesoło świdrował mnie oczami.

– Panie profesorze! — zawołałem wstrząśnięty tym widokiem. – Panie profesorze, co to ma znaczyć?

– Ala-ma-kota, Ala-ma-kota – wyszczebiotał pan Kleks i potarł dziobek o płytę tarasu.

Kot Hieronim wyprężył grzbiet, oblizał się smakowicie i już, już gotował się do skoku, gdy pan Kleks zatrzepotał skrzydłami i w samą porę, tuż przed nosem Hieronima, uniósł się w powietrze.

Po chwili zatoczył nad Akademią koło i poszybował w kierunku południowo-wschodnim.

Odlatując pozostawił za sobą na niebie białą smugę jak odrzutowiec.

Przez chwilę wisiała ona w przestworzach nieruchomo, potem jednak stopniowo porozsuwała się na części, te zaś przybrały kształt liter i ułożyły się w znajome sylaby.

– Pa-ram-pam-pam – przeczytałem na głos rozplywające się w powietrzu litery.

Tą ulubioną niewymyślną śpiewką pan Kleks obwieszczał światu tryumf swego wielkiego umysłu, swoje zwycięstwo nad niewzruszalnymi dotychczas prawami natury.

